



MARTA RADOMSKA

*Tego kwiatu  
jest pół świata*



MARTA RADOMSKA

*Tego kwiatu  
jest pół świata*



Copyright © Marta Radomska, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadząca: Adriana Biernacka

Redakcja: Hanna Trubicka

Korekta: Magdalena Wiśniowska

Projekt typograficzny i łamanie: Justyna Nowaczyk

Projekt okładki: Joanna Wasilewska

Fotografie na okładce: © morrowlight, © Sto Helit, © Chepurko Ekaterina, © zhekakopylov / Shutterstock

Fotografia autorki na skrzydełku: © Ewa So

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

#### CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



No naprawdę. Nikt tak człowieka nie wykończy jak żona. Nawet jeżeli jest już była. A całkiem możliwe, że wtedy jej destrukcyjne zdolności ulegają tylko zwielokrotnieniu.

Na myśl o destrukcyjnych talentach byłej żony Olgierd zazgrzytał zębami. Nawet teraz, miesiąc po burzliwym rozwodzie, nawet fizycznie nieobecna i pozornie pokojowo nastawiona, potrafiła zdemolować mu weekend. Tak jak zdemolowała mu całe życie.

No dobra, może nie całe. Brak obiektywizmu wobec czasu trwania demolki wynikał z faktu, że targana na ramieniu torba obijała się o wysmykujący się z ręki uchwyt walizki, którą ciągnął za sobą po podziurawionym asfalcie, przeklinając siarczyście późną porę, huk piorunów nad głową i deszcz sączący się z nieba na razie pojedynczymi, ale za to dużymi kroplami. Jeszcze chwila i lunie, a przekłete dziury w asfalcie zmieniają się w bajorka, pomiędzy którymi będzie uskuteczniał idiotyczny slalom, zastanawiając się, czy lepiej jest ryzykować utopieniem nowych butów, czy tracić czas na próby ominięcia co większych kałuż.



Czy po prostu zamordować Majkę...

Póki co burza rozkręcała się anemicznie i nadzieja na dotarcie do autobusu przed ulewą rosła. W ciągu pięciu minut dotrze do końca małej, krętej uliczki łączącej osiedle, na którym mieszkała Majka, z cywilizacją. Przed nim majaczyły przebłyki ulicznych lamp, oznaczające bliskość przystanku. Bo oczywiście na tej przeklętej uliczce oświetlenie szlag trafił.

Tak czy inaczej, gdzieś tam przed nim istniała oświetlona ulica, do której zbliżał się z każdym zamaszystym krokiem, posykując nerwowo, gdy kółka walizki przegrywały walke z nierównościami terenu. Jeszcze tylko kawałek i będzie mógł zapomnieć o Majce, jej wariactwach i swoim zdemolowanym przez nią żonę życiu.

No dobra. Może przesadzał. Może nie całe życie mu tak zdemolowała.

Ale ostatnie trzy lata bez dwóch zdań.

Kolejne, potężne zgrzytnięcie wydobyło się spomiędzy zębów Olgierda na wspomnienie tych trzech lat, które w wyniku niepojętego zaćmienia umysłu zorganizował sobie w najgorszy możliwy sposób, żeniąc się z uroczo roztargnioną, pełną energii, siejącą wszędzie blask swej indywidualności oraz pogubione podczas prania skarpetki właścicielką niewielkiej kwiaciarni. Urocza, do pioruna! Wtedy wydawała mu się urocza, razem ze swoim szalonym charakterem i inwencją twórczą, wyrażającą się w zastawieniu każdego wolnego kawałka mieszkania i balkonu badyłami, zaprasowywaniu w kant rękawów jego koszul i niezdrowej obsesji na punkcie jogi, medytacji i ogłupiających dźwięków, zwanych muzyką relaksacyjną. Może to i takie niezdrowe w przypadku Majki i jej wiecznego ADHD wcale by nie było, gdyby nie typowy dla jego byłej żony brak umiaru. Wprawdzie Majka zawsze zarzucała mu nadmiar umiaru, wolał jednak swoją powściągliwość niż nadmiar pasji, zainteresowań i ogólnego wariactwa, jaki nieodłącznie mu się z nią kojarzył. Majka z jej wiecznym bazgroleniem na rękach, jakby nie dało się robić notatek na papierze. Majka

z kwiatkami, kotkami i całą resztą dziwacznych zainteresowań. I swoim ulubionym argumentem, jakim torpedowała wszystkie próby ustabilizowania życia przez Olgierda: „Nie, bo nie”! No i ta cała wielka improwizacja. To było hasło, które najlepiej oddawało podejście Majki do życia...

Olgierd improwizować nie lubił. Nie lubił też bałaganu, zajmowania się tysiącem rzeczy naraz i zmieniania w ostatniej chwili raz ustalonych planów. Szlag ciężki go trafiał, gdy Majka z radosnym uśmiechem przewracała ład w jego życiu do góry nogami, zasypując go lawiną pomysłów, które może nie byłyby takie złe, gdyby nie stały w rażącej sprzeczności z jego własnymi pomysłami. Albo gdyby chociaż zostały zgłoszone wcześniej, poddane dyskusji i zaaprobowane.

Ktoś obdarzony odrobiną polotu i spontaniczności chętnie by docenił szaleństwa Majki jako miłe urozmaicenie codziennej rutyny. Podobnie zresztą jak sam Olgierd w pierwszych tygodniach zachłyśnięcia czarem nowo poślubionej żony. Przynajmniej do czasu, gdy górę wzięła stara dobra miłość do porządku i stabilizacji. A czar Majki zaczął go po prostu wkurzać.

Dokładnie tak, jak w tej chwili. Kiedy targał z mieszkania resztę rzeczy, upchniętych w dwóch torbach, walizce i aktówce, przez przekłętą, dziurawą jak ser uliczkę, modląc się, by dotrzeć do przystanku autobusowego i wrócić do wynajętej kawalerki, zanim Bóg zechce zesłać na niego potop pod postacią ulewy z gradem, zapowiadanej przez wszystkie prognozy pogody już od tygodnia.

Bo oczywiście w ten akurat wieczór Majka była uprzejma udostępnić mu klucze do mieszkania. Akurat w ten cholerny wieczór, kiedy pogoda wreszcie zdecydowała się spieprzyć, a ford Olgierda stał w warsztacie. To właśnie miał na myśli, klęcząc przedziwny talent Majki do demolowania mu życia.

Zaklął siarczyście, potykając się o wystającą płytę chodnika i z trudem utrzymując równowagę pod ciężarem przygniatających go tobołów. Może i pośpiech uratuje jego buty

przed potopem, jednak zdarta skóra na noskach stała się właśnie faktem. Pięknie. Nie dość, że musiał się wyprowadzić i w ogóle na tym całym rozwodzie wyszedł cholernie stratny finansowo, to jeszcze nowe obuwie i garnitur diabli mu wezmą. Wprawdzie nikt normalny w garniturze i świeżo wypastowanych, eleganckich butach nie wybierałby się do domu byleż żony po swój dobytek, jednak wymysły Majki zmusiły Olgierda do przybycia tu prosto z pracy. Bo Majka twardo zapowiedziała, że przyjechać po rzeczy może jedynie pod jej nieobecność, spakować się sprawnie i zostawić klucze sąsiadce. Najlepiej do końca tygodnia. Najlepiej w piątek. Najlepiej między siedemnastą a dwudziestą. I najlepiej samemu, bez Kamili, bardzo uporządkowanej i bardzo odpowiadającej Olgierdowi kochanki, która przypieczętowała decyzję o rozwodzie z Majką. No dobrze, niech zatem dostosowanie się do tych warunków będzie ostatnim ukłonem w stronę Majki, a potem bierz ją diabli, bierz diabli tę cholerną uliczkę i wszystko, co przez niedopatrzenie mógł zostawić w dawnym mieszkaniu. Grunt, żeby zdążyć przed ulewą.

Zniecierpliwionym ruchem poprawił zjeżdżającą z ramienia torbę i z poirytowanym sapnięciem przyspieszył kroku. Zbliżające się światła dodały mu otuchy i nadziei, że wraz z końcem uliczki nastąpi kres wiecznych problemów z Majką i ich krótkim, burzliwym małżeństwem. „Swoją drogą, ta pogoda to taka idealna metafora tych trzech lat”, pomyślał. Całkiem prawdopodobne, że gdy dotrze do przystanku, cudownym sposobem zaświeci słońce.

Może i miałyby szansę zweryfikować trafność takiej prognozy, gdyby uliczka nie była wąska, dziurawa, kręta i w tej chwili totalnie pozbawiona oświetlenia. Każda z tych okoliczności miała jednak dla Olgierda przykrą niespodziankę. Zaaferowany omijaniem dziur, nie zauważył auta, które ruszyło z cichym pomrukiem z podjazdu jednej z posesji i powoli toczyło się za nim. Dostrzegłby je z pewnością, gdyby nie było tak ciemno, ostatecznie musiał je minąć, przechodząc przez wąskie przejście między osiedlem a uliczką. Teraz, ukryte w mroku,

wykorzystywało zakręty, by pozostać niewidoczne dla Olgierda. Dostrzegł je dopiero, gdy z piskiem opon wyskoczyło z zaułka.

Było za późno, żeby uciec.

Druga sprawa, że nie bardzo było gdzie.

Przewężenie w tym miejscu nie dawało żadnej możliwości, by uskoczyć na bok, a rosnący gęsto dziki żywopłot z obu stron wydawał się nie do sforsowania.

Burzliwe małżeństwo Olgierda i Majki uległo burzliwemu zakończeniu.

Podobnie jak życie Olgierda, którego zdumiony umysł w chwili uderzenia zdolny był do tylko jednej myśli. Że wszystko przez nią. Zdarta skórka z butów, nadwyreżone od ciężkich bagaży ramię i teraz to! Ona naprawdę go kiedyś wykończy i to prawdopodobnie zupełnie niechcący!

Deszcz lunał w chwili, gdy bezwładne, martwe ciało odciągnięto i ukryto na terenie opuszczonej posesji, wpychając je starannie w gęste krzaki. Małe szanse, by ktoś je szybko znalazł. Ciągący się wzdłuż drogi krwawy szlak zniknął niemal natychmiast, zmyty ciężkimi kroplami deszczu.



Ostrożnie uchyliłam drzwi mieszkania, wtykając głowę przez wąski przesmyk i szukając na oślep włącznika światła. Dopiero dokładna lustracja przedpokoju pozwoliła mi zdecydować, że teren jest czysty i można wejść do środka.

Stojąca za mną Luiza przeczekała wszystkie te manipulacje, bębniąc palcami o poręcz schodów.



– Już? – zapytała poirytowana, gdy prześlizgnęłam się pomiędzy salonem, sypialnią, kuchnią i łazienką. – Czy będziesz węzowym ruchem czołgać się pod łóżkiem?

– Może powinnam. Za dużo kasy wycisnęłam z tego rozwodu, żeby Olgierd wyprowadził się, nie instalując morderczych pułapek.

– Ta. Bomby w sedesie. – Luiza przewróciła oczami i bezceremonialnie wpackowała się do mieszkania. – Z zapalnikiem uruchamianym przez spłuczkę. Majka, rozumiem depresję porozwodową, stres, ale aż taka paranoja nie jest uzasadniona. Odpuść.

– O niczym innym nie marzę.

– Jak o bombie w kiblu?

– Jak o tym, żeby sobie odpuścić – westchnęłam, rzucając torebkę na fotel. – Odpuścić, zapomnieć, nigdy więcej nie oglądać tej żołyzy i zatrudnić w kwiaciarni kogoś, kto nie polezie do łóżka z moim nowym facetem. Jak już go sobie znajdę.

– Czyli całkiem niedługo – stwierdziła optymistycznie Luiza, idąc za mną do kuchni. – Masz coś normalnego do picia, czy mam sobie nalać wody?

Coś normalnego miałam. Rzuciłam Luizie torebkę Liptona, dla siebie szykując zieloną herbatę z dodatkiem mięty.

– Melisę powinnaś pić – zawyrokowała Lulu, przyglądając się krytycznie zawartości mojego kubka. – Za dużo się stresujesz, skoro nawet joga nie pomaga. Wyrwij tego gościa, a w kwiaciarni zatrudnij faceta. Problem z głowy.

Z niechęcią przyznałam jej rację. Rozwiązanie problemów samo pchało się w ręce, tylko z jakichś powodów było dla mnie niewykonalne.

„A może zwyczajnie za proste i zbyt banalne”, pomyślałam z przekąsem, wspominając awantury z Olgierdem o moją nadmierną, według niego, kreatywność i rzekomy talent do komplikowania wszystkiego, czego się tknę. Pewnie dlatego nie

przewidział biedak, że pójdę na łatwiznę, zwalniając z hukiem stażystkę, z którą był uprzejmy się przespać, zanim wydało się, że jego nagły szal florystyczny to zwykła zmyła i pretekst do częstych wizyt w kwiaciarni.

Rozwód z głową, Olgierdem i Kamilą po usunięciu obojga z zasięgu wzroku nie zamierzałam się długo przejmować. Zgodnie z sugestią Luizy znacznie bardziej interesowały mnie perspektywy na przyszłość. Szczególnie te dotyczące nowego faceta. I to bynajmniej nie do kwiaciarni, choć i o tym będę musiała w końcu pomyśleć.

Jeden taki nawet był.

Bardzo interesujący, choć pozornie zupełnie nie w moim typie i sama zachodziłam w głowę, jakim cudem w ogóle go dostrzegłam.

Może takim, że trudno przeoczyć kogoś, kogo od kilku tygodni codziennie rano mijają się w drodze do pracy na chodniku tak wąskim, że trzeba dużej zwinności i wdzięku, by nie wleźć na siebie nawzajem, nie podeptać albo przynajmniej nie potrać.

„Jakim cudem nam się to udaje?”, pomyślałam któregoś dnia, gdy po raz kolejny owionął mnie intensywny, nawet zbyt mocny zapach wody po goleniu. Niby nic trudnego – zamiast usunąć się z drogi, potrać delikatnie dłonią, upuścić coś...

„Omdleć i paść w poprzek chodnika, najlepiej tak, żeby się potknął”, dołożyłam sobie zgryźliwie. Metoda praktykowana przez damy w dziewiętnastym wieku. Wtedy może działała, zwłaszcza że damy nie spieszyły się do obowiązków zawodowych i miały większą wprawę w pełnym wdzięku omdlewaniu. Znając własny wdzięk, huknęłabym głową o chodnik, doprowadzając do mało romantycznego wzywania pogotowia. Za randkę z gipsem dziękuję bardzo.

Lista głupich pomysłów wydłużała się każdego wieczora, niezmiennie prowadząc do jednego wniosku. Moja kreatywność nie miała granic w żadnej dziedzinie życia, poza jedną. Nie umiałam poderwać faceta. Tajemniczy defekt, który utrudniał

mi życie od zawsze, chyba że na horyzoncie pojawiała się druga strona z większym talentem w tym zakresie.

No i proszę bardzo. Defekt ujawniał zdradzieckie działanie każdego ranka, a mnie nie pozostało nic poza modlitwą o cud, więcej inwencji ze strony faceta albo odrobinę szczęścia, które podobno idiotom i idiotkom chętnie towarzyszy. Ale dopóki nie zechce się nade mną zlitować, trzeba zadowolić się ukradkowymi spojrzeniami w piwne zamysłone oczy, które mąciły mi w głowie, zdradzając żywą inteligencję ich właściciela, ale kompletnie, niestety, niepatrzące w moim kierunku.

Sama nie byłam lepsza w ignorowaniu elementów otaczającej mnie rzeczywistości. Tak jak choćby zjawiska zwanego upływem czasu. Dobre chęci w tym zakresie miałam, każdy dzień rozpoczynałam od zwleczenia się z łóżka o piątej rano, a po dwóch latach przyjętego reżimu tempo zwlekania było całkiem żwawe. Szklanka wody z sokiem z cytryny i łyżeczką miodu oraz godzinny trening jeszcze mieściły się w harmonogramie. Na tym sukcesy się kończyły. Pomimo teoretycznie doskonałej organizacji poranka już w okolicach godziny ósmej gimnastyka, śniadanie z omleta i zabiegi upiększające rozkładały mnie na łopatki, podstępnie sabotując plan pozostania piękną, zdrową i pełną energii oraz niespóźnienia się do pracy. Ostatecznie z domu wybiegałam z rozwianym włosom, szaleństwem w spojrzeniu i różnymi przedmiotami w zębach, bo na spakowanie ich do torebki brakowało mi czasu. Możliwe, że miała tu coś do powiedzenia również skleroza, powodująca szalone poranne galopy w poszukiwaniu tego, co mieć przy sobie powinnam, a czego dziwnym trafem nie miałam i nie mogłam za Boga znaleźć. Nierzadko zdarzało mi staranować Olgierda i po rozwodzie do satysfakcji, że pozbyłam się podłego zdrajcy, dołączyła ulga, że wreszcie nikt mi się nie płacze pod nogami.

Synchronizacja miotania się i upływu czasu następowała o godzinie ósmej jedenaście dzięki mijanemu na wąskim chodniczku interesującemu mężczyźnie. Niby jakiś postęp, jednak wysiłki zmierzające w kierunku wyjścia o właściwej

godzinie nie zawsze pozytywnie wpływały na stan pamięci. Dyscyplina godzinowa pogłębiała roztrzępianie i sklerozę, co zmuszało mnie do zawracania po zapomniane rzeczy i rozkład dnia znów mi się rozjeżdżał. Nic dziwnego, że jeszcze nie wpadłam na żaden błyskotliwy pomysł poderwania interesującego faceta, skoro moja inwencja twórcza była eksploatowana w celu ratowania tego, co przez pośpiech, gapiostwo i nieumiejętność zgrania się z zegarkiem udawało mi się schrzanić.

Za Boga jednak nie miałam pojęcia, jak uporać się z brakiem portfela, gdy w sobotni poranek zablokowałam przy kasie tłum ludzi. Nerwowy pomruk za moimi plecami przybierał na sile, gdy trzęsącymi się dłońmi przeszukiwałam torebkę, usiłując wygrzebać chociaż pięć złotych na wodę mineralną i sałatkę. Wyczarować gotówki nie umiałam. Zamiast niej podjęłam próbę wyczarowania uroczego, przepraszającego uśmiechu. Chyba skutecznie, bo nikt mnie nie zabił.

Odłożenie zakupów i powrót do domu nie wchodziły w grę. Zwalniając Kamilę, zyskałam spokój ducha, jednak za wysoką cenę. Ktoś bowiem kwaciarnię w soboty i niedziele otwierać musiał. Pozbywając się jednego kłopotu, wzięłam na siebie pracę przez sześć dni w tygodniu i opuściłam wygodne grono szczęściarzy kupujących w sobotę rano ciepłe bułeczki na śniadanie. Nie miałam również szansy na wyjście z pracy i uzupełnienie zapasów czegoś jadalnego.

– Jeszcze chwileczkę – wymamrotałam do stojącej za mną kobiety, której ciężki oddech i spływający po czole pot potwierdzały zaawansowany poziom poirytowania. Blokując kolejkę, zablokowałam jej też możliwość szybkiego rzucenia się na spoczywające w koszyku pączki, co niekorzystnie rzutowało na poziom frustracji.

Ale nie na cudowny przypływ gotówki w mojej torebce, w której znalazło się wprawdzie dwadzieścia groszy, na tym jednak cud się skończył. Drobną monetą odmawiała rozmnożenia z uporem godnym lepszej sprawy. Mój własny

poziom frustracji również zaczynał wymagać natychmiastowego ukojenia przy pomocy czegoś słodkiego. Bierz diabli dietę, zaraz rzucę się na paczki baby za mną, zostanę zamordowana i przynajmniej rozwiąże się problem.

Wizja własnych rozszarpanych szczątków była tak realna, że musiałam kilkakrotnie zamrużyć. Wyglądało na to, że w rozszarpywaniu brała udział połowa klientów z kłębiącej się za mną kolejki. Toż żaden patolog by tego nie pozszywał...

Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Za pół godziny muszę być w kwaciarni i dostać się tam na piechotę, bo oskubawszy Olgierda, wspaniałomyślnie oddałam mu auto. I tak zresztą było jego. Ostatnie, rozpaczliwe spojrzenie ujawniło brak choćby jednej znajomej twarzy kogoś z sąsiadów, skłonnego poratować mnie pożyczką. „Sześć godzin w pracy bez żarcia można przeżyć”, przemknęło mi przez myśl, gdy z odpowiednio przerażoną miną szykowałam się do wciśnięcia ekspedientce kitu na temat ukradzionego portfela. Niech Bóg mnie broni przed przyznaniem się do sklerozy! Sprowokowałam już wystarczający wzrost poziomu agresji. Skumulowany na niewielkiej powierzchni sklepu mógł okazać się niebezpieczny.

– Bardzo panią przepraszam – jęknęłam z całkiem autentyczną rozpaczą. – Chyba ktoś ukradł mi portfel! Miałam nadzieję, że wpadł do bocznej kieszonki w torebce, ale sama pani widzi, nie ma!

Nerwowe pomruki umilkły. Podobnie jak ciężkie wzdychanie, jakim zniecierpliwiona ekspedientka sygnalizowała, że ma mnie dosyć.

– No trudno, nie mam jak zapłacić, muszę zrezygnować z zakupów.

Ofiara kradzieży miała szansę na większe współczucie niż ofiara własnej sklerozy.

– Miała tam pani kartę? – spytała ekspedientka, gromiąc spojrzeniem babę za moimi plecami, której nie zdołałam wzruszyć. – Trzeba zadzwonić, zablokować, żeby konta pani nie



wyczyścili.

– Nie, kartę i dokumenty zostawiłam w domu – mruknęłam, świadoma, że na okoliczność kradzieży portfela z pieniędzmi, dowodem tożsamości i resztą dokumentów powinnam posymulować większą rozpacz. – Wzięłam tylko taką małą portmonetkę z gotówką, nie planowałam większych zakupów. Trudno. Naprawdę bardzo państwa przepraszam.

Minę musiałam mieć prawdziwie cierpiącą, gdyż w przypływie współczucia ekspedientka zaproponowała pozostawienie zakupów pod ladą do chwili, gdy ze stosownym środkiem płatniczym wrócę do sklepu. Bardzo chętnie, jednak z takiego rozwiązania skorzystałabym, mając nieograniczony zapas czasu. Ten, który miałam, i tak niebezpiecznie się kurczył. Jeszcze raz grzecznie podziękowałam za cierpliwość i, klnąc pod nosem, chciałam opuścić kolejkę, gdy ktoś przepchnął się w moim kierunku.

– Niech pani zaczeka! – usłyszałam męski głos i cofnęłam się gwałtownie.

Babsko za moimi plecami syknęło wściekle, gdyż wlałam mu na nogę. Mało mnie to jednak interesowało, w przeciwieństwie do właściciela głosu, który przed chwilą mnie zatrzymał.

Głosu, o usłyszeniu którego marzyłam od ładnych kilku tygodni.

Ale nawet w najśmielszych snach nie wierzyłam, że ten właśnie głos zwróci się do mnie z propozycją pomocy.

Wysoki mężczyzna o kasztanowych, lekko kręconych włosach podszedł do mnie energicznym krokiem, krótkim spojrzeniem szacując wartość moich zakupów.

– Mam propozycję – powiedział. – Pani zależy na zakupach, a odniosłem wrażenie, że oboje trochę się spieszymy. Pani wpuści mnie na swoje miejsce, a ja zapłacę za wszystko razem. To długo nie potrwa, przecież nie mam wyładowanego całego koszyka – zwrócił się do baby od paczków, zniecierpliwiony jej głośnym protestem, po czym odwrócił się do mnie. – Czy takie

rozwiązanie pani odpowiada?

Odpowiadało mi każde, jakie by zaproponował. I zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, przepchnął się na początek kolejki, ułożył na ladzie swoje zakupy i wręczył kasjerce kartę płatniczą. Następnie sprawnie spakował zakupy w dwie siatki, posłał w stronę kłębiącego się tłumu przepaszający uśmiech i skierował się w stronę wyjścia.

Z trudem otrząsnęłam się z osłupienia i, bąknąwszy do kasjerki coś o przeprosinach za kłopot, rączym kłusem wybiegłam ze sklepu.

Tymczasem mój wybawca wygrzebał ze swojej siatki paczkę nabytych przed chwilą papierosów. Uśmiechnął się poprzez gęstniejące obłoczki dymu na widok mojej głupiej miny i podał mi siatkę z wodą i sałatką.

– Dziękuję – wymamrotałam zmieszana. – Za wybawienie z kłopotu, pożyczenie pieniędzy i wyrwanie z rąk tego babska tuż za mną.

„I że był pan uprzejmy odezwać się do mnie pierwszy, więc nie muszę się już zastanawiać, jak zwrócić na siebie pańską uwagę”, cisnęło mi się na usta. Z trudem ugryzłam się w język. Choć może nie było za co dziękować. Poznawszy mnie w tak kretyńskiej sytuacji, niewykluczone, że zaczniesz chodzić do pracy bardziej okrężną drogą...

Póki co jednak miałam inny, bardziej praktyczny problem.

– Ja oczywiście te pieniądze zwrócę. Przy najbliższej okazji. Zdaje się, że nadarzy się w poniedziałek.

Mężczyzna uśmiechnął się rozbawiony.

– Albo innego dnia. Jak widać, okazja do spotkania trafia się nam nawet w weekendy. Ale przyznam, że gdyby nie to, chyba nie byłbym skłonny pani ratować.

– Nie, no jasne – mruknęłam. – Tak ma pan pewność, że dopadnie mnie pan, gdybym próbowała się migać od zwrotu długu. Innej drogi przez osiedle nie ma, więc małe ryzyko, że się

niepostrzeżenie ulotnię.

Mężczyzna przyglądał mi się z tajemniczym uśmiechem błakającym się na twarzy.

– Powiedzmy inaczej. Nie lubię pożyczać pieniędzy obcym.

– Mam rozumieć, że ja już nie jestem obca?

– Najwyraźniej nie. Robert. – Wyciągnął rękę.

– Maja – wyszeptalam speszona, ujmując dużą, silną dłoń o krótko przyciętych paznokciach i nie dowierzając własnemu szczęściu. Boże, muszę naprawdę być straszną idiotką, skoro tak chętnie się objawiło i jeszcze zapobiegło śmierci głodowej w pracy...

Praca! Romanse romansami, ale do otwarcia kwiaciarni zostało mi piętnaście minut. On też wspominał, że się spieszy. A tymczasem staliśmy tu sobie, konwersując i mając w głębokim poważaniu jakikolwiek pośpiech!

Popłoch w moich oczach musiał być wyraźny.

– Spieszysz się – stwierdził Robert, puszczając moją dłoń. – Jak co dzień. No cóż, nie zatrzymuję. Do poniedziałku.

„A nie do jutra?”, jęknęła rozczarowana twardym lądowaniem dusza. Z trudem stłumiłam westchnienie.

– Do poniedziałku – powiedziałam, patrząc, jak Robert uśmiecha się na pożegnanie i odchodzi w kierunku pobliskiego parkingu.

Dopiero gdy zniknął mi z pola widzenia, myślenie wróciło na przyziemne tory. Niczym rażona piorunem runęłam w stronę kwiaciarni, modląc się, by dystans trzech kilometrów nie okazał się zbyt długi, by przebyć go w dwanaście minut.



Pech chciał, że nie mogłam oddawać się romantycznym uniesieniom zbyt długo. Choć zielonkawe refleksy oczu Roberta powracały w wyobraźni do końca soboty, już w niedzielny poranek nad moją głową zaczęły się gromadzić ciemne chmury, początkowo niewinnie, potem przybierając barwę ciemnej stali, zwiastującej solidne gradobicie.

Nadal zaprzątnięta kwestią niespodziewanej pożyczki i lekko przepłoszona faktem, że nie do końca pamiętam, o jaką kwotę podwyższyłam Robertowi rachunek, do mieszkania przebywających na urlopie rodziców zajrzałam w przelocie kilka minut po piątej. Opieka nad rodzicielskim lokum nie wymagała szczególnego wysiłku, gdyż znajdowało się ono naprzeciwko mojego własnego. Wbrew początkowym obawom, że bliskość będzie oznaczać także kontrolę, szybko przekonałam się, że takie rozwiązanie wcale nie jest złe. Zarówno mój ojciec, jak i mama w organizowaniu sobie życia wykazywali kreatywność na tyle dużą, że nie musieli koncentrować uwagi na poczynaniach pełnoletnich latorośli. Z wygody mieszkania na tym samym piętrze korzystały również nasze koty, w zależności od kaprysu kursując pomiędzy lokalami dzięki niewielkiemu otworowi w ścianie dzielącej oba balkony. Podczas nieobecności rodziców nie musiałam ich przewozić z całym dobytkiem ani poświęcać czasu na wizyty u domowego zwierzyńca. Zaglądałam tam tylko w celu podlania kwiatków i ewentualnej inspekcji zawartości lodówki, która tym razem wdzięcznie świeciła pustką.

Normalnie sama zajęłabym się jej wypełnieniem, jednak szósty dzień pod rząd w pracy i poranny występ w sklepie wyzwały mnie z resztek sił. Powątpiewając w jakość działania zmęczonego rozsądku, zleciłam dokonanie zakupów bratu.

Michał polecenie wypełnił sumiennie, choć z kawalerskim polotem. W rezultacie w lodówce znalazły się duża ilość żółtego sera, dwa bochenki chleba, jajka, mleko, kilka opakowań

kielbasy i różnego rodzaju sera pleśniowego. Wszystko to upchnięto pomiędzy ogromną ilością kocich puszek, więc na pierwszy rzut oka lodówka sprawiała wrażenie zdolnej do zaspokojenia najbardziej wyrafinowanych zachcianek kulinarnych. Po dokładniejszym przeglądzie wyszło na jaw, że poza naleśnikami i jajecznicą na kielbasie niewiele uda się przyrządzić na obiad. Ojciec był skłonny zadowolić się takim menu, mama jednak kategorycznie odmówiła żywienia się kawalerską kuchnią. Męczona wyrzutami sumienia, zaprosiłam rodziców na obiad i w niedzielę rano przystąpiłam do produkcji pierogów z kapustą i grzybami w ilości znacznie większej niż dla trzech osób. Doświadczenie podpowiadało mi, że do pierogów domowej roboty rodzina zleci się jak pszczoły do miodu i zażąda porcji na wynos.

Także i tym razem doświadczenie miało rację.

Ledwie wpuściłam do mieszkania spragnionych domowego jadła i podzielenia się wrażeniami z urlopu rodziców, dzwonek do drzwi obwieścił przybycie Michała z narzeczoną Alicją. Zważywszy że wraz z rodzicami przybyły również koty, nagle okazało się, że mam do wykarmienia siedem głodnych istot, a sama również z przyjemnością coś bym zjadła. Sto siedemdziesiąt pierogów i mielone z indyka powinno chyba temu zapotrzebowaniu sprostać?

Szybko przygotowałam kawę rodzicom i poszłam do kuchni, gdzie w dwóch garnkach gotowała się woda na pierogi. Do obu wlałam po łyżce oleju i zatrudniłam Alicję do przygotowania sałatki. Michał otrzymał ambitne zadanie zorganizowania posiłku dla kotów.

– Kotkowym też podać sztucę? – zapytał po wyniesieniu misek. – Na stole jest jeszcze miejsce.

– Rozumiem, że ludzie i zwierzęta razem siadają do stołu... – Mina Alicji wskazywała na jej oscylowanie pomiędzy zgorszeniem z powodu braku higieny a zachwytem nad doskonałą zwierzęco-ludzką harmonią panującą w naszej rodzinie.



– Nie i tak – mruknełam, wrzucając do garnków pierwszą partię pierogów. – Sztuńce kotkowym nie, wspólne jedzenie jak najbardziej – dorzuciłam po chwili, bo Michał i Alicja zagapili się na mnie z całkowitym brakiem zrozumienia. – Bracie, chwilowo jesteś bezrobotny, podaj pietruszkę.

– Gdzie masz pietruszkę? – Michał zaczął otwierać po kolei wszystkie szafki, zapominając o ich zamknięciu. – Tu jest coś takiego jak majeranek, bazylia... Koper włoski? Po cholere?

– Pietruszka, na litość boską!

Mój krzyk nieco wystraszył Michała. Odwrócił się gwałtownie, zahaczając ręką o opakowanie, które natychmiast wyśladowało na mojej głowie.

– Michał, ja chciałam pietruszkę, nie pietruszką – syknęłam. – Wsyp dwie łyżki do sałatki i posyp pierogi. Nie te w garnku, te w misce – jęknęłam na widok poczynań braciszka.

– Wredna żoźła jesteś – obraził się Michał. – Człowiek chce pomóc i tylko w łeb dostaje.

– Po pierwsze, w łeb dostałam ja – odgryzłam się. – Po drugie, dobre chęci, zdaje się, z powodzeniem wykorzystano w charakterze bruku piekło.

– Nie denerwuj siostry. – Do kuchni wkroczył zwabiony wonią zasmażki ojciec. – Zwłaszcza że przebąkiwała coś o ptysiach z kremem.

Na wieść o ptysiach Michał zmienił nastawienie. Z precyzją godną zawodowego mistrza kuchni wsypał pietruszkę do wskazanych naczyń, zamieszał zasmażkę i zaczął wynosić talerze na stół.

Po kilku minutach siedzieliśmy w salonie, pochłaniając pierogi. Wbrew obawom Alicji koty również zajęły miejsca przy stole (a raczej na stole) w wyznaczonej części i pochłaniały mielone z indyka, nie wykazując zainteresowania naszymi talerzami.

– Siostro, nawet jeśli charakter masz nieco żoźzowaty, pierogi

są rewelacyjne – mruknął Michał, nakładając sobie trzecią porcję. – Nie wiem, po kim odziedziczyłaś talent, ale kocham tę osobę.

– Nie po matce, niestety – westchnął ojciec i natychmiast umilkł pod wpływem spojrzenia, jakie posłała mu mama.

– Po tobie też nie. – Stałam w obronie mamy. – Więc zaraz wyjdzie, że jestem adoptowana.

– Babcia bosko gotowała – rozmarzył się Michał. – Obie babcie...

– Widzisz, Majeczko, jednak nie jesteś podrzutkiem – ucieszył się tata. – Skoro odziedziczyłaś talent po obu babciach, to już coś znaczy. Możesz czuć się spokojna.

– Za to stałam się obiektem wiecznego wyzysku kulinarnego. Nie wiem, co gorsze, naprawdę. Przez was popadnę w depresję – mruknęłam.

– Ale ptysie zrobisz? – Dla Michała tylko ten aspekt mojej ewentualnej depresji był ważny.

Na myśl o ptysiach zrobiło mi się słabo. Słabość objęła głównie moją wolę, którą od kilku lat katowałam próbami oparcia się ukochanym słodyczom. Poza rurkami z kremem, które wcinaliśmy z Michałem każdego lata podczas odwiedzin u babci Irenki, ptysie według babcinego przepisu stanowiły najgorsze zagrożenie dla figury. „Kiedyś można było napychać się bez ograniczeń”, pomyślałam melancholijnie. Kulturowane przez całe dzieciństwo łażenie po płotach, harce w jeziorze i hasanie po polu spalały kalorie lepiej niż joga... Pewnie dlatego zeszyt z przepisami babci schowałam za najcięższymi książkami na górnej półce regału.

– Że co, proszę? – Otrząsnęłam się ze wspomnień i spojrzałam na ojca. – Przepraszam, zamyśliłam się...

Funkcjonowanie w trybie zawieszenia nie było dla moich bliskich żadnym zaskoczeniem, choć, jak z dezaprobatą zauważył ojciec, od czasu rozwodu zdarzało mi się coraz

częściej. Teraz również przyjrzał mi się z delikatnym zniecierpliwieniem.

– Ziemia do Majki, Ziemia do Majki, skup się. Rozmawiamy o spadku babci Irenki. A konkretnie waszej części. Temat istotny, bo zgodnie z ostatnią wolą babci zapisane dobra w postaci materialnej miały trafić do was, kiedy oboje się usamodzielnicie. Twój brat się w tej kwestii nieco ociągał, ale skoro i on dorósł do ożenku, należałoby wrócić do tematu...

– Swoją drogą, nie rozumiem, dlaczego mama postawiła taki idiotyczny warunek. – Pokręciła głową z dezaprobatą nasza prywatna rodzicielka. – Zawsze uważałam ją za osobę obdarzoną zdrowym rozsądkiem. W tym przypadku Majkę spotkała jawna niesprawiedliwość. Moim zdaniem powinna swoją część dostać, wychodząc za męża. To idiotyzm, kazać jej czekać, aż Michał postanowi się ożenić.

– Może babcia przewidziała, że Maja wyjdzie za męża... Hm, mało skutecznie...

– Dziękuję – syknęłam, obiecując sobie zrobić te cholerne ptysie w tajemnicy przed Michałem i podzielić się tylko z rodzicami i Alą. Chociaż nie, zakochana nieprzytomnie w moim braciszku Alicja wyniosłaby część dla niego i jeszcze oddała swoją porcję.

– Babcia myślała schematem, zgodnie z którym Michał i Majka zawsze wszystko robili razem – wtrącił ugodowo ojciec. – Jak na bliźnięta przystało. Przecież nawet obronę pracy magisterskiej mieli tego samego dnia, choć na innych uczelniach. Skąd mogła wiedzieć, że będą mieli kaprys poukładać sobie życie w innych terminach? Zresztą, równie dobrze to Michał mógł pierwszy się ożenić.

– Słuchajcie, dla mnie żaden problem. – Michał rozparł się na krześle z zadowoloną miną. – Nasz ślub jest za pół roku. Jak się Maja zepnie, to wyrobi. Tylko tym razem byłoby dobrze, żeby już faktycznie na wieki wieków, amen...

– Jasne, bo akurat znajdę faceta na wieki wieków, amen,

przez pół roku! Casting ogłoszę! Ideał skłonny poślubić mnie w ekspresowym tempie pilnie poszukiwany. Przynieść CV i portfolio rodziny! Nie chcę kolejnej paskudnej teściowej!

– A tamta była paskudna?

– Błagam... Może ja w ogóle już nie chcę teściowej!

– A niby dlaczego?

– Bo nie! – warknęłam, waląc pięścią w stół.

Dyskusje na temat charakterów mojej byłej i ewentualnej przyszłej teściowej ucięła mama, machając ze zniecierpliwieniem ręką.

– Tak na te teściowe psioczycie, że tracę ochotę na zostanie teściową – powiedziała zniecierpliwiona. – A własną teściową w takim razie usprawiedliwię, mogła faktycznie nie przewidzieć, że nasze dzieci w którymś momencie rozejdą się rozwojowo. Ostatecznie dziewczyny dojrzewają szybciej...

– Też cię kocham, mamó – obraził się Michał.

– W każdym razie... – Pauza w wypowiedzi była mamie potrzebna, by zgromić wzrokiem syna. – Mamy poważniejszy problem niż dywagacje, kto i dlaczego jest bardziej samodzielny i czy małżeński falstart Majki cokolwiek tu zmienia. Mielicie dostać spadek, jak się usamodzielnicie. Założmy, że oznacza to wyprowadzkę z domu i życie na własny rachunek. Warunek został spełniony, więc teoretycznie powinniście dostać to, co zapisała wam babcia.

Teoretycznie? To, co mówiła mama, oderwało nas od nerwowego kopania się pod stołem. Zastygliśmy na miejscach, wpatrując się w matkę z niepokojem.

– A w praktyce? – bąknął Michał. – Bo od teorii do praktyki to jeszcze kawałek drogi...

Mama przez chwilę patrzyła na nas, od czasu do czasu rzucając ojcu rozpaczliwe spojrzenia. Równie rozpaczliwie ojciec próbował ignorować nieme wołanie o pomoc. W końcu do mamy dotarło, że jest zdana na siebie.

– A w praktyce to nikt nie może nic dostać – mruknęła z rozgoryczeniem. – W praktyce diabli wzięli testament...

Okrzyk zgorszenia wyrwał nam się z gardeł. Dopiero teraz ojciec zdecydował się przyjść mamie z pomocą.

– Nie patrzcie tak! Jest zapis, że po śmierci babci opiekę nad jej majątkiem sprawujemy my z matką. Dom, konto bankowe i tak dalej. Część przechodzi na nas. No i ten warunek, że za podział zgodnie z testamentem możemy się zabrać, jak się usamodzielnicie. Tylko do szczęścia brakuje nam wiedzy, gdzie ten testament jest. A konkretnie aneks, który wyjaśni, co babcia miała na myśli, podpinając pod testament liścik do was. Zakładamy, że dotyczy posiadanych przez babcię ruchomości bądź nieruchomości. Zwłaszcza że w samym testamencie o was jest mowa w... hm... niewielkim stopniu...

Do Michała treść wypowiedzi ojca zaczęła z wolna docierać.

– To brzmi jak wyjątkowo idiotyczny dowcip – wymamrotał. – Testament z wszelkimi przyległościami powinien mieć prawnik babci. Włącznie z wiedzą, co dalej z tym zrobić. Z tymi kopertami, zaginionymi fragmentami i całą resztą.

– No to cię, synu, rozczaruję – sapnął ojciec. – Nie ma. Co gorsza, prawnik zarzeka się, że nie było. Coś tam tylko mamrotał, że ze zrozumieniem listu nie powinniśmy mieć kłopotu. Podobnie jak z brakującym aneksem.

– Może nie będzie tak źle – wzruszył ramionami Michał. – Wiesz co, tato, ja bym chętnie ten list przeczytał. Mamy jakiś odpis, ksero?

– Nawet cały list w kopercie wydębilem, proszę bardzo. Wychodząc, wstąp do nas, dostaniesz. Maja, ty też przyjdiesz?

– Wezmę potem od Michała. Może kocha mnie umiarkowanie, ale nigdy nie próbował mnie kantować.

– Podjadę do ciebie wieczorem – obiecał Michał. – Informacje za ptysie. Uczciwa propozycja.

– Stoi.



Ponieważ naprawdę wzajemne kantowanie w naszym przypadku nigdy nie wchodziło w grę, pożegnawszy się z rodziną, wyciągnęłam notatnik z przepisami na słodycze. Nie do końca po drodze mi było z ptysiami, których nijak nie byłam w stanie przerobić na wersję niskokaloryczną, jednak słowo się rzekło. Pozostało wybrać się na zakupy i uzupełnić brakujące składniki.

„Pamiętając o zabraniu portfela”, pomyślałam zgryźliwie. I wycieczce do bankomatu. Ostatecznie naprawdę twardo postanowiłam oddać jutro rano forszę Robertowi.

I, jak się można domyślić, niemal natychmiast o niej zapomniałam, gdy po zapłaceniu rachunku w markecie odebrałam telefon od Michała.

– Majka, widziałem ten list. Tam naprawdę jest napisane, że mamy to sami znaleźć i że wiemy, gdzie to jest.

– Guzik z pętelką – mruknęłam. – Nic nie wiemy. Babcia przeceniła nasze zdolności jasnowidzenia. Zacznijmy od tego, że nawet nie wiemy, co to jest to tajemnicze „to”!

– My jako rodzina nie wiemy. – Michał był innego zdania. – Ale skupmy się na tym, co jednak wiemy. My. Ty i ja. Może wiemy coś więcej niż rodzice. Ostatecznie list adresowany był do nas, no nie?

Prychnęłam z niecierpliwością. Takich rzeczy było wiele. Zbierały się od czasów zasmarkanego dzieciństwa, zwłaszcza że żadne z nas nie było potulnym dzieciątkiem o anielskim spojrzeniu. Spojrzenie anioła, owszem, wytrenowaliśmy, było ono jednak równie słodkie, jak fałszywe, wyczarowywane na potrzebę chwili, zanim ktokolwiek zorientował się, co zmalowaliśmy. A że knuliśmy razem i razem trzeba było później trzymać buzię na kłódkę, to i wspólnych tajemnic trochę się nazbierało... No dobrze, ale co z tego bogactwa sekretów mogło dotyczyć babci Irenki? Zniecierpliwiona zażądałam odczytania epistoły.

– Spadek to skarb – zaczęłam ostrożnie, przypominając sobie

opowieści o rodzinnych skarbach, którymi babcia raczyła nas na dobranoc. Czyżby aneks do testamentu był ostatnim nawiązaniem do naszych ulubionych bajek z dzieciństwa? – Tak mi się kojarzy. Babcia mówiła, że ma dla nas skarb. Skarb schowany był w małej kasetce, a kasetka na strychu w domu babci... A klucz do kasetki... Klucz do kasetki... – zacięłam się, bo luka w pamięci nie chciała ujawnić miejsca pobytu kluczyka. A może to bardziej luka w logicznym myśleniu? – Diabeł ogonem nakrył ten cholerny klucz...

– Dostałaś lalkę z kluczykiem przypiętym do łańcuszka na szyi na dziesiąte urodziny – dokończył triumfalnie Michał. – Majka, pomyśl, nie było żadnych innych kluczyków. Po cholere miałabyś dostać lalkę z tak idiotycznym wisiorkiem? I to schowanym pod kiecką?

Niby logiczne...

– No dobra, ale to zakrawa na jawną dyskryminację – mruknęłam. – Mama miała rację, babcia nigdy nikogo z nas nie wyróżniała. Dlaczego kluczyk dostałam ja, skoro skarb miał być dla nas obojga?

I tu Michał znalazł sensowne wyjaśnienie.

– Bo babcia wiedziała, że tę lalkę bardzo chciałaś dostać i że jej nie zniszczysz ani nie zgubisz. Majka, to było zbyt wielkie i zbyt ładne, żeby się tym bawić, pomijając czesanie i przyglądanie sukienki. Było oczywiste, że ta lalka to będzie dla ciebie jakaś cholerna świętość! Więc bądź tak dobra, przemyśl sprawę i zarezerwuj sobie przyszły weekend na wycieczkę do domu babci. Razem z lalką i kluczykiem, rzecz jasna!

– Tak jest, poruczniku Colombo – sapnęłam, bo utrzymanie jedną ręką zakupów, a drugą telefonu zaczynało być męczące. – Podjedź po kolacji i przywieź ten list. Aż mi się nie chce wierzyć, że to takie proste. Takie sprawy lubią się komplikować.

– Może mamy szczęście i obejdzie się bez komplikacji...

Pokręciłam z niedowierzaniem głową. To było naprawdę zbyt

proste. Choć tok rozumowania Michała wydawał się logiczny, intuicja podpowiadała nieśmiało, że rozwikłanie zagadki aneksu to temat na niezłą powieść sensacyjną, w której odpowiedź na kluczowe pytania ujawnia się koło strony trzysta pięćdziesiątej ósmej lub coś tych okolicach. „W naszym przypadku nie wyszedłby nawet jednostronicowy komiks”, pomyślałam z niesmakiem. Wszystko takie jasne i oczywiste? Czy może jednak jest w tym jakiś haczyk, na którym zadyndamy, wyciągając łapy po babciny skarb zbyt zachłannie?

Bierz diabli mleko i jaja, ostatecznie nie muszą przy obecnej temperaturze trafić do lodówki natychmiast. Rzucone w przedpokoju zakupy musiały poczekać na rozpakowanie, gdyż po wejściu do domu nerwowym kopniakiem zrzuciłam buty i rzuciłam się do salonu, gdzie w niewielkiej witrynce, odgradzona niebieskawą szybką od świata pełnego kurzu i wilgoci, siedziała piękna lalka w błękitno-srebrnej sukni balowej. Upięte w fantazyjny kok jasne loki pomimo upływu lat nie straciły platynowego połysku, a kokieteryjne spojrzenie zielonych oczu, rzucane spod wywiniętych rzęs, nadal wywoływało zachwyt. Rzadko wyjmowałam ją z bezpiecznego schronu, który ratował żywy błękit koronek sukni przed wyblaknięciem, i gdy teraz przekreśliłam klucz w drzwiach witrynki, serce biło mi jak oszalałe. Odruchowo wygładziłam zagiętą koronkę i usiadłam na krześle, wpatrując się z zamyśleniem w zielone, ocienione firanką czarnych rzęs oczy. Aż nieprawdopodobne, by prezent od babci sprzed ponad dwudziestu lat miał już wtedy tak wielką wagę... Czy pięknej lalce w balowej sukni babcia Irenka zdecydowała się powierzyć sekret swojej ostatniej woli? Jakimś cudem nie obawiając się, że w rękach nieświadomego dziecka informacje mogą okazać się tak kruche i ulotne, jak piękno samej lalki?

„Ale piękno lalki przetrwało”, pomyślałam, przyglądając się zaróżowionym policzkom. Więc może i kluczyk do tajemnic nie zardzewiał... Nieśmiałym gestem sięgnęłam do zdobiącego szyję lalki łańcuszka.

Był dziwnie lekki i bez oporu przesunął się w górę. Nic nie

zahaczyło o koronki, choć kluczyk bardzo rzadko przesuwiał się pod bogato marszczonym materiałem z taką łatwością. Przypadek, czy po prostu...

Po prostu kluczyka nie było.

Po dziesięciu minutach nerwowego oglądania i przeszukiwania ozdobnego materiału oraz półki, na której siedziała lalka, byłam zmuszona przyznać, że choć sprawa na dzień dobry wyglądała na prostą i nieskomplikowaną, komplikacje właśnie zaczynały się mnożyć. Nie mieliśmy po co jechać do domu babci bez kluczyka.

A kluczyk przepadł.



– I ty jesteś absolutnie pewna, że sprawdziłaś wszystkie możliwe miejsca, w jakich mógł być? – spytał wściekły Michał, wyrzuciwszy z siebie terapeutyczną liczbę niecenzuralnych słów. – Półki witryny, podłoga pod witrynką, klosz w lampie, kartony, w jakich zabierałaś lalkę podczas przeprowadzki? Nie wiem, cholera, ziemia w tych twoich pioruńskich kwiatkach?

– Na tej zasadzie powinnam przeszukać jeszcze mieszkanie rodziców i klatkę schodową! Nie jest powiedziane, że zgubił się akurat tutaj, a nie przed przeprowadzką! – zdenerwowałam się. – Już lecę po rękawiczki i łopatkę, przekopię kocie kuwety!

Michał westchnął ciężko i kilkakrotnie walnął głową o ścianę za swoimi plecami.

Patrzyłam na niego z dezaprobatą, wątpiąc, by takie działanie przyniosło sensowny efekt. Nawet jeśli walnie porządnie, obstawiałam, że szare komórki poprzestawiają mu się raczej

w niepożądany sposób.

Ale Michał nadal miarowo uderzał potylicą w ścianę, kompletnie nie przejmując się wizją totalnego zidiocenia.

– Dobra, jeszcze raz – wymruczał w końcu. – Kluczyk wisiał na łańcuszku. Łańcuszek był nieuszkodzony. Za co zawieszony był kluczyk?

– Wisiał bezpośrednio na łańcuszku. Nie było żadnego dodatkowego ogniwa, które mogłoby się przerwać albo odkształcić – mruknęłam niechętnie. – Nie ma opcji, żeby klucz ulotnił się sam. Zresztą, nie ulotnił się przez tyle lat i co? Teraz nagle zachciało mu się oddalić z zamkniętej witryny? Ja go nie odczepiałam. Więcej bez adwokata nie zeznam.

Michał słuchał z uwagą, zaprzestał też prób uszkodzenia sobie czaszki o ścianę mojego salonu.

– Czyli nie ma siły – westchnął w końcu. – Przykro mi bardzo, ale jest tylko jedna możliwość. Ktoś ten kluczyk zdjął. Zdjął, a potem zgubił, wyrzucił... Nie pokazywałaś nikomu przez przypadek lalki? Jakaś koleżanka z dzieckiem cię ostatnio nie odwiedziła?

Spojrzałam na brata ze zgrozą.

– Nie ma takiego dziecka, któremu dałabym do rąk tę lalkę – oburzyłam się. – Ani dorosłego! Jeżeli ktokolwiek ją oglądał, to przez szybkę witryny! Zresztą, gdyby nawet, to co? Idziesz do znajomych, oglądasz ich nowy telewizor i wymontowujesz kabelek? I co ci z tego kabelek? Na cholere ktoś miałby gwizdnąć kluczyk z łańcuszka mojej lalki, i to schowany pod sukienką? Musiałby najpierw wiedzieć, że tam jest, ale i wtedy po co? Przecież ten kluczyk nie był nawet ładny!

Dywagacje nad walorami estetycznymi kluczyka nie interesowały Michała. Słuchał mojej przemowy trzy po trzy, skupionym wzrokiem wpatrując się w siedzącą na stole lalkę.

– No właśnie, po cholere... – mruknał. – Maja, a nie opowiadałaś nikomu o tym kluczyku? I o skarbie babci Irenki?

Zatchnęło mnie na moment. Do podziwiania lalki musiał moim znajomym wystarczyć wzrok. Dotykanie, branie do rąk i wąchanie delikatnego zapachu perfum babci, jaki osiadł przed laty na jasnych lokach i dotąd nie wywietrzał, były wykluczone. Lalka była pamiątką, miała wartość sentymentalną i to była jedyna wersja, jaką sprzedawałam swoim gościom, pytającym bezdzietną trzydziestolatkę o sens trzymania zabawki. Nie przypominam sobie, bym z kimkolwiek dzieliła się tajemnicą kluczyka, która w dodatku w naszym mniemaniu aż do dziś żadną wielką tajemnicą nie była. Ot, wymysły dzieci, dla których każdy klucz musi otwierać drogę do wypełnionego złotem i klejnotami Sezamu... Z nikim, poza Michałem, nie narąbałam się na tyle, by po pijaku spowiadać się z idiotyzmów, popełnianych we wdzięcznym wieku lat kilku!

Chociaż...

Myśl, jaka przemknęła mi przez spłoszony umysł, nie była wcale taka niedorzeczna, jak mi się wydawało. Ostatecznie był ktoś, z kim piłam wino nawet dość często, co na stan trzeźwości rzutowało widocznie gorzej, niż mi się wydawało. Powinnam się była zorientować wcześniej, skoro ów alkohol namącił mi w głowie na tyle, by głupio i naiwnie powiedzieć przed ołtarzem „tak”... Wypsnęło mi się „tak”, to diabli wiedzą, co mogło się wysnąć jeszcze...

– Olgierd – rzuciłam beznadziejnie, zastanawiając się mętnie, czy Michał urwie mi głowę od razu, czy poczeka z egzekucją do chwili, gdy eksmaż wyprze się jakichkolwiek kontaktów z lalkami, kluczykami i zwali wszystko na mój talent do bałaganiarstwa. – Coś tam nagadałam Olgierdowi. Ale na zasadzie dziecięcego bajania, a nie tajnych wrót prowadzących do testamentu babci.

Niewielkie to było pocieszenie, bo Michał jęknął rozpaczliwie i po raz kolejny przywalił głową w ścianę.

– Gratulacje, siostra – wymamrotał. – Coś tam nagadałaś, potem oskubałaś go z kasy jak kaczkę i liczyłaś, że nie przypomną mu się opowieści o rodzinnej fortunie.



– Przecież wiedział, że nie pretendujemy do tytułu najbogatszych ludzi w Polsce!

– Wiesz co, Maja? – Michał spojrzał na mnie badawczo. – Jak dla mnie mogłabyś być na samym końcu tej listy, a i tak poszukałbym sposobu, żeby odzyskać choć połowę forsy utopionej w tym rozwodzie. Bo wiem, jaki masz charakter i jak potrafisz człowiekowi życie spartolić. Nie zależało ci, żeby ten rozwód był nieprzyjemny dla faceta, który zdradził cię z twoją podwładną?

Wspomnienie ostatnich miesięcy małżeństwa wywołało głośne zgrzytnięcie zębami.

– Jeżeli uważasz... – zaczęłam, ale Michał natychmiast mi przerwał.

– Uważam tak, że mu się należało, dobra? Ale że go finansowo rozniosłaś, też przyznać trzeba. Ja tylko mówię, jak zareagowałby na takie coś przeciętny facet. Czy on był tu od ogłoszenia wyroku? Sam?

– Przecież musiał spakować rzeczy – burknęłam. – Zostawiłam mu klucz u sąsiadki i wyszłam. Nie miałam ochoty oglądać zdrajcy.

– No to przykro mi bardzo, siostrzyczko – westchnął Michał. – Pooglądasz go w takim razie teraz. Nie patrz tak, trzeba ten kluczyk odzyskać!

Tyle wiedziałam sama.

„Wolałabym, żeby gwizdnął mi cały portfel z kartami płatniczymi”, myślałam, wybierając numer telefonu Olgierda.

Ale telefonu nikt nie odebrał.

Podobnie jak i kolejnych, gdy tuż po dwudziestej pierwszej nadal wsłuchiwałam się w radosną zachętę automatycznej sekretarki, by wobec chwilowej niedostępności abonenta nagrać wiadomość. Jediną wiadomością, jaką miałam do przekazania, było nerwowe sarkanie, przybierające na sile, ilekroć Michał posykiwał pod moim adresem nagłąco. Poirytowany dodatkowo

brakiem obiecanych ptysi, międził w zębach antynikotynową gumę do żucia i mamrotał pod nosem liczne inwektywy.

Tuż przed dwudziestą drugą daliśmy sobie spokój.

– Nie wiem, w razie czego łap go w domu, w pracy... – zasugerował Michał, zbierając się do wyjścia.

– Pod prysznicem! – mruknęłam gniewnie. – Może wyjechał na weekend z tą swoją... Jutro wróci, oddzwoni i wszystkiego się wyprze. Wymyśl z łaski swojej bardziej wyrafinowany plan!

Pech chciał, że jako bliźnięta darzyliśmy się z Michałem wyjątkowo silnymi uczuciami. I dotyczyło to na równi uczuć pozytywnych i negatywnych. Wywalony w moim kierunku język natychmiast poskutkował dziwnym świerzbieniem dłoni. Od zdzielenia przez łeb pierwszą lepszą doniczką uratował Michała dźwięk telefonu.

Rzuciliśmy się na porzuconą na sofie komórkę jak wygłodniałe sępy.

– No? – warknął Michał. – Dawaj na głośnik!

Bez zastanowienia wcisnęłam odpowiedni guzik.

W efekcie zdziwiliśmy się oboje, słysząc niepewny głos Kamili.

– Cześć, Maja... Pewnie nie chcesz ze mną rozmawiać – wyjąkała po kilku sekundach nerwowego wzdychania i pociągania nosem.

Nie zamierzałam owijać w bawełnę. Ostatecznie, jak słusznie stwierdził mój brat, zołzowatości nie wypędziły ze mnie kuchnia pięciu przemian, zajęcia jogi ani ogólna miłość do zwierzątek. Ludzi do tej kategorii nie zaliczałam.

– Wcale nie chcę. Ale zakładam, że to coś naprawdę ważnego, skoro zwracasz mi głowę. Kwiatki wam rosną korzonkami do góry?

Sprawa była jednak poważniejsza, bo Kamila przez wyartykułowaniem sensownej wypowiedzi jeszcze kilkakrotnie chlipnęła w słuchawkę.

– Wiem, że nie powinnam dzwonić, ale chodzi o Olgierda – jęknęła. – Pojechał w piątek do ciebie po rzeczy, miał je rozpakować, a w sobotę pod wieczór chcieliśmy iść do kina...

– O! Czyżby nie przyszedł? – zainteresowałam się jadowicie. – Jak zaczynał cię podrywać, to o kinie ze mną też był uprzejmy zapomnieć. Sorry, taki life.

„O rany”, przewróciłam oczami, słysząc po drugiej stronie potężne chlipnięcie. Wysłuchiwania szlochów Kamili nie zniosłabym za żadne skarby świata.

Ale ugryzłam się z język o kilka sekund za późno...

– Nie przyszedł! Nie zadzwonił! Nie odbiera telefonu ani nie ma go w domu – rozplakała się Kamila. – Dzwoniłam do jego matki, ale też nic nie wie! Na miłość boską, wiem, że mnie nienawidzisz, wiem, że jego nienawidzisz, ale jak coś wiesz, błagam, powiedz!!!

– O! – powiedziałam głupio, bo nic innego do powiedzenia nie miałam. Rany boskie, rozwodząc się ze mną, nie próbował upozorować zniknięcia!

O tym, że miejsce pobytu Olgierda jest mi nieznane i że sama poszukuję go w dość pilnej sprawie, poinformowałam Kamilę może nieco zbyt brutalnie, jednak trudno było przedrzeć się przez potok szlochów w słuchawce. Uspokoila ją informacja, że każdą zdobytą wiedzą podzielę się natychmiast, jeżeli i ona zgodzi się uczynić to samo. Współpraca z babskiem, które odbiło mi męża, nie była mi wprawdzie na rękę, ale fakt, że Olgierd wsiąkł aż tak skutecznie, zaczął mnie niepokoić.

Zwłaszcza wobec nieprzyjemnej myśli, którą Michał zdążył wyartykułować, zanim nabrała konkretnego wymiaru w mojej głowie.

– Majka, a jak on już coś kombinuje z tym kluczykiem? – zapytał niespokojnie.

Z jękiem opadłam na kanapę.

A tak to ładnie, klarownie i prosto wyglądało...



Dyplomatyczny telefon do byłego teścia, który bez względu na małżeńskie turbulencje zakończone lądowaniem awaryjnym nie przestał ze mną rozmawiać, potwierdził informację Kamili. Owszem, Olgierda diabli wzięli i zakamuflowali mniej więcej w okolicach piątku. Przekonani, że syn wije miłosne gniazdko z Kamilą, teściowie nie podnosili rabanu, gdy raz czy drugi nie odebrał telefonu. Święty spokój zburzyła dopiero histeria aktualnej ukochanej Olgierda i tu milczący telefon zaczął budzić podejrzenia. Własnym telefonem w niedzielę późnym wieczorem utwierdziłam rodzinę byłego męża w przekonaniu, że histeria jest uzasadniona. Skoro Olgierda nie było u Kamili, nikogo z rodziny i znajomych ani w żadnym z poznańskich szpitali, to gdzie? Gdzieś przecież być musiał!

„Razem z moim kluczykiem”, zgrzytałam zębami, słuchając wywodów myślącego głośno Henryka. Język bardzo mnie świerzbiał, żeby poinformować zaniepokojonych teściów o domniemanym miejscu pobytu ich syna, gdy natchnienie spłynęło na mnie jasnym światłem, bezlitośnie obnażając lukę w rozumowaniu. W ostatniej chwili powstrzymałam się przed palnięciem, że Olgierd najprawdopodobniej buszuje nielegalnie w starym domu mojej babci, gdyż dotarła do mnie oczywista sprawa.

Olgierd buszować nie mógł, gdyż najzwyczajniej w świecie nie miał pojęcia, gdzie się ów babciny dom znajdował.

Przynajmniej z jednego powodu mogliśmy z Michałem przestać się pocić.

Niemniej drugi wymagał użycia silnych antyperspirantów.

Przynajmniej do momentu, gdy odnajdzie się mój eks, a z nim tajemnica zaginionej pamiątki.



Telefoniczny Trójkąt Bermudzki pomiędzy mną, Kamilą i rodzicami Olgierda trwał do wczesnych godzin w poniedziałek. W kłębówisko wymienianych informacji od czasu do czasu wdzierał się dodatkowy akcent w postaci wydzwaniającego Michała. Nie zadowalało go tempo, w jakim zwiększał się mój zasób wiedzy. Problem polegał na tym, że zasób wiedzy wszystkich zainteresowanych, włączając zaangażowaną już w działania policję i przeegzaminowanych pracowników izby przyjęć w każdym z poznańskich szpitali, pozostawał taki sam.

– O co ci chodzi, przecież już ustaliliśmy, że nie wie, gdzie mieszkała babcia – syknęłam w słuchawkę, miotając się o siódmej czterdzieści dziewięć między łazienką i kuchnią. – Nie ukradnie tej forszy, brylantów, tajnych dokumentów czy co tam innego mieliśmy dostać! Skąd w tobie, człowieku, takie parcie?

– Żenię się – przypomniał zimno Michał. – Poza tym, nie życzę sobie, żeby własność rodziny poza rodzinę wyszła. Zwłaszcza wyniesiona przez dupka, który w tej rodzinie był i został wymeldowany na własne życzenie. Maja, im szybciej to załatwimy, tym lepiej. Dla wszystkich.

– Mnie spóźnienie do pracy na drodze ku lepszemu nie jest potrzebne – burknęłam. – Ty też masz obowiązki służbowe. Zdzwonimy się wieczorem i do tego czasu, błagam, przerwa na reklamy!

„Skąd ten szal na forszę”, zastanawiałam się, pomstując na Michała, który jeszcze przez chwilę zawracał głowę, zanim

zdołałam go przekonać, że wbrew pokładanym we mnie nadziejom nie ukształtowałam w sobie przez noc talentu do jasnowidzenia.

– Pokop głębiej – rzucił na pożegnanie.

– Łopatką do piaskownicy – mruknęłam zgryźliwie, wciskając telefon do torebki i wybiegając z domu.

Pędząc przez pobliski parking, stwierdziłam mętnie, że może i metody stosowane przez damy przed dwustu laty nie były takie głupie. Po nieprzespanej nocy, bombardowana telefonami i skumulowaną dawką presji, by załatwić sprawę babcinego testamentu, samodzielnie opanować kwiaciarnię i obowiązkowo w tym wszystkim dobrze wyglądać, doszłam do wniosku, że najchętniej osunęłabym się wdzięcznie w silne ramiona i pozwoliła się wykazać ich właścicielowi. Mogę nawet bić brawo i wzdychać z ciełym zachwytem, diabli niech biorą emancypację!

Ale na horyzoncie mężczyzny nie było... Bez względu na zadeklarowaną chęć spotkania w poniedziałkowy poranek, Robert nie pojawił się na stałej trasie do pracy. Wąski chodniczek świecił pustkami, nie licząc dwójki dzieci, które umęczona wyciem pociech matka eskortowała do szkoły. Każdego innego dnia postarałabym się oddalić jak najszybciej od źródła dźwięku, tym razem byłam jednak głucha i ślepa na wszystko z wyjątkiem upragnionej męskiej obecności. Na próżno jednak rozglądałam się dookoła, na próżno zwalniałam krok, przystając co chwilę pod pozorem sprawdzenia czegoś w telefonie, na próżno odwlekałam w nieskończoność chwilę opuszczenia wąskiej, krętej uliczki domków jednorodzinnych, prowadzącej na sąsiednie osiedle. Z rozpaczliwą nadzieją wpatrywałam się w każdy z kolejnych załomów ulicy, czekając, aż wyłoni się znajoma, zbliżająca się energicznym krokiem sylwetka.

Doczekałam się jedynie sylwetki rosłego, atletycznie zbudowanego sąsiada, który długimi susami gnał za maksymalnie napiętą smyczą.



- Dzień dobry, pani Maju - wydyszał, przemykając obok i usiłując okiełznać znajdującego się na drugim końcu smyczy potwora.

Przyjrzałam się im w przelocie, zdziwiona szaleńczym pędem, do którego Besta, bernardyna przynależnego do sąsiada ze smyczą, było zazwyczaj trudno zmotywować. Był tylko jeden czynnik zdolny wykrzesać z pogodnego olbrzyma o filozoficznym nastawieniu chęć przyspieszenia do prędkości powyżej spokojnego truchtu. Ujadający wściekle i ignorujący wypluwającego z wysiłku płuca człowieka Best mógł pędzić tylko w kierunku kota.

Tym razem tego, który miauknął w pobliskich krzakach.

Zerknęłam niespokojnie w kierunku żywopłotu, zza którego dobiegło miauknięcie, cudem przebijające się przez potężne ujadanie bernardyna. Gdyby na drugim końcu smyczy znajdował się człowiek nieco mniejszej postury, koci los zapowiadałaby się mało optymistycznie. Siła i doświadczenie pana Piotra wydatnie zwiększały szanse kota na ocalenie własnej skóry.

Uskoczyłam przed rozpędzonym psim czołgiem i niechętnie wróciłam na wąski chodniczek, z którego roztargnienie zepchnęło mnie na środek jezdni. Nie pierwszy raz zresztą. Byle jak położony, nierówny i wąski chodnik był ostatnią nawierzchnią, po jakiej miałabym ochotę spacerować. Sympatii ani zaufania nie budził też gęsty żywopłot, ogradzający ciąg posesji od uliczki. Rosnące dziko krzaki, w które przechodził tuż przy moim osiedlu, może i zasłaniały śmietnik, pokrywający teren opuszczonej działki, stojącej w pewnym oddaleniu od zamieszkałych domków, jednak wydobywający się spomiędzy nich smród gnijącej roślinności, zwłaszcza w wilgotne i gorące dni, otaczał rozpadającą się willę ścianą duszącego, cuchnącego oparu. Nienawidziłam kilkudziesięciu metrów, które należało przebyć, wzięwszy uprzednio głęboki oddech, by nie zadławić się wonią zgnilizny. A dziś nienawidziłam ich szczególnie, gdyż cuchnęły rozkładem straconych nadziei. Jeszcze bardziej

intensywnie, jeszcze bardziej drażniaco, obejmując mackami więcej niż powonienie i przyklejając się do skóry.

Bijąc się z myślami, w których Robert machnął ręką na forse i zmienił trasę do pracy, by nie paść ofiarą kolejnych ataków zapominalstwa w moim wykonaniu, dowlokłam się do kwiaciarni. Podlać kwiatki doniczkowe, przejrzeć faktury, odebrać kwiaty cięte i zabrać się za bukiet dla Luizy, zamówiony na urodziny jej szefowej. Plan tyleż ambitny, co niedający żadnej gwarancji, że uda mi się zająć głowę w stopniu wystarczającym, by przerwać kontemplację wad i niedoróbek utrudniających ułożenie sobie życia. Zakładając, że uprzednio będzie mi dane przetrwać awanturę wokół testamentu babci. Pewnie szanse przeżycia byłyby całkiem niezłe, na drodze do rozsądnego, przemyślanego rozwiązania problemu stał jednak obłąd, który nagle opętał mojego brata. Było to dziwne, gdyż Michał zarabiał przyzwoite pieniądze, a obsesji na punkcie luksusu nigdy się w nim nie dopatrzyłam. Motyw finansowy odpadał na dzień dobry. Może faktycznie ugryzło go, że do spadku usiłował się dobrać właśnie Olgierd, z którym mój brat utrzymywał kontakt oparty na poprawności politycznej, a i z tą poprawnością nie zawsze było obu panom po drodze. Męska rywalizacja? Chęć dokopania byłemu szwagrowi za wszelkie winy wobec siostry? Czy rozdwojenie jaźni i pierwsze, nieśmiałe oznaki skretynienia? Jak wytłumaczyć fakt, że po raz pierwszy w życiu nie umiałam wysondować intencji brata bliźniaka?

Różne odpowiedzi tłukły mi się po głowie do końca dnia, co jedna to głupsza i oparta na wielkich teoriach spiskowych, w których do tej pory specjalizowała się mama. Najwyraźniej zaczynałam przerastać mistrzynię. Marne pocieszenie, zważywszy że w praktyce pożytek był równie znikomy, jak z wrzodów żołądka, który od wczoraj coraz częściej komunikował mi, że stres mu nie służy.

„Tyle dobrego chociaż, że jest czerwiec”, pomyślałam, przemykając wzdłuż wąskiego chodniczka i zerkając z niesmakiem ku latarniom, które bez względu na porę dnia świeciły słabo albo wcale, co w zestawieniu z ponurą, zarośniętą

posesją, na którą rano w pogoni za kotem próbował wdrzeć się Best, stawiało prowadzącą na osiedle uliczkę na wysokim miejscu w rankingu najbardziej znienawidzonych przeze mnie ulic. „Jeszcze ten smród”, skrzywiłam się z obrzydzeniem. Ciekawe, że z powodu upiornego smrodu nikt z sąsiadów nie rozpętał jeszcze wojny. Nie chciało mi się wierzyć, że wszyscy jak jeden mąż mają tu aż taki problem ze zmysłem powonienia...

Zawsze byłam święcie przekonana, że nie istnieje siła, która mogłaby mnie zmusić do postawienia nogi na terenie koszarnej posesji. Nie mówiąc już o tym, że byłoby to trudne, gdyż wejście znajdowało się z drugiej strony. Nie przewidziałam tylko jednego.

Że akurat drzewo na tej cholernej, śmierdzącej posesji wybierze sobie kot, który rano uciekał przed Bestem.

Może inaczej. Że wlaźł akurat tam, wiedziałam doskonale. Zatroskana o los niedoszłej ofiary Besta, obserwowałam przebieg akcji do chwili, gdy niewielki futrzak wspiał się zwinnie na sosnę, umykając rozeźlonemu bernardynowi. Miałam nadzieję, że równie dobrze poradzi sobie z zejściem, gdy wściekle widmo obdarcia żywcem z futra oddali się na smyczy razem ze spoconym właścicielem. I najwyraźniej źle oceniłam sytuację.

Bura, niewielka kulka futra nadal tkwiła na gałęzi, pomiaukując żałośnie i szukając drogi na dół.

Zakląłam dosadnie na konto Besta, jasnych balerinek, które miałam na nogach i braku sensownego dojścia do drzewa. Pozostawienie miauczącego kota własnemu losowi nie wchodziło w grę. Gen zakocenia, dominujący u wszystkich członków mojej rodziny, wykluczał obojętne przejście obok. Czynniki odpowiedzialne za generowanie głupich pomysłów, właściwe jedynie mnie, sprawiły, że wezwanie straży pożarnej lub strażników miejskich nie przyszło mi do głowy. W efekcie z ciężkim westchnieniem rozpoczęłam podchody, by dostać się na teren upiornej posesji.

Przeleźć przez zardzewiałe, żelazne ogrodzenie, które bogactwem zdobień stwarzało sporo wygodnych miejsc do oparcia stopy, byłoby całkiem łatwo. Większy problem stanowił rosnący dziko żywopłot, utrudniając dojście do ogrodzenia. Bez względu na krzaczki, nie zamierzałam uskutecznić akrobacji na płocie w spódnicy. Okoliczności wymuszały powrót do domu i zmianę odzieży. A skoro ziemia niczyja, wątpliwe, czy do okalających ją krzaczków ktoś zechce się przyznać. Ostatecznie problem żaden, ciachnąć je ogrodniczym sekatorem, którego nie zdążyłam wywieźć na działkę do ciotki Marzeny. Cała operacja nie zajmie więcej niż pół godziny. Tyle czasu chyba miałam. Kot miauczał zbyt głośno, by podejrzewać ryzyko natychmiastowego zejścia śmiertelnego. Transporter w domu jest, o jedną puszkę karmy domowa ferajna nie zbiednieje. Jeszcze tylko drabina i ekwipunek na akcję ratunkową skompletowany!

Najchętniej przeprowadziłabym akcję po zmroku, przywłókłszy do pomocy Michała, nie podobała mi się jednak perspektywa pozostawienia bezradnego zwierzęcia bez jedzenia, picia i nadziei na ratunek. Zresztą, diabli wiedzą, czy po ciemku będę w stanie wleźć na drzewo, ściągnąć kota i nie zabić się przy złażeniu... Bardzo wątpiłam, czy przez piętnaście minut potrzebnych mi na zmianę odzieży i zaopatrzenie się w latarkę, sekator i transporter kot samodzielnie opuści gałąź.

Czarne portki od dresu i bluzę z kapturem, naznaczoną w wielu miejscach śladami po kontakcie z ziemią, choć wygodne przy przesadzaniu kwiatków, poświęciłam bez żalu. Ciemne kolory, jak wynikało z seriali sensacyjnych, świetnie sprawdzały się jako kamuflaż, podkreślając za to ponure intencje, z jakimi rozmaici zbrodniarze przystępowali do realizacji swych niecznych planów. Miałam wprawdzie w nosie, czy wyglądam profesjonalnie w charakterze włamywacza, nie miałam jednak chęci zostać nakryta. Martwiła mnie też ewentualna konkurencja ze strony elementów przestępczych, dla których opuszczona posesja stanowiła doskonałe miejsce na melinę. Jednak uzbrojona w determinację i sekator ciotki Marzeny machnęłam na to zagrożenie ręką.

Pół godziny później razem z transporterem, puszką tuńczyka i sekatorem ponownie stanęłam przy ogrodzeniu. Wobec smrodu zgniłych oparów istniało spore prawdopodobieństwo, że drugą część operacji z troski o zmysł powonienia przeprowadzę jeszcze sprawniej. „A potem razem z futrzakiem skoczmy na seans do baru tlenowego w gabinecie kosmetycznym Luizy”, skrzywiłam się, gdyż nie tylko nos przegrywał starcie z panującym tu smrodem. Kanaliki łzowe również powoli składały broń. Wolałam nie zastanawiać się, co skapitułuje w następnej kolejności, gdy upojna woń ulegnie skondensowaniu.

Nieziemski smród miał jednak tę zaletę, że dopingował do błyskawicznego działania. Zajęta kombinowaniem, przestałam się bać czegokolwiek poza zaczadzeniem. Konkurencyjne jednostki przestępcze mogły sobie tu hasać do upojenia, a i nakrycie przez praworządnych obywateli przestało mnie interesować. Łapać kota i wiać, modłać się po drodze, by nic nie skomplikowało idealnej prostoty mojego planu!

„No proszę, jakie to było mądre zabrać rękawice”, pomyślałam nieskromnie, szukając dogodnego miejsca do przetrzebienia żywopłotu. Nieprzycinany, rósł według własnego uznania, w najwyższym miejscu sięgając mi do ramion. Należało znaleźć niższy, niezbyt gęsty krzew. Im bliżej drzewa z kotem, tym lepiej. Wgnieciony i zmaltretowany krzak spełniał wszystkie warunki. Uśmiechnęłam się zadowolona, przykucając obok miejsca, w którym rano Best skutecznie dzikie szarże. Wyszarpiana dziura wymagała jedynie lekkiego poszerzenia. Kilka cięć sekatorem załatwiło sprawę w mgnieniu oka.

Droga do kota stanęła otworem, pomijając ogrodzenie, które nie było wielkim wyzwaniem. Akrobacje na płotach trenowaliśmy z Michałem w dzieciństwie do upojenia, pomni jedynie na kategoryczny zakaz dziurawienia portek i własnej skóry. Ponieważ i jedno, i drugie czasem się zdarzało, a ojciec był wyjątkowo wyczulony na straty materialne wynikłe z naszych interakcji z płotami, szybko nauczyliśmy się sprawnie pokonywać ogrodzenia i równie sprawnie zaszywać dziury

w spodniach. Płot, który miałam przed sobą, był łatwy do pokonania. Jeszcze tylko zerknijmy, czy nikt mi nie kibicuje, względnie nie wzywa policji...

Szybka lustracja terenu ujawniła brak publiczności. Uliczka była pusta, a mieszkańcy sąsiednich domów najwyraźniej nie planowali na wieczór pielenia ogródków. Nie było nikogo, kto mógłby mnie zawrócić z przestępczej ścieżki, zanim jeszcze na nią wkroczyłam. Nieco uspokojona, przerzuciłam transporter z zawartością na drugą stronę ogrodzenia i postawiłam nogę na ozdobnej kracie.

Szybkie kroki od strony osiedla sprawiły, że zamarłam na cholernym płocie. Ogólny paraliż oszczędził jedynie struny głosowe, które wyprodukowały zduszony okrzyk, gdy Robert stanął jak wryty i wbił we mnie zbaraniałe spojrzenie.

– Maja! – wykrztusił wreszcie. – Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Poproszę o inny zestaw pytań! Na przykład o pierwiastek z 5929 albo wartość liczby pi z dokładnością do piątego miejsca po przecinku! Możemy porozmawiać również o tkankach roślinnych na przykładzie sosny, na którą zamierzałam wleźć, ewentualnie o metalach wchodzących w skład forsowanego ogrodzenia! Wszystko, na miłość boską, było łatwiejsze niż udzielenie odpowiedzi na pytanie o cel moich akrobacji na płocie! I dlaczego nie mógł mnie o to pytać na przykład pan Piotr od Besta? Jemu zdołałabym wyjaśnić, że rozwiązuje problemy, jakich nieszczęsnemu kotu przysporzył jego pies... Swoją drogą, życie bywa cholernie przewrotne! Tak nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę Roberta, a jak już zobaczyłam, byłam gotowa oddać każde pieniądze, żeby nie musieć go w tej konkretnej chwili oglądać! Poprawka! Żeby ON nie musiał oglądać mnie!

Ale na pobożne życzenia było za późno. Oglądaliśmy się nawzajem podejrzliwie, usiłując przetrwać zastany widok.

Na szczęście nie musiałam samodzielnie tłumaczyć, że wcale



nie uskuteczniłam włamania z własnej woli ani pobudek przestępczych. Alibi zapewnił kot, ponawiając wołanie o pomoc.

– Kot utknął na drzewie. – Machnęłam ręką w kierunku sosenki, mamrocząc w duchu modlitwę dziękczynną. – Miauczy od rana, przyszłam go ściągnąć. Wiem, najlepiej byłoby grzecznie zapukać i poprosić właścicieli o zgodę na wtargnięcie, ale jest mały szkopuł. Właścicieli nie ma.

– Domyślam się – powiedział powoli Robert, przyglądając się z uwagą zarośniętemu terenowi wokół opuszczonego domu.

Odetchnęłam z ulgą. No, teoretycznie wszystko było już jasne. Przełożyłam nogę przez ogrodzenie i usiadłam na płocie.

– Pomożesz mi? – spytałam, spoglądając na Roberta.

– Bardzo chętnie. Zadzwońię po straż pożarną albo policję – usłyszałam w odpowiedzi i nieco skłęśłam. – Tak to chyba powinno się robić w podobnych przypadkach. Wrócisz tu do mnie czy zaczekasz na płocie? Tam się chyba niezbyt wygodnie siedzi?

„Owszem, metal wżyna się w tyłek”, cisnęła mi się na usta dyplomatyczna odpowiedź. Zła, że sama nie wpadłam na tak proste rozwiązanie, zapomniałam o porannych deklaracjach, że najchętniej złożyłabym swoje problemy w ręce silnego, zdecydowanego mężczyzny, a potem podziwiała rezultaty jego poczynań. Zamiast podziwiać, wybrałam wariant zwany fochem. Już się nastawiłam na zgrywanie bohaterki i samodzielną akcję w stylu Supermana. I że niby co? Mam teraz zleźć z tego płotu, poukładać na miejsce wycięte krzaki i czekać na konkurencję do orderu?

– Robert, idę po kota – syknęłam zniecierpliwiona. – Jest duszno, on tam siedzi cały dzień bez jedzenia i picia. Zanim ktoś przyjedzie, miną wieki! Załatwię to w pięć minut, więc jak chcesz, zaczekaj tu i odbierz ode mnie transporterek, jak będę przełaziła z powrotem!

– O ile będziesz przełaziła z powrotem o własnych siłach – mruknął Robert, przyglądając się z powątpiewaniem sosence,

na której zawisł nieszczęsny kot. – Nie chcę być niedyskretny, ale czy ty masz jakieś doświadczenie w ściąganiu kotów z drzew? Tak, żeby cię nie trzeba było potem ściągać razem z kotem? Albo zbierać w razie zbyt nagłego... opuszczenia gałęzi?

„Pięknie się zaczyna”, sarknęłam, patrząc ze złością w uparte, opanowane spojrzenie Roberta. Zamiast romantycznych porywów serca – awantura na okoliczność szowinistycznej, męskiej niewiary, że kobieta da sobie radę. Owszem, może moje sposoby radzenia sobie w trudnych sytuacjach mogły się wydawać dość nietypowe, ale nienawidziłam chwil, kiedy mężczyzna próbował dyktować mi, co mam robić albo co pozwolić zrobić jemu, bo na pewno zrobi to lepiej. Nie byłabym w stanie zliczyć, ile razy skończyło się to obrazą męskiego ego i mocnym postanowieniem, że z taką żoną nie warto truć sobie życia... Ostatnio nawet rozwodem. „Jeszcze chwila i ten facet też będzie z głowy”, pomyślałam z rozpaczą. Takie sobie robiłam nadzieje po sobotnim poranku w sklepie i właśnie jestem na najlepszej drodze, żeby je rozgonić na cztery strony świata!

– Robert, ja cię bardzo przepraszam. – Policzyłam do trzech i spróbowałam spuścić z tonu. – Jeżeli nie chcesz brać udziału w tej całej akcji, rozumiem, ale daj mi załatwić sprawę i będzie po krzyku. Mi tylko o tego kota chodzi, a im więcej ludzi będzie się tu kręcić i im dłużej to potrwa, tym gorzej. Dla kota. I dla nas. Bo absolutnie nie zależy mi, żeby się z tobą kłócić.

Upór w oczach Roberta jakby zelżał i już miałam nadzieję, że odpuści sobie protesty. Uśmiechnęłam się do niego nerwowo i oparłam się na rękach, by przelożyć drugą nogę przez ogrodzenie.

– Maja, zwariowałaś, nie przelaż tam! – usłyszałam jeszcze za plecami pełen niedowierzania okrzyk i szybko przeskoczyłam na drugą stronę płotu.

– Dam sobie radę – mruknęłam i ruszyłam w kierunku sosenki.

Nie uszłam dwóch kroków, gdy odgłos cichego lądowania na trawie przekonał mnie, że moje zapewnienie odniosło przeciwny skutek. Westchnęłam z rezygnacją i ruszyłam w kierunku sosenki, gdy silny uchwyt na ramieniu przystopował mnie gwałtownie. Pociągnięta w tył, zatoczyłam się i wślazłam Robertowi na stopę, opierając się całym ciężarem na klatce piersiowej mężczyzny. Robert podjął rozpaczliwą próbę utrzymania i mnie, i równowagi, przy czym już na początku zabrakło mu rąk. Klnąc, każde we własnym zakresie, ale równie dosadnie, poleciliśmy do tyłu i z impetem usiedliśmy na trawie.

„Dziękuję bardzo za taką męską pomoc”, pomstowałam, zbierając się z podgniętego podłoża. Cień wysokich, rosnących gęsto drzew na posesji sprawiał, że po deszczu wilgoć utrzymywała się tu dłużej, a rozkładające się podłoże wydzielało intensywny, mdlący zapach. Z obrzydzeniem wytarłam ręce w portki od dresu, z żalem spisując je na straty. Po bliskim kontakcie z takim smrodem miałam obawy, że nie zdołam ich doprać.

Robert był w gorszej sytuacji. Akcja „Kot” zaskoczyła go w ubraniu do pracy, może i nie nadmiernie eleganckim, jednak na czarnych dżinsach brudnozielone plamy były widoczne z daleka. Teraz będzie wrzask, pretensje, zleca się sąsiedzi i w najlepszym razie wylądujemy na pobliskim komisariacie, tłumacząc się gęsto z przełazenia przez płoty, aktów wandalizmu na wydziabanych sekatorem krzakach i nielegalnego przebywania na terenie prywatnym, na który wstęp jest surowo wzbroniony!

– No i po co tu za mną wślazłeś? – sarknęłam. – Mówiłam, że dam sobie radę! A tak jesteśmy brudni i tarzamy się w tym śmierdzącym trawniczku!

– Bo mi zależało, żebyś tu nie wślaziła sama! A najlepiej nie wślaziła wcale! – syknął Robert, dla którego problem spodni chyba nie był najważniejszy. – Trawniczek ci śmierdzi? Majka, ty naprawdę nie czujesz, że tu śmierdzi coś innego?!

Znieruchomiałam i pociągnęłam kilka razy nosem. Spoza przewiercającego się przez nozdrza smrodu gnijącej roślinności zaczynał wybijać się inny, niezidentyfikowany, lecz niewątpliwie znany mi zapach.

– Że niby co? – spytałam głupio, rozglądając się dookoła. – Coś dziwnego tu czuję, ale możliwe, że mój antyperspirant nie wytrzymał konfrontacji z twoim uporem.

– Że niby tu gnije coś innego niż trawka. Nie mam pojęcia, co konkretnie i nie mam ochoty sprawdzać. No, pani Maju, mamy dwa wyjścia. Albo dobrowolnie opuszczasz ze mną ten zaśmiardły ogródek, albo cię stąd wyniosę. Kot poczeka na ratunek w wykonaniu zawodowców.

Gniewne wzruszenie ramionami musiało wystarczyć Robertowi za odpowiedź. Bez zbędnego gadania wróciłam do akcji ratunkowej.

Sosenka nie była wysoka, do gałęzi dosięgałam bez większego wysiłku. Czy były w stanie utrzymać mój ciężar, to już inna sprawa, jednak tego akurat przetestować już nie miałam okazji. Zawylałam ze złością i uczepliłam się gałęzi, gdy silne ramiona objęły mnie w talii. Najwyraźniej Robert bardzo serio traktował sugestię o wyniesieniu mnie z terenu posesji, gdybym zechciała stawiać opór.

Wierzgnęłam wściekle, wisząc na gałęzi, która wyginała się coraz bardziej. W coś trafiłam, ale nie dość skutecznie, gdyż Robert zaklął pod nosem i wzmocnił uchwyt, próbując odciągnąć mnie od drzewka. Sosenką zatrzęsło. Siedzący na niej kot miauknął rozpaczliwie.

– Puść, do cholery! – warknęłam i jeszcze raz wzięłam potężny zamach nogą.

Trafiony w kolano Robert przegrał walkę z babską determinacją. Chwiejąc się na uszkodzonej nodze, odskoczył do tyłu, klnąc na czym świat stoi. Nie było mi jednak dane nacieszyć się uzyskaną swobodą. Trzymana w zaciśniętych dłoniach gałąź wystrzeliła do przodu, a ponieważ nie zdążyłam

jej puścić, pociągnęła mnie za sobą. Z wrzaskiem bólu i oburzenia rozpląszczyłam się na pniu sosny, prowokując opad igieł i szyszek.

Gwałtowny wstrząs może nie zwiastował rychłego trzęsienia ziemi, był jednak na tyle efektowny, że przekonany dotąd o własnej bezsilności kot jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odzyskał umiejętność złażenia z drzewa. Częściowo skacząc, a częściowo spadając, opuścił gałąź i rzucił się w kierunku zrujnowanej willi.

– Ucieknie! – zdążyłam wrzasnąć, śledząc szaleńczy pęd zwierzęcia, które naszej akcji ratunkowej miało już serdecznie dosyć i postanowiło uratować się samo.

I pewnie oddaliłoby się z powodzeniem, gdyby nie kurtka, którą Robert zwinnym ruchem na nie zarzucił.

Wciąż na czworakach, rzuciłam się w kierunku kurtki, która wściekle podskakiwała, wydając z siebie nieprzyjemne prychnięcia. Tuż za mną, w pozycji bardziej właściwej homo sapiens, gonił swoją oddalającą się przedziwnymi skokami odzież Robert.

„Byle się nie wyplątał”, modliłam się w duchu, zasuważąc na kolanach za uciekającą kurtką. Owinięty materiałem kot miał wprawdzie ruchy bardzo utrudnione, to jednak nie przeszkadzało mu w zawrotnym tempie zbliżać się do kępy gęstych krzaków. Gdyby zechciał w nie zanurkować, bez pomocy sekatora nie wydobyłabym go z płataniny gałęzi. „I klamerki na nos”, przemknęło mi przez myśl, gdy duszący odór buchnął ze zdwojoną siłą.

Smród najwyraźniej dotarł pod kurtkę i napędzającemu ją kotu nie spodobał się równie mocno, jak mnie. Włączył bieg wsteczny, wpadając mi prosto w ręce. Próbując utrzymać wijącego się pod materiałem kota, nie miałam jak się podeprzeć i runęłam na glebę tuż obok śmierdzących krzaczków, myśląc tylko o tym, by przy okazji nie przygnieść zwierzaka. Ani tego czegoś, co wydzielało paskudny odór.

„Odór starego, zepsutego mięsa, idiotko”, przemknęło mi przez myśl. Tak może śmierdzieć tylko zepsute mięso albo... Jezu, albo padlina...

– Na miłość boską, nie włącz w te krzaki! – usłyszałam krzyk Roberta, zabrakło mi jednak sił na poinformowanie go, że za żadne skarby świata nie zamierzam eksplorować cholernych zarośli.

Ani że wcale nie trzeba było ich eksplorować, by dostrzec źródło smrodu...



– To się nie dzieje – wymamrotałam, siedząc na krawężniku i trzymając kurczowo transporter, w którym odławiany z takim poświęceniem kot głośnym buczeniem dawał świadectwo niezadowolenia. Jakim cudem się tam ostatecznie znalazł, nie miałam pojęcia. Znalezione w krzakach, trochę już zleżałe zwłoki przytępiły mi ostrość myślenia. W przeciwieństwie do Roberta, którego ponure znalezisko zmotywowało do jak najszybszego oddalenia się z terenu posesji. Błyskawicznie wpakował kota do transportera, pozbierał mnie z ziemi i przeprowadził naszą trójkę na bezpieczniejszą stronę ogrodzenia. Następnie wezwał policję i dopiero w tym momencie puściły mu nerwy. Teraz siedział obok, paląc papierosa.

– Bardzo bym chciał, żeby się nie działo – mruknał. – Pierdziele, po co ja w ogóle pozwoliłem ci tam wleźć? Było od razu wezwać policję! Jak nie do kota, to do nieboszczyka!

– Gdybym wiedziała, że tam jest nieboszczyk, też bym wybrała wariant z policją. Niestety, daru jasnowidzenia mi życie poskapiło...



Robert zamarł z papierosem w dłoni, nie bacząc, że niestrzepnięty popiół lada chwila spadnie mu na i tak już zmaltretowane spodnie.

– Ty chyba żartujesz – wykrztusił z niedowierzaniem. – Tu nie trzeba żadnych nadprzyrodzonych darów, wystarczyłby najbardziej przytępiony węch, żeby rozpoznać ten smród! Ja się w ogóle dziwię, że nikt z sąsiadów się nie zainteresował! To musiało być czuć od ładnych kilku dni!

– Smrody z tej posesji czuć od ładnych kilku lat – poprawiłam go. – I tak jest lepiej, od kiedy zlikwidowali jeden śmietnik tuż obok. Dziwię ci się, chodzisz tędy rano i popołudniu prawie codziennie, a jeszcze nie odkryłeś aromatów, wydzielanych przez to miejsce latem!

– Nie odkryłem, bo chodzę tędy od niedawna – mruknął Robert. – I to w dni powszednie. Pomyśl, w weekend było już coś czuć? Nie przypominam sobie, żeby w piątek...

Pokręciłam głową w zadumie.

– W piątek nie. Ani w sobotę... W niedzielę tędy nie szłam, a dziś rano uznałam, że śmierdzi na okoliczność wilgoci i upału, jak zawsze... Skąd mogłam wiedzieć, że to nie roślinki gniją? Nie codziennie mam okazję wachać nieboszczyków!

– Błagam, nigdy nie miałaś do czynienia z zepsutym mięsem?

– Jeżeli już, to dawno i nieprawda – burknęłam na Roberta, który gapił się na mnie jak na przybysza z obcej planety. – Od lat jestem wegetarianką!

Dywagacje na temat moich preferencji żywieniowych przerwało zbliżające się wycie policyjnej syreny.

– Szykuje się rozrywkowy wieczór – westchnął Robert. – Dobrze chociaż, że mamy tego kota. Alibi całkiem sensowne.

Z niepokojem spojrzałam na klatkę, w której nasze alibi przestało się miotać, wystraszone wyciem, z jakim radiowóz wyłonił się zza zakrętu. Byłabym znacznie spokojniejsza, wiedząc, że hasanie po zaniedbanych, porzuconych posesjach

skończy się odtransportowaniem kota do kliniki weterynaryjnej, a nie razem z nami na komisariat. „Oby ci panowie byli chociaż znajomymi Borówy”, westchnęłam. Na takie szczęście, jak przyjazd komisarza Patryka Borowiaka nie śmiałam liczyć.

Tym głębszy jęk ulgi wydarł mi się z gardła na widok narzeczonego Luizy. Z radosnym okrzykiem rzuciłam się do Patryka, nie zawracając sobie głowy tak nieistotnym szczegółem, jak fakt, że znalazł się tu służbowo.

Z równie zaskoczonym, choć mniej radosnym wyrazem twarzy Patryk ruszył w moim kierunku. Wypierać się znajomości nie zamierzał, choć moja obecność na miejscu zbrodni nieszczególnie mu się spodobała. Nie lubił łączyć relacji zawodowych z prywatnymi, gdyż, jak twierdził, taka kombinacja, wstrząśnięta i niez mieszana, rzadko wychodzi komukolwiek na dobre. Ponieważ jednak staliśmy tu razem, patrząc na siebie z głupimi minami, odwrót nie wchodził w grę. Zwłaszcza że inny problem wybijał się na pierwszy plan.

– Smród jak cholera, raczej nie ma mowy o pomyłce – westchnął Patryk. – Trzeba sprawdzić, czy zwłoki ludzkie, czy zwierzęce.

– Pokaż mi zwierzęce zwłoki w czarnych, wypastowanych butach – powiedziałam z rozgoryczeniem.

Patryk przyjrzał mi się podejrzliwie.

– Maja, czy ja mam rozumieć, że ty te zwłoki oglądałaś? Miałem nadzieję, że wzywaliście nas na okoliczność charakterystycznej woni, a nie dokonanych osobiście oględzin! Po jaką cholere tam lazałaś, wiedząc, że śmierdzi trupem?

– A skąd ja mogłam wiedzieć, że to trupem? – zapytałam rozzalona i zreferowałam posiadane informacje na temat okresowych wahań intensywności płynącego z posesji odoru w zależności od pory roku i warunków pogodowych. – Śmierdziało, to śmierdziało! Ja poszłam kota ściągać z drzewa, a nieboszczyka pod krzaczkiem powąchałam poza programem!

Udzielone informacje były tak idiotyczne, że wykluczały celowe

łgarstwo. Obaj policjanci patrzyli na mnie z niedowierzaniem doprawionym szczyptą politowania.

– Dlaczego nie zawiadomił pan od razu policji? – zwrócił się Patryk do Roberta, który na potwierdzenie moich słów dzierzył w rękach transporterek.

Robert z westchnieniem wzruszył ramionami.

– Zdaje się, że pan zna tę panią, więc nie powinien się pan dziwić. Miałem do wyboru zostać tutaj i dzwonić albo lecieć za nią, zanim spadnie z drzewa albo wpakuje się w coś gorszego. Bo poczekać na wezwanie straży pożarnej do kota nie chciała.

Patryk otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale poziom mojej głupoty wymagał okraszenia bardziej wyrafinowanym komentarzem, na jaki chwilowo nie było czasu.

– No dobra – westchnął w końcu. – Pokażcie mi dokładnie, któredy weszliście na teren posesji, gdzie znaleźliście denata i podejdźcie do Jarka, spiszcie wasze dane. Oficjalne zeznania załatwimy jutro, najlepiej od rana. I na wszelki wypadek nie wypuszczalbym kota. Wolałbym, Majka, nie aresztować cię za bezpodstawne wtargnięcie na cudzą posesję i dewastację ogrodu.

– Dewastowałam jedynie krzaczki... – wymamrotałam. – Posądenie o dewastację czegokolwiek innego jest jawną niesprawiedliwością.

Zatroskane spojrzenie Patryka sugerowało poważne wątpliwości na temat mojego stanu psychicznego i możliwe, że zaowocowałyby wizytą na oddziale psychiatrycznym, gdyby nie Robert, który zdecydowanym gestem ujął mnie pod ramię i odciągnął na bok.

– Nie marudź i ciesz się, że nikt nas nie posądził o dewastację denata – syknął. – Pozwólmy panom pracować i zajmijmy się tą częścią kociej afery, która nie wymaga włamań. Ani nie podnosi ciśnienia do niebezpiecznej wysokości.

– Na przykład?

– Weterynarz? Nabycie jakiejś karmy? Sugerowałbym również przemyśleć sprawę, co z tym zwierzakiem zrobimy dalej... Swoją drogą, podziwiam cię za tak opanowaną reakcją na dzisiejsze znalezisko. I chwała Bogu, bo nie noszę przy sobie soli trzeźwiących.

– Chyba do mnie jeszcze nie dotarło – mruknęłam. – To ledwo sekundy trwało, zdążyłam obejrzeć tylko te czarne buty. Gdybyś się nie upierał, że to nieboszczyk, doszłabym do wniosku, że raczej ofiara głębokiego upojenia alkoholowego... I zwiąłabym, żeby mnie nie nakrył na włamaniu! Śmierdziałoby dalej, ale przynajmniej oszczędziłabym sobie stan przedzawałowy!

– Błogosławiona ignorancja – westchnął Robert. – Szczerze mówiąc, sam bym chętnie się napił czegoś mocniejszego, ale coś trzeba z tym kotem...

– Koktajl z kroplówki – zasugerowałam. – Niekoniecznie z domieszką procentów, choć pewnie też by sobie chętnie łyknął... Niedaleko jest klinika weterynaryjna, piechotą dziesięć minut. Nie musisz iść ze mną, już i tak ci zorganizowałam dość rozrywek po pracy.

– Daj spokój, po takich rozrywkach nie mam ochoty na samotne siedzenie przed telewizorem. Gdyby nie kot, pewnie zaprosiłbym cię na drinka.

– Gdyby nie kot, nie miałbyś pretekstu...

– Gdyby nie kot, spotkalibyśmy się dopiero jutro rano – przypomniał smętnie Robert. – I to niekoniecznie na komisariacie. Oni nas tam chcą oglądać jak najwcześniej, pewnie w stanie trzeźwym, więc może faktycznie przełożmy to opijanie nietypowego początku znajomości...



Tuż przed ósmą stawiliśmy się w całodobowej klinice weterynaryjnej, w której od lat byłam stałym gościem. Posiadając zwierzyne w ilości mnogiej, płatałam się w tutejszych gabinetach przynajmniej raz w miesiącu, a że w kociej ferajnie nie znalazła się ani jedna spolegliwa sztuka, dzięki wyczynianym podczas zabiegów ekscesom i dużemu zużyciu środków opatrunkowych zostałam zapamiętana do końca świata albo i dłużej. Jakimś cudem w sposób bardzo życzliwy, choć po dwukrotnym zdemolowaniu gabinetu spodziewałam się raczej wywieszenia na drzwiach fotografii z podpisem: „Tych kotów nie przyjmujemy!”. Ośmielona brakiem zakazu wstępu, zaprzyjaźniłam się z żoną szefa kliniki, która wszystkie nasze wizyty przyjmowała osobiście. Dziś również, choć nie byliśmy umówieni, na widok mojej nieszczęśliwej miny i transportera, który odzyskał energię i miotał się w rękach Roberta, zaprosiła nas do swojego gabinetu.

– Co i z kim dzisiaj robimy? – zapytała, otwierając kartotekę w laptopie i taktownie pomijając kwestię, że po drodze do kliniki powinniśmy z Robertem odwiedzić pralnię.

– Nowy nabytek – wyjaśniłam, gdy Robert ustawił transporter na stole i usiłował go unieruchomić. – Utknął na drzewie, trzeba było go ściągnąć, a jak już ściągnęłam...

– To przygarnęłam – Kinga pokiwała głową z pobłażliwym uśmiechem, ukradkiem zerkając na nasze ubrania. – Akcja musiała być efektowna.

– Jak cholera – mruknął Robert, do którego dopiero teraz dotarło, że efekty akcji doskonale widać na jego spodniach i przewieszanej przez ramię kurtce. – Jezu, niech pani uważa. To szatan, nie kot.

Na potwierdzenie transporter zabuczał wojowniczo.

Kinga przyjrzała się klatce i melancholijnie pokiwała głową.

– Nie tacy tu bywali... Zwłaszcza z koleżanką Kostrzewską. Dawajcie tego tygrysa.

Z obawą zajrzałam przez kratkę transportera. Siedzące w niej zwierzę gabarytami odbiegało od wielkich dzikich kotów, a jego waga zamykała się w wartości jednocyfrowej. Jeżeli nawet mam tu tygrysa, to w wersji miniaturowej, chwilowo cherlawej i chyba jeszcze nieświadomej, co to jest weterynarz. Pikuś w porównaniu Figą, która podczas ostatniej wizyty rozmontowała transporter, przegalopowała po wszystkich ścianach i pokazowym pawiem ochrzciła sprzęt do USG, udowadniając ponad wszelką wątpliwość, że kot wykazujący się taką energią nie cierpi na żadne poważniejsze schorzenia. Ostry stan zapalny trzustki w każdym razie wykluczono od razu.

Po doświadczeniach z Figą żaden kot nie był w stanie przestraszyć Kingi. Zdecydowanym ruchem podeszła do klatki i zdjęła górną część, nachylając się nad pacjentem.

– Jezusie! – przerażony okrzyk wyrwał się z jej gardła, gdy futrzasty pocisk katapultował się ku sufitowi. Do celu dolecieć nie zdołał, gdyż zderzenie z ludzkim podbródkiem wyhamowało odrzut. Trzymając się za pokiereszowaną twarz, Kinga zatoczyła się do tyłu, zaś koci pocisk zmienił trajektorię lotu i zawisł na uchylonych drzwiczkach wysokiej szafki na medykamenty. Stamtąd sprawnie wdrapał się do środka i przywarował na półce ze środkami opatrunkowymi.

Robert jako pierwszy otrząsnął się z paraliżu, w jakie wprowadziła nas sprawna akcja dywersyjna.

– Może zamkniemy tę szafkę? – zasugerował słabo. – Będzie bezpieczniej... Choć może nie dla zawartości szafki...

– Jezu, żyjesz Kinga? – Rzuciłam się do przyjaciółki, która stała oparta o stół i z oszołomionym wyrazem twarzy rozcierała sobie podbródek.

– No... – wymamrotała niewyraźnie. – Chyba przygryzłam sobie wargę... Majka, skąd ty bierzesz te koty, na miłość boską? Co jeden to lepszy... Takiej ekipy z piekła rodem w życiu nie widziałam... Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że robisz to specjalnie...



– Tak, szkole kocih terrorystów. Nowy rodzaj wykwalifikowanej armii, specjalizującej się w szerzeniu destrukcji – mruknełam z goryczą, patrząc na cienką strużkę krwi, którą Kinga właśnie ocierała z ust.

W tej chwili jednak do poskromienia był tylko jeden terrorysta.

Dzięki przewadze liczebnej, grubym rękawicom i nęcącemu zapachowi karmy z indyka, którą w akcie desperacji otwarłam po piętnastu minutach bezskutecznych podchodów, zdołaliśmy opanować sytuację. O ile opanowaniem można nazwać podkradnięcie się do kota, zaaplikowanie mu z zaskoczenia środka uspokajającego i odczekanie, aż lek zacznie działać.

– Chyba się udało – wyszeptała Kinga, ostrożnie wyjmując spacyfikowanego diabła z szafki. – Godzinka pod kroplówką, Synulox w tyłek, coś na odrobaczenie i wio! A potem zostaje mi modlitwa, żeby rzadko chorował... Maja, nawet nie chcę wiedzieć, jakim cudem go złapaliście.

– Cudem – potwierdziłam, spoglądając z niepokojem na kocia wersję gremlina. – Ten lek wystarczy, żeby przespał kroplówkę?

– W razie czego dostanie dokładkę – mruknęła Kinga. – A potem zmotywuję personel do śpiewania kołysanek.

– Czy on dostanie jakiś kocyk albo coś? – zainteresował się Robert. – Mogę mu zostawić kurtkę...

Podszedł bliżej i delikatnie podrapał śpiącego kota po głowie.

Skulone we śnie monstrum nareszcie zaczęło przypominać to, czym naprawdę było. Chudym, może półrocznym kocurkiem o przybrudzonym, buro-białym futrze, nieproporcjonalnie długich łapach, wielkich uszach i cienkim, przypominającym sznurówkę ogonie. Z wyglądu absurdalnie słodkim. Tak słodkim, że w ciągu kilku sekund zdążyliśmy zapomnieć, jakie tornado jest w stanie wywołać ta drobna kwintesencja słodyczy.

Ponad godzina czasu, jaka pozostała nam do odbioru pacjenta, teoretycznie powinna wystarczyć, żeby ochłonać przy

kawie i podnieść nieco poziom energii, która zupełnie z nas wyparowała. Potężny zastrzyk adrenaliny, wywołany nielegalną wizytą na cudzej posesji wraz ze wszystkimi konsekwencjami, i tak trzymał nas w pełnej gotowości bojowej bardzo długo. Nasilające się dygotanie w okolicy kolan stanowiło wyraźny sygnał, że strzałka paliwa nieubłaganie zbliża się do zera i za chwilę zapali się czerwona lampka, ostrzegając, że albo natychmiast dorwę się do źródła szybko przyswajalnych cukrów prostych, albo zasłabnę wdzięcznie, testując po raz kolejny refleks Roberta. Druga sprawa, że odcień niepokojącej bladości na jego twarzy od chwili rozstania z funkcjonariuszami policji również się pogłębił. Oboje kategorycznie wymagaliśmy skoncentrowanej dawki kofeiny, by dobrnąć do końca tego upiornie męczącego popołudnia.

Stosowny lokal znajdował się na sąsiedniej ulicy, naprzeciwko kwaciarni. Niewielka kawiarenka, która ratowała mi życie, gdy z objawami ciężkiej hipoglikemii wypadałam z pracy po ciastka muesli lub koktajl malinowy, w przeciwieństwie do kafejek rozsypanych w licznych galeriach handlowych gwarantowała chwilę spokoju, przytulnym wystrojem i cichą muzyką izolując człowieka od wariactwa, wymuszonego tempem życia w dużym mieście. Lubiłam ją również z tego względu, że nie dyskryminowała osób preferujących węglowodany w postaci zdrowszej niż ciastka z bitą śmietaną i nafaszerowane ciężkimi kremami torty. A ponieważ jako stały dostawca roślinnych elementów wystroju dysponowałam dożywotnim rabatem, kawiarnia „Hortensja” była idealnym miejscem, by zaszyć się na godzinkę na niewielkim tarasiku.

Problem polegał na tym, że nie nadawaliśmy się do spaceru ulicą, na której wśród wracających z pracy, jeżdżących na rowerach lub spacerujących z dziećmi ludzi wzbudzilibyśmy swoim wyglądem pewną podejrzliwość. Przemykania chyłkiem po krzakach na dziś mieliśmy dość, nie wspominając o fakcie, że po kontakcie z krzaczkami, trawniczkami i inną rosnącą dziko roślinnością nie miałabym sumienia usadzić tyłka na poduszkach, jakimi wyłożone były krzesła na tarasie

w „Hortensji”.

Robert również nie wykazywał chęci spacerowania zaludnioną ulicą w uwalanych spodniach i z podartą kurtką pod pachą.

– Chwała Bogu, że nie zabrałem dziś laptopa do pracy – westchnął. – Musiałem wyjść dużo wcześniej i najzwyczajniej zapomniałem. Dobry dzień sobie wybrałaś.

– Czy ja wiem – mruknęłam, niezupełnie przekonana, czy jakkolwiek dzień jest dobry na włamywanie się na posesje usiane zwłokami.

– Pretensje proszę kierować do mojego brata. Po wypadku na rowerze nie może prowadzić auta. Prosił, żebym z nim pojechał do pracy.

– Dobry Samarytanin... Odwieźć brata do pracy, potem zdażyć do własnej...

– Dało radę. Pracujemy w jednej firmie. Ale przez to jechałem rano autem i nie miałem pojęcia, że przez weekend ten uroczy ogródek wzbogacił się o zwłoki.

– No widzisz, ja miałam pojęcie, to znaczy czułam, ale mi wiedzy zabrakło. – Uśmiechnęłam się smętnie. – Choć bez tej wiedzy żyło mi się całkiem dobrze. Zastanawiam się właśnie, skąd ty ją posiadasz.

– Zdarzyło mi się kilka razy za długo rozmrażać kotlety. – Robert wzruszył ramionami. – Maja, przepraszam, muszę się napić kawy, inaczej pójde razem z kotem na kroplówkę. Masz pomysł, jak zdobyć coś do picia, nie pokazując się ludziom w tym stanie więcej niż to konieczne?

Kawa! Choć informacja o rozmrażanych zbyt długo kotletach brzmiała jak ponury żart i uruchomiła wrodzoną dociekliwość, zmęczony umysł nie był w stanie podsunąć mi żadnego błyskotliwego pomysłu, jak z historii o kotletach wydusić zeznanie o autentycznym źródle nietypowej wiedzy Roberta. Chwilowo byłam również skłonna dać spokój kwestii, dlaczego w jedną stronę jechał samochodem, a do domu wracał na

piechotę, gdyż intuicja poza włączeniem dociekliwości nie była uprzejma zrobić nic więcej. Musiałam ręcznie odpalić myślenie, które wymagało w tej chwili wspomagania. Nawet w postaci tak podłej, jak kawa z automatu mieszczącego się w przedsiönku przynależnego do kliniki sklepiku z artykułami zoologicznymi.

Robertowi sam widok czarnej cieczy w plastikowym kubku wystarczył, by odzyskać dobre samopoczucie i błysk w oczach.

– O, nawet batoniki! – ucieszył się, gdy obok automatu z napojami odkrył drugi, zawierający pełen asortyment niezdrowego żarcia w postaci batonów, chipsów i orzeszków w czekoladzie. – Już się bałem, że będziemy skazani na przekąski marki Pedigree. Co ci kupić?

– Tym razem ja stawiam – zdecydowałam, zadowolona, że mam okazję zlikwidować dług zaciągnięty w sobotni poranek. Nienawidziłam pożyczać pieniędzy i z ulgą wcisnęłam drobniaki do automatu, szczęśliwa, że przynajmniej problem forsy spadł mi z głowy.

Pozostał za to inny, który powrócił po rozproszeniu oparów otępienia przy pomocy kofeiny i kalorii.

– Jedźmy jutro razem na ten komisariat – zasugerowałam, przepłoszona perspektywą dalszego ciągu afery. – Chyba się boję sama.

– Nie ma sprawy, choć nie bardzo rozumiem, czego tu się bać. Przecież nie ty kropnęłaś gościa.

– Ale podobno ten, co znajduje zwłoki, jest pierwszy na czarnej liście.

Roberta perspektywa bycia osadzonym w roli głównego podejrzanego jakoś niewiele martwiła. Nie to, co mnie.

– Zjedzenie Snickersa naprawdę pomaga człowiekowi odzyskać orient – stwierdził, rozglądając się za koszem na śmieci. – Wiesz, jak tak sobie myślę, to bardzo wątpię, czy w naszym przypadku ta reguła znajdzie zastosowanie. Po co wleźliśmy na posesję? Po kota. Mamy tego kota? Mamy.

Wezwaliśmy policję i policja nas razem z kotem dokładnie obejrzała. Jak myślisz, jaki idiota wzywałby gliny, żeby powiadomić o znalezieniu rozkładających się zwłok własnej ofiary, uprzednio polując na dzikiego kota, żeby zapewnić sobie alibi? Gdybym już kogoś utrupił, ukryłbym zwłoki i nie zawracałbym sobie głowy informowaniem o tym policji. Maja, to brzmi tak kretyńsko, że już bardziej się nie da.

Pokiwałam głową, słuchając tłumaczenia Roberta i gryząc mikroskopijne kawałki orzeszków, utopionych w mlecznej czekoladzie. Tak, to naprawdę brzmiało niewiarygodnie głupio. Robert nie wiedział tylko o jednym. Że równie głupio brzmiało całe mnóstwo historii, jakie przez nieco ponad trzydzieści lat zdążyło mi się przytrafić.

– Czyli nas nie aresztują za to włamanie?

– Daj spokój, włamałaś się w zbożnym celu. Tak samo, jak nikt się nie będzie czepiał wybicia szyby w samochodzie, w którym siedzi zamknięte zwierzę, jeżeli akurat panują upały. A zresztą, kto miałby się czepiać? Właściciel widmo? Ale jasne, możemy rano pojechać razem. Trudno, najwyżej mój brat pojedzie do pracy taksówką.

– A co mu powiesz? – zainteresowałam się. W moim przypadku sprawa była prosta. Kartka z napisem: „Kwiaciarnia w dniu 17 czerwca czynna od godziny 12.00. Przepraszamy” w zupełności załatwiała sprawę. O ile do dwunastej ta cała polka się skończy, a mój stan psychiczny pozwoli mi dotrzeć do pracy...

– Pewnie prawdę.

Z powątpiewaniem spoglądałam na Roberta, który dopił właśnie kawę i chyba dopiero teraz odkrył, że nie wszystko, co się kawą nazywa, w pełni na to miano zasługuje.

– Chyba muszę poprawić jakimś cappuccino – stwierdził, krzywiąc się z niesmakiem. – Chcesz jeszcze coś do picia?

Odruchowo pokręciłam głową. Po orzeszkach i nędznej wprawdzie, ale jednak kofeinie, zdołałam uruchomić

przyblokowane emocjami i niskim poziomem cukru we krwi procesy myślowe. Opanowawszy drżenie kolan, mogłam skupić się na przemyśleniu tego, co mówił Robert. I niemal natychmiast doszłam do wniosku, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby mnie do wyznania rodzinie, że dzięki własnym głupim pomysłom i talentowi do pojawiania się wszędzie tam, gdzie czają się kłopoty, właśnie zmierzam do zacieśnienia kontaktów z policjantami z wydziału zabójstw. W normalnych okolicznościach pewnie uszczęśliwiłabym szczegółową relacją z łapania kota brata, jednak tym razem Michał był ostatnią osobą, do której miałam ochotę dzwonić i wysłuchiwać pretensji, że wpakowałam się w kolejną aferę. Zazwyczaj kochany, od wczoraj Michał doprowadzał mnie ze swoją obsesją na punkcie testamentu do szału i chwilowo na powiernika absolutnie się nie nadawał.

– Ja z tego wszystkiego przyznam się rodzinie tylko do kota – westchnęłam. – Innego wyjścia nie ma, skoro już nawet książeczkę zdrowia i wpis w kartotece ma jako mój podopieczny. Chwilowo wprawdzie bezimienny, ale natchnienie mnie opuściło. Sorry.

– Katalog piekielnych imion jest całkiem bogaty – Robert błysnął humorem. – To kocur, tak? Już chciałem zaproponować Furię albo coś w tym stylu...

Debatę nad imieniem dla naszego milusińskiego przerwało pojawienie się Kingi, która wraz z transporterem niosła książeczkę zdrowia i paczuszkę z lekami.

– Teraz ty się gimnastykuj – powiedziała stanowczo. – Poświeciłam go lampą Wooda, na prawej łapie pod pazurami lęgnie się grzybek. Sugerowałabym kąpiel w szamponie przeciwgrzybicznym. Najlepiej zaraz po powrocie do domu. Dopóki jest jeszcze lekko śnięty. A ranami się nie przejmuj, wpadnę po pracy i pozszywamy, co trzeba.

– Bardzo śmieszne. Mścisz się za lata upokorzeń i zniszczeń, czy wszystko idzie na konto dzisiejszego popołudnia? – sarknęłam.



– Satysfakcja moralna dla mnie, rabat dla ciebie – Kinga mrugnęła. – Chociaż widzę, że nie ty dzisiaj płacisz... Zadzwoń chociaż potem powiedzieć, kto to i co z tego wyjdzie...

Normalnie skomentowałabym znaczący ton w głosie przyjaciółki, jednak sugestia, że nie mój portfel dziś zostanie poddany odchudzeniu, sprawiła, że obejrzałam się nerwowo i natychmiast syknęłam ze złością. Ledwo uregulowałam sprawę sobotnich zakupów, Robert kolejny raz postanowił wyręczyć mnie w płaceniu rachunku. Nie zdążyłam zareagować, gdyż właśnie odebrał kartę, schował ją do portfela i podszedł, by wziąć ode mnie transporter.

– Weźmiesz te leki? – zapytał. – Nie mam gdzie schować, a do klatki nie włożę, bo on je zezre.

– Nie musiałeś płacić za wizytę – mruknęłam, chowając do kieszeni bluzy medykamenty.

– Ale zapłaciłem. Coś się stało?

– Niby nie. Ale polowanie na kota było moim pomysłem, więc i koszty powinny być moje. A tu zjawiasz się ty, pomagasz upolować kota, próbujesz uchronić przed kontaktem z nieboszczykami, płacisz za klinikę, pilnujesz, żebym nie wyszła na idiotkę przy glinach... – wyliczyłam. – Nie rozumiem, dlaczego, przecież prawie się nie znamy. Takie coś byłoby normalne za czasów rycerzy na białych koniach, ratujących damy w opresji.

Robert cierpliwie wysłuchał wykładu, uśmiechając się pod nosem.

– Damy w średniowieczu nie włamywały się na cudze posesje i nie łąziły po płotach – odparował. – A środkiem płatniczym, była, zdaje się, gotówka. A jeśli już uważasz mnie za takiego rycerza, to przyjmij proszę, że rycerze doprowadzali misje ratunkowe do końca, nie domagając się od damy finansowania czegoś tam. Na przykład podkucia konia. Więc jako dama nie powinnaś protestować.

– No to co chcesz teraz zrobić, rycerzu w lśniącej zbroi?

Chwilowo przybrudzonej? – zapytałam zrezygnowana. – Bo te misje rycerskie kończyły się najczęściej „żyli długo i szczęśliwie”. Padniesz na kolana i mi się oświadczysz?

– Rozważę to. W sumie smoka już poskromiliśmy, więc mógłbym udać się do twojego ojca i poprosić cię o rękę.

– Brałam aktywny udział w poskromieniu smoka – uniosłam się honorem. – Też mam coś do powiedzenia!

– Wolę poskramiać smoki niż ciebie – mruknął Robert. – Dobrze. Zanim się oświadczę, ustalmy, co robimy ze smokiem.

Podniósł klatkę i ostrożnie zajrzeliśmy do środka.

Z wnętrza transporterka chwilowo nie ziało ogniem. Smok, zmęczony wrażeniami, zakopał się w ręczniku i błogo zasnął.

– Zabiorę go do domu. A potem spróbuję przetrwać – Na widok śpiącego futrzaka odruchowo ściszyłam głos. – Odstawienie go do tego upiornego ogródka nie wchodzi w grę. Ani gdziekolwiek indziej.

– No dobra – Robert uznał, że kocia przyszłość nie rysuje się w czarnych barwach. – Ale jakby co, ja też mogę go wziąć. Fajny jest, szkoda by było go wypuścić.

– U mnie będzie mu dobrze – zapewniłam. – Jeszcze nie było kota, któremu źle by się ze mną żyło. Możesz nas odwiedzić, jak będziesz się wybierał do mojego ojca z tymi oświadczeniami.

Robert parsknął śmiechem, jednak na myśl o okolicznościach kolejnego spotkania natychmiast spowaźniał.

– Maja, wybierzmy się najpierw załatwić sprawę tego cholernego ogródka i jego zawartości. Podaj mi swój numer i dzwoniemy się pod wieczór. Chciałbym wystartować jutro możliwie wcześnie.

To akurat był bardzo dobry pomysł. Pojechać, załatwić i zmówić „Wieczny odpoczynek” za spokój duszy nieszczęśnika, który miał szansę spocząć w bardziej cywilizowanych warunkach niż pod krzaczkiem na terenie opuszczonej posesji. Zamknąć temat i zająć się przyjemniejszym aspektem

znajomości z Robertem. Nie spodziewałam się wprawdzie rychłej pielgrzymki na kolanach przed oblicze mojego ojca, jednak na horyzoncie zamajaczyła szansa, że nasze relacje wyjdą poza wąską ścieżkę, którą codziennie podążaliśmy do pracy.

Szybko wymieniliśmy numery telefonów.

– Jeszcze raz dziękuję za pomoc. – Uśmiechnęłam się nerwowo, gdy trzymana przez Roberta klatka zakołysała się niepokojąco. – Przejmuję dowodzenie. Nie, nie musisz nas odprowadzać, do domu dotrę w dwie minuty – powiedziałam stanowczo, uprzedzając protesty Roberta. – Naprawdę dzięki, ale tobie też się należy spokojny wieczór.

„A poza tym po drodze o tej porze pewnie spotkam na parkingu ojca i nie mam najmniejszych chęci tłumaczyć kto, co i dlaczego”, dodałam niechętnie w myślach. Szczerze zatroskany małżeńskimi, zwieńczonymi rozwodem komplikacjami ojciec żywo interesował się moim życiem osobistym, co w ostatnim czasie sprowadzało się głównie do ubolewania nad jego brakiem. Jedno przesłuchanie miałam już w planach, a dodatkowy magiel i tak mnie nie ominie, kiedy zamelduję się w domu z prośbą o wypożyczenie kuwety, żwirku i startowego pakietu karmy. Z kota mogę się tłumaczyć. Z faceta – nie ma mowy. To ostatnie wymagałoby odrobiny inwencji twórczej i sporej liczby łgarstw, a tych produkować nie miałam siły.

Robert niechętnie przyjął do wiadomości, że mój upór w zakresie „ja sama” wykracza poza normy obowiązujące średniowieczne księżniczki.

– Tylko bardzo cię proszę, nie rób już dziś więcej głupot – powiedział, odprowadzając mnie jeszcze kilka kroków. – Po drodze pewnie wejdem jeszcze kupić jakieś piwo, więc bądź uprzejma następne rozrywki planować z wyłączeniem dzisiejszego wieczoru.

Nie wiem, na ile uspokoiła go informacja, że w ramach kolejnej rozrywki wystąpi kąpiel w środkach przeciwgrzybiczych i że będę ją skutecznie sama.

Przynajmniej do momentu, gdy włączą się zirytowani wrzaskami lub zalaniem sąsiedzi. Co do tego złudzeń nie miałam. Lata doświadczeń podpowiadały aż nazbyt wyraźnie. Decyzja o kąpielu kota pociąga za sobą szereg konsekwencji, między innymi i taką, że woda znajduje się wszędzie, tylko nie w wannie, względnie kabynie prysznicowej. Podobnie zresztą jak kot. Bardzo prawdopodobne, że kiedy Robert zasiądzie w fotelu z piwem na uspokojenie, sama będę potrzebowała znacznie silniejszego napoju, by uspokoić drżenie rąk. Albo będę tak wykończona, że żaden napój nie będzie mi już potrzebny.

Wizja kąpielowego catemonium prezentowała się na pierwszy rzut oka krwawo, miała jednak jedną zaletę. Jak nic innego była w stanie oderwać umysł od wspomnienia wystających spod krzaka, obutych w czarne, eleganckie obuwie nóg i perspektywy przyjemnej pogawędki, w trakcie której będę musiała się gęsto tłumaczyć, jak to się stało, że znalezienie nieboszczyka padło akurat na mnie. Powiedzmy szczerze, bez względu na to, jak bardzo absorbowwała mnie obecność nowego członka stada, chyba tylko głupota i blokady filtrujące dopływ zbyt trudnych do zaakceptowania faktów sprawiały, że zamiast siedzieć na tyłku i gryźć paznokcie po makabrycznej przygodzie, funkcjonowałam całkiem przytomnie, w bezpiecznej odległości od stanu totalnej hysterii. Migawki z czarnymi, ubłoconymi męskimi butami, prezentowane wyrywkowo przez zdradziecką pamięć nie pozwalały mi zupełnie pograżyć się w przyjemnym przekonaniu, że to upiorna działka wyprodukowała w mojej wyobraźni wizję nieboszczyka, jednak uczepienie się znanego, rutynowego zajęcia miało zbawienny wpływ na stan nerwów.

O ile w przypadku kąpielu kota można mówić o czymś takim jak rutyna.

Wydębienie od rodziców niezbędnych akcesoriów nie nastęczało wielkich trudności, choć wymagało kilkukrotnego powtórzenia informacji, że kot na razie śpi, potem zostanie wykąpany, a kiedy po kąpielu skończę doprowadzać łazienkę i siebie do stanu używalności, będzie zbyt późno na odwiedzin. Od natychmiastowego nalotu „żeby obejrzyć kotka” uchroniło

mnie jedynie hasło „grzybica”, które po przejściach ze starszą z naszych kotek, Myszą, budziło grozę wśród ludzkiej części rodziny. Koty odmówiły bliskich kontaktów ze mną po pobieżnym powąchaniu moich spodni i czym prędzej ulotniły się w najmniej dostępne rejony mieszkania. Standardowa procedura ewakuacyjna, jeżeli w pobliżu śmierdzi weterynarzem. A fe!

Opinią kotów na temat roznoszonej przeze mnie woni nie przejmowałam się wcale. „Tylko patrzeć, jak zacznę śmierdzieć szamponem przeciwgrzybicznym”, pomyślałam melancholijnie. Wspomnienie uroczego zapachu, unoszącego się nade mną jak aureola, gdy osiem lat temu tuż przed Bożym Narodzeniem przytargałam kota tak wyliniałego od grzyba, że trudno było ustalić kolor futra, samo w sobie wykrzywiało usta i prowokowało do zmarszczenia nosa w grymasie obrzydzenia. Przez ponad miesiąc razem z uratowaną Myszą śmierdziało clotrimazolem wszystko i wszyscy. Miało to ten dobry skutek, że bliższa i dalsza rodzina zwolniła Michała i mnie z obowiązku świątecznych pielgrzymek. Oddelegowani do pełnienia bożonarodzeniowych powinności rodzice zażądali w ramach rekompensaty uzupełnienia zapasów rozmaitych pachnideł, których nadużywanie stało się normą. Izolowana w łazience Mysza dostawała szału na sam widok opakowania z szamponem, a my z Michałem na widok swoich imion w grafiku osób dyżurujących przy wydawaniu leków i pławieniu się razem z Myszą w środkach odgrzybiających. Obarczeni winą za powstałe catemonium, na długi czas obraziliśmy się z Michałem na siebie nawzajem i zgodnie zaprotestowaliśmy przeciw spędzeniu razem kolejnych świąt. Druga sprawa, że zdążyło nam przejść, jednak uraz na tle kotów z grzybicą pozostał i choć samej choroby nie baliśmy się w najmniejszym stopniu, schorzenie to, kojarzące się wszystkim z szaleniem nerwowym okresem w historii rodziny, gwarantowało czasową separację, a co za tym idzie – święty spokój. Czyli coś, na czym w tej chwili bardzo mi zależało.

Nigdy nie twierdziłam, że poskramianie smoków należało do

najłatwiejszych rycerskich zadań. Kto jednak miał choć raz do czynienia z kąpaniem kota, pokonałby całą armię zięjących piekielnym ogniem smoków bez najmniejszego problemu. By wykończyć smoka, wystarczyły kopia, miecz, odrobina odwagi i chęć posiadania ręki księżniczki oraz połowy królestwa. Wykąpanie kota było przedsięwzięciem dużo bardziej ryzykownym i skomplikowanym. Wymagało brutalnej siły, odwagi, hurtowej ilości suchych ręczników oraz... kota. O tego ostatniego, jak słusznie twierdzą poradniki dla właścicieli kotów, jest zazwyczaj najtrudniej.

Mój kot z kąpielą dotąd nie miał do czynienia i teraz z ciekawością obserwował moje poczynania. Usiadł mi na rękach, próbując dosięgnąć węża od prysznica. Następnie przez chwilę boksował gąbkę do masażu. „Nie będzie źle”, pomyślałam pokrzepiona tym widokiem i bardzo powoli zanurzyłam kocie łapki w wodzie.

Przeraźliwy wrzask wypełnił kabinę i już wiedziałam, że zbyt szybko zostawiłam czujność za drzwiami prysznica. Kot po ogłoszeniu protestu nie tracił czasu. Wrzasnęłam, czując na nodze ukłucia, przesuujące się w zastraszającym tempie coraz wyżej, gdyż futrzak słusznie obrał drogę ucieczki w rejony wyższe, niż sięgał poziom wody. Zastopowałam go w okolicy karku i spróbowałam ściągnąć. Czując, że i ten grunt pod łapami jest niepewny, kot zmienił lokalizację i uwiesił się na gąbce. Szczęśliwie dla mnie sznurek, na którym wisiała, był zbyt delikatny, by utrzymać półrocznego kocurka, i uciekinier znów wylądował w wodzie. Wykorzystałam okazję i przytrzymując go jedną ręką, drugą starałam się namydlić jak największą powierzchnię kota. Szampon weterynaryjny pienił się znakomicie, sprawiając, że kocie łapki ślizgały się po dnie brodzika, co bardzo ułatwiłoby mi zadanie, gdybym się sama w tym brodziku nie znajdowała. Moje stopy ślizgały się równie mocno i w efekcie szybko znalazłam się w pozycji siedzącej, klnąc ukochane portki, których podwinięcie dało mi guzik z pętelką. Nie minęła sekunda, a skłętałam je jeszcze brutalniej, gdy kot uczepił się ich wszystkimi pazurami. Zacisnęłam zęby.



W wodzie coraz wyraźniej widziałam czerwone strużki, jednak wczepiony w spodnie kot był w miarę unieruchomiony i nie wił się jak piskorz. Takiej okazji nie mogłam zmarnować z powodu coraz bardziej czerwonej wody. Wyszorowałam kocie futro, lekceważąc piskliwe protesty, po czym sięgnęłam po prysznic. Doświadczenie i poradniki podpowiadały mi, że najbardziej zażarty bój koty staczają do momentu, gdy są całkowicie mokre i z ulgą pomyślałam, że teraz już będzie z górki. Nie mogłam się bardziej pomylić. Wystarczyło, że delikatny strumień wody z prysznicza musnął koci grzbiet, a mokry stwór wrzasnął jak opętany, wyczepił się z moich spodni i zawisł na wężu, opierając się na uchwycie regulującym temperaturę wody. Wrzasnęłam również i wypuściłam z rąk prysznic. Strumień lodowatej wody prysnął mi w twarz. Gdy odzyskałam równowagę, piekielny kot wisiał na górnej krawędzi prysznicza, usiłując przeleźć na drugą stronę.

Na widok dyndającego na wysokości dwóch metrów kota odzyskałam siły i refleks. Wyłączyłam prysznic i w ostatniej chwili złapałam łapę, która jeszcze była w moim zasięgu. Ściągnęłam delikwenta, wypuściłam wodę z mydlinami i przytrzymując zwierząka między kolanami, odkręciłam prysznic. Kot wyczuł chyba, że stracił przewagę, bo wierzgał z mniejszym przekonaniem i nie darł się tak przeraźliwie. Wykorzystując chwilę słabości przeciwnika, uchylłam drzwi kabiny i sięgnęłam po ręcznik, w który zawinęłam małego diabła. Następnie zrzuciłam przemoczone ciuchy, owinęłam się w drugi ręcznik i przystąpiłam do osuszania kota. Nie miałam złudzeń, że poczeka w ciepłym kocyku, aż futerko dokładnie mu wyschnie. Suszarka ustawiona na letni strumień powietrza okazała się niezbędna. Gdy skończyłam zabiegi upiększające, przede mną siedziała naburmuszona, prychająca i napuszona kulka sierści.

– Wyglądasz jak wyprany w Pervolu – zachichotałam i uchylłam drzwi łazienki. Zgnębiony kąpielowymi torturami, kot rzucił się do miski zagryźć stres. Mi zaś pozostało posprzątanie po potopie w łazience.

Wycierając podłogę, wychwyciłam dźwięk telefonu, jednak zaaferowana koniecznością sprzątnięcia zanim woda przedostanie się pod kafelki, a potem, nie daj Boże, do sąsiadów, zignorowałam dzwonek. Chciałam też jak najszybciej zdezynfekować rany, wokół których zdażyła się już uformować opuchlizna. Klnąc swędzące miejsca, po raz kolejny zadałam sobie pytanie, po kiego diabła z takim uporem broniłam się przed odczulaniami, gdy we wczesnym dzieciństwie zdiagnozowano u mnie alergię na koty. Prawda, wiele dolegliwości z biegiem lat ustąpiło samoistnie, przegrywając nierówną walkę z wieczną ekspozycją na wszechobecny futrzasty alergen. Jednak w chwilach, gdy zagęszczenie zwierząt w domu przekraczało dopuszczalną ilość kota na metr kwadratowy lub w stadzie pojawiał się nowy osobnik, zapuchnięte, łzawiące obficie oczy i uporczywe swędzenie stawały się nie do zniesienia. Wypracowane przez lata mechanizmy obronne sprawdzały się z reguły nieźle, musiały jednak być zastosowane szybko. W przeciwnym razie kilkudniowe swędzenie i ręce podrapane zarówno przez kota, jak i samą siebie miałam jak w banku. Nic dziwnego, że zamiast rzucić się do telefonu, w pierwszej kolejności rzuciłam się do szafki z apteczką, zaopatrzoną w hurtowe ilości wapna i środków dezynfekujących. Wcale zresztą nie byłam pewna, czy osłabiona walką z futrzastym diableciem, mam jeszcze siłę użerać się z osobą wiszącą po drugiej stronie kabla. Wręcz przeciwnie. Całe ciało domagało się samotnego tym razem wejścia pod prysznic i posiedzenia pod strumieniem ciepłej wody.

Po kąpieli zrobiłam sobie kolację i postanowiłam wskoczyć do łóżka. Czas był ku temu najwyższy, gdyż zegar na wyświetlaczu piekarnika pokazał godzinę dwudziestą trzecią dwadzieścia. Tak to się zawsze składa, gdy człowiek wie, że następnego dnia powinien być wyspany i przytomny. Czas zaczyna uciekać, wskazówki zegara podejrzanie przyspieszają i ani się obejrzyś, zostaje niespełna pięć godzin snu. Albo i jeszcze mniej, jeżeli odliczyć czas zmarnowany na rzucanie się w łóżku i liczenie

baranów, które dopiero w okolicach piątej trzody zaczyna przynosić efekty. Na wszelki wypadek postanowiłam iść za radą Lulu i do sypialni udałam się zaopatrzona w kubek naparu z melisy, w którym utopiłam cztery torebki ziółek. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, że to coś da, jednak rozpaczliwa nadzieja na efekt placebo podpowiadała, że lepsza taka metoda niż żadna. Z tą właśnie nadzieją wlałam pod kołdrę i już chciałam umościć się na poduszkach, gdy powstrzymało mnie energiczne prychnięcie.

No jasne, kiedy ja pełzałam ze szmatą po podłodze w łazience, ktoś futrzasty wykorzystał okazję i zakopał się w pościeli tak, że spod kołdry wystawały jedynie koniuszek nosa i ogon.

Zamyślona zapatrzyłam się na widoczne spod pościeli części kota.

– Jak chcesz mieć na imię? – zapytałam. Pertraktacje pokojowe w sprawie podzielenia się przestrzenią w łóżku wymagały dużej dozy delikatności i pewnego stopnia zażyłości, a do tej zwracanie się po imieniu było niezłym wstępem.

Kot nie miał na ten temat sprecyzowanego zdania. Nie był również skłonny do podjęcia dialogu. Wydał z siebie ciche pufnięcie i zakrywając łapkami pyszczek, zasnął głęboko.

– No dobra. Pogadamy o tym jutro – zdecydowałam. Zapaliłam nocną lampkę i wreszcie przypomniałam sobie o telefonie, który miganiem zielonkawej diody sygnalizował nieodebrane połączenie.

Albo i więcej połączeń. Dwa razy Robert, który w końcu zniecierpliwił się i napisał SMS-a z prośbą o podanie adresu, bo chciałby podjechać po mnie kilka minut przed ósmą. Raz Kinga, pewnie z pytaniem, czy po konfrontacji z kotem wymagam interwencji chirurgicznej. Luiza? Nie wiem po co, oddzwonię jutro...

„Albo i natychmiast”, zdecydowałam, bo na widok kolejnego numeru zrobiło mi się gorąco.

Po kiego czorta aż trzy razy dzwonił do mnie Borówa?

„No, Majusia, narozrabiałaś”, mawiał ojciec, gdy przestępstwa wieku dziecięcego przekraczały tolerowany przez niego kaliber. „Czyżbym i tym razem władowała się w kabałę, wymagającą surowego ojcowskiego upomnienia?”, zastanawiałam się nerwowo, przeskakując klawiszami między numerami Luizy i Patryka, niezdecydowana, do kogo z nich zadzwonić. Teoretycznie wielkiej różnicy nie było. Zakładałam, że oboje znajdują się w domu, a wychodzenie do łazienki, by porozmawiać na niewygodne tematy, w przypadku Luizy nie wchodziło w grę. Mając narzeczonego policjanta, Lulu kategorycznie odmawiała udziału w jakimkolwiek kręceniu, twierdząc, że jeśli Patryk o czymś wiedzieć powinien, to dowie się i tak. Jeśli zaś wiedza jest mu do szczęścia niepotrzebna, można mu informacje wyrzesczyć do ucha, a i tak żadnej nie zakoduje. Tym razem bardzo wątpiłam, by zechciał wyświadczyć mi tę uprzejmość i nie zakodować faktu, że dzwonię spietrana do jego narzeczonej w środku nocy, poprzedzającej przesłuchanie na okoliczność odkrytych kilka godzin wcześniej zwłok. Równie dobrze mogłam dzwonić od razu do niego i tylko fakt, że wszystko, co powiem, może zostać wykorzystane przeciwko mnie, sprawił, że jednak wybrałam numer Lulu.

– Kto dzwoni, nie Maja przypadkiem? – usłyszałam stłumione pytanie i nogi się pode mną ugięły. – Daj mi, proszę, telefon.

Ostatnia nadzieja na wyblaganie dyskretnej rozmowy w schowku gospodarczym tuż obok mieszkania prysła, gdy głos Borówy już całkiem wyraźnie odezwał się w słuchawce.

– Cześć, Majka, miło, że oddzwoniasz, choć przypuszczam, że planowałaś pogadać najpierw z Lulu.

Strzał w dziesiątkę.

– Z tobą jestem umówiona na rozmowę jutro rano. – Westchnęłam zrezygnowana. – Właściwie już dzisiaj.

– Pamiętam, ale wyszły na jaw pewne... fakty i wolałbym przedstawić ci je nieoficjalnie. – Borówa zawiesił głos. – Dotyczą twojego dzisiejszego włamania i jego okoliczności.

Okoliczności? Nie wystarczy, że już bez tych okoliczności pocę się jak w saunie? Matko przenajświętsza, co oni tam odkryli? I co z tym ich odkryciem miałam wspólnego ja?

– Majka, nie jest mi łatwo to powiedzieć. – Napięcie w głosie Patryka potwierdziło każdą z moich wcześniejszych refleksji. Żadnych okoliczności znać nie chcę, mogą poczekać do jutra!

Ale Patryk moje chcenie miał w głębokim poważaniu. Być może dlatego, że z powodu wielkiej, kleistej guli w krtani nie byłam w stanie go o tym poinformować.

– Maja – chrząknął. – W ostatnim czasie były problemy, żeby skontaktować się z Olgierdem. Szukałaś go w jakiejś ważnej sprawie, tak Lulu mi wspominała.

– Owszem... – bąknęłam ostrożnie. Co z tym wszystkim miał wspólnego Olgierd? Trzasnął świętej pamięci denata czy co? – Szukałam, ale nie znalazłam. Zaginął w akcji i dotąd nie był uprzejmy się objawić.

– Przykro mi, Maja. – Kolejne ciężkie westchnienie w słuchawce. – Właśnie się znalazł. A konkretnie to ty go znalazłaś. Dziś po południu. Naprawdę bardzo mi przykro. Wolałem powiedzieć ci prywatnie, choć nie do końca jest to zgodne z procedurami. Ale nie chciałem, żeby z zaskoczenia jutro rano zabrali cię na identyfikację zwłok... Majka? Majka, wszystko w porządku? Halo!

„Nic nie jest w porządku”, chciałam wrzasnąć, ale gula w gardle spęczniała, odcinając mi głos i możliwość swobodnego oddychania.



Z jakichś powodów Patryk zażyczył sobie, żebym na przesłuchaniu pojawiła się sama. Przyczyny, dla których wolał nie rozmawiać ze mną i Robertem za jednym zamachem, chyba wyjawiał, jednak powalona wieścią o nagłym, tajemniczym opuszczeniu tego świata przez Olgierda, przyswajałam jedynie informacje powtórzone kilkakrotnie, dużymi literami i po upewnieniu się przez Borówę, że zakodowałam. Z całego monologu Patryka, trwającego przeszło czterdzieści minut, dotarły do mnie dwie rzeczy. Że na komisariacie chce mnie oglądać bez asysty. I że na razie nie powinnam dzielić się z nikim znajomością tożsamości denata. Od informowania o okolicznościach zgonu jest policja i to policja zajmie się rozmową z rodziną.

– Wolę, żeby nie wydało się, kto i w jakich okolicznościach go znalazł – mruknął Patryk. – Informacja, że latałaś po cudzych posesjach i przez przypadek znalazłaś zwłoki byłego męża, nikomu do szczęścia nie jest potrzebna. Jakim cudem padło akurat na ciebie, wyjaśnimy sami.

– Kota, na miłość boską, ściągałam z drzewa – jęknęłam. – Pies sąsiada zapędził rano kota na drzewo. Widziałam to, tylko myślałam, że da radę sam zleźć. A wracając z pracy, zorientowałam się, że siedzi dalej. Co miałam zrobić? Masz mnie za głupią? W życiu bym się tam nie pchała, wiedząc, że ktoś tam leży! A już zwłaszcza Olgierd! Matko, co ja mówię? Przecież gdybym wiedziała, że tam jest Olgierd, ściągnęłabym was wcześniej, zamiast czekać na pretekst w postaci kota na drzewie!

– Taką mam nadzieję – Patryk westchnął. – Majka, słuchaj, problem polega jedynie na tym, że byliście po rozwodzie. Z powodu jego kochanki. Zwłoki leżały blisko twojego domu. Oficjalnie zapytam cię o to jeszcze raz, ale skoro już łamię procedury, ustalmy od razu. Mam nadzieję, że to...

– Masz słuszną nadzieję! – wrzasnęłam jak oparzona, gdyż treść pytania znałam, zanim Patryk je zadał. – Nie, nie rąbnęłam mojego byłego męża! I nie schowałam pod krzaczkiem



w tym pieprzonym ogródku! Po jaką cholere? Za kochankę miał mi płacić dożywotnio alimenty, musiał oddać mieszkanie i sporą część oszczędności! Co ty myślisz, że trzasnęłabym swoje dodatkowe źródło dochodów?!

– Brzydkie te intencje, ale przynajmniej logiczne – Patryk odetchnął z ulgą. – Jeszcze jedno. Chciałbym wiedzieć, co robiłaś w piątek wieczorem. Między siedemnastą a dwudziestą drugą. I kto może to potwierdzić.

– Twoja narzeczona. O szesnastej trzydzieści poszłyśmy na maraton jogi. Potem pojechałyśmy do salonu zrobić paznokcie. A jeszcze później Lulu zafundowała mi sesję terapeutyczną u mnie w domu. I zaświadczy, że nie byłabym w stanie nikogo zabić, bo wlała we mnie za dużo wina. Przypominam ci, że osobiście ją odbierałeś i byłeś bardzo zniesmaczony stanem naszego upojenia. Na jodze widziała mnie cała sala, włącznie z instruktorką, a wracając do domu, weszłam na chwilę do sąsiadki. W domu oglądały mnie też koty moich rodziców. Chętnie poświadczą, że byłam i z Lulu piłam.

– To chwała Bogu – odetchnął Borówa. – Dobrze, Maja. Choć zabrzmiało to absurdalnie, sytuacja wygląda całkiem nieźle. Pamiętaj, na komisariat każdorazowo sama. I oficjalnie się nie znamy.



Nie wiem, skąd Borówa wytrzasnął wniosek, że sytuacja wygląda nieźle. Może miał na myśli moje solidne alibi i fakt, że jako była żona denata nie byłam pierwszą kandydatką w kolejce do prosektorium. Choć znalezione przy zwłokach dokumenty ujawniły od razu tożsamość nieszczęśnika, identyfikację trzeba

było przeprowadzić. Po lekturze raportu, jaki pod stołem pokazał mi Patryk, zmówiłam modlitwę dziękczynną – za to, że jednak nie mnie na tę identyfikację zaproszono. Liczne obrażenia, najprawdopodobniej po potrąceniu przez jadący ze znaczną prędkością samochód, w połączeniu z trzydniowym leżakowaniem pod gołym niebem w upale nie sprzyjały zachowaniu zwłok w dobrym, jak delikatnie określił to Borówa, stanie.

– Wygląda na to, że ktoś go rozjechał, a potem spanikował i ukrył ciało na opuszczonej posesji. Dobrze wybrał. Smród w tamtym miejscu, jak sama mówiłaś, nikogo nie dziwi. Gdyby nie ten twój kot, mógłby tak leżeć jeszcze przez tydzień.

– A potem? – bąknęłam niepewnie.

– Potem poczuliby nawet ludzie pozbawieni zmysłu powonienia – mruknął Patryk. – Nie wiem, może bezpańskie psy albo inne zwierzęta zaczęłyby rozwlekać w kawałkach. Las jest blisko, dziki spacerują u was po osiedlu. Dziki, lisy...

– Czyli wychodzi na to, że ktoś go trzasnął w piątek wieczorem... Trzynastego – stwierdziłam ponuro. – Coś mi nie pasuje. Sprawdzaliście całą tę posesję? Znaleźliście tylko zwłoki?

Patryk, który do tej pory bawił się w zamyśleniu długopisem, zastygł, wpatrując się we mnie badawczo.

– A co jeszcze mielibyśmy znaleźć? – zapytał podejrzliwie.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Z tego, co mówisz, Olgierd zginął w piątek wieczorem. Tuż po wizycie u mnie. Czekał, czekał! – zawołałam, bo oczy Patryka rozbliły niepokojącym blaskiem. – Przyjechał wtedy zabrać resztę swoich rzeczy. Specjalnie umówiłam się z nim na piątek pod wieczór, bo wiedziałam, że będę na jodze. Chyba rozumiesz, nie zależało mi, żeby być wtedy w domu. Wychodząc, miał oddać klucze sąsiadce. I oddał je koło dwudziestej pierwszej. Więc teoretycznie ktoś kropnął go tuż po wyjściu ode mnie. Nie do końca rozumiem, dlaczego z torbami szedł pieszo, przecież

po rozwodzie dostał samochód... I gdzie podziały się te wszystkie rzeczy, które miał przy sobie?

– A jesteś pewna, że miał?

– Na sto procent – powiedziałam stanowczo. – Sprawdziałam, co zabrał, czy czegoś nie zostawił albo nie spakował przez przypadek za dużo. Było tego trochę, sporo ciuchów, kolekcja płyt z jazzem. Sprzęt do tenisa. Wykluczone, żeby zdołał wpakować to wszystko do aktówki.

– Hm. Tyle, że oprócz Olgierda i tego, co znaleźliśmy w portfelu, na terenie posesji nie było nic. Cóż, trzeba będzie poszukać tych rzeczy – mruknął Patryk. – O ile nie pławią się w jakimś bajorku... Ktoś, kto go trzasnął, zgarnął torby i uznał, że trzeba się ich pozbyć. Nie tam, gdzie zwłoki, bo zajęłoby mu to za dużo czasu, a nie chciał być oglądany na tej całej śmierdzącej posesji.

Teoria Borówy brzmiała sensownie. Poza jedną sprawą...

– No dobra, zwłoki tu – zaczęłam ostrożnie. – Reszta rzeczy gdzieś tam rozsiana... A gdzie miał miejsce sam wypadek? Przecież nie tutaj.

– Dlaczego nie tutaj?

– Bo nie. Pomyśl. – Zastanowiłam się przez chwilę. – Ta cholerna uliczka jest kręta, wyboista, z progami zwalniającymi, pozastawiana znakami o ograniczeniu prędkości i terenie zabudowanym. I krótka. Ostatnie miejsce na rajdy autem z prędkością powyżej trzydziestu na godzinę. Jakim cudem w tym właśnie miejscu ktoś zdołał rozpędzić się do szybkości, przy której można zabić człowieka? Jedyne wyjście, jaka mi wychodzi, to taka...

– Że ktoś wziął rozpęd specjalnie – skrzywił się Patryk. – Tylko masz świadomość, że to będzie cholernie trudno potwierdzić. Minęły trzy dni, padał deszcz, w krzaczkach ty szalałaś z sekatorem... Jeździły inne auta. Druga sprawa, że ktoś, kto go kropnął, musiał nieźle znać okolicę. Wiedział, że tamten teren jest zapuszczony, a smród z posesji i rosnące dziko krzaki

zamaskują obecność zwłok. Przynajmniej na tak długo, żeby pozacieraly się ślady. Śmierdzi to wszystko, Majka, śmierdzi okrutnie. Więc bądź uprzejma milczeć na temat każdego słowa, jakie padło w tym gabinecie.

– Tak mi dopomóż Bóg i anieli święci – wymamrotałam. – A co z Robertem?

– Jemu znajomość tożsamości zwłok nie jest potrzebna – uciał Borówa. – Podobnie jak informacja, że naruszam wszelkie możliwe przepisy, bo najlepsza przyjaciółka mojej narzeczonej ma wyjątkowy talent do pakowania się w podejrzone historie. Jezusie, gdybym nie znał cię osobiście, wątpię, czy wyszłabyś dziś z komisariatu.

– Czyli mnie nie zapuszkujesz. – Otwarta deklaracja pozostawienia mnie na wolności brzmiała jak pienia anielskie.

– Na razie nie. Przynajmniej dopóki nie wytniesz kolejnego głupiego numeru. Chociaż, jak znam życie, najlepszą drogą do znalezienia tych rzeczy, które Olgierd miał przy sobie, jest wypuszczenie kolejnego kota na wabia i pokazanie ci go palcem. Ty, Majka, jakimś cudem zawsze znajdujesz się tam, gdzie są kłopoty...

– Albo kłopoty znajdują mnie – powiedziałam rozgoryczona, wstając z krzesła. – Tej wersji, widzę, nie bierzesz pod uwagę.

– Po prostu bądź ostrożna. – Patryk popatrzył na mnie łagodnie. „Przynajmniej z taką łagodnością, z jaką prowadzi się dyskusje z jednostkami o ograniczonej poczytalności”, pomyślałam obrażona. – I pamiętaj, nie rób głupot.

– Nie robić głupot, nie robić głupot – warknęłam zirytowana. – Zapamiętam do końca życia. I wytatuuję sobie na czole, tak na wypadek sklerozy.

– Może jest to jakaś opcja. – Patryk uśmiechnął się. – Umówcie się z Lulu. Też coś przebąkiwała o nowym tatuażu. Choć niekoniecznie w formie życiowego memento. A jak już coś głupiego ci wpadnie do głowy, to dzwoń.

- Na przykład wytatuowanie sobie hasła „Nie cierpię borówek”
- burknęłam i wyszłam z gabinetu.



Wybór tatuażu, którym mogłabym zmanifestować chwilowo nieżyczliwe nastawienie do życia, musiał na razie poczekać. Na razie wyżywałam się artystycznie na kartce papieru, wydartej byle jak z notesu. Coraz wyższy poziom stresu musiał znaleźć ujście, zwłaszcza że czekała mnie dziś jeszcze jedna nieprzyjemna rozmowa.

„Diabli bierz obietnice i nakaz milczenia”, pomyślałam, prosto z komisariatu kierując się w stronę ogrodu botanicznego. Ostrem tempem pokonałam dystans dzielący park i komisariat w niecałe pół godziny. Akurat tyle, ile potrzebował Michał, by wyrwać się z pracy na półgodzinną przerwę na lunch.

Bo w obecnej sytuacji nie było mowy o zatajeniu przed bratem wydarzeń minionego weekendu i jego konsekwencji.

- Robi się coraz ciekawiej - mruknął, gdy siedzieliśmy nad niewielkim oczkiem wodnym. - Olgierd, świeć Panie, zamordowany. I to akurat w chwili, gdy jest tak cholernie potrzebny. Szlag.

Spojrzałam na brata z przerażeniem.

- I ty to mówisz tak spokojnie? Męża mi ktoś zamordował i pochował w śmierdzącym ogródku prawie po sąsiedzku! Na miłość boską, miejże choć odrobinę empatii!

- Czego? - burknął Michał niechętnie. - Byłego męża - podkreślił dobitnie. - Wybacz, Maja, jeżeli do kogoś mam podejść z tak zwaną empatią, to do ciebie. A to wyklucza

emпатиę pod adresem Olgierda. Powiedz mi lepiej, czy oprócz niego coś tam jeszcze znaleźli?

„Coś” było pojęciem bardzo szerokim. Zastanawiając się, o jakie coś chodzi Michałowi, zagapiłam się na małego żółwia, który wyłonił się z wody i leniwym krokiem zmierzał w kierunku kamienia, przy którym siedzieliśmy.

– Dokumenty. Paczkę papierosów i dwie zapalniczki... Niebieskie mentosy i gumę do żucia – wyrecytowałam. – Tych toreb, co miał ze sobą i aktówki nie było. Będą jeszcze szukać, ale Borówa twierdzi, że nieprędko znajdą. Zresztą, jak nawet znajdą, oddadzą rodzinie.

– Więc wypadaloby znaleźć przed nimi – warknął Michał. – Nie mogę, jeszcze mi wyścig z policją do mienia Olgierda potrzebny!

Melancholijnie obserwowałam żółwia, który zastygł na kamieniu i prezentował się światu jako uosobienie zadowolenia z życia. Pozazdrościłam mu beztroski i radości z ciepłego czerwcowego popołudnia.

– Nie wiem, po co i na co. Tu jest wystarczający bałagan, żebym miała ochotę jeszcze szukać jego rzeczy. Kazałeś mi znaleźć Olgierda, to znalazłam, w mordę kopane! Co ja, pies gończy jestem? I tak się cudem wykaraskałam z roli pierwszej podejrzanej! Jak zacznę szukać tych rzeczy, wyląduję w areszcie, zanim zdążę policzyć do trzech!

– To jak zamierzasz znaleźć naszą zgubę? – Michał popatrzył na mnie chłodno. – Przypominam ci, że razem z Olgierdem zaginał klucz babci. Przykro mi, siostra, to nie czas na sentymenty.

Taką wiedzę posiadałam i bez wymądrzania się Michała, choć fakt, że mój były mąż najprawdopodobniej leży teraz w zakładzie medycyny sądowej, uwierał mnie nieznośnie w okolicach sumienia. Tym bardziej że okoliczności wycieczki na tamten świat były w przypadku Olgierda cholernie nieprzyjemne.

– Właściwie to zobacz, jak niewiele brakowało. Odwleklibyśmy rozwód i zamiast rozwódką zostałabym wdową – wymamrotałam



bez sensu. – A może nic by się w ogóle nie stało? Przecież to ja kazałam mu akurat tego dnia przyjechać po rzeczy... No i bez rozwodu w ogóle nie musiałby ich zabierać.

Michał słuchał moich wynurzeń, coraz bardziej zniesmaczony.

– Gadasz, jakby ktoś go kropnął przez ciebie. Sorry, jakby cały ten wasz rozwód w ogóle był przez ciebie. – Mój rozmówca przewrócił oczami. – Majka, bądźmy szczerzy. Jeśli to wypadek, to... no cóż. Wypadki się zdarzają. Ale jeśli ktoś miał go na celowniku, to dorwałby go w innym miejscu i czasie. Więc jedyne, co by mogło się zmienić, to twój stan cywilny. Czyli niewiele.

Święta prawda i sama mądrość płynęły z ust mojego bezdusznego brata. Jakim cudem jako bliźniaczka tego człowieka byłam tak cholernie, beznadziejnie wrażliwa? Z wiecznymi dylematami, kipiącymi z przejmującej się wszystkim dookoła mózgownicy?

– To co ja mam zrobić?

– Iść na pogrzeb świętej pamięci Olgierda. Nie pobić się z Kamilą. Posłuchać rad Borówy. – Michał wzruszył ramionami. – Wszystkich. Nawet ten tatuaż nie jest taki głupi. – Spojrzał na mnie życzliwiej. – Skupisz się na czymś innym, przestaniesz się denerwować... I może pozbędziesz się nałogu bazgrolenia na rękach. Znowu ci kartek zabrakło? Dlaczego nie zaczniesz nosić notesu, kalendarza, smartfona jak cywilizowany człowiek?!

Odruchowo spojrzałam na swoje przedramiona, obficie upstrzone malunkami i notatkami. Na lewym w ramce z kwiatków widniał numer telefonu Roberta.

– Bo nie! – obruszyłam się. – Nie wiem, czego się czepiasz! Najlepszy notatnik! Zawsze pod ręką! I nie zajmuje miejsca w torebce!

– A przy okazji niemożliwy do zgubienia – westchnął Michał. – Masz rację, przy twoim talencie do gubienia wszystkiego – bezcenny. Tak przy okazji, kota, mam nadzieję, nie zgubiłaś? Czy Borówa zarekwirował go jako dowód rzeczowy?

Parsknęłam śmiechem na myśl o efektach ewentualnego zarekwirowania takiego dowodu przez policję.

Po czym natychmiast przestało być mi do śmiechu. Kto wie, jakie konsekwencje pozostawienia bez opieki tego małego tornada czekały na mnie w domu?

Pożegnałam się z bratem, który za dziesięć minut powinien zjawić się z powrotem w firmie i jeszcze przez chwilę posiedziałam na kamieniu w towarzystwie emanującego pozytywną energią żółwia. Może ja też się wyciągnę na kamieniu i poczekam, aż cały ten cyrk zakończy objazdówkę po moim pechowym żywocie?

Nabazgrołony na nadgarstku numer Roberta kuśli niebezpiecznie, by zadzwonić i porównać wrażenia z porannego przesłuchania. W przeciwieństwie do Ewy, miałam jednak świadomość babskich niedociągnięć w kwestii ulegania podszeptom instynktu i skłonności do gadulstwa. Nie ma mowy, żeby podczas posiedzenia w „Hortensji” nie ułało mi się na tematy surowo przez Patryka zabronione. „Może najlepiej w ogóle dzisiaj odpuścić kontakty towarzyskie”, stwierdziłam, wysyłając do Roberta krótką informację, że po wizycie na komisariacie musiałam wrócić do pracy. O charakterze pracy nie wspomniałam ani słowem. Ostatecznie nie musiałam chwalić się totalną klęską, poniesioną wczoraj w konfrontacji z kotem.

Wbrew apokaliptycznym wizjom kotaklizm przybrał rozmiary dość łagodne. Może dlatego, że wychodząc rano, ograniczyłam przestrzeń potencjalnych zniszczeń do terenu sypialni. Na rozniesiony na dywanie żwirek i wywalone do góry dnem miski mogłam przymknąć oko. O przymknięciu nosa na woń dochodzącą z kuwety nie było już jednak mowy, gruntowne wietrzenie mieszkania okazało się niezbędne.

Balkony obu mieszkań były dla naszych kotów dostępne bez ograniczeń. Niewielkie przejście w ścianie dzielącej balkony dawało dużą swobodę i dowolność na wypadek, gdyby podskubywanie goździków po stronie rodziców stało się nudne

i wymagało urozmaicenia w postaci wykopania poziomek, które po mojej stronie ściany rosły w trzech korytkach. Obfitość ulubionych sadzonek dawała możliwość wytarzania się w nich do upojenia zwłaszcza Fidze. Wytarzania, a następnie kontemplowania widoków z wysokiego, brzozowego pieńka, który stał przy balustradzie, spełniając rolę punktu obserwacyjnego i drapaka. O tym, że przytargałam go w celu dekoracyjnym i że miał na nim stać kosz z lawendą, nikt już nie pamiętał. Ważniejsze było, że pieńek spełniał wszelkie warunki doskonałej bazy wypadowej podczas polowań na ptaki.

Czyli poza balustradę, jak przekonaliśmy się pewnego kwietniowego wieczora, gdy Figa wystartowała w kierunku gołębia. Na oczach oniemiałej ze zgrozy matki chwyciła ptaka w locie i razem z łupem poszybowała w dół.

Upadek z drugiego piętra nie spowodował u kota żadnych obrażeń, w przeciwieństwie do gołębia, którego zwłoki znaleźliśmy w miejscu awaryjnego lądowania Figi, gdy ekipa ratunkowa wypadła na podwórko. Figę, całą i zdrową, choć mocno urażoną po niespodziewanym kontakcie z glebą, zastaliśmy w krzakach kilka metrów dalej. I choć wizyta w klinice weterynaryjnej potwierdziła dobry stan fizyczny i kiepski humor kota, decyzja zapadła natychmiast. Należało osiatkować balkon. Oba balkony.

Zainstalowana pięć lat temu siatka sprawiła, że bez zastanowienia wyniosłam kocurka na balkon. O ewentualne skutki przeistoczenia się kota w małpę i ćwiczenia akrobacji nie martwiłam się wcale. Trzy kilo kociego podlotka nie mogło wyrządzić szkód większych niż ważąca dwa razy tyle Myszka, która na siatce wisiała regularnie. Dla świętego spokoju przejście na balkon rodziców zastawiłam donicą z różami i razem z kotem wyszłam odetchnąć od nadmiaru wrażeń. Nie miałam pojęcia, jak ugryźć ten cały kryminalny melanż i nie zgubić wątku miłosnego. O ewentualny atak sklerozy w kwestiach spadkowych martwić się nie musiałam. Determinacja Michała wyleczyłaby mnie z najbardziej zaawansowanej demencji.

„No i trzeba wreszcie nazwać jakoś kota”, przemknęło mi przez myśl w ostatnim przeblysku świadomości, gdyż czerwcowe słońce zamiast natchnienia przyniosło mi lekką senność. Spod przymkniętych powiek rzuciłam jeszcze spojrzenie na kota, który zainteresował się porzuconym przez Myszę pluszowym szczurem, wywleczonym spomiędzy krzaczków poziomki.

„Muszę kupić jeszcze ze dwa takie, bo Mysza upomni się o swoją własność”, kołatało mi w głowie już niemalże przez sen. Z mocnym postanowieniem wykorzystania reszty wolnego dnia na zakupy, przysnęłam na leżaku, obiecując sobie, że to tylko na chwilę...

Chwilka drzemki na balkonie przeciągnęła się nieco. „A nawet więcej niż nieco”, stwierdziłam, zrywając się na równe nogi i pędząc w kierunku drzwi wejściowych, do których ktoś od kilku minut intensywnie się dobijał. W przelocie zerknęłam na zegar. Ratunku, wpół do piątej! A ja się głupia dziwię, że twarz mnie piecze po trzech godzinach snu na balkonie od południowej strony!

Nie do końca przytomna otwierałam Luizie, która z zaniepokojonym wyrazem twarzy kolejny raz szykowałą się do naciśnięcia dzwonka.

– No nareszcie! – zawołała z ulgą. – Wariatka! Już się wystraszyłam, że Patryk miał rację!

– Że niby co? – wybełkotałam, natychmiast przytomniejąc. We wszystkich hipotezach Borówy na temat śmiertelnego zejścia Olgierda z pewnością plątałam się aż w nadmiarze. – Co znowu Patryk wymyślił?

– Że jeśli faktycznie rąbnęłaś Olgierda, na pewno spróbujesz zwać! Z tym nowym facetem! I z kotem! Co to znowu za facet, Majka, ja sobie żadnych tajemnic nie życzę! Okoliczności są zbyt sensacyjne!

Z tym ostatnim byłam skłonna zgodzić się bez dyskusji. Sensacyjne okoliczności zaczynały mi wprawdzie wychodzić bokiem i na myśl o kolejnym maglu zrobiło mi się słabo, ale

zatrzaśnięcie przyjaciółce drzwi przed nosem nie wchodziło w grę. Zwłaszcza że przyblokowała je wielką torbą z zakupami. Nie pozostało mi nic innego, jak wpuścić Lulu do mieszkania i zatargać ciężary do kuchni, a w razie nadmiernych nacisków odmówić zeznań.

– Dla mnie eklery z polewą czekoladową – sapnęła Luiza, grzebiąc w torbie. – Nie patrz tak, dla ciebie mam kokosanki. Reszta dla kota, prezent na... pępkowe? – Przyjaciółka spojrzała na mnie z wahaniem. – Tu chyba obowiązuje jakaś inna nomenklatura?

– Udomowiny. – Westchnęłam, zagładając jej przez ramię. – Dzięki, bo ja na zakupy już chyba dziś nie zdążę. Zesłabiło mnie po tym wszystkim.

– Wcale się nie dziwię – mruknęła Lulu, wypakowując puszki z kocią karmą. – To do lodówki wsadzę, tylko powiedz gdzie. I zjedz coś, na litość boską, bo wyglądasz, jakbyś miała zemdleć – przyjrzała mi się z troską.

Bez protestu machnęłam ręką w kierunku jednej z szuflad w lodówce i sięgnęłam po kokosanki. Uczucie słabości po balkonowej drzemce jeszcze mnie nie opuściło i kazało poszukać miejsca siedzącego. Klapnęłam na taborecie, obserwując poczynania Luizy, która dla odmiany prezentowała przedziwną odmianę ADHD, miotając się między lodówką, kuchenką a szafką z filiżankami. Coś musiało solidnie ją zdenerwować. Miałam tylko nadzieję, że nie są to wnioski na temat mojej działalności morderczej, jaką w toku ekspresowego śledztwa mógł wymyślić Borówa.

Bez względu na okoliczności, które wyprowadziły moją przyjaciółkę z równowagi, Luiza w pierwszej kolejności zapragnęła skorzystać z dobroczynnego wpływu, jaki na stan nerwów człowieka mają podobno koty.

– No i gdzie masz tego stwora? – dopytywała się, kręcąc się nerwowo po mieszkaniu i grzechocząc rudawą myszką. – Chętnie wręczyłabym prezenty osobiście...

- Na balkonie. Nie tylko mnie się przysnęło... Oboje mieliśmy wczoraj ciężki dzień.

- No, ja nie wiem. - Luiza spojrzała na mnie z powątpiewaniem. - Z parkingu widziałam coś dużego, wyglądało na zawieszony w powietrzu nad twoją balustradą... Łapy rozcapierzone, zakładam, że to był kot, ale który? Swoją drogą, podziwiam cię, że wytrzymujesz w tej izolatce. Czy poza kocim bezpieczeństwem to ma jakiegokolwiek plusy? Bo ja dostrzegam tylko świetne warunki do rozwoju klaustrofobii.

- E, przesadzasz. - Wzruszyłam ramionami, sięgając po kolejne ciastko. - Ptaki nie wlatują na balkon i ryzyko zapaskudzenia prania spada do zera. Koty się opalają, ja się opalam... Czasem jakiś kot zawiśnie na siatce i mam frajdę, obserwując głupie miny ludzi na dole - zachichotałam, gdyż reakcje przechodniów na uwieszony w powietrzu kota wprawiały mnie zawsze w znakomity nastrój. Delikatnej, wykonanej z jasnego tworzywa siatki nie sposób było dostrzec, dzięki czemu zasłynęliśmy na osiedlu jako właściciele lewitujących zwierząt. - Zobacz sama. Ja zrobię kawę.

Nie przewidywałam zbyt widowiskowego show, przekonana, że intensywne słońce również na kota podziałało rozleniwiająco, zwłaszcza że znikąd nie dochodziły odgłosy skrzeczenia srok, często wysiadujących na latarniach wzdłuż chodnika i podnoszących poziom adrenaliny siedzącym w domach zwierzętom. Jedna szczególnie upodobała sobie lampę pod moim balkonem i co rusz podfruwiała do balustrady, prowokując sfrustrowaną kocią ferajnę. Również najnowszy członek stada nie uszedł jej uwadze. Zirytowany podlatującym do siatki ptaszyskiem futrzak od czasu do czasu ponawiał wyskoki w kierunku barierki. W pełni ufałam siatce i jedynie głośnie łubudu mobilizowało mnie do otwarcia powiek, gdyż było wyraźnym sygnałem, że kot kolejny raz wystartował, odbił się od zapory i wylądował z głośnym hukiem wśród doniczek. Do mnie należało ustalenie, z których kwiatków będzie go trzeba obierać, względnie, czy doniczka wytrzymała kontakt z kocim tyłkiem.



Cztery czy pięć podejść do lotu i widowiskowe lądowanie w roślinkach znudziły wreszcie obie strony. Sroka oddaliła się w nieznane rejony, zaś kot powrócił na pień i pograżył się w rozmyślaniach nad sposobami sforsowania siatki. Panujący dość długo spokój pozwolił mi wreszcie zasnąć, aż do chwili, gdy do drzwi zaczęła dobijać się Lulu. Ja wstałam, kot nie, zdziwiłam się zatem, gdy po kontemplacji siatkowego wynalazku Lulu wróciła do kuchni, kiwając z uznaniem głową.

– Nie sądziłam, że to takie mądre – pochwaliła. – Zwłaszcza że ten kotek naprawdę jest skoczny. Jak tygrysek w Kubusiu Puchatku.

– Bryka jeszcze? – zdziwiłam się, bo na balkonie panowała cisza. O awaryjnym lądowaniu w doniczkach nie mogło być zatem mowy.

– Wskoczył na pień – zaraportowała Luiza. – Gdyby się z niego wybił, lot na drugą stronę miałby koncertowy.

– Właśnie dlatego ma barykadę. – Uśmiechnęłam się zadowolona.

Luiza wzięła ode mnie kubki z kawą i ruszyła z powrotem na balkon.

– Ale nie mówiłaś, że masz dwa małe kotki.

Zastygłam w połowie nakładania ciastek na talerz. Czyżby mój kot się sklonował? Chyba że dostąpiliśmy zaszczytu odwiedzin gościa z mieszkania obok, choć nie bardzo wiedziałam, jak mógłby się u mnie zmaterializować. Dziura w ścianie była zastawiona, ale i kocie zdolności w zakresie przeciskania się przez dziury były imponujące.

– Ja mam jednego, ale mógł przeleźć któryś od rodziców – wyjaśniłam. – Widziałaś srebrzystego grubaska czy małą czarną z długim futrem?

– Małe się zgadza – przyznała Luiza. – Ale kolor raczej szary i taki jakby... brudnawy...

To wszystko wyjaśniało.

– To zabawka Myszy, przywlokła i teraz młody się bawi. I nie jest brudnawa, tylko maksymalnie utyłana, bo Mysza zdażyła ją zawlec w każdy niemożliwy do sprzątnięcia kąt mieszkania. Ostatnio wycierała kurze za komodą. Gdzie ten pluszak jest teraz?

– Na twoim leżaku. Pewnie dlatego się pomyliłam, naprawdę wygląda, jak małe zwierzątko.

Wzruszyłam ramionami i wzięłam talerz z łakociami, których nie zdażyłyśmy jeszcze pożreć. Pogoda zachęcała do siedzenia na balkonie, więc wyprawiwszy przyjaciółkę z kawą, zastanowiłam się, gdzie mogłam upchnąć matę, na której zazwyczaj siedziałyśmy. Mglisto skojarzyła mi się szafa w przedpokoju, jednak nie miałam szansy zweryfikować przypuszczeń. Przystopował mnie przeraźliwy wrzask.

Upuszczony talerz szczęśliwie wylądował z powrotem na stole, od którego nie zdażyłam odejść zbyt daleko. Jak dla mnie, mógł nawet roztrzaskać się na podłodze. Jedyne, co interesowało mnie w tej chwili, to powód, dla którego Luiza wydała z siebie mrozący krew w żyłach wrzask. Przeskakując nad kocią miską, pognałam do przedpokoju.

W pierwszej chwili nie byłam w stanie dostrzec, co dokładnie się stało, gdyż w przejściu między kuchnią a przedpokojem stała Luiza, która wrzasnęła raz, a potem zastygła, wpatrzona w coś kotłującego się na dywanie. Kubki z kawą przytomnie odstawiła na szafkę. Na dywanie przywarował zjeżony kot z dzikim spojrzeniem wbitym w róg przedpokoju. W ten sam punkt wpatrywała się Lulu, przywodząc na myśl ofiarę, która znalazła się w zniecka w potrzasku i nie ma pojęcia, jak ocalić skórę. Chwilę trwało, zanim zdołałam wyperswadować wyobraźni wizję własnego kota jako tygrysa-ludojada, bo dziwne było, że i tygrys, i ofiara gapili się w tym samym kierunku.

– Cholera ciężka! – wyrwało mi się, bo na dywanie dostrzegłam kłęb czarnych i białych piór, uwalanych czymś czerwonym. „Jeden zero dla kota”, pomyślałam histerycznie, gdy dotarło do mnie, że w przedpokoju spoczywają zwłoki

wrednego ptaszyska. „Figa będzie niepokieszona”, stwierdziłam jeszcze, zanim kolejny wrzask, tym razem chóralny, rozdarł powietrze.

Zdezorientowany naszymi krzykami kot oderwał wreszcie wzrok od ofiary, niepewny, czego w tak ważnym momencie możemy od niego chcieć. Sekundy kociego rozkojarzenia zostały wykorzystane przez ptasie zwłoki, które nagle cudownie ożyły i z niespotykanym jak na nieboszczyka wigorem wystartowały w stronę balkonu. W ostatniej chwili złapałam myśliwego, który ruszył za uciekającą ofiarą.

– Zamknij balkon, na miłość boską! – wrzasnęłam do Lulu, usiłując utrzymać łapy wierzgające bez opamiętania we wszystkich kierunkach. Dopiero gdy drzwi balkonowe zostały zatrzaśnięte, z ulgą wypuściłam wyrrywającego się kota, który natychmiast ruszył do okna. Tam zatrzymał się, waląc łepetyną w szybę.

– Matko, co to było? – wyjęczała Luiza po kilku minutach potrzebnych na złapanie oddechu.

– Kotek... polował... – wyjaśniłam słabo, bo nadal nie mieściło mi się w głowie to, co przed chwilą widziałam.

– Majka, ta siatka na pewno ma tak działać? Kota na zewnątrz nie wypuszczać, a ptaki do środka tak? Coś mówiłaś, że ptaki nie srają na pranie, więc nie rozumiem. Jak ona tu weszła?

No właśnie, jak?

Zignorowałam protesty i zamknęłam kota w sypialni. Potem obie wyszłyśmy na balkon, by spokojnie przyjrzeć się siatce. A raczej wielkiej wyszarpanej dziurze w samym jej środku.

– Ciekawe, czyja to robota? – mruknęła Luiza. – Kota czy sroki? Jak sroki, to głupia. Prosto w paszczę lwa... E, kota. Samobójczyni.

– Nie samobójczyni – sprostowałam. – Raczej naiwna. Tak jak ty dała się nabrać, że ten brudny pluszak to mały kociak. Sroki polują na kocięta.

– Co za potwory! – oburzyła się Lulu. – Trzeba mu było ją zostawić!

– Zwariowałaś? Jeszcze by mi kota czymś zaraziła! I tak mam tu dość do sprzątanania – stwierdziłam zła, patrząc na walające się na dywanie resztki piór.

Bliska znajomość z lekarzami weterynarii owocowała między innymi wiedzą na temat środków odkażających i miejsc, gdzie można je kupić. Na wypadek kotastrof o charakterze gastrycznym lub jelitowym, butelkę rozcieńczonego Virkonu trzymałam w stałej gotowości pod zlewozmywakiem. Zapierając krwawe ślady, przyglądałam się ukradkiem Lulu, której antrakt z polowaniem na sroki nie zajął na długo. Wróciła do nerwowego dreptania po mieszkaniu z talerzykiem pełnym ciastek. Nie miałabym nic przeciwko, gdyby nie fakt, że plątała się również po pranym dywanie i kilkakrotnie wlaźła mi na rękę.

– Usiądźże wreszcie! – warknęłam. – Nie mogę wytrzymać, jak tak latasz!

Luiza zatrzymała się zdezorientowana.

– Niby dlaczego? – spytała ostrożnie.

– Bo nie! – burknęłam ze złością, bo na bardziej inteligentną odpowiedź zabrakło mi weny. Głupio mi było przyznać, że jestem wściekła, bo moja dotychczasowa oaza spokoju sama kręci się w kółko i zamiast czerpać z jej opanowania, będę musiała tym razem wystąpić w charakterze terapeuty.

Luiza przez chwilę spoglądała na mnie z wyrzutem, po czym posłusznie usiadła na szafce z butami. Tuż obok natychmiast zmaterializował się kot, który odżałował już utratę zdobyczy i postanowił wykazać się większą empatią. Wskoczył Lulu na kolana i zakręciwszy kilka ósemek, rozsiadł się wygodnie, domagając się głaskania.

Zrobiło mi się głupio. Przerwałam szorowanie dywanu i postanowiłam wziąć dobry przykład z kota.

– Coś jesteś nieswoja. Też cię ktoś wplątał w morderstwo?

Luiza zaśmiała się nerwowo.

– Morderstwo? Nie, jeszcze nie. Ta przyjemność dopiero przede mną. Ale coś mi mówi, że to ja będę ofiarą.

Znieruchomiałam. Czyżby epidemia kryminalnych wydarzeń rozszerzyła się na inne osoby z mojego otoczenia?

– Tak? – zachęciłam Lulu do dalszych wynurzeń.

– On mnie zabije – usłyszałam ponurą odpowiedź. – Znaczy się, Patryk.

Informacja zabrzmiała szokująco. Zakochany od pięciu lat, wciąż tak samo rzetelnie, Borówa był ostatnią osobą, którą posądziłabym o chęć zamordowania Luizy. Może poza drobnymi incydentami w związku z tendencją Lulu do nieprawidłowego parkowania. No i swobodnej interpretacji znaków drogowych, która często kończyła się groźbą wlepiania mandatu, a w praktyce pouczeniem od drogówki i ciągiem dalszym pouczenia, jakim częstował Luizę w domu Patryk. Co mogła wywinać tym razem?

Instynkt mnie nie mylił. Westchnąwszy kilkakrotnie, Luiza zdecydowała się wypowiedzieć z drogowych grzeszków.

– Pamiętasz tego nissana, którego kupiliśmy w salonie na Obornickiej?

Nie dało się nie pamiętać. Stanowił obiekt marzeń jeżdżącej starym golfem Lulu i gdy na trzydzieste piąte urodziny Patryk wręczył jej kluczyki do upragnionego auta, temat wyższości nissana nad każdą inną marką pojawił się w sposób nieunikniony. Podobnie też pojawiły się zwiększone wydatki na paliwo – Lulu bowiem raz wsiadłszy za kierownicę, jeździła dla samej przyjemności jeżdżenia, choćby w grę wchodziła jedynie rundka po osiedlu. Z tym, że osiedle Luizy było większe niż moje i objechanie go uszczuplało zapasy w baku.

– Co z tym nissanem?

Ani chybił coś strasznego, bo na samą myśl Luiza zaczęła

głaskać siedzącego na kolanach kota dwa razy szybciej.

– Przywaliłam – wyszeptala, przygryzając wargi. – Rozwaliłam reflektor i kawał zderzaka z przodu. Jeździć w takim stanie się nie da, musiałam odstawić do warsztatu. I modłę się, żeby zadzwonili do mnie, a nie do Patryka, którego dane jako nabywcy są w systemie.

– Ojoj – zmartwiłam się. Nie dość, że pozbawiona ukochanego auta, Luiza po kraksie miała bardzo mocne podstawy, by obawiać się o własne zdrowie. Niekoniecznie fizyczne, ale kto wie, czy truciem i pouczeniami Patryk nie zrujnuje jej tego psychicznego? Szczególnie, że domyślałam się, z czyjej winy doszło do kolizji.

– W co? – zapytałam tylko.

Lulu na samo wspomnienie skrzywiła się boleśnie.

– Żelazny płot na posesji Justyny. Justa wyjechała z chłopakiem na weekend i prosiła, żebym zajrzała, czy w domu wszystko w porządku. Pojechałam w sobotę wieczorem. Przez cały dzień zasuwiałam w salonie, byłam wykończona. No i jak od nich wyjeżdżałam, skręcałam trochę na pamięć...

– Czyżby się okazało, że po trzydziestce pamięć już nie ta?

– Ani pamięć, ani refleks...

– A płot?

– Co płot?

– Ocalał?

– Nie jest nawet draśnięty, niech go rdza zeżre – burknęła Lulu z urazą. – Auto mi tak poharatał, a sam stoi jak Sfinks na pustyni!

Cóż miałam powiedzieć? Cisnęło mi się wprawdzie na usta, że na skręcaniu, cofaniu i innych manewrach na pamięć nikt jeszcze dobrze nie wyszedł, chyba że był wyjątkowo głupi, bo takim podobno szczęście sprzyja. Życie poskąpiło mi talentu do pocieszania ludzi i teraz szukałam nerwowo słów, które choć



odrobineę podniosłyby Lulu na duchu.

– Aż tak źle być nie powinno – bąknęłam. – Samochód masz na gwarancji, więc zrobią w serwisie bez problemu. Dostałaś auto zastępcze?

Luiza machinalnie skinęła głową.

– Jakie?

– Tam stoi, przed twoim wejściem. – Machnęła ręką w kierunku okna. – Obok żółtej corsy, zaraz pod drzewkiem.

Dopytując o auto zastępcze, miałam na myśli jedynie pocieszenie przyjaciółki, jednak ciekawość, jakież to samochody można dostać na czas naprawy własnych, kazała mi wyjrzeć na balkon.

– Przytrzymaj młodego – rzuciłam i na tyle, na ile pozwalała mi siatka, wychyliłam się przez barierkę.

Między drzewkiem a żółtą corsą stał czerwony nissan micra w najnowszej wersji. Identyczny jak prezent od Borówy, otrzymany przez Luizę na urodziny. Z niedowierzaniem wytrzeszczyłam oczy. Trzeba trafu, by dostać auto zastępcze, które doskonale udaje odstawioną do warsztatu własność! Zwłaszcza w sytuacji, kiedy do odstawienia nie można się za skarby świata przyznać nadmiernie dociekliwemu partnerowi.

– Z czego ty robisz, dziewczyno, problem? – wrzasnęłam do Lulu. – Przecież to takie samo auto!

W udręczonych oczach Luizy błysnęło coś na kształt nadziei.

– Naprawdę tak myślisz? – jęknęła, przytulając kota. – Też mi się tak wydawało, ale znasz Patryka. On nawet jak nie wie, to i tak wie...

„A przynajmniej potrafi to człowiekowi skutecznie wmówić”, pomyślałam niechętnie, przypominając sobie świdrujące spojrzenie Borówy i ogarnęła mnie złość.

– Bez przesady, jasnowidzem nie jest – prychnęłam. – Owszem, wybitnie kojarzy fakty, myśli logicznie i potrafi

wycisnąć zeznania, ale w to, że posiada zdolności paranormalne, nie uwierzę!

– Dlaczego?

– Bo nie! – warknęłam i dopiero widząc wystraszone spojrzenie Luizy, nieco się zreflektowałam. Czym prędzej chwyciłam z talerza kokosankę, żeby zapchać się ciastkiem, zanim palnę coś naprawdę głupiego.

– Przepraszam – mruknęłam po dwóch kolejnych. – Od piątku jest jakiś totalny armagedon, ja już nie panuję nad sytuacją. Ani nad sobą.

Luiza nareszcie przypomniała sobie, że to mnie o mały włos ominęło wdowieństwo. Pocieszona bliźniaczym podobieństwem samochodów była bardziej skłonna skupić się na moich problemach.

– Obie musimy odreagować – stwierdziła stanowczo. – I już nawet wiem jak.

Parsknęłam śmiechem, bo znałam ciąg dalszy.

– Nie, nie zrobię sobie tatuażu z żadną mądrą maksymą po łacinie. Jak będę potrzebowała, poczytam z twoich pleców.

– Dlaczego nie? To naprawdę pomaga zachować równowagę.

– Bo nie – po raz kolejny stanowczo zaprotestowałam.

– Widzę, że to ostatnio twoje motto życiowe – mruknęła Luiza z urazą. – „Bo nie!”. Deklaracja światopoglądowa Mai Kostrzewskiej.

– I to mogę sobie wytatuować – oznajmiłam. – A także wizerunek zrzędlivego kota.

– „Grumpy Cat”? – Lulu z niedowierzaniem popukała się w czoło. – Ten kot z wredną miną, który robi furorę w internecie?

Wzruszyłam ramionami.

Niemniej pomysł odwiedzenia salonu tatuażu kusił mnie od chwili, gdy poznałam Luizę, która tatuaże traktowała trochę jak nową parę butów, czyli konieczność w przypadku męczącej chandry. Jedyne dzięki pogodnemu podejściu do życia i rzadkim epizodom złego nastroju nie przypominała jeszcze wielkanocnej pisanki. Nie zamierzałam inspirować się nią w aż takim stopniu, jednak myśl o ozdobieniu ciała nęciła mnie od dawna. Nie zrealizowałam jej tylko dlatego, że nie miałam pojęcia, z jakim tatuażem byłabym skłonna nosić się do końca swoich dni.

Jeżeli nie istniało zagrożenie spięcia z Borową na tle drogowym, inne problemy dla Luizy nie istniały.

– W tym studiu, do którego chodzę, jest świetny facet – wymruczała, wchodząc w duet z pomrukującym na kolanach kotem. – Ma genialne pomysły, rzucisz mu temat i coś zaprojektuje. W ogóle ma wyczucie. Patrzy na ciebie i wie, co będzie do ciebie pasowało.

– Będzie ci łyso, jak zasugeruje portret kota zrzędy. – Uśmiechnęłam się złośliwie. – Albo czekaj! Wiem, wezmę jako wzór młodego! Śliczna kocia mordka ze spojrzeniem bandyty, ideolo!

Lulu przerwała głaskanie kota i uniosła go nieco, kontemplując opisany przeze mnie, charakterystyczny typ urody.

– No coś w tym jest, że bandyta. Sroka by potwierdziła... Majka, ty do końca życia będziesz tak na niego wołać? „Młody” albo „bandyta”? Bo ja bym się obraziła. Nawet pomimo tatuażu.

– Nie bardzo mam pomysł – wyznałam. – Wiem, że powinnam go ochrzcić, ale przez ten cały cyrk wena mnie opuściła.

– Thor! – podsunęła Lulu, nawiązując do czytanej przez nas namiętnie mitologii nordyckiej. – Stopień bojowości i zادیorności się zgadza.

Pomysł wykorzystania nordyckich mitów spodobał mi się, jednak widziałam lepszego kandydata na ojca chrzestnego mojego kota.

– Nie ma mowy! Będziesz miał na imię Loki – poinformowałam futrzaka, który słuchał naszych propozycji z rosnącym zainteresowaniem. – Był taki złośliwy bóg, któremu kochająca żona próbowała wyprostować wredny charakter. Bardzo liczę, że może ty z miłości do mnie też dasz się wychować i będę cię mogła wykąpać bez zagrożenia życia. O wizytach u weterynarza nie wspomnę...

– A potem będzie Ragnarok – westchnęła filozoficznie Luiza.

I zanim zdążyłam trzasnąć ją w głowę, ulotniła się, zostawiając mnie z mętlikiem w głowie, miliardem niesprecyzowanych pomysłów na tatuaż, boskim kotem i niedopranym dywanem.

„Dobrze, że chociaż ciastka zostawiła”, pomyślałam i wróciłam do szorowania dywanu.



Wbrew błagalnym modłom, jakie wznosiłam, ilekroć na wyświetlaczu komórki pojawiał się numer Michała, pomysł trwałych kolorowanek na ciele nie był w stanie oderwać mojego brata od awantury wokół babcinego spadku. Zainteresował go, owszem, jednak w kategoriach czysto praktycznych.

– Proponuję na lewym przedramieniu – zasugerował życzliwie.  
– Coś dużego i kolorowego. Przestanieś bazgrolić na skórze i nie będę musiał się za ciebie wstydzić.

Zgrzytnęłam ze złością zębami i policzyłam do trzech, żeby

w ramach odpowiedzi nie obiecać bratu mordobicia. Okazało się, że niepotrzebnie. Wygłosiwszy sugestię co do miejsca i charakteru tatuażu, Michał powrócił do ukochanego tematu. I drażył go tak długo, aż wykończona marudzeniem, logicznym argumentowaniem i szantażem o podłożu irracjonalnym zgodziłam się pod koniec czerwca zamknąć na kilka dni kwaciarnię. Kilkudniowy wyjazd do rodzinnego domu babci Irenki może nie mógł równać się z wycieczką na Majorcę, ale sama przed sobą przyznałam, że każda zmiana otoczenia dobrze mi robi. Gdyby nie majaczące na horyzoncie kryminalne afery, pewnie zaprotestowałabym z oburzeniem przeciwko odrywaniu mnie od obiecującej znajomości z Robertem, jednak romansowanie w otaczającym mnie wariactwie nie miało siły przebicia. Zamiast trzymać się kurczowo księcia z bajki, doszłam do wniosku, że rozwiązując sprawy rodzinne, zyskam przestrzeń potrzebną do ułożenia życia prywatnego. Na chwilę obecną nie nadawałam się do tego totalnie. Z głową wiecznie zaprzątniętą wrażeniami, jakich dostarczali mi na zmianę Michał z Borową, dla trzeciego faceta nie umiałam wygospodarować ani odrobiny wolnej przestrzeni. Takiej zaśmieconej nieudanym małżeństwem, morderstwem eksmałżonka i awanturą wokół zaginionej części spadku absolutnie dla Roberta nie chciałam. Przed wprowadzeniem go do swojego życia należało bezwzględnie ten bałagan posprzątać.

W przeciwieństwie do mnie Robert trwał w przekonaniu, że nic tak dobrze nie wpływa na budowanie wzajemnego zaufania jak możliwość posłużenia ukochanej kobiecie wsparciem i trwanie przy niej na dobre i na złe. O rozmiarach tego złego nie do końca miał pojęcie, gdyż – zgodnie z obietnicą złożoną Borówie – nikomu poza Michałem i Luizą słówka nie pisnęłam na temat tożsamości znalezionych w poniedziałek zwłok. Kataklyzm, jaki zwałił mi się na głowę, zredukowałam na potrzeby Roberta do śledztwa w sprawie bliżej nieznanego denata oraz mgliście nakreślonych problemów rodzinnych, które zmuszają mnie do wyjazdu na kilka dni.

I tu napotkałam opór.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł teraz wyjeżdżać – stwierdził Robert w czwartek rano, kiedy udało nam się okiełznać sensacyjne okoliczności do tego przynajmniej stopnia, by normalnie udać się do pracy, wykroiwszy kilka minut na krótkie spotkanie w stałym miejscu. – Rozumiem komplikacje rodzinne, ale jak policja odniesie się do komplikacji wynikających z opuszczenia przez świadka miejsca zamieszkania?

Wzruszyłam niechętnie ramionami. Póki co policja nieufnie odnosiła się do naszego płątania się wokół upiornej posesji, która po ogrodzeniu policyjną taśmą i zajęciu terenu przez stado śledczych stała się głównym obiektem zainteresowania mieszkańców okolicznych domów oraz gapiów. Już gapie wywoływali nerwowy grymas na twarzach przeczesujących teren policjantów. Na widok świadków, być może powiązanych z morderstwem i pałających się na wyraźne polecenie komisarza Borowiaka na wolności, grymasy na twarzach śledczych przeobrażały się w silny szcękocisk. Jedno było pewne. Debaty tuż obok posesji, uskuteczniiane na oczach podejrzliwie spoglądającej na nas ekipy policyjnej, należało jak najszybciej przenieść w bardziej dogodne miejsce.

Pomysł nasuwał się sam.

– Nie żebym się wprasał, ale chętnie odwiedziłbym kotka – zasugerował Robert. – Może sobota po południu?

Bardzo chętnie zgodziłam się na spotkanie, tym bardziej, że nadszedł moment, kiedy wykończona pracą sześć dni w tygodniu i dobita awanturami kryminalno-rodzinnymi zapragnęłam wreszcie urlopu. Zamierzałam zainaugurować go z przytupem, umówiwszy się z Luizą na sobotni poranek w studiu tatuażu. Wieczorem mogłam podejmować gości.

Taki układ pasował wszystkim, zatem umówiwszy się na sobotnie popołudnie z Robertem, pognałam do kwaciarni, by choć odrobinę w tym całym szaleństwie poudawać, że jednak pracuję.





Sobotni poranek zastał mnie w nastroju znacznie mniej bojowym, niż zapowiadałam to Luizie i Michałowi jeszcze poprzedniego wieczoru. Trudno było się cieszyć z rozpoczynanego właśnie urlopu, głównie dlatego, że nawet z moją skłonnością do improwizacji i niechęcią do nudnej, zaplanowanej egzystencji, zwyczajnie zaczęłam się bać. Co przyniesie ten wyjazd z Michałem, zaplanowany na wtorek i na całe szczęście pobłogosławiony przez Borówę? I co wyniosę na skórze ja sama po wizycie w salonie tatuażu w towarzystwie zbzikowanej Luizy? W sobotni poranek pewnie jeszcze nic poza pomysłem na wzór, ale już w poniedziałek... Listę tego, co chcę i czego nie chcę, starannie przygotowywałam od kilku dni, przy czym ta druga była nieporównywalnie dłuższa i obejmowała nie tylko kwiatki, ptaszki i motylki – względnie sentencje w starożytnych językach – które upodobała sobie Luiza.

– Ja cię podziwiam, cały ten melanz dookoła, a ty się zastanawiasz, jakie wzorki sobie zafundować. – Pokręcił głową Patryk. Byłam zmuszona poinformować go o problemach spadkowych, w celu wydebienia zezwolenia na wyjazd. – Chociaż właściwie pomysł był mój.

– I nie taki głupi – wtrąciłam. – Daj spokój, przynajmniej jakaś odskocznia. Od myślenia wyłącznie o Olgierdzie, testamencie babci i tym, co może jedno z drugim łączyć, można oszaleć w rekordowym tempie. Kot i dziwne pomysły z tatuażem trzymają mnie przy zdrowych zmysłach.

– To dobrze z tymi zdrowymi zmysłami, bo na wyjazd dostaniesz zadanie domowe – mruknął Patryk, wpatrując się we

mnie z uwagą.

Na myśl o dodatkowych rozrywkach zaleconych przez policję spociałam się bardziej niż podczas jazdy pozbawioną klimatyzacji komunikacją miejską, która w piątkowe popołudnie dowiozła mnie na komisariat.

– Czego ty znowu ode mnie chcesz? – jęknęłam. Znałam to świdrujące spojrzenie i pełną znaków zapytania ciszę, która siedzącego naprzeciw Borówy delikwenta wciskała w krzesło z mocą zgniatarki. Nie było siły, zaraz miałam usłyszeć coś, co przygniatało jeszcze skuteczniej i razem z siedzeniem wciskało w podłogę.

– W większości przypadków takie morderstwa nie dzieją się bez przyczyny – wymruczał Patryk, bawiąc się długopisem. Z jakichś powodów budowanie napięcia i rozwlekanie wstępu w nieskończoność stanowiły jego ulubioną rozrywkę. – Ktoś ma powód, ofiarę zna... Najczęściej również nie lubi. Przydałaby się lista takich osób z waszego otoczenia. Kilka lat wspólnego życia z pewnością pozwoliło ci coś ciekawego zaobserwować. Chciałbym wiedzieć coś o tych nielubiących. Gdybyś była tak miła...

Nielubiących? W ostatnim czasie na pierwszym miejscu to ja sama, witamy w gronie podejrzanych... Za nic jednak nie miałam ochoty się wkopać. Co ja mówię, ani siebie, ani krewnych i znajomych, którzy skłębiliby mnie na czym świat stoi, wiedząc, że rzucam ich na żer Patrykowi.

– Personalia? – zapytałam rozpaczliwie. – Cały życiorys, referencje zawodowe? Życiowe motto? Co ty tam chcesz?

Patryk uśmiechnął się pod nosem.

– Personalia mi wystarczą, resztę odpracuję sam – mruknął przymilnie. – Jeszcze powód ewentualnej antypatii. Chciałbym skonfrontować z własną wiedzą.

– Z tym chyba poradzisz sobie bez problemu. Spora część towarzystwa to nasi wspólni znajomi. Powiedz, kogo już postanowiłeś przymknąć, a ja zweryfikuję. Będzie szybciej.

– Nie, zrobimy odwrotnie. – Patryk wygodnie rozparł się na krześle. – Mogę jedynie zasugerować, żebyś zastanowiła się nad jedną osobą...

– Boże, miej w swej opiece tego nieszczęśnika....

Patryk oderwał się od oparcia i przyjrzał mi się uważnie.

– Maja – twardy ton w jego głosie nie zwiastował nic przyjemnego. – Masz czas na przemyślenia do poniedziałku. Do dziesiątej rano, bo o ile wiem, potem możesz się nie nadawać do życia. Chcę wiedzieć, czy tego... nieszczęśnika też uwzględnisz sama z siebie. Jeżeli nie, to chyba będziemy mieli problem.



Myśląc nad rzeczonymi rewelacjami przez całą noc z piątku na sobotę, doszłam do wniosku, że lista kandydatów na mordercę nie będzie długa. Wolałabym jednak, żeby znalazła się na niej raczej połowa ludzkości niż te kilka osób, które w mniej lub bardziej jawny sposób wykazywały nieżyczliwość względem Olgierda.

Oprócz mnie samej, oczywiście...

Nad kandydaturą kilku osób z pracy, pominiętych na rzecz mojego byłego męża przy przyznawaniu podwyżek, nie zastanawiałam się długo. Olgierd metodycznie i z żelazną konsekwencją pisał się po szczeblach kariery i nie zawracał sobie głowy sentymentami. Działał bez kantowania, nie dając przeciwnikowi szansy ani na doczepienie się czegokolwiek, ani na poskarżenie odpowiednim organom. Nie mogąc poradzić sobie legalnie, może ktoś nie opanował skoku ciśnienia i wcisnął pedał gazu, zanim zdążył policzyć do trzech.

Taka opcja odpowiadała mi najbardziej. Umiarkowanie kochałam środowisko deweloperskie ze względu na przymuszanie ludzi do zasuwania, jakby byli chomikami w kołowrotkach, i bez większego wahania umieściłam na liście kilka znanych mi nazwisk. Wprawdzie Olgierd, też zasuwanym niczym chomik, prawdopodobnie byłby skłonny sam popełnić morderstwo, gdyby ktoś z jego podwładnych zasuwania odmówił... Presja w zawodzie była ogromna, więc może morderstwo w obronie własnej? A nawet jeśli nie w obronie życia, to może na przykład zdrowych zmysłów?

Kiepskie relacje łączyły Olgierda z mieszkającym piętro wyżej sąsiadem. Tu wprawdzie nie o premię poszło, tylko o drobną stłuczkę na parkingu. Czy można mordować z powodu lekkiego zarysowania na przednim zderzaku? Tak, zdecydowanie. Zwłaszcza jeżeli zarysowanym autem jest najnowszy model BMW, a właścicielowi pojazdu oprócz rysy na lakierze przeszkadzało także doświadczenie uszczerbku na dumie.

Wrobiwszy bez litości sąsiada i pracowników Olgierda, z ciężkim sercem przystąpiłam do przeglądu najbliższych i tu mi ręka zadrżała. Przypuszczam, że zadrżała też Borówie, jeżeli zaczął robić spis podejrzanych. Niewiele osób deklarowało niechęć wobec mojego byłego z taką zawziętością jak Luiza. Tylko czy Luiza poza deklaracjami byłaby zdolna do popełnienia zbrodni tuż pod nosem Borówy? Ta Luiza, która pocila się jak szczur na samą myśl o niewinnej stłuczce i czyniła kombinacje alpejskie, byle nie wydało się, że przywalała w nieszczęsny płotek? „Bierz to diabli”, zezłościłam się na myśl o wkopaniu najlepszej przyjaciółki. Patryk głuchy nie jest, bojowe okrzyki pod adresem Olgierda w wykonaniu Lulu słyszał aż zbyt często.

Cholera... Dokładnie tak samo jak uszczypliwe uwagi Michała, z którymi mój brat od czasu romansu Olgierda z Kamilą nie krył się zupełnie...

Kamili nie trawił również mój były teść, konsekwentnie trzymając moją stronę, ale żeby aż tak? Prędzej zresztą chyba by Kamilę zabił...

O Fidze, która nie przegapiła żadnej okazji, by ochrzcić Olgierdowi buty, nie wspomnę...

„No to jak już tak otwarcie zeznajemy, to siebie muszę domalować”, stwierdziłam rozpaczliwie, przez resztę nocy myśląc nad alibi dla Lulu i Michała. O tym, że jedno z nich mogło okazać się bezwzględny mordercą, nie zamierzałam w ogóle dyskutować. Bo nie.

I w efekcie tego upierania się, które trwało do czwartej nad ranem, kilka minut przed dziewiątą otwierałam Luizie drzwi w piżamie i połowicznie nałożonym makijażu, chwilowo niezdolna do denerwowania się czymkolwiek poza płaczącym się pod nogami Lokim, który bezwstydnie domagał się drugiego śniadania. Pierwsze zdażył pożreć, gdy przed zaśnięciem powlokłam się do kuchni po kosteczkę czekolady na ukojenie zgryzot, jakie przypadły mi w udziale.

Dopiero w połowie drogi do studia oprzytomniałam na tyle, żeby zacząć się bać. Pech chciał, że znajdowało się ono na drugim końcu miasta i ta połowa drogi, przez którą jechałam już całkiem przytomna, wystarczyła, żebym zdażyła obgryźć wszystkie skórki przy paznokciach.

– A potem będziesz chciała, żebym zrobiła z tym porządek. – Luiza pokręciła z dezaprobatą głową, patrząc na moje zmasakrowane palce. – Uspokój się, dziewczyno, to tylko tatuaż. Steven ci kuku nie zrobi.

– Steven, tak? – Na dźwięk obco brzmiącego imienia zabrałam się do maltretowania skórek ze zdwojonym zapałem. – A czy ten Steven może parle polonais? Chyba że to ksywka, używana przez niego, bo nie podziela pozytywnej opinii swoich rodziców na temat polskiej wersji imienia?

– On parle polonais, a nawet speaks Polish – parsknęła śmiechem Luiza. – Wprawdzie English też, bo to teoretycznie Anglik, ale Anglię oglądał chyba tylko na zdjęciach. Przynajmniej ostatnio. Poza lekkim akcentem dużo angielskiego w nim nie zostało. No i jedziesz ze mną. Zawsze możemy

powiedzieć, że robisz pierwsze podejście i na razie przyjechałaś wszystko sobie obejrzeć. Nikt się nie będzie dziwił, ostatecznie to nie rysunek z henny, który zmyje się po dwóch tygodniach.

Słowa Lulu podziałały na mnie uspokajająco. Przynajmniej do chwili, gdy wjechałyśmy na parking w pobliżu studia. Na widok przybytku, w którym byłyśmy umówione, kolana znów zadygotały mi niepokojąco.

Na szczęście w takich sytuacjach można było liczyć na niezawodną Lulu.

– Witamy w piekle – wyszczerzyła się, zamykając auto i lekkim krokiem pomknęła ku piekielnym wrotom, ciągnąc mnie za sobą.

– Daj spokój, zobaczysz, wygląda jak salon kosmetyczny. – Lu przewróciła jeszcze oczami i wciągnęła mnie do środka.

Przestronne pomieszczenie z ladą recepcji usytuowaną zaraz przy drzwiach, utrzymane w stonowanych barwach, nie wyglądało na piekielny przedsionek i ze zdumieniem przyznałam, że porównanie do salonu kosmetycznego miało sens. Siadając na czarnej, skórzanej sofie obok niskiego, przeszklonego stolika, gapiłam się na porostawiane tu i ówdzie rośliny i zwoje bluszczu upięte na pomalowanej w fantazyjne wzory drabinie. Na ścianach wisiały certyfikaty ze szkoleń i fotografie przedstawiające różne części ciała, pokryte wielkimi, kolorowymi tatuażami. Przypominały artystyczne zdjęcia zawieszane wyłącznie jako dekoracje. Spodobały mi się tak bardzo, że z wrażenia zapomniałam się bać. Wstałam z sofy i powolnym krokiem podeszłam do zdjęcia z czarną panterą skradającą się do skoku na czyimś przedramieniu.

– Koty! Wiedziałam, że to cię przekona – parsknęła śmiechem Luiza. – Poproszę wodę mineralną – zwróciła się do recepcjonistki. – Dla koleżanki może być whisky. Albo coś innego na znieczulenie.

– Przykro mi, osobom pod wpływem nie robimy tatuaży. Cześć Luiza – do rozmowy wtrącił się męski głos z lekkim



akcentem. Czyżby na horyzoncie pojawił się Steven? Kolana chyba wyczuły sprawę, bo bez oporów poddały się słabości.

Luiza wcale nie przejmowała się moim ewentualnym omdleniem.

– Nic nie szkodzi – zaszcebiotała. – Na widok igły znieczulenie przestanie jej być potrzebne, sama zejdzie. Chodź, Majka, to właśnie Steven.

Odwrócenie się do grona dyskutującego nad znieczuleniem dla mnie wymagało dużo wysiłku i determinacji. Przyjemne, uspokajające skojarzenia z salonem kosmetycznym przysły w chwili, gdy ujrzałam stojącego obok Lulu faceta.

Żadnej kosmetyczki nie widziałam jeszcze tak pokrytej tatuażami.

„Jak studio tatuażu, to studio tatuażu”, jęknęła we mnie dusza, próbując przetrwać orgię barw i wzorów na rękach, szyi i zapewne całej reszcie ciała Stevena. Tatuaże nachodziły nawet na dłoń mężczyzny, a gdy odwrócił się na chwilę do recepcjonistki, ze zgrozą ujrzałam tatuaż za prawym uchem. To by wyjaśniało, dlaczego, wbrew moim przewidywaniom, Steven nie był ubrany zbyt ekstrawagancko. Ciemne, przetarte fabrycznie na kolanach spodnie, biała koszulka i czarna kamizelka były jednym z nielicznych strojów, które mógł założyć, nie wywołując u klientów ciężkiego oczopląsu. Nie chciałam nawet wyobrazić sobie tego faceta w czymś kolorowym.

Długo zbierałam się w sobie, by przemóc paraliż wywołany nadmiarem wizualnych wrażeń dostarczanych przez jednego człowieka. Kto wie, czy w ogóle bym się zebrała, gdyby nie Luiza, która wreszcie uznała za stosowne mnie przedstawić.

– Maja, moja przyjaciółka. Nieskalana nawet rysunkami z henny. Jeszcze – powiedziała znacząco. – Na razie przysła pozwiedzać. Ja już z konkretnym pomysłem na poniedziałek, a Majce miło by było, gdybyś jej coś podpowiedział. I przekonaj ją, że od tego się nie umiera – zachichotała.

– Nie umiera się. Inaczej od dawna funkcjonowałbym jako zombie. – Steven uśmiechnął się. – Może najpierw wzór dla Luizy, ona pewnie już ma szkic, więc pójdzie szybko. Tobie dam katalogi, przejrzysz, potem pogadamy na spokojnie.

I dopiero w tym momencie napotkałam wzrokiem niebieskie, sympatyczne oczy Stevena, patrzące na mój napad cykora z życzliwością i zrozumieniem. Patrząc w te oczy, nie byłam w stanie nie odwzajemnić uśmiechu.

– Dobrze, to ja sobie grzecznie posiedzę, postaram się nie uciec – wymamrotałam i uprzejmie odmówiłam, gdy recepcjonistka zaproponowała mi wizytę pogładową w głębszych czeluściach piekła. – Jak tam dalej wygląda, obejrzę w poniedziałek. Na razie wolę wierzyć, że tak samo ładnie jak tu. Tam są igły, a Lulu słusznie zauważyła, że nie powinnam oglądać takiego sprzętu więcej niż to konieczne.

– Czyli przyjdiesz w poniedziałek? Wybieramy coś? – zapytał Steven, podając mi katalogi.

Raz odnalazłszy drogę do oczu tego człowieka, nareszcie odzyskałam zdolność myślenia i czytania w spokojnym, wesołym i bardzo cierpliwym spojrzeniu, z jakim na mnie spoglądał. To, co wyczytałam, ku mojemu zdziwieniu spodobało mi się na tyle, by pomimo wstępu do igieł i ogólnej paniki na samą myśl o zabiegu, bolesnym jak cholera i zmuszającym człowieka do siedzenia nieruchomo przez kilka godzin, wyrwała się ze mnie ostateczna deklaracja.

– Przyjdę. Przywlecz mnie, proszę, gdybym stawiała opór – zwróciłam się do Luizy.

– Nie wierzę. – Lulu wniosła oczy do nieba. – Daj jej do oglądania wzory z kotami! Małe, wielkie, domowe, dzikie, czarne, pręgowane, różowe w kropki...

– Żadne różowe! – wrzasnęłam ze zgrozą.

– To różowe nie – zreflektowała się Lulu. – Wiesz, wszystkie futrzaki!

– Chcesz koty? Serio? – zainteresował się Steven, biorąc jeden z katalogów i przerzucając strony. – Koty to masz tu... Koty i inne zwierzaki... Chociaż ja bym u ciebie widział raczej dzikie... Dzikie, ale subtelne...

Tatuaże cudownie się zdematerializowały i przez dłuższą chwilę nie byłam zdolna dostrzec niczego poza błękitem oczu Stevena, który przypatrywał mi się z uwagą. Chwalić Boga za moją miłość do długich spacerów, które kultywowałam bez względu na pogodę i porę roku. Niech będzie im dzięki za dobrą kondycję, a w tej chwili przede wszystkim za opaleniznę, która zamaskowała rumieńce wypływające właśnie na moje policzki.

Niestety rumieńce intensywniały, podobnie jak spojrzenie Stevena, który nadal uważnie mi się przyglądał, szukając wizji odpowiedniego wzoru. Jeszcze sekunda i nawet godziny spędzone w solarium nie będą w stanie ukryć, jak dziwny wpływ miały na mnie te błękitne oczy, przede wszystkim w zakresie produkowania wypieków na twarzy. Do tak długiego kontaktu wzrokowego z obcym człowiekiem nie przywykłam i najzwyczajniej w świecie nie wiedziałam, jak się teraz zachować. Opuścić wzrok? Odezwać się?

– Hm, dziki i subtelny, powiadasz... Czyli pantery i lwy odpadają w przedbiegach?

– Tak myślę. Choć, oczywiście, twoja decyzja. Ja tu tylko sprzątam.

„Dzikie i subtelne, też sobie wymyślił”, jęknęłam w duchu, dokonując w pamięci błyskawicznego przeglądu znanych mi dzikich kotowatych, gdy nagle dotarło do mnie, że pomysł Stevena wcale nie jest głupi.

– Wiem – oświadczyłam, doznając kolejnego przyływu nagłej odwagi. – Dajcie mi tylko dostęp do internetu, pokaże dokładnie, o co mi chodzi.

Przez dłuższą chwilę Luiza i Steven przyglądali się w milczeniu znalezionemu naprędce zdjęciu.

– Dobrze. – Steven pokiwał z uznaniem głową. – Dla mnie

rewelacja. Jesteś pewna, że to jest to?

Byłam. I choć nadal gnębiła mnie niepewność, czy w poniedziałek będę zdolna dotrzeć tu o własnych siłach, pytanie „robić tatuaż, czy nie robić” znalazło definitywną odpowiedź. Robić.

Umówiłam się ze Stevenem, że zaraz po powrocie do domu przejrzę jeszcze fotografie w internecie i mailem wyślę mu wzór do projektu. Tak na wypadek, gdybym nie była w stanie samodzielnie wyartykułować swoich oczekiwań w poniedziałek...



Słowo się rzekło, a droga odwrotu od podjętej decyzji pewnie jakaś była, tylko że jej już nie widziałam. Nie żebym dzięki uspokajającemu błękitowi oczu Stevena bała się mniej...

„Właściwie to nawet interesujące”, pomyślałam. Takie oczy muszą być bardzo przydatne w zawodzie, w którym ma się kontakt ze skrajnie zestresowanymi klientami. Wszyscy specjaliści od psychologii i PR trąbią o pozytywnym wpływie błękitu na nasz system nerwowy. Każdy tatuażysta powinien stanowczo mieć niebieskie oczy. Podobnie jak każdy stomatolog. I jeszcze mogliby mieć je przedstawiciele kilku innych profesji. Osobiście obstawiałam pracowników banków, ci zawsze podnosili mi ciśnienie, narażając się na rany szarpane i kłusane. I policjanci. Ktoś doprawdy idiotycznie zdecydował, obdarzając Borówę czarnymi oczami...

Rozważania na temat wrażeń z dzisiejszego poranka przerwała mi jednak myśl o innym problemie. Problemie, który sygnalizowany był już kilkakrotnie przez dzikiego i zupełnie

niesubtelnego kota.

Loki błyskawicznie docenił luksusy życia domowego pupila i natychmiast dostosował się do zasad, które mogły mu zapewnić dobrobyt na stałe. Chętnie zgodził się zamienić trawniczek i przypadkowe skupiska piasku na ustawioną w łazience kuwetę. Korzystał z niej aż nazbyt sumiennie, każdorazowo wywołując u mnie załamanie nerwowe. Wyprodukowaną zawartość zakopywał bez opamiętania, grzebiąc w żwirku przez kilka minut i tworząc dookoła kuwety gigantyczną piaskownicę. W piątkowy wieczór i to mu nie wystarczyło. Wywaliwszy na podłogę cały żwirek z zawartością, na wszelki wypadek przykrył go jeszcze odwróconą do góry dnem kuwetą. Pochwaliłam go za sumienność, bo i co lepszego mogłam zrobić, jednak sprzątając zasłaną żwirkiem podłogę, poprzysięgłam sobie nabyć lepszą kuwetę. Większą. A przede wszystkim krytą.

Okazja do zrobienia zakupów sama pchała w ręce. Zaraz po wizycie w studiu tatuażu skręciliśmy z Luizą do pobliskiego centrum handlowego. Lulu chciała uzupełnić zapasy kosmetyczne, ja – skompletować kocią wyprawkę. Obie zaczynałyśmy również cierpieć na deficyty produktów spożywczych. W rezultacie do mnie do domu dotarliśmy kilka minut po drugiej, co nie było wynikiem najgorszym, zwłaszcza że po drodze wstąpiłyśmy do „Hortensji” uczcić udany poranek ulubionym malinowym koktajlem.

Wyprawkę na nową drogę życia wtargałam do domu na dwa razy, łamiąc przy tym świętą zasadę niekorzystania z windy. W przedpokoju zostałam powitana krótkim programem kociej gimnastyki artystycznej, po której ucałowałam mruczącą łepetynę i przystąpiłam do rozpakowywania zakupów. Na pierwszy rzut poszedł wielki karton z trójpoziomym składanym drapakiem. I choć od dziecka byłam uczona, że kot to szkodnik, który żadnemu z mebli nie przepuści, w głębi serca nosiłam przekonanie, że może wystarczy takiemu szkodnikowi podsunąć odpowiedni obiekt do niszczenia. Odpowiedni, czyli duży, z budkami umożliwiającymi zabawę w chowanego

i gwarantującymi spokój podczas drzemki. I ze stosowną ilością słupków do drapania. Absurdalnie drogi. Zajmujący mnóstwo miejsca. I, jak się przekonałam, z najbardziej idiotyczną instrukcją montażu na świecie.

Filozofia to niby wielka nie była, a wszystkie części, śrubki i imbusy niezbędne do złożenia poszczególnych elementów w całość znalazłam spakowane w kartonie. Razem z nieszczęsną instrukcją, która ani trochę nie uwzględniała faktu, że śruby miały różną długość i w związku z tym nie nadawały się do wkręcenia byle gdzie.

Dopasowanie cholernych śrubek zaabsorbowało mnie do tego stopnia, że nie zwracałam uwagi na Lokiego, który zainteresował się zamieszaniem. Początkowo zignorowałam szelest siatek, zajęta bałaganem, jaki szalał w mojej głowie. Zarejestrowałam wprawdzie fakt, że torebki i karton zaczynają się samoistnie przemieszczać, jednak zaabsorbowana śrubkami nie wychwyciłam momentu, gdy kocia łepetyna zaplątała się w folię doprawdy skutecznie. Przerażony okropnym, szeleszczącym paskudztwem, które zasłania widok i za nic nie chce się odczepić, Loki próbował ściągnąć siatkę z głowy. W akcie desperacji rzucił się szalonym galopem przed siebie, z nadzieją, że to coś, co go zaatakowało, samo odpuści i zniknie. Efektów tej taktyki już nie dało się zignorować. Kilka sekund po tym, jak zafoliowany kot przegalopował mi po brzuchu, rozległ się trzask materiału. Nagle oprzytomniała patrzyłam z przerażeniem, jak firana na oknie balkonowym rozdziera się na dwie części, po czym jedna z nich zaczyna smętnie dyndać, a druga – wraz z urwanymi haczykami – podskakiwać na podłodze. Rzuciłam się wyplątywać Lokiego z białej koronki, jednak w tym momencie firana podskoczyła energiczniej i pognąła w stronę kwietnika. Kwietnik wykonał wahnięcie najpierw w prawo, potem w lewo, po czym z impetem runął na ziemię. Z trzech rozbitych doniczek posypała się ziemia, z której w dziwnych pozycjach wystawały ocalałe fragmenty kwiatków.

Zawyłam z rozpaczą. Upłynęło kilka minut, zanim udało mi się uwolnić zjeżonego, prychającego Lokiego z firanki i folii.



Oswobodzony, nie do końca jednak przekonany, że zagrożenie minęło, wystrzelił mi z rąk jak z katapulty i okopał się w kartonie. Stamtąd bacznie obserwował, jak zabieram się za usuwanie skutków jego dzikiej szarży.

Kwiaty ocalały, doniczki niestety nie. Nie miałam zapasowych, więc w przyływie natchnienia wsadziłam roślinki do kubeczków po twarogu, służących do tej pory za pojemniczki na sałatki. Po względnym zamieceniu podłogi odważyłam się wreszcie dokonać oględzin okna.

O ile doniczki przy bardzo dużej dozie cierpliwości, dobrej woli i solidnego kleju dałoby się uratować, o tyle firana poległa nieodwracalnie. Pod wpływem szybko przemieszczającego się i przyczepionego pazurami obiektu, wiszący na karniszu fragment prezentował się żałośnie. Pozbawiona złudzeń wlałam na stół i ściągnęłam szczątki firany, godząc się z myślą, że w najbliższym czasie będą mi musiały wystarczyć rolety.

„A na gruntowne posprzątanie i wyprodukowanie czegoś jadalnego muszą mi wystarczyć niespełna trzy godziny”, pomyślałam ze zgrozą, patrząc na zegarek. Z Robertem umówiłam się na osiemnastą. Niby sporo czasu, ale i siebie wypadałoby doprowadzić do porządku. Z drobinkami ziemi pod paznokciami, rozczochrana i spocona po starciu z nieprzeciętnie żwawą firanką, prezentowałam się jak siedem nieszczęść.

Wbrew obawom te trzy godziny wykorzystałam całkiem efektywnie. Udało mi się nawet nie zrobić nic szczególnie głupiego, co spowodowałoby obsuwę czasową, pomijając dwa epizody z Lokim w roli głównej, który tym razem postanowił wspomóc mnie przy pieczeniu ciasta z malinami i kruszonką. Znając przepis na pamięć, odmierzyłam na oko maślankę i wlałam ją do dużej miski, w której zazwyczaj ucierałam ciasta. Miska okazała się naprawdę pojemna. Tym razem pomieściła nie tylko maślankę, lecz również siedzącego w maślance kota. Klnąc pod nosem, wyciągnęłam Lokiego z miski i zaczęłam się zastanawiać, czy warto czekać z kąpielą do wstawienia ciasta do piekarnika. Nie uśmiechało mi się zostawiać roboty w kuchni,

z drugiej jednak strony utyłany w nabiale kot mógł mi zorganizować ponowne sprzątanie. Szczęśliwie decyzję co do ewentualnego prania podjął sam kot, zlizując maślanke z futra. Odetchnęłam z ulgą, umyłam miskę, wlałam do niej świeżą maślanke, dodałam resztę składników i zdażyłam się ucieszyć, że ze wszystkim się wyrobie. Sekundę później wydałam okrzyk zgrozy, gdyż w czasie, kiedy ucierałam ciasto, Loki postanowił sprawdzić, czy przygotowana na blacie kruszonka może otrzymać koci atest jakości. Najwyraźniej czegoś jej zabrakło, bo kot pracowicie udeptywał właśnie kruszonkę, poprawiając moje niedociągnięcia. Zakląłam i ściągnęłam go z blatu, modląc się żarliwie, by udało się wyskubać wszystkie kocie kłaczki, względnie, by Robert ich nie zauważył. Do zrobienia nowej kruszonki nie miałam już składników. Ani tym bardziej czasu.

Na tym atrakcje się skończyły, gdyż kota nareszcie zmogło i zniknął w kartonie po drapakach.

W pierwszej chwili odetchnęłam z ulgą, szybko jednak pożałowałam ustania kociej aktywności. Nie musząc niczego pilnować ani usuwać z zasięgu łap i pyszczka, dopiero teraz poczułam nerwowy ucisk w żołądku. Z żalem pomyślałam, że wolę jednak skapanego w maślanke kota od grzebania w szafie i snucia rozważań na znany i zniechęcony przez kobiety temat, w co się ubrać, żeby było ponętnie, naturalnie, wygodnie, uwodzicielsko, kobieco, niezbyt wyzywająco i diabli wiedzą, co jeszcze. Skoro bowiem dookoła nie plątały się już żadne zwłoki, policja chwilowo jakby odpuściła, a mój brat odreagowywał spadkowe stresy z Alicją na rowerach, nareszcie dotarło do mnie, że za pół godziny mam coś w rodzaju randki i to z facetem, na którego poderwanie jeszcze do niedawna nie dawałam sobie szans. No i proszę, poderwał się sam. Teraz należało tylko trzymać rękę na pulsie.

Za piętnaście szóstą nieskromnie doszłam do wniosku, że panika wywołana koniecznością zadbania o własny wygląd nie była uzasadniona, choć gdy spojrzałam na Lokiego na zadowolenie wywołane widokiem w lustrze padł cień rozżalenia. „Kot zawsze wygląda rozkosznie, bez całej tej orgii zabiegów

upiększających”, pomyślałam, głaszcząc mięciutkie futerko i wycierając z pyszcza resztkę maślanki. Nawet przez sen świadomy swego nieodpartego uroku, kociak mlasnął językiem i zakrył lepetynę łapkami.

W tym momencie zadzwonił dzwonek.

Robert po opłaceniu okazałego rachunku w klinice weterynaryjnej najwyraźniej postanowił rozłożyć proces bankrutowania na kocia okoliczność na raty. Tym razem dla kota nabył jedynie dwa kilo suchej karmy. Dla mnie – ważący pewnie mniej, choć finansowo podobnej wagi bukiet róż.

Dzięki niechęci byłego męża do kupowania mi kwiatków, których jego zdaniem zawodowo i hobbystycznie i tak miałam aż nadto, zdażyłam zapomnieć, jaka to przyjemność. Na widok bukietu spłonęłam rumieńcem.

– Dziękuję, są śliczne – wyjąkałam, odbierając od Roberta kwiaty. – Naprawdę nie musiałeś...

– Nagroda za cierpliwość, męstwo i rany bitewne – wyjaśnił Robert, patrząc znacząco na świeże ślady po pazurach, jakimi upstrzone były moje ręce. – Chociaż mam wrażenie, że medal byłby bardziej na miejscu...

– Medal mi zafundujesz, jak ucywilizuję tego drania – powiedziałam, wstawiając kwiaty do wazonu. Za nic w świecie nie przyznałabym się, że wolę ten bukiet od wszystkich medali świata.

– Gdzie on właściwie jest? – zainteresował się Robert. Ściągnął buty i zajrzał do salonu.

– Udaje grzecznego kota. – Wskazałam na przewrócony karton. – Musisz się wczolgać do środka, to jego ulubione miejsce. Wiesz, smok przyczajony w pieczarze i te klimaty.

Pokryty pręgowanym futrem zamiast łusek smok drzemał słodko ze szczurem Figi w objęciach.

Pomimo stroju, utrzymanego w tonie sportowej elegancji, Robert bez wahania wlaźł do kartonu.

– Jaki ty fajny jesteś buczysz, jak nie buczysz i nie demolujesz gabinetu u weterynarza! Maja, gdzie tu się włącza mruczenie?

– Rozpoczyna się automatycznie po kilku sekundach – wyjaśniłam nogom Roberta, wystającym z pudła i wyciągniętym na dywanie. – Kawa, herbata? Kocie mleczko Whiskas?

– Kawę z kocim mleczkiem poproszę. Jak szaleć, to szaleć – zdecydował Robert, któremu w kartonie było chyba jednak niewygodnie. Delikatnie wyciągnął Lokiego i z kotem w objęciach zajął miejsce na dywanie obok kociego posłanka.

Loki, zgodnie z zapowiedzią, szybko uruchomił tryb mruczenia. Ot, taki stary, sprytny sposób na zapewnienie sobie alibi i udowodnienie, że opiekunka chyba nieco przesadza, opisując destrukcyjne kocie skłonności.

Robert, naiwny i niedoświadczony, z niedowierzaniem słuchał przykrej historii, jaka przytrafiła się trzem doniczkom i urwanej firanie. Na moją korzyść przemawiały kwiatki w kubeczkach po twarogu i okna, przyozdobione tylko przerzuconym przez karnisz drapowanym szalem.

– O rany, nie wierzę – roześmiał się w końcu, tarmosząc kocie futro. – I co, nie zabiłaś go jeszcze?

– Nie wykorzystałam nawet połowy brzydkich słów, jakie znam. Po dwudziestu latach moja psychika jest wystarczająco kotoodporna – mruknęłam, zastanawiając się w duchu, czy Robert cieszyłby się tak samo, gdyby to jego mieszkanie zostało poddane kociej obróbce. – Zwracam ci uwagę, że on się dopiero rozkręca. Zakładam, że przez jakiś rok nie warto robić remontu. Ani inwestować w meble. Kocięce lata...

– Widzę, że na takie coś naprawdę trzeba być przygotowanym psychicznie i mieć zapas relanium – uznał Robert. – Ty sobie radzisz, ja już bym poległ. Razem z kwiatkami i firanką.

– Ale nie dla kota – sprostowałam natychmiast. – Na koty relanium działa pobudzająco, wtedy kataklizm murowany... Kotoodporność przychodzi z czasem. Trzeba mieć cierpliwość, mieszkać najlepiej samemu albo z kimś, kto już jest

kotoodporny.

– Ciekawe, czy mam szansę stać się kotoodporny. Teoretycznie warunki spełniam. – Robert zamyślił się, wypuszczając z rąk Lokiego, którego dywagacje na temat kotoodporności zdążyły znudzić. – Czy on ma jakiś ogranicznik psocenia?

– Nie – wyjaśniłam. – Z kotami obowiązuje zasada cierpliwości bezwzględnej. Wszystko albo nic.

Jakby na potwierdzenie z kuchni dobiegł głuchy łomot. Zamarliśmy w fotelach.

– Jezu, co to było? Mówiłaś, że nie robisz remontu przez najbliższy rok. – Robert podejrzliwie rozglądał się po salonie.

Z westchnieniem podniosłam się z fotela.

– Mój szósty zmysł mówi mi, że Loki testuje naszą kotoodporność... Chodź, będziesz miał szansę sprawdzić zasięg szkód i swoją reakcję.

Po cichu wstaliśmy z foteli i ostrożnie zajrzeliśmy do kuchni.

Loki siedział na kuchence, na której niebacznie pozostawiłam patelnię z rybą po grecku. Ciężka pokrywka, która miała zapewnić jej bezpieczeństwo, leżała pod krzesłem. Tymczasem kot z miną znawcy zanurzał łapę w zawartości patelni i w zależności od tego, co wyciągnął, wykonywał dwa rodzaje ruchu. Kawałki ryby wędrowały do pyszczka. Warzywa i sos pełnym pogardy ruchem były rzucane na podłogę.

– W życiu bym nie pomyślał... On jest taki malutki, taki śliczny. – Robert z niedowierzaniem wpatrywał się w Lokiego, który nie bacząc na naszą obecność, kontynuował niecny proceder.

– Kamuflaż – westchnęłam i ze ścierką w ręce zabrałam się do zbierania z podłogi mojego jutrzejszego obiadu.

Romantyczna randka upłynęła nam na sprzątaniu kuchni, gdyż szybko się okazało, że umycia wymagają również szafki i kafelki na ścianach. Loki dobitnie okazał warzywom swe

obrzydzenie i rzucał nimi z ogromnym rozmachem.

Kiedy wreszcie wróciliśmy do salonu i kawy, upiorne kocisko znów udawało grzecznego kota i pochrapywało w najlepsze w fotelu.

– Wiesz co? Skoro i tak już nie masz obiadu, to może jutro zjedlibyśmy u mnie? – zaproponował Robert. – U mnie jedzenie jest bezpieczne.



Po trzech godzinach Robert niechętnie podniósł się z fotela.

– Bardzo się cieszę, że się spotkaliśmy – powiedział. – Naprawdę chciałbym, żebyś jutro przyszła na obiad.

Uśmiechnęłam się i już chciałam zadeklarować chęć skorzystania z zaproszenia, gdy wspomnienie innych deklaracji dźgnęło mnie niczym ostrogą. Obiecałam sobie nie pakować Roberta w afery rodzinne, nieważne, czy o charakterze spadkowym, czy kryminalnym. Tamto pozamykać i dopiero otwierać nowy rozdział. Tymczasem Robert, niczego nieświadom, gotów był przyspieszyć tok wydarzeń i wyraźnie dawał do zrozumienia, że towarzystwo moje i mojego postrzelonego kota jest mu coraz bardziej potrzebne. Najlepszy dowód, że zajęci sobą, zapomnieliśmy na amen o aferze, która nas zbliżyła. To właśnie tempo i własny amok troszkę mnie niepokoiły. Jak wielki wpływ miał na mnie ten facet, skoro w ataku ciężkiej amnezji wywołanej jego obecnością zdażyłam zapomnieć o Olgierdzie, Michale, Borówie, a nawet Lulu i jej zwariowanych sposobach na odreagowanie stresu, w które dałam się wciągnąć? „O wiele za duży”, stwierdziłam z dezaprobatą, zdecydowana odwlec obiad u Roberta do czasu



powrotu z urlopu.

– Maja, czy ty też masz wrażenie, że coś tu dziwnie pachnie? – Mina i pytanie Roberta oderwały mnie od rozważań na temat tempa rozwoju naszej znajomości. Szybko pociągnęłam nosem. Zapach był znajomy i wcale nie dziwny.

– Wiesz co, Loki najwyraźniej był w kuwecie. On nie jest jeszcze wykastrowany, więc jest, hm, łatwo wyczuwalny...

Tłumaczenie może miałyby swój sens, jednak intensywność woni sprawiła, że sama miałam problem z uwierzeniem we własne wyjaśnienia.

Roberta jednak w pełni usatysfakcjonowały. Niestety na krótko. Zważył w nie, podnosząc z podłogi jeden ze swoich butów. Skrzywił się i pociągnął nosem.

– Cholera, nie rozumiem... Co innego, gdybym nie wyprał skarpetek, ale...

Chcąc zidentyfikować zapach, zajrzał do buta i nagle odetchnął głęboko. Zamarłam przerażona, bo i do mnie wreszcie dotarło, co się naprawdę stało. Ostrożnie wzięłam od niego but. W środku delikatnie zachlupotało. W połączeniu z zapachem nie miało sensu dochodzenie, czy Robert aby na pewno nie zapomniał o praniu skarpetek.

Spojrzałam na niego niepewnie.

– Jak tam twoja kotoodporność?

Robert przez chwilę z niedowierzaniem wpatrywał się w zbezczeszczone obuwie. A potem nagle wybuchnął śmiechem.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę!

– Ja też. – Uśmiechnęłam się słabo, patrząc na ten dziwny atak wesołości. – Ale cię podziwiam, bo mi nie było tak wesoło, kiedy Mysza moich rodziców osikała mi nowe buty...

Robert spojrzał na mnie i zaczął śmiać się jeszcze głośniejsze.

– Te nie były nowe – wykrztusił.

Nie wiem, czy sprawiła to ulga, że osikane buty nie wywołały spodziewanego piekła, czy serdeczny śmiech Roberta, tak czy inaczej, mnie nagle też zrobiło się bardzo wesoło. Nie minęła chwila, a siedzieliśmy oboje w przedpokoju na podłodze, śmiejąc się jak szaleni z historii moich nowych kozaków, które Mysza ochrzciła jeszcze w kartonie.

Wreszcie Robert się opanował.

– Maja, bardzo niechętnie, ale muszę jakoś dostać się do domu – stwierdził. – Nie uśmiecha mi się wędrówka w skarpetkach.

I tu pojawił się problem. Nie miałam pojęcia, co mam mu zaproponować. Na plecach go do domu nie doniosę. Przeciwno obdarciu winowajcy z futra i wykonaniu ciepłego obuwia coś we mnie ostro protestowało. Teoretycznie mogłabym ukradkiem pożyczyć jakieś buty od ojca, wystarczył jednak rzut oka na stopy Roberta, by ocenić, że rozmiar taty może być dla niego, delikatnie mówiąc, za duży...

Na szczęście Robert sam wybawił mnie z kłopotu.

– Mam pomysł. Dam ci klucze do mieszkania, przyniosłabyś mi inne buty? – zaproponował. – Mieszkam blisko, pięć minut drogi od kliniki.

Na taki dowód zaufania nie byłam przygotowana.

– Dasz klucze do domu obcej osobie? Tak naprawdę słabo się znamy...

– Oj, daj spokój, dziewczyno! Równie dobrze mógłbym zapytać, czy nie boisz się wpuszczać obcego faceta do domu.

– Mam kota bojowego i nie zawahałabym się go użyć – odgryzłam się, biorąc od niego klucze. – Podaj mi adres i powiedz, gdzie znajdę te buty. I proszę, dopilnuj, żeby bojowy kot nie zdemolował mieszkania do reszty.

Zostawiłam obu panów i wyszłam, usiłując uporządkować natłok szalejących w głowie myśli. Resztki wesołości przypominały mi o przyczynie naszego ataku radości i z

zadowoleniem stwierdziłam, że z kotoodpornością u Roberta nie powinno być problemu. Wobec takiej reakcji na chrzest bojowy... Swoją drogą ciekawe, co Lokiemu strzeliło do głowy, że postanowił zafundować mu trening dla komandosów. Po takiej zaprawie większość ludzi diagnozuje u siebie nieuleczalny, skrajny rodzaj alergii na koty albo zaczyna przyjmować kocie dziwactwa za coś normalnego i przestaje się dziwić czemukolwiek. Robert najwyraźniej wykazywał tendencję do drugiej opcji. Usatysfakcjonowana takim obrotem spraw, szybkim krokiem dotarłam pod wskazany adres, beztrąsco lekceważąc fakt, że właśnie zostawiłam w mieszkaniu obcego faceta, a sama pakuję się do nieznanego mieszkania. Ostatecznie ja też za chwilę będę się plątać po jego domu i może się okazać, że oboje jesteśmy jednostkami do obłędu uczciwymi, choć równie dobrze możemy okraść się wzajemnie. Kwestii ewentualnej obecności w mieszkaniu Roberta osób trzecich nie rozważałam. Interesowała mnie za to możliwość weryfikacji stanu cywilnego potencjalnego partnera, który z każdą chwilą coraz bardziej mnie pociągał.

Pewnie dzięki temu przyciąganiu od razu znalazłam właściwą klatkę schodową i pokonawszy biegiem schody, stanęłam przed mieszkaniem numer piętnaście.

Pomimo wyraźnej prośby i błogosławieństwa lokatora dziwnie się czułam, przekręcając klucz i naciskając klamkę. Z obawą weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi.

Znalazłam się w przedpokoju oszczędnie umeblowanego, przestronnego, dwupokojowego mieszkania. I jak to było do przewidzenia, zamiast zostać tam, gdzie stałam, sięgnąć do niskiej szafki po lewej stronie, wyjąć z niej czarne buty i wyjść, postanowiłam zerknąć dalej.

„Tylko zerknąć”, powtarzałam sobie, zaglądając do wąskiej kuchni, umeblowanej w oszczędnym, skandynawskim stylu i natychmiast ucieszyłam się na widok niezliczonej ilości karteczek, przyklejonych do lodówki i zabazgranych absurdalnie wąskim, pochyłym charakterem pisma. Widocznie

Robert, podobnie jak ja, funkcjonował dzięki licznym notatkom, tyle że wykonywanym na materiale stosowniejszym niż własne ręce. Wyglądało na to, że kartki mają charakter służbowy. Tuż obok lodówki, na przylegającym do niej blacie, znalazłam laptopa i kilka opartych o ścianę segregatorów. „I popielniczkę z niedopałkami papierosów”, syknęłam zirytowana, z trudem tłumiąc chęć, by ją natychmiast opróżnić. Po latach spędzonych z palącymi rodzicami pozostał we mnie głęboko zakorzeniony wstręt do walających się po mieszkaniu popielniczkach, z których wiecznie wysypywał się popiół. Ich opróżnianie stanowiło odpowiednik syzyfowej pracy, nieważne bowiem, jak często sprzątałam, natychmiast były znowu pełne i śmierdziały ledwo dogaszonym tytoniem. Wyprowadziwszy się na swoje, w pierwszej kolejności powiesiłam w przedpokoju tabliczkę z napisem „Zakaz palenia”.

Sypialnia i salon surowością stylu również mogłyby służyć za reklamę Ikei. Mało bibelotów, osobistych drobiazgów, porządek na poziomie przyzwoitym. Brakowało mi w tym mieszkaniu kwiatów. Choćby na półce nad telewizorem w salonie, jakiś niewielki bluszcz, który dodałby pomieszczeniu przytulności. „Pod warunkiem, że by się zmieścił”, stwierdziłam, patrząc z powątpiewaniem na sporą kolekcję popielniczek, wypełniających półkę. Niektóre były całkiem ładne. Nie mówiąc o tym, jak ładnie by spadały, gdyby znalazły się w zasięgu łap pewnego przedsiębiorczego kota.

„Wnętrze surowe, męskie i kawalerskie”, stwierdziłam z zadowoleniem, choć lekko przepłoszona widmem pracoholizmu, które wyzierało z kolejnych segregatorów zajmujących cały regał w niewielkiej sypialni i porozkładanych na stoliku przy sofie w salonie. Właściwie chyba nic się nie stanie, jeżeli do jednego zerknę? Tak, żeby wyrobić sobie pogląd na temat branży, której z takim zaangażowaniem poświęcił się zawodowo Robert?

Dźwięk domofonu wytrącił mi z ręki segregator. Jezu, i co teraz? Nie podniosę przecież słuchawki i nie poinformuje dobijającego się gościa, że gospodarz chwilowo utknął w moim

mieszkań w samych skarpetkach, bo kot mu nalał do butów... Zresztą, za długo już chyba to szukanie obuwia trwa, wypadałoby skończyć rewizję. Szybkim ruchem sięgnęłam do szafki, wyciągnęłam buty i spakowałam do przyniesionej w torebce siatki.

Domofon zadzwonił jeszcze dwukrotnie, denerwując mnie swoim natręctwem. „Jak nikt nie odbiera, znaczy, że nie ma go w domu”, miałam ochotę burknąć do nadgorliwca, który nie zamierzał spasować i który najprawdopodobniej będzie jeszcze maltretował guzik domofonu, kiedy zejść na dół.

„Choć może lepiej, żebyśmy nie mieli okazji spotkać się w przejściu”, pomyślałam tknięta dziwnym impulsem. Z jakichś powodów nie odpowiadał mi fakt, że ktoś z otoczenia Roberta może odkryć mój samotny pobyt w tym miejscu. Jakim cudem miałby się zorientować, z jakiego mieszkania wyszłam, nie miałam bladego pojęcia.

„Mania prześladowcza w wyniku nadmiernej ilości kontaktów z Borową”, pomyślałam i podeszłam do okna w kuchni, z którego miałam widok na wejście do bloku. W samą porę, bo domofon właśnie umilkł. Zerknęłam zza firanki i zakląłam z całego serca na widok osoby, która pojawiła się przed blokiem. Teraz już nie miałam wyjścia. Bezwzględnie należało przeczekać, aż zniknie z pola widzenia.

Wracając do domu, intensywnie próbowałam znaleźć wytłumaczenie sytuacji na tyle zadowalające, by nie obgryzać skórek przy paznokciach i przynajmniej udawać, że nastrój mam tak samo dobry jak w chwili wyjścia z mieszkania. Niestety, w szukaniu optymistycznych wyjaśnień dobra była Luiza. Na własną wyobraźnię mogłam jedynie liczyć w zakresie doszukiwania się najczarniejszych scenariuszy. Pozostało mi spróbować wyrzucić z głowy wszystkie myśli. Wzięłam głęboki oddech i powlokłam się do mieszkania.

Gdy weszłam do środka, złość i niezawodna wyobraźnia dały mi kolejnego kopniaka. W salonie ujrzałam bowiem Roberta z Lokim na kolanach. Widocznie nie było mnie dość długo, bo

panowie postanowili włączyć telewizję. Robert z kubkiem kawy w dłoni i kotem na kolanach tak bardzo tu pasował... „Obrazek, który chciałabym oglądać każdego dnia, wracając z pracy”, pomyślałam, stojąc w drzwiach.

– O, znalazłaś! Bardzo ci dziękuję. – Robert zorientował się, że wróciłam i wstał, ostrożnie kładąc Lokiego na fotelu obok. – Nie gniewasz się, że włączyłem TV?

– Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że chodziło o te buty. – Z przyklejonym do twarzy uśmiechem podałam mu siatkę z obuwiem i klucze.

– Dokładnie o te – ucieszył się Robert. – Jesteś fantastyczna. Teraz już nie masz wyjścia, musisz się zgodzić na ten obiad. W ramach rewanżu za wybawienie z dość kłopotliwej sytuacji.

Odpowiedź nie chciała mi przejść przez gardło, choć nie miałam już najmniejszych wątpliwości, jak powinna brzmieć.

– Dzięki, ale przed chwilą dzwonił mój brat, chciałby dogadać się w sprawie wyjazdu, jeszcze przejrzeć dokumenty... – wykrztusiłam.

Na hasło „wyjazd” Robert zeszywniał.

– Szkoda – mruknął rozczarowany. – Miałem nadzieję, że przed urlopem znajdziesz dla mnie chwilę. Nic, zadzwonię jutro wieczorem, może w poniedziałek byś do mnie wpadła? Pokazać tatuaż? Słuchaj, a może pójde z tobą?

– Też chcesz dziarę? – Uśmiechnęłam się niemrawo. – Idę z przyjaciółką, wiesz, takie tam babskie rozrywki...

– Dość oryginalne. Myślałem, że babskie to raczej zakupy albo salon piękności.

– Toteż właśnie idziemy się upiększyć – wyszczebiałam słodko i fałszywie.

Zapadło niezręczne milczenie. Staliśmy bez słowa, gapiąc się na podłogę. Robert głupi nie był, wyczuł natychmiast, że coś jest nie w porządku. Zabrakło mu jednak pomysłu na wyciągnięcie ode mnie wyjaśnień. Sama z siebie za nic nie



wydusiłabym, jak mocno moje zaufanie zostało nadszarpnięte z powodu osoby, którą zobaczyłam przez okno z jego mieszkania. Przyznawać się do własnej znajomości z tą osobą nie miałam ochoty tym bardziej.

– No nic, zbieram się. Dziękuję za miły wieczór. – Robert wreszcie się ocknął.

– Ja też, trzymaj się. Zdzwonimy się jutro, pewnie pod wieczór już będę uchwytana.

– W takim razie do usłyszenia... A gdyby ci się jednak zrobiła jakaś dziura w grafiku, daj znać.

– Nie ma sprawy – obiecałam, choć żadnej dziury w wyimaginowanym grafiku nie planowałam.

Kiedy Robert wyszedł, zamknęłam drzwi i osunęłam się na podłogę. Bardzo chciałabym tę cholerną dziurę znaleźć, jednak udawanie straszliwie zajętej osoby było mi potrzebne. Na wypadek, gdybym znów trafiła na krętacza.



Wbrew temu, co naopowiadałam Robertowi na temat konieczności posiedzenia z Michałem nad rodzinną dokumentacją, wszystkie ważne informacje przekazaliśmy sobie już wcześniej telefonicznie. Poza medytowaniem nad zdjęciami, które wybierałam jako załączniki do maila do Stevena, zajmował mnie przecież inny temat i to, od której strony ugryźć melanż, który z każdym dniem nabierał nowego kolorytu i dodatkowych urozmaiceń.

Tymczasem okazało się, że Loki miał w sobie jednak jakiś ogranicznik psocenia. A może to ta krótka bójka z Figą przez

otwór w ścianie łączącej balkony nieco go spacyfikowała... W każdym razie – od południa leżał spokojnie na kanapie. Pokręciłam się chwilę po mieszkaniu, podlałam kwiaty i przystąpiłam do skubania uschniętych listków, z trudem hamując zapędy destrukcyjne, które naszły mnie po rozmowie z Kamilą, dzwoniącą w sprawie pogrzebu Olgierda. Przydeptana przez Borowę – który za bardziej upoważnioną do rozmów z policją uważał byłą żonę niż kochankę, prywatnie zaś od początku afery rozwodowej darzył Kamilę sporą niechęcią – usiłowała dowiedzieć się czegoś na temat wyników pracy patologa. Kochała Olgierda, czego, z ręką na sercu, o sobie nie mogłam powiedzieć. Może i przemyciłabym dla niej wieści z kroniki policyjnej, gdyby nie jeden podstawowy fakt.

Mogłam komuś wybaczyć, że raz wlaź mi z buciorami w życie. Raz. Bo dwa razy to już było zdecydowanie za dużo. Pewnie tym razem nieświadomie, ostatecznie mogła nie wiedzieć, że mamy szczęście lokować uczucia w tych samych mężczyznach. Co nie zmienia faktu, że jej niedoszła wizyta w sobotni wieczór u Roberta wywołała wielki nawrót niechęci.

– Mam zakaz konsultowania się z osobami postronnymi – burknęłam. – Policja kontaktuje się w takich sprawach z rodziną, więc skoro rodzice Olgierda nic ci nie powiedzieli, to ja tym bardziej nie jestem upoważniona.

„Rodzice jak rodzice”, dołożyłam w myślach. Teściowa może konsultowałyby swoją wiedzę z Kamilą do upojenia, jednak silniejszą połowę tego duetu, czyli teścia, urobioną miałam ja.

Wyzłośliwiając się do słuchawki, nie pomyślałam, głupia, że może pewna doza poprawności politycznej w kontaktach z Kamilą by nie zaszkodziła, a może nawet pomogła – na przykład w wybadaniu, o co jej chodzi z Robertem. Na kilometr śmierdział mi fakt, że wolna jak ptak, mogłaby okres opłakiwania kochanka skrócić do niezbędnego minimum i zupełnie oficjalnie poszukać szczęścia gdzieś indziej. Razem nie mieszkali, zobowiązań żadnych wobec Olgierda nie miała. Chociaż może na nowy romans za szybko? Zdażyć poznać

i poderwać niespełna tydzień po zaginięciu Olgierda? „Chyba że i jego zdradzała”, szturchnęły mnie ponure myśli.

O tym, że może wcale nie miała zamiaru rozwalać mi po raz kolejny życia prywatnego, a jej znajomość z Robertem mogła mieć zupełnie inny charakter, niż sądziłam, nie pomyślałam. Raz ciężko doświadczona przez zdradę, postanowiłam zastosować zasadę ograniczonego zaufania, czyli w praktyce na oboje się obrazić. Na Kamilę mocniej, na Roberta na tyle, żeby odebrać wieczorny telefon i wdzięcznie wyłgać się od spotkania wezwaniem na komisariat, co razem z wizytą w studiu tatuażu, pakowaniem i konsultacjami z rodziną w sprawie opieki nad Lokim dawało obraz osoby mocno zabieganej.

– Wyjeżdżamy we wtorek z samego rana – poinformowałam Roberta. – Więc pewnie nie zdążymy się spotkać. Możesz oficjalnie zacząć za mną tęsknić. Pozwalam.

– Chyba nie mam innego wyjścia – mruknął Robert. – W przerwach, jeśli się zgodzisz, będę pracował albo się upijał. Nie bądź zółza, kota mi chociaż zostaw.

– Kot będzie się integrował z futrzakami moich rodziców – odparowałam. „Aż tak mu będzie samotność doskwierać? Ciekawe...”, pomyślałam i natychmiast dodałam zjadliwie: – Nie żartuj, będziesz miał więcej czasu, żeby się poudzielać towarzysko. Chętni na pewno się znajdą. Albo chętne...

– Jedyna chętna, jaka mnie interesuje, to ty – odpalił Robert. – O ile jesteś chętna na moje towarzystwo. Zatem zostaje mi pracoholizm. I piwo. Nie mylić z alkoholizmem. W który mogę wpaść, jeżeli abstynencja od twojego towarzystwa mi nie posłuży.

– Jak miło, że aż tak się do mnie przywiązałeś – mruknęłam zakłopotana i aż mi się głupio zrobiło, że wysnułam takie spiskowe teorie z Kamilą w roli głównej. – Nie sądziłam, że mój urok osobisty ma taką siłę przyciągania.

– Silna konkurencja dla grawitacji – roześmiał się Robert. – No i będzie nudno. A z tobą? Proszę! Łażenie po drzewach i płotach,

łapanie kotów...

– I nieboszczyków – dokończyłam nerwowo. – Tak, wiem, lista rozrywek w moim towarzystwie zawsze się rozszerza. No trudno, ponudzisz się kilka dni.

Nudy widać Robert bardzo nie lubił, bo pomarudził jeszcze chwilę, dopytując, dokąd dokładnie jedziemy z Michałem, jak zamierzamy rozwiązać problem, kiedy wrócimy i czy na pewno nie potrzebujemy pomocy. Na czym miałyby ta pomoc polegać, nie miałam pojęcia, jednak troska w wydaniu XXL, ujawniona po raz kolejny, wywołała w sercu miłe piknięcie. Nie chciało mi się wierzyć, by facet tak żywo zainteresowany moimi problemami i tym, czy dam sobie radę, miał skłonność do kombinowania i otaczania się dziewczynami w liczbie większej niż jedna sztuka. W rezultacie z trudem ugryzłam się w język, żeby nie wypowiadać się z wszystkich kłopotów i zawilości, mnożących się w ostatnim czasie. Jedyłą motywację do siedzenia cicho stanowiła dana sobie obietnica, by nowy związek rozpocząć po posprzątaniu starego bałaganu. Dla dobra nas obojga.

– Właśnie dostałam na maila projekt tatuażu, prześlę ci do zaopiniowania – zaproponowałam.

Ale Robert był innego zdania.

– Zaopiniuję wykonanie – powiedział stanowczo. – Na pewno pozytywnie. Jestem przekonany, że wybrałaś świetny wzór, Majeczko. Szkoda, że będę musiał poczekać tydzień, ale cóż. Przetrzymam, jeśli obiecasz się odzywać w tym czasie.

Taką obietnicę złożyłam bardzo chętnie, beztrosko lekceważąc prognozowany wzrost rachunków telefonicznych. Jeżeli pogodny wyż obecności Roberta zagości na stałe w moim życiu, większe rachunki powinny być zjawiskiem chwilowym, później zdominowanym przez bardziej bezpośrednie sposoby kontaktu.



Z samego rana umówiłam się na spotkanie z Borówą, który wieczornym SMS-em domagał się mojej wizyty na komisariacie.

– Jaki poranek, taki cały dzień, a jaki poniedziałek, taki cały tydzień – wymamrotałam, czytając wiadomość. Wniosek nasuwał się sam. Przez cały najbliższy tydzień mam przerabane.

Wejść, machnąć mu listą przed nosem i chodu – taka wersja spotkania odpowiadałaby mi najbardziej. A potem wiać, gdzie pieprz rośnie... Nie, no po drodze wypadałoby zrobić przystanek w studiu, zwłaszcza że Steven po znajomości poświęcił niedzielę na dopracowanie wzoru, który wymyśliłam. Gdyby nie fakt, że szłam z korzystającą od lat z usług studia Luizą, utknęłabym w kolejce i do terminu wizyty sto razy zdażyłabym się rozmyślić. W takiej sytuacji wiać należało w sposób bardziej kontrolowany, niż miałam na to ochotę. Co gorsza, wyprysnąć z gabinetu Borówy zbyt szybko też nie mogłam, gdyż pod komisariatem umówiłam się z Lulu. „Lepiej się już tego wymyślić nie dało”, stwierdziłam z niechęcią, czekając na korytarzu na audiencję.

– Pokaż no, co ty tam stworzyłaś – zażądał od wejścia Patryk.

– Wygląda niemal jak litania. – Podając mu kartkę, wzruszyłam ramionami. – Ze znakiem zapytania są ci niepewni.

Borówa przebiegł wzrokiem nabazgrołoną w natchnieniu notatkę i westchnął ciężko. Spojrzałam na niego niespokojnie. Albo znalazł to, czego szukał i nasze domysły się pokrywały, albo objawił niepokój spowodowany sytuacją odwrotną. Z dwojga złego wolalabym to pierwsze, gdyż z premedytacją opuściłam kandydaturę Michała i Luizy. W razie czego po prostu się wyprę, ile to razy było już mówione, że najciemniej pod latarnią. Mogłam o pewnych zbyt oczywistych sprawach

zapomnieć, koniec tematu.

Takiej wersji zamierzałam się twardo trzymać i nawet nieźle mi szło. Przynajmniej przez te kilka sekund, zanim Borówa znów ciężko westchnął i wbił we mnie pełne potępienia spojrzenie.

– Maja, rozumiem, że albo nie masz ochoty wsypać bliskiej osoby, albo znasz dokładnie jej alibi i jesteś go pewna. Zapytam cię zatem raz i lepiej, żeby wszystko, co wyjdzie z twoich ust, było prawdą.

– Tak mi dopomóż Bóg i anieli święci – jęknęłam, przeczuwając najgorsze.

– Wiesz może, co w piątek wieczorem robił twój brat?

Siedział w kinie z Alicją! Grał z kolegami z pracy w brydża! Struł się nieświeżą kanapką i wszyscy pracownicy izby przyjęć pobliskiego szpitala widzieli tego rozległe i gwałtowane skutki! Niech nawet będzie, że włamał się do banku i został rozpoznany! Było mi obojętne, jak debilne będzie alibi mojego brata, byle się w ogóle znalazło! W razie potrzeby byłam skłonna zaangażować do współpracy UFO i aż żałowałam, że żadnego zielonego ludka nie mam pod ręką.

Ale prawda była bezlitosna.

– Nie wiem – wymamrotałam. – Planowali z Alicją wyjście do kina, ale nie byli pewni, czy nie wolą poczekać na film, który miał wejść w kolejnym tygodniu. Jezusie, naprawdę myślisz, że mój brat mógłby...?

– Mógłby co? – zapytał Borówa bezlitośnie. – Zabić? A kto go tam wie. Powinnaś się lepiej orientować. Ale tak wychodzi w śledztwie. Nie lubił Olgierda. Był wściekły, bo skrzywdzono jego siostrę. Ostro się żarli przy przetargu na budowę nowego osiedla nad Wartą. Olgierd sprzątnął mu sprzed nosa mieszkanie, które chcieli kupić z Alicją. O ile dobrze pamiętam, ciasnawa ta ich kawalerka...

Słuchałam litanii ewentualnych motywów Michała



z osłupieniem. Z tego wszystkiego wiedziałam tylko o jednym. Jakie przetargi, jakie mieszkania? Z jakiej skarbnicy wiedzy Borówa wytrzasnął te wszystkie rewelacje?

I dlaczego do tej skarbnicy wiedzy dostęp miał on, a ja nie?

W oczach Patryka błysnęło coś na kształt współczucia.

– Myślałaś, że znasz brata lepiej, co?

– Jasne, że tak myślałam – wyszeptałam. – Byłam pewna, że bliźnięta nie mają przed sobą tajemnic. A już na pewno my...

– Na to liczę. – Krótka chwila dobroci dla świadka minęła błyskawicznie. – Tylko dlatego nie uziemiłem Michała w areszcie domowym. Liczę, że zrobisz użytek z wiedzy, którą się z tobą podzieliłem i spróbujesz podpytać brata. Jedziecie sami, będzie okazja. O Boże, nie patrz tak, i tak łamię wszystkie możliwe procedury – zirytował się. – Dla dobra śledztwa. I przede wszystkim twojego. Możliwie dyskretnie zahacz go o ten piątek.

– Możliwie dyskretnie podsunę mu informację, że podejrzewasz go o morderstwo – wymamrotałam zrozpaczona. – Patryk, mam nadzieję, że to fałszywy trop, więc zgadzam się na wszystko, byle szybko to udowodnić.

„Albo na własną rękę znaleźć prawdziwego mordercę”, dopowiedziałam w duchu. Bierz diabli motywy Michała, bierz diabli moją ograniczoną wiedzę, najpierw wyciągnę go z tego bagna, a pretensje o tajemnice będę zgłaszała później. Pominąć ich milczeniem nie zamierzałam, ale moje prywatne roszczenia mogły poczekać. Sama przecież święta nie byłam, do znalezienia zwłok i znajomości z Robertem nie przyznałam się Michałowi do dzisiaj.

Zadeklarowawszy udział w spisku i chęć przypieczętowania go własną krwią, zobowiązałam się być uchwytna pod telefonem o każdej porze dnia i nocy, i o wszystkich odkryciach, względnie przemyśleniach, informować na bieżąco. Chlastania się celem złożenia podpisu na wymaginowanym cyrografie Borówa nie żądał, wyraził wręcz niesmak wobec moich głupich pomysłów.

– Żeby ci to tatuowanie jeszcze bardziej na mózg nie padło. – Mój rozmówca pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą. – Podobno z bólu też można zwariować.

„Jedynе źródło potencjalnego obłądu siedzi naprzeciwko mnie”, chciałam odpyskować, ale Opatrzność w postaci Luizy ustrzegła mnie przed znieważeniem policjanta na służbie. Patrykowi natychmiast przestało zależeć na przeciąganiu spotkania, bo tuż pod jego oknem Lulu odtrąbiła klaksonem umówiony sygnał.

– Boże, ja jestem w pracy – syknął. – Majka, idź już i zejdźcie mi, dziewczuchy, z oczu, zanim ktoś zechce wlepić jej mandat!

Lepszej zachęty nie potrzebowałam. Rączym truchtem wybiegłam na parking przed komisariatem, machając nerwowo do Lulu, która radosnym trąbieniem ściągala na siebie uwagę wszystkich w promieniu kilometra.

– Patryk zaraz wyskoczy przez okno, żeby obedrzeć cię ze skóry! W końcu zabierze ci ten samochód! Albo wymontuje klakson – syknęłam, dopadając auta.

– Przepraszam, nie mogę się powstrzymać! – zapiszczała Lulu. – Odebrałam auto! Mam swoje, wyklepane, wylakierowane i nawet umyte!

– Idealnie, żeby demolować kolejne słupki i płotki – mruknęłam zgryźliwie, wsiadając do nissana. – Jedźmy już. Im szybciej, tym lepiej.

– Ty masz dzisiaj kiepski humor. – Luiza przyjrzała mi się w uwagę. – Patryk?

– Nie, duch święty – burknęłam. – Wymyślił taką spiskową teorię dziejów, że głowa boli.

– I oczywiście nie możesz nic powiedzieć?

Prychnęłam w odpowiedzi.

Złość, jaka kotłowała się we mnie na okoliczność spiskowych teorii Borówy, była na tyle mocna, że zdążyłam zapomnieć o całym strachu, jaki miałam w planach. W rezultacie do studia

weszłam o własnych siłach i z własnej, nieprzymuszonej woli. Przyhamował mnie dopiero widok siedzącego na kanapie Stevena.

Zamrugalam nerwowo. Choć w sobotę wydawało mi się, że przywykłam do orgii barw na ciele Stevena, okazało się, że nic bardziej mylnego. W zestawieniu z czarną koszulką i czarnymi, lekko wypłowiałymi džinsami kolorowe wzory wrzeszczały intensywnością. Matko przenajświętsza, mam się na to gapić przez kilka godzin i nie zwariować? Może Borówa naprawdę miał rację z tym szaleństwem od tatuowania? To by wyjaśniało pewne odchyły Luizy...

Ale nie było czasu na analizowanie odchyłów u Lulu.

– Kto pierwszy?

– Nie ja. – Uśmiechnęłam się przewrotnie. – Ja sobie posiedzę i sprawdzę, jak głośno ona wrzeszczy. I w zależności od tego, wytrzymam do swojej kolejki albo zemdleję.

– Przykro mi, ona nie wrzeszczy. – Steven pokręcił głową bezradnie. – Uwierz mi, robię, co mogę. I nic.

– Dobra, dobra. – Dywagacje na temat progu bólu Luizy wydawały się mocno niecierpliwie zainteresowaną. – Maja, pójdziesz pierwsza. Większy wzór, zajmie więcej czasu, a jak się okaże, że jest w porządku, zostawię cię i podjadę na zakupy. Steve, ile potrwa u niej ta przyjemność?

Odpowiedź wbiła mnie w sofę.

– Zwariowaliście? – wrzasnęłam. – Mam siedzieć bez ruchu cztery godziny?

– Maja ma ADHD – zachichotała Lulu. – Daj jej coś do zabawy, żeby chociaż miała ręce zajęte. A ty, kochana, nic się nie bój. On ci nie da się nudzić. Będzie gadał i opowiadał dowcipy. I zadawał miliard pytań. – Lu przewróciła oczami. – Ale chwilę poczekam. Jak będę potrzebna, krzycz.

– Dwoje gadających i zadających pytania to nadmiar szczęścia – jęknęłam. – Dobra, jedź na te zakupy. Jak zejdem, zawieź moje

doczesne szczątki do domu i dopilnuj, żeby zaopiekowali się kotem.

– Żadne szczątki doczesne, najwyżej nieco zemdlone, nie przesadzaj...

– Wynocha! – wrzasnęłam zniecierpliwiona. – Na złość tobie specjalnie nie zemdleję! Nawet nie pisnę! Pa, widzimy się za cztery godziny!

Steven słuchał tej serdecznej wymiany zdań z autentycznym zainteresowaniem, lekko uśmiechając się pod nosem. Dopiero gdy przekroczyliśmy przyjętą przez niego normę decybeli, zdecydował się wtrącić.

– Dziewczyny, ja bym wam chętnie zaproponował coś na uspokojenie, ale regulamin...

Dopiero ta delikatna interwencja nieco nas przystopowała. Brunetka i szatynka, a obie koncertowo robimy z siebie blondynki z dowcipów... Jeszcze chwila i nas stąd wykopią!

– Dzięki – powiedziałam i wzięłam głęboki oddech. – Zrzućmy to na stres. Macie rację, najpierw ja, bo im dłużej, tym bardziej się boję.

Widocznie nie ja pierwsza. Steven musiał mieć już nieźle opanowane wykorzystywanie koloru swoich oczu w celu łagodzenia cykora u klientów. Uruchomił życzliwe, spokojne spojrzenie, które znałam już z soboty.

– Jeżeli możemy zaczynać, to zapraszam. Monika, przynieś wodę dla Mai – rzucił w stronę recepcjonistki. – Będziemy w dwójce. Chodź, Maja, powiedziasz ciąg dalszy tych piekielnych czeluści.

Widok, jaki ukazał się moim oczom za drzwiami gabinetu, nie przypominał piekła. Co nie zmienia faktu, że wydarł mi z gardła nerwowy jęk.

– Co, wygląda jak w piekle? – zainteresował się Steven. – Siadaj, proszę.

– Gorzej – mruknęłam, rozglądając się dookoła. – Wygląda jak

u dentysty.

Biało-błękitne kafelki na ścianach i podłodze sprawiały wrażenie idealnej, sterylnej czystości, jakiej nie powstydziłby się najwyższej klasy gabinet lekarski. Na białych szafkach stały tajemnicze urządzenia, stalową barwą i zimnym połyskiem nasuwające skojarzenia z salą operacyjną. Chłodne odcienie podkreślał fioletowy błysk lamp rozmieszczonych po obu stronach gabinetu.

I ta cholerna lampa tuż obok fotela, z zamontowanym szkłem powiększającym...

Na fotel, również nasuwający nieprzyjemne skojarzenia ze stomatologiem, bardziej opadłam, niż usiadłam i niemal natychmiast zatrzęślam się razem z siedziskiem.

– Jezusie, zęby tu też wyrywacie? A może przeprowadzacie operacje na otwartym sercu? – jęknęłam na widok uszykowanego na stalowej tacy sprzętu. – Czuję się jak przed wyrwaniem ósemki!

Steven, który zakładał właśnie fartuch i rękawiczki, spojrzał w kierunku tacy.

– Przykro mi, nie posiadam szczypczyków. Wiem, wygląda mało przyjaźnie, ale na większość osób to działa uspokajająco.

– Skojarzenie z dentystą?!

– Z gabinetem lekarskim. Czysto, sterylnie, wszystko jednorazowe. Zero problemów zdrowotnych. Tego ludzie się boją najbardziej. A tu widzisz, nawet lampa bakteriobójcza, to jest to z fioletowym światłem. Bardziej czepialskim pokazujemy aktualne zaświadczenia z sanepidu. Już bardziej się nie da zadbać o bezpieczeństwo klienta. No i swoje.

Takie argumenty pozwoliły mi spojrzeć na gabinet z zupełnie innej perspektywy. Od skojarzenia z lekarzami, sprzętem medycznym i igłami nadal robiło mi się słabo, ale część obaw związanych z tatuażem ulotniła się z myśli.

– Tak czy inaczej, świece zapachowe by nie zaszkodziły –

westchnęłam. – Albo muzyka relaksacyjna... Coś, co pozwoli się zrelaksować i wprowadzi trochę koloru. Od tej bieli można dostać na głowę.

– Kolorowe to masz farbki. – Steven z anielską cierpliwością słuchał mojego marudzenia, szykując pojemniczki z barwnikami. – Co do muzyki, możemy pośpiewać. A jak będziesz chciała przerwę, okadzę cię dymem z papierosa.

– Dzięki za dobre chęci, ale nie skorzystam. Z okadzania. Reszta może być. – Dowcipne pomysły Stevena na sposoby zrelaksowania panikującej klientki nareszcie pozwoliły mi złapać trochę dystansu.

Steven usiadł na obrotowym stołku obok fotela. Syknęłam i zamrugałam nerwowo, gdy zaświecił lampą. „Taką lampę to powinien raczej mieć Borówa”, przemknęło mi przez myśl. Pewnie zresztą ma, chwalić Boga, że mnie jeszcze pod nią nie usadził. Ale nie wszystko stracone...

Oczyrna duszy natychmiast ujrzałam siebie na twardym stołku w ciemnej piwnicy z wycelowaną we mnie lampą o oślepiającym świetle. Tuż za nią stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami Borówa. Nazwiska, imiona, kontakty! Wszystko byłabym w stanie z siebie wydusić, tylko nie mogłam się zdecydować, czy pod wpływem cholernej lampy, czy tego świdrującego spojrzenia. Nie, od pobytu sam na sam z Borową i lampą w ciemnej piwniczce uchowaj nas, Panie!

Zafiksowana na wizji okrutnego przesłuchania drgnęłam nerwowo na dźwięk maszynki i z trudem stłumiłam odruch otwarcia buzi. Ustrojstwo brzmiało identycznie jak maszynka do borowania.

– Mogę już wrzeszczeć? – Wzięłam głęboki oddech.

– Lewa łydka? – upewnił się Steven, poprawiając moją nogę na fotelu. – Jeszcze sekunda. Zanim zaczniesz, powiedz mi tylko, czy zamierzasz bardziej wrzeszczeć z bólu czy ze strachu?

– Ze wszystkiego – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Tatuowanie boli, to wiem od Lulu. A tatuuje się igłą, a igieł

nienawidzę.

Na potwierdzenie syknęłam na widok maszynki, która niebezpiecznie zbliżyła się do mojej nogi.

– No dobrze – mruknęłam, bo Steven spojrzał na mnie z wyrzutem. – Nie będę wierzgać.

– Będę wdzięczny. Chcę, żeby ten tatuaż wyszedł jak najlepiej, to raz. A moja twarz znajduje się w zasięgu twoich kopniaków, to dwa. Weź to pod uwagę...

Wzięłam. Razem z głębokim wdechem, kiedy przekalkowany na skórę wzór znalazł się na mojej nodze.

Steven uśmiechnął się do mnie krzepiąco.

– No, maszynka w ruch. Mów, jak będziesz chciała przerwę i pamiętaj o moich zębach. A, i o Lulu. Ona chyba jeszcze siedzi w poczekalni i czeka na twoje wrzaski – zachichotał.

Stąd już nie było odwrotu. Przynajmniej wobec obecności Lulu za ścianą. Za nic na świecie nie chciałam wyprysnąć z wrzaskiem z fotela i zwać pierwszym lepszym oknem. „Wytrzymam”, postanowiłam twardo. „Byle nie skompromitować się przed Lulu”.

„Ani przed Stevenem”, dopowiedziałam sama sobie po chwili.

Nie mówiąc o całej rzeszy ludzi, którzy wieczorem zaczną się dobijać o MMS-a z moją pierwszą dziarą.

I pewnie dlatego cichy syk przez zaciśnięte zęby był jedynym dźwiękiem, na jaki pozwoliłam sobie, czując kontakt mojej nogi z igłą.





Twarde postanowienie bycia dzielną zaowocowało kilkoma piśnięciami i kompletnie zdrętwiałym od siedzenia tyłkiem, nie śmiałam bowiem dopominać się o zbyt częste przerwy. Steven sam decydował, gdy rzeczowe informacje w stylu „Au...”, „Yyy”, „Ratunku”, „Boli” zaczynały mi się wyrywać z gardła zbyt często. W praktyce zaś oznaczało to właściwie brak przerw, bo zgodnie z zapowiedzią Luizy Steven gadał jak najęty, domagał się szczegółów z mojej biografii i żywo interesował się powodami, dla których wybrałam taki, a nie inny wzór.

– Lubię wiedzieć – mruknął, pochylony nad moją łydką. – Wtedy mogę ocenić, ile czasu tatuaż będzie naprawdę kogoś cieszył. Może być najpiękniejszy na świecie, ale i tak wszystko zależy od tego, dlaczego się go zrobiło.

– Mam się tłumaczyć? – upewniłam się, próbując wydłubać z pamięci powody, dla których uczepiłam się wybranego zdjęcia konkretnego przedstawiciela kotowatych, uwiecznionego w charakterystycznej pozie. Zaczniemy od powodów, dla których w ogóle uczepiłam się robienia wzorków na skórze. Tego ostatniego ni w ząb nie mogłam sobie przypomnieć, zwłaszcza gdy Steven pracował nad konturami.

Historię genetycznej skazy, która kazała mi związać się dożywotnio z jednym, wybranym gatunkiem zwierząt, omówiliśmy przed pierwszą przerwą. Tym bardziej więc Steven domagał się informacji, co z kotami domowymi ma wspólnego tatuowane na mojej nodze zwierzę.

– Bo z dzikich kotów najbardziej pokochałam właśnie te. Są zabójczo szybkie, piękne i przy wszystkich cechach idealnego drapieżnika zadziwiająco łagodne – wyznałam. – Kolega zaprosił mnie kiedyś na miesiąc do rezerwatu w Namibii, gdzie opiekował się grupą gepardów. Poznałam trochę te zwierzaki. I uwierz mi, w przeciwieństwie do wielu ludzi, znajomość z nimi to naprawdę przyjemność. Taki tatuaż z gepardem to jak talizman. Rozumiesz, taki na szczęście.

– Zazdroszczę. I Namibii, i gepardów, i przyjemności. Zabierz mnie kiedyś na taki wolontariat. W ramach kosztów tatuażu,

co? Może nauczę się odróżniać geparda od tych tam innych cętkowanych.

Z przerażeniem zerknęłam na swoją łydkę. Nie żebym nie lubiła lampartów czy jaguarów, ale na nodze chciałam mieć bardzo konkretne zwierzątko.

– No spokojnie, wzór jest taki, jak na zdjęciu, więc o ile sama się nie rąbnęłaś, to wszystko się zgadza.

Na wszelki wypadek wychyliłam się, chcąc skontrolować ową zgodność.

Kontrola wybitnie mi nie wyszła, bo Steven właśnie podniósł głowę, by nabrać nową porcję barwnika.

Zderzenie czołowe, do którego doszło w wyniku kiepskiej koordynacji naszych ruchów, wyrwało z gardła Stevena przeciągłe wycie.

– O rany – jęknęłam, równie przerażona. – Żyjesz?

To, że z gabinetów dochodzą potępięncze jęki klientów, pewnie nikogo tu nie zdziwiło. Fakt, że tym razem darł się tatuażysta, stanowił intrygującą anomalię. Nie minęło pięć sekund, gdy do środka wdarły się recepcjonistka Monika i Lulu, która najwyraźniej zdażyła wrócić z zakupów.

– Przepraszam, co tu zaszło? – zapytała nieufnie Monika na widok skulonego i trzymającego się za szczękę Stevena. – Coś spartolił? Dziwne, dotąd jeszcze nic nie zepsuł... Przynajmniej nie na tyle, żeby trzeba było go bić...

Steven spróbował otworzyć usta i coś powiedzieć, ale zamiast tego znów zawył, choć znacznie ciszej.

Monika i Luiza wbiły we mnie wzrok pełen potępienia.

– Majka, jeżeli ty go uszkodziłaś skutecznie...

Posądzenia o celowe uszkodzenie kogokolwiek były bardzo krzywdzące.

– To nie było celowo! – zawołałam z oburzeniem. – Ja się nachyliłam, on się wyprostował, no i wyszło trochę...

kolizyjnie...

– Jezu, to nie wygląda na trochę kolizyjnie!

– Steve, żyjesz?

– A jak ma szczękę złamaną? Majka, przysięgam, do końca życia nigdzie cię nie zabiorę!

Trzy histeryzujące baby to było dla Stevena dosyć.

– Dobra, spokój! – jęknął na tyle wyraźnie, na ile pozwalała mu uszkodzona żuchwa. – Lulu, zejź z Majki, to naprawdę był przypadek. Głupio się przyznałem, że nie odróżniam geparda od jaguara i chciała sprawdzić, czy nie popieprzyłem kotów. Nie, Monika, nie umieram i nie muszę nigdzie jechać.

– Naprawdę?

Nawet cierpliwość Stevena miała swoje granice.

– Skoro wrzeszczę, to żyję, nie? – ryknął. – Koniec przedstawienia, wszyscy wracają do swoich zajęć! Ty na recepcję, ty – na sofę w poczekalni, a ty – zwrócił się do mnie – z powrotem na fotel! Nic mi nie będzie. Chyba że zacznę widzieć podwójnie... Najwyżej wtedy będziesz miała dwa kotki!



Ostatecznie ze studia wyszłam z jedną sztuką geparda na nodze i numerem telefonu Stevena, zapisanym ozdobnym, pełnym zawijasów pismem na prawym przedramieniu. Z sugestii, by napis wykonać maszynką do tatuowania zamiast długopisem, wyłgałam się wdzięcznie starym argumentem, że przedramiona muszę mieć czyste w celu robienia notatek. Solennie obiecałam zapisać numer w komórce i tradycyjnym kalendarzu, zanim

wejdę pod prysznic.

Obiecałam również zaraz po powrocie z urlopu z tego numeru skorzystać.

– Na Afrykę chwilowo nie mam kasy. – Steven westchnął, gdy wychodziłyśmy ze studia, dumne, blade i owinięte w strategicznych miejscach folią. – Ale domagam się zaproszenia na kawę albo coś... No wiesz, w ramach przeprosin.

– Na herbatę – sprostowałam odruchowo. – Anglicy herbatę piją, nie?

– A kto ci powiedział, że jestem Anglikiem? – zdziwił się Steven. – O ile wiem, byłem nim przez pierwsze pięć lat życia, a i to połowicznie. Ojciec jest made in England. Od dziecka byłem dwujęzyczny, ostatnie dwadzieścia osiem lat spędziłem w Polsce, więc nie zdażyłem się uzależnić od herbaty. Może być kawa. Albo piwo.

Tak ulgowe konsekwencje za uszkodzenie mu żuchwy byłam skłonna ponieść. I to całkiem chętnie. Poza drobnym incydentem z czołówką cztery godziny, których tak się bałam, spędziłam całkiem przyjemnie. Przynajmniej na tyle, by natychmiast zapomnieć, że były to cztery najbardziej bolesne godziny w moim życiu. Nie miałam nic przeciwko spotkaniu poza studiem i dokończeniu rozmowy na tematy, których nie zdażyliśmy dokładnie omówić. Stevena interesowała moja znajomość z gepardami i geneza niechęci do igieł. Ja chętnie posłuchałabym opowieści na temat wzorków pokrywających jego skórę, z których każdy miał swoją historię.

Zadowolona z nowej sentencji na prawej łopatce, Lulu była skłonna wybaczyć mi wszystkie ekscesy, zwłaszcza że nie zanosilo się na dożywotni zakaz wstępu do studia. Ponieważ problemy z mówieniem i drętwienie podbródka okazały się u Stevena przejściowe, wystarczyło pół godziny, by zdecydował się podejść do nietypowego incydentu z poczuciem humoru, które to znalazło upust w postaci całkiem sympatycznego rabatu, więc i Luiza machnęła ręką na kompromitację.

– Jak już pójdziecie na tę kawę, załatw jeszcze jakiś rabacik. – Kumpela szturchnęła mnie, gdy wsiadałyśmy do samochodu. – Swoją drogą, ty naprawdę przyciągasz różne dziwne sytuacje. Rozwody, morderstwa, zagadki rodzinne, zagubione koty... A do tego wchodzisz do studia tatuażu i od razu wpadasz w oko tatuażystce. – Lu pokręciła głową z podziwem. – Ja nie wiem, nie znam nikogo innego, kto by tak potrafił.

– Bo akurat robię to celowo. – Nagle zdenerwowałam się nie na żarty. – Na niczym mi tak nie zależy, jak na rozwodach, morderstwach i szarpaniu się z testamentem babci! A gdzie ty widzisz to wpadanie w oko, to już naprawdę nie mam pojęcia! Był po prostu sympatyczny, widział, że mam cykora i tyle!

W odpowiedzi Luiza popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem i kwiknęła rozbawiona.

– Maja, nie znasz faceta! Ja za to tak. Siedząc w poczekalni i gabinecie, widziałam setki dziewczyn, dla których był po prostu sympatyczny! Zresztą, z czystej sympatii nie dałby ci numeru telefonu ani nie chciał się spotkać poza pracą!

– Nie zdążyliśmy pogadać – upierałam się. – Interesował go mój wolontariat w Namibii i dzikie koty. Temat obszerny...

Lulu przewróciła oczami.

– Jasne, bo tatuowanie wcale nie stwarza okazji do pogadania przez kilka godzin...

– Ty tam siedziałaś ledwie godzinę!

– I jakoś nie wyszły tematy do obgadania po godzinach! Dobra, Maja, ja swoje wiem. A Steven to fajny facet. Na twoim miejscu pilnowałabym, żeby tego numeru nie zmyć podczas kąpieli przed utrwaleniem go w lepszym miejscu.

Zgrzytnęłam zębami i ostentacyjnie wyciągnęłam z torebki komórkę, po czym wklepałam numer.

Zadowolona Lulu uśmiechnęła się zawadiacko i pomachała ręką do kogoś, kto właśnie wjeżdżał na parking i gapił się na nas z zainteresowaniem. Nie dziwiło mnie to ani odrobinę. Sama

bym się gapiła, zważywszy, że cała ta burzliwa dyskusja wokół swatania mnie z tatuażystą miała miejsce obok samochodu.

– Ciąg dalszy tej szopki może jednak w aucie – sarknęłam, chwytając za klamkę po stronie pasażera. – Nie róbmy widowiska!

Widowisko czy też nie, awanse przystojnego, sympatycznego tatuażysty nie wchodziły w grę. Ostatnia rzecz, na jaką miałabym ochotę, to narobienie Stevenowi nadziei bez szans na ich urzeczywistnienie. Musiałam znaleźć sposób, by dać mu do zrozumienia, że kawa i dyskusja o dzikich kotach nie mogą wyjść poza ramy przyjaźni. I jakoś odczepić Lulu od tematu.

Luiza chwilowo jednak odczepiła się sama, przyjmując moje nagłe zamknięcie za oznakę wahania i cichą zgodę na przemyślenie sprawy.

– Od początku ci mówiłam, że odpowiedni dla ciebie facet znajdzie się błyskawicznie. – Psiapsiółka szturchnęła mnie łokciem i ruszyła gwałtownie.

Zaaferowana facetami odpowiednimi i nieodpowiednimi, z roztargnieniem zapięłam pas i położyłam torebkę na kolanach. Zaczynałam mieć wrażenie, że dziewięćdziesiąt procent facetów przyszło na świat z pieczętką: „Niezdatny dla Mai Kostrzewskiej”. Niezdatny z powodu niezdolności do monogamii. Niezdatny z powodu skłonności do mataczenia. Niezdatny z powodu przyprawiającej o ból głowy orgii barw i wzorków na ciele i ogólnie pojętego złego wrażenia, jakie uczyniłby na członkach rodziny... Jezusie słodki, już widzę minę ojca, gdyby stuknięte pomysły Luizy zyskały szansę realizacji... Na wieki utkwiał mi w głowie komentarz taty na widok syna mieszkającej w Stanach ciotki Anity. Choć obfitością tatuaży Przemus nie dorastał Stevenowi do pięt, podczas wizyty z okazji Wielkanocy ojciec zaproponował mu, by usiadł na stole w charakterze wielkanocnej pisanki. Jak w takim razie potraktowałby Stevena? Zasugerował owinięcie światełkami i wystąpienie jako dekoracja na choince?

„Boże drogi, czy to wszystko nie może być jakoś normalnie”, jęknęłam w duchu, przyciskając dłonie do przymkniętych powiek. Coś nieprzyjemnego mówiło mi, że może Lulu ma rację. Może to naprawdę mój felerny talent do ściągania dziwnych wydarzeń i ludzi? Ot, sama Lulu. Bez względu na ogromną przyjaźń, jaką ją darzyłam, była ostatnią osobą, której przyznałabym nagrodę w kategorii normalności. Kochana Luiza, z jej manią na punkcie tatuaży, kolorowych paznokci, głośnej muzyki z musicali i totalną niechęcią do przestrzegania przepisów drogowych... Czy bez jej wariactw i wiecznej pogody ducha nie wylądowałabym tuż po nakryciu Olgierda i Kamili na oddziale zamkniętym?

„Z drugiej strony z Lulu równie dobrze można wylądować na kilku innych oddziałach. Na przykład kardiologicznym po przebyciu zawału serca”, przemknęło mi przez myśl, gdy pisk hamulców, ostre szarpnięcie i oburzony krzyk Luizy wyrwały mnie z zamyślenia. Torebka spadła mi z kolan. Gwałtownie łapiąc powietrze, rozejrzałam się przerażona.

– Przepraszam cię najmocniej, ten idiota najwyraźniej ma problem z faktem, że kobiety mają pierwszeństwo – burknęła Lulu, pokazując środkowy palec kierowcy, który cudem wyhamował, gdy Luiza usiłowała wepchnąć się na drogę, wyjeżdżając z parkingu. Teraz postukał się w czoło, jeszcze raz zatrał i z piskiem opon odjechał ze skrzyżowania.

– Kodeks drogowy chyba przewiduje równouprawnienie – wymamrotałam przepłoszona.

Przepłoszenie minęło, gdy sięgnęłam po torebkę, i ustąpiło miejsca całkiem porządnej złości.

– A niech cię, Lulu! – warknęłam, bo niedomknięta torebka podczas wykonywanych w locie ewolucji pozwoliła swej zawartości wypaść na podłogę. Teraz podręczne kosmetyki, klucze, dokumenty i cały pozostały majdan poniewierał mi się pod nogami. Część udało mi się pozbierać natychmiast, po resztę należało zanurkować pod fotel.



Luiza przestała się dąsać na wyznającego równouprawnienie na drodze kierowcę i z zakłopotaniem spojrzała na bałagan pod moimi nogami.

– Przepraszam – bąknęła. – Odwiozę cię do domu, to na parkingu odsuniemy fotel i pozbieramy wszystko.

Dużo do zbierania nie było, część zdążyłam wygarnąć sama, gdy stałyśmy na świątlach, których kolor nagle nabrał dla Luizy szczególnego znaczenia. Pewnie machnęłabym ręką na drobiazgi pod fotelem i poprosiła o ich zwrot przy okazji, gdyby nie fakt, że pomiędzy nimi poniewierały się również klucze do mieszkania. Nocowanie pod balkonem do czasu, gdy Lulu zachce się trzepania wycieraczek i sprzątania tapicerki, było nie do przyjęcia, zwłaszcza że w mieszkaniu czekał spragniony towarzystwa i jeszcze bardziej posiłku Loki. Nie zamierzałam pozostawiać kota na pastwę losu. Ani mieszkania na pastwę kota. Do kluczy należało dostać się natychmiast.

Od strony przedniego siedzenia okazało się to niemożliwe. Klucze poleciały głęboko do tyłu, więc odsunawszy fotel maksymalnie do przodu, uklękłam przy drzwiczkach, grzebiąc na oślep między szynami siedzenia. Klucze, zaczepione breloczkiem o jakiś wystający element, nie chciały poddać się bez walki.

– Może ja spróbuję? – dopytywała nerwowo Luiza, drepcząc dookoła. – Jakim cudem zahaczyły się tak mocno?

Sama bardzo chciałam to wiedzieć. Wyczepienie kluczy wymagało delikatnych, precyzyjnych ruchów, a na takie z wystraszoną Lulu stojącą nad głową nie miałam cierpliwości. Poza awanturami z Patrykiem na tle drogowym nic nie wytrącało jej z równowagi skuteczniej niż świadomość, że przyczyniła się do kłopotów bliskiej osoby. Teraz też zdenerwowana patrzyła mi na ręce, wkurzając mnie niewymownie i utrudniając manipulacje.

– Nie stój mi nad głową, nie mogę się skupić! – fuknęłam wreszcie. – Skocz po wodę mineralną i coś słodkiego, bo

dostanę szafu!

„Od razu lepiej”, odetchnęłam, gdy zostałam sama przy samochodzie. Gdzieś tam wprawdzie piknęły mi wyrzuty sumienia, ostatecznie Lulu zorganizowała mi pełzanie pod fotelem w sposób przypadkowy i niezamierzony. Nie zmieniało to faktu, że przyzwyczajona do Luizy w wersji opanowanej i łagodzącej moje histerie na widok jej zdenerwowania traciłam nad sobą panowanie.

Jeszcze raz wsunęłam dłoń pod fotel, próbując odczepić kluczyki i modląc się o kolejkę w sklepie, do którego wysłałam Luizę. Nic. Coś najwyraźniej blokowało breloczek, nie pozwalając na swobodne zsuniecie go z przeszkody. Należało najpierw usunąć to coś. Wymacałam niewielki kształt i delikatnie wyjęłam.

Uśmiechnęłam się zadowolona, bo klucze tym razem dały się wyciągnąć całkiem lekko. Wrzuciłam je do torebki, zamknęłam ją starannie i pewnie przysunęłabym fotel na miejsce, gdyby nie przedmiot, który pozostał pod siedzeniem. Nie mógł należeć do mnie, tego byłam pewna. Swoje zguby zdażyłam pozbierać, zresztą nie przypominał w dotyku niczego, co mogłabym nosić w torebce. „Co za cholerstwo”, zastanowiłam się przez chwilę i zanurkowałam jeszcze raz pod fotel.

Zobaczmy...

Gdy wstałam, w ręce trzymałam breloczek z miniaturą czerwonego audi, z przypiętymi kluczami.

Gubienie kluczy było ostatnią rzeczą, o jaką byłabym skłonna posądzić Luizę. Przypinanie ich do breloczków z miniaturowymi samochodami tym bardziej. Wszystkie możliwe klucze, prywatne, domowe, do pracy, Lulu nosiła spięte razem, nie bawiąc się w doczepianie do nich dodatkowego ciężaru w postaci breloczka. Smycz z imieniem właścicielki była jej zdaniem bardziej funkcjonalna. I, jak się domyślałam, razem z kluczami schowana w porządnie zapiętej, bocznej kieszonce torebki. Może więc Borówa?

Na myśl o funkcjonariuszu policji rozsiewającym z ułańską fantazją własne klucze parsknęłam śmiechem. Nie ma mowy, w tej kwestii Lulu i Patryk dobrali się idealnie. Poza tym, jakim cudem mógłby zostawić cokolwiek w samochodzie narzeczonej i nie zorientować się przez tyle czasu? Ostatnie kilka dni nissan Luizy spędził przecież w warsztacie. Zorientowawszy się, że czegoś mu brakuje, Borówa jak nic udałby się na parking poszukać zguby. I znalazłby auto zastępcze, w wyniku czego doszłoby do potwornej awantury, której echo dotarłoby do mnie natychmiast.

W takim razie – kto?

Stałam bezmyślnie przy samochodzie, czekając na powrót Luizy i wyjaśnienie zagadki dziwnego breloczka. Czerwone audi, ohyda... Bez względu na to, do kogo należało, osoba ta musiała mieć wyjątkowo spaczony gust. O tego typu idiotyzmy byłabym skłonna posądzić tylko jednego człowieka.

Obracane niedbale w dłoni kluczyki wypadły mi z ręki i z cichym brzękiem wylądowały na asfalcie. Nie, błagam, niemożliwe! Skąd?

Modląc się, by wygrzebana spod fotela miniatura czerwonego audi okazała się zupełnie przypadkowym egzemplarzem, gorączkowo podniosłam breloczek i zaczęłam oglądać go ze wszystkich stron. Z każdą chwilą robiło mi się coraz bardziej gorąco. Umazane smugą korektora podwozie, brak prawego lusterka, urwanego w wyniku przewalania się ze zbyt dużą ilością innych przedmiotów w teczce, lekko zdarty lakier w kilku miejscach... To jeszcze nic nie znaczy, znam wielu dużych chłopców, którzy nie nauczyli się szanować swoich zabawek, ale...

Rzut oka na przyczepione do breloczka klucze wyrwał mi z gardła nerwowy jęk.

Nie było co modlić się o cud ani pomyłkę. Jeżeli nawet miniaturowe autko mogło coś takiego sugerować, klucze podpisane nazwą deweloperskiej firmy, w której pracował

Olgierd, nie pozostawiały wątpliwości.

TE klucze, które wraz z innymi rzeczami mojego byłego męża zaginęły, krótko po opuszczeniu przez niego mojego mieszkania w feralny piątkowy wieczór.

I jakimś cudem znalazły się pod siedzeniem w nissanie mojej przyjaciółki.

Szlag niech to wszystko trafi...



Wbrew moim mało pobożnym życzeniom szlag niczego trafić nie zechciał. Zamiast niego na horyzoncie pojawiła się Luiza z butelką wody mineralnej i opakowaniem kokosanek.

– Oni w tym sklepie są mocno na bakier ze zdrową żywnością.  
– Lulu cmoknęła z przyganą. – Przynajmniej w temacie słodyczy. I co, wyciągnęłaś te klucze?

„Żeby tylko jedno”, cisnęło mi się na usta wraz z pytaniem, co pod fotelem robiły służbowe klucze Olgierda. Odpowiedzi obstawiałam dwie, z czego żadna mi się nie podobała. Pierwsza zakładała, że wypadły podczas usuwania śladów zbrodni. Druga wskazywała na zbyt zażyłą relację obojga zainteresowanych. Najchętniej obie wzięłabym za kiepski żart, dla każdej z nich znajdowałam jednak jakieś drobne potwierdzenie w wydarzeniach ostatnich tygodni. Ten dziwny wypadek Lulu... Czy aby na pewno przywaliła w słupek tuż pod domem siostry? A może blacharz i lakiernik mieli zamaskować nieco inne ślady wgniecenia? O tym, że ostentacyjna niechęć Luizy do Olgierda mogła stanowić przykrywkę dla uczuć zupełnie przeciwnych nawet nie chciałam myśleć. Bez względu na wszystko wołałam

wierzyć w morderstwo niż w romans byłego męża z moją najlepszą przyjaciółką.

Póki co siedziałam cicho, tłumacząc nagłą bladość pobołowaniem wytatuowanej nogi. Widocznie pobołować miała prawo, bo Lulu nie wyglądała na zdziwioną.

– Zostaw jeszcze trochę opatrunek, a potem smaruj maścią – poradziła, przyglądając mi się ze współczuciem. – Jak do jutra nie przejdzie i będzie zaczerwienione, zadzwoń do Stevena. Masz tu ciasteczka.

„Które bardzo się przydadzą”, pomyślałam, z przyklejonym do twarzy uśmiechem żegnając przyjaciółkę. Tylko duża dawka glukozy była w stanie uratować mnie przez załamaniem nerwowym wywołanym przez dylemat: szukać dowodów niewinności Michała czy pójść na skróty i oczyścić go z podejrzeń, wsypując przed Borówą Luizę?

Bóg mi świadkiem, że nic innego w tej całej aferze nie doprowadziło mnie jeszcze do takiej rozpacz.

Rozpacz trwała całą noc i nie sprzyjała wypoczynkowi ani pakowaniu się przed wyjazdem. W rezultacie w łóżku wylądowałam kilka minut przed czwartą nad ranem, a jedyną sprawą, której byłam całkowicie pewna, było zapewnienie pięciogwiazdkowej opieki pozostawianemu w domu Lokiemu.

I tego, że jeszcze przed wyjazdem bezwzględnie muszę odwiedzić Luizę.

Wyrwany telefonem ze snu przed budzikiem Michał nerwowym jękiem skwitował kategoryczne żądanie, by wyjeżdżając z Poznania, zahaczyć o osiedle, na którym mieszkali Lulu i Borówa, ale posłusznie stawił się na moim parkingu pół godziny wcześniej.

– Odbiło ci, przeżyjesz bez niej te kilka dni – burknął, gdy oddawszy kota pod opiekę rodzicom, wybiegłam z domu.

– Bez Lulu może i przeżyję. Ale bez jej samochodu nie. O nic nie pytaj – ucięłam, bo Michał zdążył przewrócić oczami

i szykował się do zadania całej serii pytań o stan mojego umysłu.

Co dokładnie chciałam osiągnąć, mogłabym mu wytłumaczyć bez większych problemów. Pewne wątpliwości objawiły się w związku z tym, jak zamierzam to osiągnąć. Doprecyzowawszy potrzebę duszy, w działaniu postanowiłam zdać się na instynkt. I rozpaczliwą nadzieję, że o tej godzinie Luiza będzie się snuła po mieszkaniu w szlafroku, z czarnymi włosami spiętymi w byle jaki węzeł, sama z racji wybycia Patryka do pracy. I że w takim stanie nie zechce towarzyszyć mi na parkingu, kiedy z latarką w zębach będę grzebać w jej samochodzie pod pretekstem poszukiwania kolejnej, niezbędnej mi do życia pierdoły, o jakiej wczoraj zapomniałam.

O ile moja obecność pod drzwiami kilka minut przed siódmą zdziwiła Luizę niewymownie, informacja, że Maja K. znów coś zgubiła, nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. Bez słowa, zbyt zasnana, by palnąć mi wykład na temat bałaganiarstwa, wymamrotała coś między jednym a drugim ziewnięciem i przyniosła mi kluczyki do nissana.

– Ale tego nie zgub – wymamrotała i wróciła do śniadania.

Gubić kluczyków nie zamierzałam. Mogły mi udzielić zbyt wielu odpowiedzi na temat kłębiących się w głowie wątpliwości. Ściskając je kurczowo w dłoni, dopadłam nissana Lulu.

Fotel pasażera z przodu odpuściłam. Tam już się czołgałam i to, co było do znalezienia, zdążyłam wygarnąć. Niepewna, od czego zacząć, otwierałam bagażnik i jęknęłam z rozpaczą. Jak do pioruna przekopać się przez ten cały dobytek, wożony przez Luizę bez względu na cel podróży? Torba sportowa, podręczny zestaw do mycia szyb, szmatki, gąbki, nawet rękawiczki jednorazowe... Po prostu idealne dla reagującej alergicznie na najdrobniejsze zabrudzenie Lulu! I dla mordercy, który nie chce pozostawić odcisków palców... Diabli nadali ten perfekcjonizm Lulu i świętą zasadę, by do każdego porządków zabierać się w rękawiczkach! Już lepiej mi w głowie nie mogła zmać!

Jednoznacznych dowodów bytności rzeczy Olgierda bagażnik jednak nie zawierał. Przekopawszy schowki wewnątrz auta, rzuciłam się na kolana przy odsuniętym siedzeniu kierowcy. Nic, nic, wszędzie nic... Gdzie w samochodzie można jeszcze coś schować? Albo inaczej! Gdzie w samochodzie coś może samo się schować, wysuwając się z kieszeni kurtki lub niedokładnie domkniętej torby?

Tknięta przebłyskiem rozpaczliwego natchnienia wsunęłam rękę między fotel a skrzynię biegów. Takie wąskie, niepozorne miejsce, a ile razy już okazywało się bardziej pojemne od wypełnionego skarbami Sezamu! Idealne, żeby zamaskować płaski, nieduży przedmiot w ciemnych, łatwych do przeoczenia barwach.

Taki jak ten, który właśnie wygrzebałam.

Czarny, z pękniętą szybką i startą klawiaturą, gdyż telefonów z dotykowym wyświetlaczem Olgierd nie uznawał.

Patrząc na trzymaną w dłoni komórkę, zachichotałam histerycznie na myśl, że oto otrzymałam odpowiedź, do której tak bardzo mi się spieszyło. Primo: nie z powodów romansowych Olgierd bywał w aucie mojej przyjaciółki. Secundo: nie bywał wcale. Były co najwyżej jego rzeczy, których morderca zamierzał się pozbyć. Tertio: aż nazbyt jasnym stało się dla mnie, kto zamordował mojego świętej pamięci małżonka.

O tym, że być może właśnie zacieram ślady, siejąc na lewo i prawo własne odciski palców, przypomniałam sobie z lekkim opóźnieniem. Moje bierz diabli, skoro telefon był mojego męża, to i moje odciski miały prawo tam sobie być. Niepewnie zastygłam przy aucie, myśląc gorączkowo, co dalej mam z tym fantem uczynić. Zwinać, najlepiej w jakiejkolwiek foliowej torebce, żeby nie utrudniać pracy śledczym bardziej niż już to zrobiłam? Zostawić, sfotografować w charakterze dowodu obciążającego? Skoro Luiza nie znalazła go do tej pory, można zakładać, że nie znajdzie dalej...

A może zostawić to w diabły, udawać, że znalazłam zagubioną

własność i zapomnieć? Przecież za nic w świecie nie byłabym w stanie pójść na policję i wsypać Lulu!

„Było tu tyle czasu, będzie i dalej”, pomyślałam, decydując się na ostatnie i pewnie najgłupsze z możliwych rozwiązań, jednak nie miałam ochoty mieć nic wspólnego z dowodami obciążającymi Luizę. Znajdą, to znajdą, ja się jakiegokolwiek wiedzy nie wyprę! Ja tu tylko sprzątam!

O tym, że biję właśnie rekordy własnego i światowego skretynienia, nie myślałam zupełnie, wdzięczna jedynie, że pośpiech i zakłopotanie z powodu zakłócenia przyjaciółce spokojnego poranka są najlepszym wytłumaczeniem zdenerwowania i krwawego rumieńca, z jakimi pognałam oddać klucze do nissana.



Wycieczka do odległego o czterdzieści kilometrów od Poznania miasteczka, w którym stał domek babci Irenki, nie wymagała nawet połowy majdanu, jakim wypchałam torbę, czego nie omieszkał skomentować Michał, uginając się pod ciężarem tobołów targanych z samochodu do niewielkiej, poniemieckiej willi.

– Na miłość boską, przyjechaliśmy tu ledwo na tydzień – sarkał. – I nie na koniec świata, tu, do cholery, istnieje cywilizacja!

Cywilizacja, owszem, istniała, choć babcina willa usytuowana była na obrzeżach niewielkiej miejsciny, w sąsiedztwie starego cmentarza i jeszcze starszego ewangelickiego kościoła, który w postaci zamkniętych ruin korcił nas od dzieciństwa swoją niedostępnością. Nęcące, choć ponure otoczenie równoważyła



ścieżka biegnąca wśród pól nad pobliskie jezioro. Delikatny wiatr niósł zapach rozgrzanego letnim słońcem zboża. Westchnęłam, gdy w sercu piknęła mi tęsknota za spędzonymi tu wakacjami. Pomyśleć, że – zupełnie jak przed laty – staliśmy na podjeździe starej willi z głowami pełnymi letnich szaleństw, gotowi do wyścigu w kierunku czekającej w drzwiach babci i jej czarnej owczarka niemieckiego.

Teraz drzwi stały zamknięte i nie było nikogo, kto by je otworzył, dopóki sami nie przekręcimy klucza w pociemniałym, rzeźbionym zamku. Powitała nas cisza, nieprzerywana radosnym ujadaniem towarzyszącego nam podczas letnich wólczeń wielkiego psa.

– Chyba sam zaraz usiądę na glebie – mruknął Michał podejrzenie wzruszonym głosem. – Dziwnie będzie tam wejść bez obowiązkowego obalenia przez Onyksa.

Tak samo jak dziwnie było przekręcić klucz w otwartych zawsze szeroko na nasze powitanie drzwiach i wejść do domu pełnego starych, życzliwych duchów przeszłości.

Dom, chociaż zabrakło już ludzi, których obecność wypełniała każdy kąt, pozostał prawie taki sam. Choć niezamieszkały, utrzymywany był w nienagannym porządku przez wynajętą przez ojca gosposię. Rozglądając się po przestronnym holu, byłam pewna, że pod płachtami pokrowców i prześcieradeł znajdę dokładnie to samo ciepłe, przytulnie umeblowane mieszkanie, w jakim spędziłam dziecinne lata. Wystarczyło ściągnąć tkaniny powlekające każdy kąt, podobne do zastygłych z nudów lub starości duchów. Ciężkie żaluzje nie dawały światłu szans, by rozświetlić ciemne korytarze i wypłoszyć z nich zaplątane w milczącym bezruchu ćmy.

Michał również był podenerwowany pełną zadumy ciszą. Podszedł do najbliższego okna i energicznym ruchem podciągnął żaluzje. Światło wlało się do wnętrza szerokim strumieniem, podkreślając echo kroków mojego brata na parkiecie. Nigdy dotąd niczyje kroki nie brzmiały tak donośnie i obco w tym holu. Wcześniej dywan w różnych odcieniach beżu

łumił nawet stukot pazurów Onyksa. Teraz wszystkie dywany babci leżały zwinięte i zabezpieczone przez zniszczeniem w niewielkim pokoiku na piętrze, który dawniej pełnił funkcję stryżku. Tam również znajdowały się inne skarby, cenne nie tyle z powodu swojej wartości, ile sentymentu, jakim darzyła je babcia Irenka. Od dwóch miesięcy zbieraliśmy się z rodziną, by przynieść je na dół, obejrzeć i podzielić w charakterze pamiątek, jednak wywiezienie ich z willi urastało do rangi świętokradztwa.

Na myśl o przeglądaniu rzeczy babci zrobiło nam się nieswojo.

– No to co? – bąknął Michał, biorąc torby. – Każdy do swojego pokoju, nie? A potem herbatka i może spróbujemy się zastanowić, od czego zacząć.

– Od przerobienia tych duchów z powrotem na meble – wymamrotałam, idąc za bratem do jednego z pokoi na piętrze.

Wywleczenie z ozdobnej sosnowej szafy kompletu pościeli, przygotowanej na nasz przyjazd każdego lata, ociepliło nieco atmosferę chłodnego, ciasnego pomieszczenia. Z wielką chęcią przytargałabym tu błękitny dywan z granatowym wzorem, po którym wędrowałam jako dzieciak, z upodobaniem pozostawiając kaptcie tuż pod drzwiami. Jednak dywan ten od kilku miesięcy leżał w mojej sypialni w Poznaniu, przypominając czasy dzieciństwa. W jego zastępstwie mogłam wyciągnąć z pokoiku-składziku jakikolwiek inny, jednak klucz do tego akurat pomieszczenia znajdował się w komplecie ojca, wypożyczonym chwilowo Michałowi. Czekwały nas zresztą – poza niweczeniem efektów pracy pani Zofii, która sumiennie dbała o dobry stan domu – także inne zajęcia. Tym razem nie mieliśmy spędzić tu całego lata, bawiąc się beztrasko.

„A może tak jest lepiej”, pomyślałam, schodząc do kuchni i przeciągając palcami po wytartej od zjeżdżania poręczy. Kto wie, czy duchy wspomnień, jakie zamierzaliśmy obudzić, pozwoliłyby nam odejść...

Póki co jednak udało mi się obudzić znużonego przydługą drzemką chochlika i sama nie wiedząc kiedy, uległam radosnym

podszepptom. Skoro mam tylko kilka dni, by cieszyć się tym kochanym domem, nie warto tracić czasu na rozpamiętywanie. „Michała szlag trafi”, pomyślałam i bez namysłu usiadłam na poręczy.

Michała szlag trafił niemal natychmiast, gdyż dotarłszy do celu podróży, zorientowałam się, że przez lata umknęła mi sztuka hamowania. Zamiast lekko zeskoczyć z poręczy, z radosnym kwikiem wylądowałam na plecach zmierzającego do kuchni brata. Głośny brzęk i niecenzuralny komentarz dały mi do zrozumienia, że ucierpiał nie tylko kręgosłup Michała.

– Oj, jedna rzecz mniej do dzielenia – wymamrotałam, spoglądając na szczątki granatowego serwisu do kawy z poślaczonym wzorkiem.

– Pijesz kawę w szklance! – Michał obraził się nagle. – Tej z obtłuczonym uszkiem! Dla ciebie nie ma żadnej świętości!

– Ale ja właśnie oddawałam hołd poręczy, odprawiając rytuał polerowania – mruknęłam zrezygnowana. Nie pierwsza rzecz, którą w tym domu stłukliśmy i nie ja jedyna w charakterze zbrodniarki...

Tym razem trudno było zwać winę na poczciwego Onyksa, którego doczesne szczątki spoczywały w ogródku na tyłach domu. Nawet jeśli w postaci ducha zapragnął figlarne plątać się pod nogami, na pewno nie plątał się w okolicach kuchni, gdzie istniało niebezpieczeństwo oberwania po ogonie ścierką za wszelkie psie i popełniane w zмовie z nami przestępstwa. Przestępstwa popełniało się poza zasięgiem czujnego wzroku babci. Ta święta, choć niepisana reguła, respektowana była na mocy milczącego porozumienia, które zawarliśmy niemal natychmiast po przyniesieniu przez dziadka porzuconego, czarnego jak noc i wtedy brzydkiego jak wszyscy diabli szczeniaka.

Tym razem sama ryzykowałam oberwanie ścierą. Widocznie w tym domu musiał być ktoś władający tym symbolicznym narzędziem kary.

Przemknęłam do połączonego z gabinetem saloniku i rozejrzałam się w poszukiwaniu rzeźbionej, hebanowej kasetki, do której kluczyk osobiście gdzieś posiałam.

Po pięciu godzinach rozglądaliśmy się dalej i choć kolejnego serwisu udało się nie zbić, nie znaleźliśmy nic poza koszmarną ilością dokumentów, z których żaden nas nie dotyczył.

– Jakaś klątwa cholerna, wszystko ginie. – Michał z rozmachem usiadł na przykrytym prześcieradłem fotelu. – Majka, przecież ta kasetka zawsze tu stała. Na komodzie. Czy ja mam jakieś zaniki pamięci?

– Jeżeli nawet, to mamy je oboje – mruknęłam, gapiąc się na komodę. – Ojciec coś przebąkiwał o składziku na piętrze. Że niby tam są te wszystkie pamiątkowe przedmioty, które zostały. To, co bardziej cenne, zabrali...

– Jak ta kasetka jest u rodziców w domu...

– To co? – fuknęłam, tym razem porządnie wyprowadzona z równowagi materializmem brata. – Na niczym innym ci nie zależy? Żadnych wspomnień, żadnej radochy z głupiego zjeżdżania po poręczy? To wiesz, co ci powiem? Jeszcze dziś wieczorem zamierzam latać na bosaka po polu! I obejrzyć zachód słońca! Nie z balkonu i bez trucia, że przez otwarte okno wlatują komary!

– To nie mojego autorstwa trucie. – Michał spojrzał na mnie zdumiony.

Zirytowana męską ignorancją w kwestiach tak delikatnych jak emocje, zamachałam nerwowo ręką.

– Czy ty, czy Olgierd, jeden pies szczekał – burknęłam i poszłam do swojej sypialni po bluzę. Potem udałam się do ogródka, by w towarzystwie jedyne go psa szczekającego przez lata w tym domu zaczekać na zachód słońca.

– To ja poszukam w składziku... – dobiegł mnie jeszcze zrezygnowany głos Michała, gdy trzasnęłam tylnymi drzwiami i poszłam w kierunku ciężkiego, szarego kamienia z częściowo

wyrytym, a potem poprawionym pozłacanymi farbami napisem poświęconym Onyksowi.



Było tuż przed jedenastą, gdy radosne hasanie po polu na bosaka zaczęło dawać mi się we znaki. Stopy już nie te, dotknięte trwałą deformacją w wyniku latania na wysokich obcasach. „O wymuskanych piętach i hybrydowym pedicure nie wspomnę”, pomyślałam, posykując z każdym krokiem. Od zrzuconych na progu kłapek dzieliła mnie jakaś potworna odległość. Zresztą, czy wbite drzazgi będą mnie uwierały w butach, czy nie, to już wszystko jedno.

Spacer zakończyłam efektownym przywaleniem nadal bosą stopą o niewysoki schodek na progu, gdyż dłubiąc w składziku, szacowny braciszek zapomniał o zapaleniu światła nad drzwiami. A może dłubał gdzieś indziej? Lampa w składziku była zgaszona. Na miły Bóg, chyba nie poszedł już spać? Tak zaraz po dobranocce...

Chodzenie spać z kurami było ostatnią rzeczą, o jaką mogłabym posadzić Michała. Zaintrygowana pogaszonym wszędzie światłem nacisnęłam klamkę prowadzących na tyły domu drzwi. Otwarte. A może tutejsze chochliki zdołały wypłoszyć z mojego brata unoszący się nad głową niczym aureola materializm? Może najzwyczajniej w świecie też gdzieś go poniosło na nocną wędrówkę po krainie wspomnień, a tylne drzwi zostawił otwarte, żeby oszczędzić mi wybijania okna i włożenia do domu mniej legalną drogą? „Chwała mu zatem i cześć”, wzruszyłam ramionami, zamykając za sobą drzwi. Ja spać nie zamierzałam, sam Michał dysponował zresztą kluczami

do wszystkich drzwi w tym domu. Mogłam ze spokojem oddać się kolejnej rozrywce, tak bardzo lubianej przez nas przez lata.

Rozrywka uskuteczniwana w pojedynkę nie dawała może takiej satysfakcji jak w składzie dwóch jednostek ludzkich i jednej psiej, ale chęć przetestowania choćby i własnych umiejętności niezbędnych wszystkim urwisom świata opanowała mnie bez reszty. Zjeżdżać po poręczy jako tako jeszcze umiałam, bose harce na polu zaliczyłam na trzy plus. Ciekawe, czy dam radę przedostać się po ciemku do saloniku tak, by żadna z klepek starego parkietu nie wydała najmniejszego skrzypnięcia?

Nie wiem, czy sprawiła to dobra pamięć, czy wieloletnie nawyki, już pierwszy przeskok między klepkami uruchomił odruch. Bez zastanowienia i pomocy wzroku skakałam lekko, wybierając bezbłędnie miejsce postawienia stopy. „Szkoda, że nie mam stopera”, pomyślałam z żalem, lądując bezszelestnie na progu salonu.

I wtedy ciche skrzypnięcie ujawniło czyjś brak umiejętności bezszelestnego przekradania się z pomieszczenia do pomieszczenia w tym domu.

„O, Michał też się bawi”, przemknęło mi przez myśl w pierwszej chwili, jednak drugie skrzypnięcie obudziło niepokój. Ktoś przesuwał się bardzo powoli w ciemności, starając się zachować ciszę i czynił to wyjątkowo nieumiejętnie. Ktoś, kto nie miał pojęcia, które klepki parkietu zaskrzypią i nigdy nie miał okazji tego sprawdzić.

„A ja tu sama, samiuteńka z intruzem”, zatrzęsłam się, szukając oparcia w ścianie, po której bezwiednie się osunęłam. O Matko przенajświętsza, gdzie Michał? I gdzie, na miły Bóg, najbliższy włącznik światła?

Ręka nerwowym ruchem powędrowała we właściwym kierunku i dotarwszy na miejsce, zamarła. Co gorsze? Tkwić w tych ciemnościach z Bóg wie kim obcym, nie wiedząc, co się dzieje ani ile jeszcze osób o wątpliwych zamiarach mogło tu wleźć? Czy może zapalić światło, oświetlić się jak choinka na

Boże Narodzenie i wszystkim pokazać, gdzie mają mnie szukać, żeby dać mi w łeb? Niewygodnym świadkom zawsze koniec końców daje się w łeb... O, nie ma mowy! W łeb dostanie Michał za pozostawienie tylnych drzwi otwartych pod moją nieobecność i oddalenie się w nieznanym kierunku! W przeciwieństwie do intruza znam tę podłogę, pod moimi nogami nie zaskrzypi. W ciemności mam szansę schować się gdzieś i przeczekać do rana. Albo spróbować wyczuć, gdzie polazł ten ktoś i któż zacz. W ostateczności nikt nie powiedział, że w obronie życia i mienia to ja nie mogę walić innych czymś ciężkim w łeb. Czy na to jest jakiś paragraf? I dlaczego nie ma pod ręką policji, kiedy jest naprawdę potrzebna? Do cholery, pierwszy raz od długiego czasu niezbędna mi była konsultacja z Borową!

Jednak Borowy pod ręką nie miałam, na innych stróżów prawa też nie było co liczyć, bo nijak nie zdołałabym ich zawiadomić o sytuacji, nie zdradzając swojej obecności. „I jak zwykle, radź se babo sama”, sarknęłam gniewnie, szukając na oślep dogodnej broni. Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy, by stara, mosiężną lampę zakwalifikować jako cenną pamiątkę i zamknąć w składziku. Znalazłam ją tam, gdzie być powinna, po czym z orężem w dłoni ruszyłam zlokalizować intruza.

Skrzyp, skrzyp, cichutkie kroki nieproszonego gościa prowadziły mnie w kierunku zejścia do piwnicy. I tu wreszcie, gdy śledziłam zza ściany kuchni manipulacje tajemniczej jednostki przy zamku, moja odwaga nieco skłęsała. Pchać się do ciemnej, strasznej piwnicy w środku nocy za włamywaczem, na widok którego ochota do walenia w łeb zupełnie mi przeszła? W piwnicy skrzypieć mogło wszystko, a jeśli wierzyć skąpym informacjom dziadka, poniemiecka piwnica rozgałęziała się w system tuneli i korytarzy, przeplatanych tajemnymi przejściami i nigdy nieotwieranymi komórkami. Na ile był to straszak na niesforne wnuczeta, nie potrafiłam ocenić, bo dalej niż do dwóch komórek używanych przez babcię i dziadka wejść nam nie było wolno. Obie w tylnych ścianach miały jakieś drzwi, a prowadzący do nich korytarz ział czarną pustką,

w której otchłań nigdy nie odważyliśmy się zapuścić. Podobno nieco dalej pustkę ucinął prowizoryczny mur autorstwa dziadka, jednak czy był tam naprawdę i czy go diabli przez lata nie wzięli, nie miałam pojęcia. Nie, taka piwnica absolutnie nie nadawała się do włożenia w ślad za włamywaczem, któremu właśnie udało się sforsować zamek i ostrożnie uchylić drzwi.

Spokojnie, wczekać, aż wlezie głębiej i go zamknąć – ta wersja podobała mi się o niebo bardziej niż walenie po łbie mosiężną lampą. Zamknąć, zamknąć, nie mam kluczy, cholera! Czy zdążę zrobić to na tyle cicho, żeby się nie zorientował, zanim przepcham tu odpowiednią ilość mebli w charakterze barykady? Drzwi do piwnicy znajdowały się w holu, zaraz obok wejścia do kuchni. Ten ciężki dębowy stół! Tylko czy ja dam radę go ruszyć?

Mędrkowanie nad sposobem wykonania stosownej barykady przerwał mi cień, który przemknął bezgłośnie za intruzem w kierunku piwnicy. Natychmiast zapomniałam o barykadach, mosiężnej lampie i prawnych aspektach walenia w łeb włamywaczy. W osłupieniu gapiłam się na przyczajoną sylwetkę Michała, który przez uchylone drzwi przemknął w niebezpieczne rejony.

Skąd nagle w mroku kuchni zmaterializował się mój brat? Zmyślny plan zabarykadowania tajemniczego złoczyńcy diabli wzięli, nie miałam zamiaru zamykać go w towarzystwie Michała! Jakim mordobiciem i w czym wykonaniu mogło się to skończyć, wołałam nie myśleć. Jeszcze przez chwilę wyciągałam szyję w kierunku ciemnych schodków, ponieważ jednak z piwnicznych czeluści nie dochodziły żadne mordercze dźwięki, zrobiłam najgłupszą z możliwych rzeczy. Wlazłam do piwnicy w charakterze trzeciego członka tej ekscytującej gry w ciuciubabkę.

Skrzypiący i tłukący się w słabym świetle zapalonej przed chwilą latarki intruz uznał, że skoro do tej pory nikt nie próbował udaremnić mu wycieczki, obecność innych osób w piwnicy jest mało prawdopodobna. Nie bawiąc się



w delikatność, szarpnął drewniane drzwi jednej z komórek. O ile dobrze pamiętałam, ta właśnie część była wykorzystywana przez babcię w charakterze spiżarni. Nie miałam wprawdzie pojęcia, czy ktokolwiek odważył się zejść tu i uprzątnąć zaprawy, jednak wątpiałam, by puste słoiki lub półki pełne lekko przeterminowanych konfitur mogły zainteresować naszego gościa.

Gość wykonał krótkie chybnienie w kierunku słoików i rozczarowany zawrócił ku drugiej komórce. Drzwi w tylnej ścianie, zastawionych ciężkim regałem, nie zauważył i dał im spokój.

Zauważył natomiast te w drugiej ze skrytek i po dokonaniu krótkiego przeglądu zawartości pomieszczenia zainteresował się tajemniczym przejściem. Tyle przynajmniej wywnioskowałam z odgłosów cichego gmerania w zamku. Bardzo chętnie zajrzałabym w celu potwierdzenia swoich przypuszczeń, powstrzymywała mnie jednak obawa przed konsekwencjami ujawnienia swojej obecności. I konfrontacja ze złoczyńcą, i wystraszenie Michała mogły mieć katastrofalne skutki.

Michała mogłam wystraszyć nawet łatwo, stałam bowiem tuż za jego plecami, przytulona do ściany, zza której mój brat obserwował rozwój wydarzeń w komórce. Gmeranie w zamku ustało. Nieruszana przez dziesiątki lat klamka jęknęła przeraźliwie pod naporem czyjejs dłoni. Chwilę później zawtórowały jej zamknięte przez tyle czasu drewniane drzwi.

Początkowo niepewne i ostrożne kroki rozległy się w starym, ciemnym korytarzu... Z trudem stłumiłam jęk rozpacz, gdy Michał przemknął ku drzwiom i zniknął w mroku.

I proszę państwa, tutaj mamy problem! Bez latarki, bez kredy, nawet bez głupiej świeczki pod ręką tkwiłam w otwartych drzwiach, gapiąc się w ciemność, która pochłonęła dwie ciemne sylwetki. Bez jakiegokolwiek nitki, za to ze świadomością, że ni cholera nie wiem, dokąd ten przyjemny korytarz prowadzi. Jeśli zawrócę, nie znajdę ich później za skarby świata! Jeśli poleżę za nimi, może się okazać, że nie znajdzie się już żadne z naszej

trójki. Chyba że w charakterze zeszkieletowanych szczątków, odkrytych kiedyś przy okazji gruntownego remontu. Włazić, nie włazić... A żeby to diabli! Wątle światelko niesionej przez intruza latarki oddalało się coraz bardziej. Nim zupełnie znikło mi z oczu, z rozpaczą w sercu i zaćmieniem na umyśle zagłębiłam się w ponury korytarz.

Problem skrzywienia odpadł zupełnie, gdy pod nogami odkryłam nieregularny, wykładany kamieniem lub kostką chodnik. Gorzej rzecz się miała z klaustrofobią, towarzyszącą mi od dzieciństwa. Odrobina światła pozwoliłaby mi zapanować nad dygocącymi kolanami i narastającą paniką. Gnana nadciągającym tajfunem wrzasku, przyspieszyłam kroku.

Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Choć wzrok przyzwyczał się do ciemności na tyle, by bez problemu wyodrębnić poruszające się przede mną sylwetki, myśl o utracie z pola widzenia światelka przyprawiała mnie o ataki duszności. Pewnie tylko dzięki usilnym próbom nieuduszenia się własną histerią poruszałam się, podobnie jak Michał, w idealnej ciszy.

I pewnie dlatego nagły hałas sprawił, że zachłysnęłam się wrzaskiem.

Bo choć do przytłumionych dźwięków na czele pochodu zdążyłam się przyzwycząć, odgłos stawianych ostrożnie kroków z tyłu nie miał prawa mieć miejsca.

„Halucynacje, jak nic halucynacje”, zachichotałam w duchu, zastygając w miejscu. Bo co jeśli a nuż to jednak nie rozregulowana atrakcjami ostatnich tygodni psychika płata mi figla? Może ktoś jeszcze postanowił dołączyć do tej chaotycznej wycieczki po przepastnych czeluściach babcinej piwnicy?

Nagły bezruch z przodu potwierdził, że jeśli mamy do czynienia z halucynacją, to solidarnie wszyscy troje. Zarówno Michał, jak i idący z przodu osobnik stopili się ze ścianą korytarza, ginąc mi z pola widzenia.

I, szlag by trafił, zgasła latarka...

A kroki powoli, ostrożnie, zbliżały się do słupa soli, w jaki się

zmieniłam.

Być może coś poza pragnącą uwolnić histeryczny wrzask krtanią w moim organizmie jeszcze w miarę działało. Nawet jeżeli zataiło ten fakt bardzo skutecznie. Jedyne, co wymusiłam na zbuntowanym nadmiarem wrażeń ciała, to delikatny ruch w kierunku ściany, w którą usiłowałam wzorem Michała się wtopić. Albo i wleźć, i otulić się zimnym, chropowatym murem ze wszystkich stron, byle wszyscy włamywacze świata nie zdołali mnie znaleźć. Cudownym sposobem przeszło mi zaćmienie umysłu, które wcześniej kazało mi zleźć do tej przekłętej piwnicy. Chciałam już tylko jednego. Niech cała ta wycieczka wyniesie się stąd do wszystkich diabłów, żebym sama mogła się wynieść też!

Ale wycieczka, poza ostatnim uczestnikiem, który właśnie niespiesznie zmierzał ku nam, trwała uparcie w miejscu, udając, że nikogo nie ma.

Klnąc na czym świat stoi beztroskiego spacerowicza, który wobec braku sygnałów cudzej obecności stawiał kroki nieco śmieiej, wciągnęłam brzuch, przykleiłam się jeszcze mocniej do muru i wstrzymałam oddech. Wystarczająco wcześnie, by pozostać niezauważona. I wystarczająco późno, by do moich nozdrzy doszedł intensywny zapach męskich kosmetyków.

Dobry Boże i anieli święci! Znałam ten zapach i choć nie potrafiłam zidentyfikować marki, aż za dobrze wiedziałam, kto tego używa! I w tej chwili byłam gotowa oddać wszystko, byle zapach i osoba, która się w nim chyba codziennie tarzała, okazały się nieszkodliwym widziadłem! Mogły sobie nawet zwiastować pierwsze oznaki jakiejś interesującej odmiany psychozy, było mi wszystko jedno! Byle nie okazały się prawdą!

Skład czołówki uległ teraz zmianie. Rozpoznany przeze mnie osobnik wysforował się na czoło pochodu. Nie wiedziałam, czy Michał i intruz numer 1 zastygli już na amen w totalnym osłupieniu, czy też czekają na efekty dalszej wędrówki prowadzącego. Wlepiłam oczy w ciemność przede mną, usiłując dostrzec jakikolwiek ruch, bo na takie szczęście jak ponowny

rozbłysk latarki przestałam już liczyć. Przyzwyczajony do ciemności wzrok na szczęście uchwycił ruch odrywających się od ściany skulonych postaci. Obecność nowego uczestnika zabawy spłoszyła najwyraźniej prowodyra, choć nie na tyle, by zechciał zawrócić. Postanowił raczej usunąć się chwilowo z pola widzenia konkurencji. Okazja ku temu była znakomita, gdyż dobrnęliśmy do miejsca, w którym od korytarza odchodziła krótka odnoga, zakończona chyba jakimiś drzwiami, gdyż po chwili doleciało stamtąd charakterystyczne gmeranie w zamku. Drzwi musiały ustąpić, dobiegło nas ciche skrzyknięcie i echo kroków podążających dalej.

Idący za rozpoznanym przeze mnie osobnikiem, niezidentyfikowany do tej pory intruz zawahał się przez chwilę. Pchać się w ręce konkurencji nie zamierzał, albo po prostu odnoga z drzwiami mało go interesowała. Najciszej jak zdołał, przemknął dalej głównym korytarzem.

Zaraz za nim przemknął po krótkim zastanowieniu Michał.

Sama najchętniej przemknęłabym w tył, bo atmosfera zaczęła się robić zbyt upiorna, jednak kopnięta w tyłek przez lojalność wobec brata zweryfikowałam swoje nastawienie. Pewnie najlepiej by było, gdybym trzymała się dalej Michała i tego kogoś przed nim, kto wyglądał na jednostkę wątlą i mniej szkodliwą. Z drugiej strony, należało pilnować obu nieproszonych gości. Przy okazji gnębiło mnie straszne przeczucie, że dobrze zgadłam tożsamość właściciela charakterystycznych kosmetyków. Tylko skąd, na Boga, mógł się tutaj wziąć? W tym mieście? W tym domu? W tej piwnicy? I to w środku nocy, zupełnie nielegalnie!

Być może w grę wchodziła pomyłka. Być może każdego dnia setki tysięcy facetów tarzało się do upojenia w kosmetykach o tym zapachu. Należało to sprawdzić. Fakt, że do tej pory nie usłyszał mnie tu nikt, włącznie z moim prywatnym bratem, dodał mi straceńczej odwagi, która do tej pory popiskiwała cicho, nerwowo poddając się klaustrofobii.

W paralitycznych podrygach, bo napięcie mięśni i skulona

pozycja dały mi już popalić, podążyłam w kierunku otwartych drzwi na końcu odnogi korytarza.

Pomimo ostrożnego wykukiwania zza drzwi nie zdołałam dostrzec nikogo i zdenerwowałam się niewymownie. Przede mną otwierało się wejście do niewielkiego, pustego pomieszczenia, na końcu którego widniały kolejne, również otwarte drzwi.

„Co za cholerny labirynt”, jęknęłam, coraz mniej skora do weryfikowania tożsamości użytkownika intensywnie pachnących kosmetyków. Nie miałam ochoty pchać się za nim w ciemność za kolejnymi drzwiami. O istnieniu takiej ciemności w babcinej piwnicy nie śniło mi się w najgorszych koszmarach.

Przez chwilę trwałam jak posąg, niezdecydowana, czy warto podążać za zmysłem powonienia, który wyraźnie wskazywał trasę przebytą przez drugiego z nieproszonych gości. Lepszego pomysłu jednak zabrakło. Z ciężkim sercem przekradłam się do następnych drzwi, próbując zlokalizować miejsca, w których w razie konieczności mogłabym się schować.

Tymczasem za kolejnymi drzwiami korytarz po kilku metrach najzwyczajniej w świecie się kończył. Po obu stronach znajdowały się wejścia do kolejnych pomieszczeń. Jęknęłam głucho. Jeszcze mi tylko Minotaura brakuje... Ciekawe, gdzie włożył jego ludzki substytut? Ostrożnie przysunęłam się do drzwi z lewej strony, zza których dochodziło delikatne chrobotanie.

Ale chrobotanie rozległo się również z tyłu. Omal nie zadławiłam się ze zdenerwowania, gdy przeszło w odgłos powolnych, zbliżających się kroków. Cholerny włamywacz, za którym powędrował mój brat, zbliżał się korytarzem i nie byłam w stanie zorientować się, czy za nim zbliża się również Michał. Sam na sam z dwójką złoczyńców to już było stanowczo za dużo. Z rozpaczą rzuciłam się w kierunku drzwi z prawej strony. Uchyliłam je tak wąsko, jak tylko się dało, i wślizgnęłam się do środka, zostawiając szparę, przez którą miałabym szansę obserwować sytuację na korytarzu.

Tym razem przeceniłam swoje umiejętności bezgłośnego

poruszania się. Przemieszczać się może i potrafiłam, ale bezszelestne przemykanie drzwi przekraczało moje możliwości. Osoba na korytarzu zorientowała się wreszcie, że ciche skrzypienie dochodzi z obu komórek jednocześnie. I, żeby wyeliminować opcję gry w dwa ognie, jedne drzwi postanowiła zamknąć.

Gwałtowne trzaśnięcie tuż przed moim nosem wystraszyło mnie na tyle, że odruchowo odskoczyłam do tyłu. Intruz na korytarzu zyskał czas, by zablokować drzwi. Na ile skutecznie, nie było mi dane ocenić, gdyż miotając się po niewielkiej skrytce, wpadłam na jakiś regał. Pod wpływem uderzenia zachwiał się z przeraźliwym skrzypieniem, po którym nastąpił jeszcze gorszy łomot wywołany przez coś, co runęło mi na głowę.

Zapadła ciemność.



Nerwowe potrząsanie sprawiło, że z wrzaskiem otwarłam oczy. Wprawdzie do pełnej przytomności było mi bardzo daleko, jednak nieśmiałe przebłyski świadomości kazały się bronić. Z trudem uniosłam dziwnie ciężką rękę i zamachnęłam się na oślep.

– No co ty, Majusia, zwariowałaś, do cholery! – Rozległo się tuż obok mnie stłumione jęknięcie. – Ja się martwię, że nie żyjesz i jeszcze w mordę obrywam w podzięcie!

– To jako dowód na moją żywotność – wymamrotałam, unosząc się na ramionach i próbując ocenić sytuację.

Nadal tkwiłam na podłodze w piekielnej piwnicy, tuż obok

zdradzieckiego regału. Obok klęczał Michał, świecąc mi w oczy ekranem telefonu.

– Gdzie tamci?

– Zwali – powiedział niechętnie. – A właściwie zwała – poprawił się. – Jedna sztuka była, ale kto, nie mam pojęcia. Wszystko w porządku? Dasz radę wstać?

Wytrzeszczyłam na niego oczy ze zdumieniem widocznym chyba nawet w ciemności.

– Chcesz powiedzieć, że to małe, cherlawe to była baba? – spytałam podejrzliwie.

– Baba, jak w mordę kopane. I niestety za szybka, żebym był w stanie ją dorwać i jednocześnie sprawdzić, co tu się stało. Uznałem, że lepiej ją wypuścić, niż zostawić siostrę. Która zmaterializowała się tu w wyjątkowo podejrzany sposób... Ty przecież po polach i lasach miałaś hasać!

– Ale nie przez całą noc! – warknęłam i wyjaśniłam Michałowi zagadkę mojego zmaterializowania się w piwnicy.

– Co to w ogóle za piwnica? – zakończyłam z pretensją w głosie. – Labirynty podziemne, przecież tam można się zgubić na amen! Jezusie, co nam strzeliło, żeby błąkać się po tej otchłani w nocy, bez latarek i to za dwójką bandziorów?

Dopiero teraz brak zgodności co do liczby przebywających w piwnicy nielegalnie jednostek zaniepokoił Michała.

– No przecież nawet przystanałeś, słysząc kroki w tym cholernym korytarzu – rozeźliłam się, gdy po raz dziesiąty kazał mi zeznawać, skąd to cudowne rozmnożenie elementów przestępczych.

– Myślałem, że to ty!

– Ja zamykałam pochód – warknęłam. – A ten ktoś laził na czele. I to był dla urozmaicenia facet! Skoro myślałeś, że ja, to czemu nic nie zrobiłeś?

– A co niby miałem? Poklepać po ramieniu i spłoszyć tamtą

babę? – zirytował się Michał. – Miałem nadzieję, że uda się ją dopaść! Jak usłyszała hałasy, ulotniła się całkiem żwawo! No dobra, skoro twierdzisz, że był ktoś jeszcze, pewnie ulotnił się równie szybko.

Spojrzałam na Michała, tknięta nieprzyjemną myślą.

– A czy my jesteśmy w ogóle pewni, że się ulotnił?

Zapadła cisza.

Niemiała niepewność, czy naszej rozmowie nie przysłuchuje się drugi z nieproszonych gości, to było więcej, niż po podziemnej pogoni za włamywaczami na bosy i w pizamie mógł znieść mój brat. Bez słowa ruszył w kierunku drzwi, po czym z zaciętym wyrazem twarzy przekreślił włącznik światła.

Skrzywiłam się zdegustowana jasnością, która zalała pomieszczenie. Do zdegustowania chwilę później dołączyła przyprawiona na ostro strachem irytacja, gdy Michał wyszedł na korytarz. Szedł, nie bawiąc się w subtelności, tupiąc ze złością i przytykając kolejnymi włącznikami, o jakich istnienie w życiu nie podejrzewałam tych cholernych katakumb. Kolejny obchód, nawet przy pełnym świetle, w towarzystwie brata był ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłam. Gorsze mogło być tylko dostrzeżenie w załomie korytarza znajomej sylwetki, spowitej intensywnym zapachem.

Choć oblecieliśmy cały korytarz i wszystkie przylegające do niego schowki, skrytki i komórki, nie znaleźliśmy żywego ducha.

– Dobra, wierzę ci, że był – mruknął wreszcie Michał. – Ale się zmył.

Upewniwszy się, że ślad po intruzie zaginął, wróciliśmy do wejścia i usiedliśmy na schodkach.

– Czy my na pewno obleźliśmy wszystko? – resztki strachu jeszcze kołatały się w mojej duszy, wywołując niemiłe bulgotanie w żołądku. – Wydawało mi się, że ten korytarz jest dłuższy.



– Żaden dłuższy. – Michał machnął lekceważąco ręką. – Może po ciemku się wydłuża, ale sama widzisz. Ta odnoga, którą posłaś, zaprowadziła cię z powrotem do skrytki z zaprawami.

– Idealne miejsce do zaprawienia kogoś w łeb.

– A tam, gdzie ja byłem, to już tylko korytarz i wyjście ewakuacyjne.

Zamarłam, słuchając zachłannie o tajemniczym wyjściu. Więc jednak piwnica okazała się czymś więcej niż sporym miejscem przechowywania przetworów i narzędzi!

– I gdzie tam można wyjść?

– W szopie na narzędzia w ogródku. Widocznie tamtędy zwiali.

Tajemne wyjście straciło na atrakcyjności. Spodziewałam się raczej korytarzy wiodących do ruin ewangelickiego kościółka.

Skoro zwiali, nie było nikogo, kto mógłby wyjaśnić nam przyczynę nocnej wizyty. I celu, w jakim ktoś na dzień dobry polazł do piwnicy, zamiast przeszukać najpierw górne rejony.

Nie mówiąc o zagadce, kim tajemniczy oni byli i dlaczego, do ciężkiej cholery, jedno z nich okazało się babą, a drugie sobowtórem albo i wersją oryginalną mojego znajomego?



Po długich dywagacjach doszliśmy do wniosku, że nie ma siły. Wykluczone, żeby przez tyle miesięcy włamywacze pozostawiali babciną willę w świętym spokoju tylko po to, by tuż po śmierci Olgierda i zaginięcia kluczyka do kasetki nagle rozpocząć ożywioną działalność przestępczą, zupełnie niepowiązaną z powyższymi zdarzeniami. Jeżeli ktoś tu się pętał po nocach,

wiedział dokładnie, w jakim celu się pałęta, a jego cel był zbieżny z naszym.

– Maja, nie żebym chciał cię martwić. – Michał ziewnął, gdy usiedliśmy nieprzytomni przy śniadaniu. – Ale coraz bardziej obawiam się, że Olgierd wplątał w sprawę kogoś z naszych znajomych. Nie wykluczam, że właśnie z tego powodu dostał w łeb.

– W łeb nie – wymamrotałam, odruchowo poprawiając brata i zagapiłam się smętnie w filiżankę herbaty. Na żywszą reakcję nie miałam siły. No i nadal miałam przed oczami klucze oraz komórkę byłego męża wygrzebane w samochodzie Lulu. Oraz szczupłą, drobną sylwetkę intruza, którego Michał zidentyfikował jako babę. Im dobitniej obraz Luizy jako bezwzględnej przestępczyni narzucał mi się w głowie, tym bardziej wierzyłam rękoma i nogami, byle go z wyobraźni wyrzucić. Morderstwo. I to dokładnie zaplanowane, z premedytacją, żadna tam zbrodnia w afekcie. Motyw finansowy. Jezusie... Co tej Lulu odbiło?

Konsultacje z policją, jakie chętnie bym przeprowadziła, Michał wybił mi z głowy, upierając się, że powiązanie śmierci Olgierda z naszym spadkiem nie przysłuży się realizacji babcinych zaleceń. Ze względu na rozpaczliwą lojalność wobec Lulu, nie protestowałam zbyt żarliwie. Zajęta byłam zresztą żałowaniem, że nie mam nikogo, kto mógłby mnie poinformować, gdzie i czym zajęty był ostatniej nocy Robert.

Ponure siedzenie i gapienie się w ledwo dzióbnięte śniadanie znecierpliwilo wreszcie Michała.

– Ruszmy się – zaproponował, podnosząc się w krzesła. – Trzeba znaleźć tę kasetkę, zanim dorwie się do niej konkurencja. A potem możemy sobie hasać po polu do upojenia. Pozwalam ci nawet wytarzać się w ostach.



Ktokolwiek usiłowałyby szukać kasetki w ponurych czeluściach piwnicy, rozczarowałyby się bardzo, choćby i nawet przekopał się przez mur autorstwa dziadka i wyrył podziemną drogę do Chin. Kasetka stała sobie spokojnie w składziku na piętrze, w miejscu, w którym dała się dostrzec, gdy weszliśmy do pomieszczenia.

– No, do biegu w osty gotowi, start! – mruknął zadowolony Michał, zdejmując ją z półki nad kominkiem. – Teraz możemy pobawić się w urlop.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Ty naprawdę chcesz tu jeszcze zostać? Z tymi wszystkimi złoczyńcami na karku?

– Poniekąd właśnie na potrzeby złoczyńców. Pomyśl, jak się zorientują, że wyjechaliśmy, domyślą się, że znaleźliśmy. A tak zachowamy pozory, zmylimy tropy, a jak dobrze pójdzie, zidentyfikujemy podejrzanych.

– Zwariowałaś – wyszeptałam ze zgrozą. – Chcesz ich łapać i identyfikować? A co z kasetką?

– Schowam w mojej torbie – zadowolenie ze zmyślnego planu biło z Michała świetlistą poświatą. – Jak będą myśleli, że nie znaleźliśmy, to nasze rzeczy będą bezpieczne.

Głupie to może nie było, choć siedzenie w domu nawiedzanym przez włamywaczy nie do końca odpowiadało mojej wizji urlopu. To już dom nawiedzony przez duchy byłby lepszy. A zważywszy na życzliwość duchów, jakie mogły ewentualnie nawiedzać to miejsce, może i dałoby się namówić babcię na ułatwienie tej gry w poszukiwanie skarbów. Bo choć wyobraźnia nie poskapiła nam pomysłów na możliwe do popełnienia głupoty, wplątanie w spadkową awanturę dodatkowych jednostek, gotowych nawet popełniać morderstwa, skomplikowało problem za mocno.

– A może po prostu tę kasetkę otworzyć? – zapytałam ostrożnie, zezując w stronę okna. Wolałam upewnić się, że opuszczone rolety ukryją przed ciekawskimi nasze manipulacje ze skrzyneczką. – Sprawdzimy, co tam jest, schowamy zawartość... Ostatecznie lepiej nich rąbną samą kasetkę.

– Oszalałaś! – oburzył się Michał. – Pamiątka rodzinna i mam pozwolić ją rąbnąć, bo bez zawartości przestanie być cenna! Rzeźbiony heban, z posrebrzanymi wykończeniami!

Na myśl, że zaproponowałam takie świętokradztwo, zrobiło mi się głupio. Michał z wygłoszonych przeze mnie idiotyzmów wyłowił jednak jedną sensowną informację. Że być może faktycznie warto cenną zawartość od równie cennego opakowania oddzielić. Wizja utraty obu za jednym zamachem bardzo mu się nie podobała.

Pozostał jeden maleńki problem. Nadal nie mieliśmy kluczyka, a jakoś trzeba było zabytkową kasetkę otworzyć...

– Włamanie na cudzą posesję, wandalizm, podejrzenia o dokonanie morderstwa i dążenie do mistrzostwa w posługiwaniu się wytrychem – mamrotał Michał, grzebiąc w zamku wywleczoną z mojej kosmetyczki spinką. – Nasza lista doświadczeń przestępczych rośnie w imponującym tempie. Masz może pomysł, jakim cudem jeszcze nas nie przytknęli?

Od trzech godzin siedziałam z nim w składziku, bezmyślnie przyglądając się próbom ruszenia opornego zamka. W ramach przerywnika donosiłam własne akcesoria fryzjerskie, wszystkie znalezione w domu druciki i śrubokręty, w końcu wydłubałam z jednej z szuflad szydełko i komplet różnej wielkości agrahek. Jedyne, co udało nam się osiągnąć, to imponująca ilość śladów po ukłuciu na coraz bardziej pokiereszowanych palcach Michała.

– Beznadziejne. – Michał odrzucił powyginane spinki i otarł czoło. – Ja już nie wiem. Zrób coś.

– Że niby co?

– Przynieś młotek...

– Oszalałeś! – Poderwałam się z krzesła. – Pamiątka rodzinna i ty chcesz ją młotkiem potraktować?

– Ty chciałaś ją rzucić na pastwę złodziejom. Oni by nie mieli skrupułów.

Z tej sytuacji nie było dobrego wyjścia. Jeszcze przez chwilę medytowaliśmy nad problemem ustalenia, co ma dla nas większą wartość: ukochana kasetka babci czy jej tajemnicza zawartość, gdy Michał wpadł na pomysł.

– Ty! – Poderwał się z nagłym ożywieniem. – Babcia wszystkie ważne rzeczy miała podwójne! Dokumenty, klucze, medaliki ze świętym Antonim! Jest szansa, że istnieje drugi egzemplarz kluczyka!

Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Nie tylko dlatego, że znałam babcine zwyczaje. Drugi kluczyk wielokrotnie oglądałam, gdyż babcia nie lubiła się z nim rozstawać. Stanowił wraz z kasetką pamiątkę po jej matce, pewnie dlatego jednym uszczęśliwiła moją lalkę, powierzając jej ważną misję strażniczki rodzinnych sekretów. Drugi nosiła na szyi w charakterze wisiorka. Kluczyk był drobny, delikatnie rzeźbiony, jako ozdoba na łańcuszku prezentował się ładnie i oryginalnie.

I nie zmieniło się do samego końca, czyli ostatniego dnia babci na tym przeklętym łez padole. Ukochaną pamiątką podzieliła się z nami, zadbawszy, by jakąś jej część zabrać do grobu. Kategoriecznie zażyczyła sobie pochówku z wisiorkiem.

Do jakich błyskotliwych wniosków doszedł mój pragmatyczny braciszek, nie chciałam wnikać. Wystarczył mi blask w jego oczach. Zanim odezwał się choć słowem, stanowczo i kategoriecznie oprotestowałam pomysł ekshumacji w autorskim wykonaniu Michała. I w każdym innym również.

– To już prędzej ci młotek przyniosę – syknęłam. – Babcia z za grobu znalazłaby sposób i nas wydziedziczyła!

– To co właściwie proponujesz? – zirytował się Michał.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Na razie zabrać do domu.

– A w domu cię olśni?

– W domu mam więcej przyborów fryzjerskich.

Lepszych pomysłów chwilowo nam zabrakło. Byłam coraz bardziej skłonna przyznać rację Michałowi. Skoro już tu jesteśmy i odpracowaliśmy zasadniczy cel przyjazdu, czemu by nie poświęcić kilku dni na nacieszenie się beztroską, za którą tęskniliśmy każdego dnia od momentu wkroczenia w dorosłość? Nadal częste, lecz coraz krótsze odwiedziny nie pozwalały już swobodnie hasać po ulubionych zakątkach z dzieciństwa, brakowało też czasu na długie spacery i odkrywanie zmian, które powoli, lecz nieubłaganie zagarniały przestrzeń miasteczka. A do oswojenia tej przestrzeni potrzeba było czegoś więcej niż tylko weekendowych wypadów, spędzanych na pomaganiu babci i opiece nad starzejącym się Onyksem. Nie mówiąc o tym, że jako duzi i poważni ludzie mielibyśmy problem z łażeniem po dachach, drzewach i pakowaniem się przez okna do ruin ewangelickiego kościółka bez wzbudzania sensacji i zainteresowania stróżów prawa.

Również teraz z tych samych powodów mieliśmy ograniczony zakres rozrywek niekolidujących z powszechnie przyjętymi normami zachowań ludzi dorosłych i nieskazujących nas na wieloletnie leczenie psychiatryczne. Wizyta na dawnej dzikiej plaży nad jeziorem wyglądała na idealny kompromis. Przy założeniu, że nikt do tej pory nie wpadł na pomysł, by ją ucywilizować.

Spacerowi nad jezioro sprzyjał fakt, że dziś przypadał dzień wizyty pani Zosi.

– Idealnie, ja wcale nie chcę tu być podczas sprzątania, trzepania tych prześcieradeł i tym podobnych. – Michał ucieszył się. – Pogoda sprzyja, okoliczności też, może się nawet uda wykąpać. Boże, jak ja dawno nie pływałem w jeziorze! Te wody chlorowane, ozonowane w basenach, śmierdzące do porzygania!

Dajcie mi wreszcie wytarzać się w wodorostach!

Osobliwą potrzebę tarzania się w wodorostach rozumiałam doskonale, bo choć sama prezentowałam inne upodobania, wieczorne latanie na boso po polach było wyrazem tej samej tęsknoty za dzieciństwem. Istniał jednakże problem kasetki i pożądanym jej zawartości przestępców. Pomna konsekwencji pozostawienia domu z otwartymi tylnymi drzwiami i beztroskiego hasania, nie byłam pewna, czy powinniśmy oddawać się rozrywkom, pozostawiając dom bez opieki.

– Bez jakiej znowu opieki? – jęknął Michał. – Będzie pani Zofia, będzie konserwator, jest biały dzień, a tylne drzwi się zamknie. Kasetka natomiast uda się z nami w charakterze ręczników i kanapek w torbie. Pływać możemy na zmianę, choć bardzo wątpię, czy ktoś wpadnie na pomysł, by zakosić nam ciuchy i żarcie. Maja, błagam, nie komplikuj, oboje mamy prawo odpocząć!

Wobec tak żarliwego apelu nie wypadało dalej komplikować. Owinąwszy drogocenną kasetkę w ręcznik i umieściwszy w torbie pod kanapkami, zaczekaliśmy na przybycie pani Zofii i towarzyszącego jej konserwatora, po czym zgodnie, ramię w ramię, niczym Jaś i Małgosia ruszyliśmy w kierunku jeziora.

Pomimo wysokiego stopnia ucywilizowania, ścieżki rowerowej, eleganckiej promenady i strzeżonych kąpielisk swojskość okolicy pozostała taka, jak zapamiętaliśmy ją z dzieciństwa. Pusta z powodu wczesnej pory i dnia powszedniego plaża zachęcała do szukania dawnych ulubionych ścieżek i odgrzebywania wspomnień.

– Jak tu takie coś zrobili, to w weekendy pewnie jest szaleństwo. – Michał machnął ręką w kierunku zjeżdżalni zainstalowanej na jednym z pomostów. – Pomyśl, ile dziecięcych tyłków wlatuje tu z pluskiem do wody!

– Nasze pewnie też by wlatywały, gdyby ktoś to wcześniej wymyślił – stwierdziłam. – Zresztą nie gwarantuję, że mój dzisiaj nie wleci...

– Mój pewnie też – powiedział Michał, wzdychając. – Ale przy takiej częstotliwości wlatywania bardzo wątpię, czy teraz uświadczysz tu choć jednego raka.

To niewątpliwie była spora przykrość. Żywe, gmerające pod pomostami raki były jedną z największych atrakcji jeziora. Mogliśmy się na nie gapić godzinami, dopóki polujący na dziwne opancerzone stwory z wielkimi szczypcami Onyks nie wyskoczył z wody, piszcząc po kolejnym przegranym starciu ze stawonogiem. Brak raków był poważnym mankamentem, jednak po kilkukrotnej jeździe z pomostu i radosnym chlupnięciu do wody zdecydowaliśmy się puścić go w niepamięć. Usatysfakcjonowany upragnioną kąpielą w jeziorze Michał wspaniałomyślnie postanowił nie czepiać się niedostatecznej ilości wodorostów. Sama, ograniczona zakazem kąpienia świeżego tatuażu, bez żalu zrezygnowałam z pływania. Pomna na zalecenia, na czas kursów na zjeżdżalni starannie zabezpieczyłam łydkę przez zamoczeniem kupioną po drodze folią spożywczą, wywołując lawinę braterskich kpín. Zadowoleni z życia, wróciliśmy z plaży promenadą. Rurki z kremem w cukierni, którą pokochaliśmy jako sześćioletnie brzdące, wprawiły nas w stan bliski euforii. Po krótkim rajdzie dookoła ryneczku i po sąsiadujących z nim uliczkach, tuż przed czwartą zdecydowaliśmy się wrócić do domu i wspomóc panią Zofię lub przeczekać porządkowe pandemonium w ogródku.

Beztróską wędrówkę przerwał Michał, gwałtownie hamując tuż za ruinami pobliskiej kapliczki. Manewr wykonał bez słowa, zaś ja, rozmarzona i rozleniwiona, a w związku z tym totalnie pozbawiona refleksu, uczyniłam jeszcze kilka kroków naprzód. Moje rozkojarzenie wzmogło refleks i skupienie Michała, który z ostrzegawczym syknięciem pociągnął mnie w kierunku opuszczonego kościółka.

– Zwariowałaś, co my robimy? – prychnęłam. – Słoneczko za bardzo przygrzało?

Ale zniecierpliwiony Michał miał inny problem. Wlokąc mnie za sobą, odszukał wąską ścieżynkę dookoła kaplicy i przywarł



do muru od drugiej strony, schowany w gąszczu krzaków.

– Patrz! – wyszeptał mi do ucha i pokazał na chodnik tuż przed bramą prowadzącą do domu babci.

Spojrzałam we wskazanym kierunku i zmartwiałam.

Niespiesznym krokiem do willi zbliżał się szczupły mężczyzna z dłońmi niedbale wsuniętymi do kieszeni. Duże, ciemne okulary, zakrywające oczy i część twarzy nie pozwalały dokładnie go obejrzeć, w sposobie poruszania było jednak coś, co rozpoznałam natychmiast.

Im bliżej znajdował się willi, tym bardziej niespieszne stawały się jego kroki. Ukradkowe spojrzenia ku oknom być może dla przypadkowego przechodnia byłyby niedostrzegalne, jednak wyczulony po nocnej wędrówce po piwnicy Michał wychwycił je natychmiast. Podobnie jak fakt, że tuż przed bramą facet wyciągnął z kieszeni telefon i rozpoczął rozmowę. Ot, podczas spaceru ktoś mu zawraca głowę, więc się zatrzymał, żeby spokojnie porozmawiać, rzucając roztargnione spojrzenia na dom, przed którym przyszło mu się zatrzymać. A że akurat tu...

Jęknęłam przerażona. Być może dałabym się zwieść niewinnej scenie, jednak w ruchach mężczyzny i w jego sposobie poruszania się natychmiast rozpoznałam nocnego gościa. Byłam zbyt daleko, by zdołać potwierdzić okropne podejrzenia, zwłaszcza że ciemne okulary nie ułatwiały dostrzeżenia rysów twarzy, ale syreny alarmowe wyły mi już w głowie potwornym wrzaskiem.

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Nerwowo wyszarpnęłam z kieszeni telefon.

– Zwariowałaś, co ty wyprawiasz? – syknął przyklejony do ściany kaplicy tuż obok mnie Michał. – Żadnej policji!

– Zamknij się! – zażądałam stanowczo. – Bardzo prawdopodobne, że gościa znam! A jeśli tak, to mam naprawdę cholerny problem! I muszę to wiedzieć! Natychmiast!

Desperacja w moim głosie uciszyła wreszcie Michała.

Z napięciem wpatrywał się, jak wybieram numer, uprzednio wyciszywszy komórkę.

– To u niego zadzwoni – mruknął, przyglądając się moim poczynaniom. – O ile w ogóle.

– Ładnie będzie wyglądać, jak zechce oddzwonić – burknęłam.  
– I po dźwięku dzwonka zlokalizuje nas w krzakach. Dlaczego niby miałyby u niego nie zadzwonić?

– Przecież gada...

Spojrzałam na niego z politowaniem. Coraz mniej chciało mi się wierzyć w autentyczność przydługiej telefonicznej konferencji tuż przed naszym podwórkiem. Zresztą, jeżeli nawet usłyszę sygnał zajęty, dowiem się wystarczająco dużo, żeby się wystraszyć.

„Błagam, niech zadzwoni, ale nie tu”, zaklinałam żarliwie, naciskając zieloną słuchawkę. Niech odbierze w domu, w pracy, gdziekolwiek, ale nie przed domem mojej babci, której adresu nie ma prawa znać! Ani tu być!

Sygnał oczekiwania zabrzmiał w moich uszach jak najśłodsze pienia anielskie. „No to się pomyliłam”, odetchnęłam, czując, jak błoga ulga zalewa jasnym światłem moją duszę.

Szkoda tylko, że kilka sekund później całą błogość diabli wzięli i zassali z powrotem w piekielne czeluście, zsyłając w zamian jakąś potworną odmianę rozpaczy o gęstości, ciężarze i barwie betonu, gdy mężczyzna przed domem nerwowo oderwał telefon od ucha, wgapiając się w komórkę, która tym razem zadzwoniła zupełnie autentycznie.

Tyle mi wystarczyło. Czym prędzej się rozłączyłam, a potem, zgnębiona tą jedną odpowiedzią na zbyt wiele pytań, osunęłam się po ścianie kaplicy wprost w dziko rosnące jeżyny. Bóg mi świadkiem, o niczym w tej chwili nie marzyłam tak bardzo, jak o tym, by wrosnąć w ziemię obok nich i niech mi wszyscy dadzą święty spokój! A już szczególnie szarpiący mnie za ramię Michał i facet, który zgodnie z przewidywaniami, postanowił oddzwonić.

Nerwowym ruchem wrzuciłam wreszcie telefon do kieszeni i pozwoliłam się postawić do pozycji pionowej.

– Tłumacz się! – zażądał gorączkowym szeptem Michał. – Kto to jest, do ciężkiego diabła? I nie wylaż jeszcze, do cholery, on tam chyba skamieniał!

Cóż było zrobić? Opcja powrotu do domu i złożenia wyjaśnień przy herbatce i resztkach rurek z kremem, których nie zdążyliśmy do końca pożreć, nie wchodziła w grę. „Choć może i okoliczności na spowiedź całkiem niezłe”, przemknęło mi przez ogłupiony umysł, kaplica tuż, tuż. Z trudem tłumiąc histeryczny chichot, wywołany splotem zbyt dużej ilości przypadków, wyjaśniłam Michałowi, kto nas odwiedził. Cel wizyty, jak zgodnie z prawdą zeznałam bratu, był mi nieznany i mogłam się go jedynie domyślać. Podobnie jak faktu, że zabójstwo Olgierda i sprawa babcinego spadku były ze sobą powiązane znacznie bardziej niż nam się do tej pory wydawało.

I przy okazji cholernie komplikowały mi życie osobiste.

Mój telefon wprowadził obserwatora naszej willi w lekką konsternację, gdyż po kilku próbach skontaktowania się ze mną odpuścił i krokiem równie niespiesznym, jak początkowo, oddalił się w kierunku ryneczku.

– Polazł – syknęłam nerwowo. – Zobacz, pani Zosia wychodzi! Jazda do domu, zanim znów ktoś tam się wtarabani!

Michał nie zamierzał dyskutować. Rozejrzawszy się dla pewności, czy w okolicy nie płacze się baba o sylwetce znanej nam z nocnej wycieczki, wyskoczyliśmy z gąszczu roślinności.

– Nie leć tak – przystopował mnie Michał. – Zachowujmy się naturalnie!

– Proszę cię bardzo – jęknęłam, jednocześnie próbując wyszczerzyć się tak radośnie, jak powinna to czynić osoba zadowolona ze spędzonego na plaży słonecznego dnia. – Ale jak mi coś takiego powiesz w Poznaniu, przysięgam, zęby będziesz zbierał w promieniu dziesięciu kilometrów!

– Bo niby co?

– Bo jak mam się, cholera, wyłgać z obiecanego spotkania? Miałam wrócić, zadzwonić i umówić się jak najszybciej!

– Wrócisz, zadzwonisz, to się zgadza – mruknął Michał, starannie zamykając drzwi babcinego domu, gdy tylko weszliśmy do holu. – A potem umówisz się, że spotkacie się, jak ci przejdzie ta grypa czy inna dżuma, jaką złapałaś podczas urlopu! Ostatecznie nie bronię ci skreślić nogi albo dostać ciężkiej alergii!

– Dzięki ci bardzo za taką łaskę! Tym bardziej będzie chciał się spotkać i sprawdzić mój stan zdrowia!

– Toteż ci mówię, choroby zakaźne będą najlepsze! I w wolnej chwili oddzwon do gościa! Przypominam ci, że nasz błyskotliwy plan zakłada naturalne zachowanie!

Z ciężkim sercem i nadzieją, że w odpowiednim miejscu spłynie na mnie choć trochę cudzej mądrości, skoro na własną liczyć nie mogłam, klapnęłam na trawę obok kamienia, pod którym spoczywał najmądrzejszy ze znanych mi psów. Lecz najwyraźniej psie dylematy w zakresie obrony mienia znacznie odbiegały od ludzkich, gdyż jedyne, co przyszło mi do głowy, to wizja radykalnego pozbycia się problemu przez pogryzienie nieproszonych gości w akompaniamencie niepospolitego jazgotu. Pewnie i odbiegało to od błyskotliwego planu Michała, by zachowywać się naturalnie, za to mielibyśmy z głowy pilnowanie domu.

Podłamana nieco świadomością skuteczniejszej metody działania w wykonaniu psim niż ludzkim bezmyślnie gapiłam się w ekran komórki.

I kiedy wreszcie zebrałam się w sobie, by wykonać telefon, wydając z siebie normalne dźwięki zamiast szczekania i powarkiwania, dźwięk dzwonka poderwał mnie na równe nogi.

Które zresztą ugięły się niebezpiecznie na widok numeru na wyświetlaczu.

„Zachowujemy się naturalnie”, zachichotałam nerwowo, odbierając połączenie. „Możliwe, że nie dzieje się nic takiego...”

Nadzieja prysła, gdy usłyszałam w słuchawce bardzo naturalny, szczery i bez wątpienia wściekły głos Borówy.

– Majka, będziesz uprzejma podać prawdziwy powód waszej wycieczki do domu babci? Dotąd żyłem w przeświadczeniu, że chodzi o spadek, a nie gigantyczną imprezę integracyjną!

– O co ci chodzi? – Struchlałam na tak życzliwy wstęp. – Porządkujemy rzeczy po babci, kąpiemy się w jeziorze, zjemy rurki z kremem i łazimy po pobliskim polu, ale to wszystko w swoim towarzystwie! No może poza gosposią, której ojciec płaci za opiekę nad domem pod naszą nieobecność! Nie mam pojęcia, skąd ci się imprezy integracyjne nagle wzięły, bo jako żywo, żadnych tutaj nie ma!

– To interesujące – stwierdził zgryźliwie Borówa. – Skąd w takim razie ta masowa pielgrzymka osób z wami związanych? Słyszałem, że miasteczko urokliwe, ale żeby aż tak...

– Klnę się, Patryk, że nie wiem, o czym mówisz. Jesteśmy tu my i nikt inny ze znajomych.

„No, może jedna sztuka”, dorzuciłam w myślach, w ostatniej chwili gryząc się w język.

– To interesujące – usłyszałam po raz kolejny. – Bo ja naliczyłam poza wami aż pięć sztuk. I cały czas ciężko się zastanawiam nad przyczynami tej wędrówki ludów. Nie mówiąc o tym, co wśród tych pielgrzymów robi moja narzeczona!

Cios obuchem w łeb nie poczyniłby w mojej głowie większego spustoszenia. Zdolność logicznego myślenia i przetwarzania faktów przepadła na wieki. Patryk nie zamierzał dać mi ani chwili na pozbieranie się po rewelacjach, jakie usłyszałam.

– Przykro mi, trzeba sytuację wyjaśnić. Oficjalnie wzywam państwa na komisariat. I proszę o kontynuację urlopu po zamknięciu sprawy.

– Ale tu jest jeszcze trochę rzeczy, które musimy posegregować – zaszemrałam żałośnie. – Niektóre to cenne pamiątki. Boimy się, czy ktoś nie zainteresuje się domem, który stoi prawie bez opieki...

– Dom opiekę dostanie. – Borówa był nieugięty. – Rano oddelegowałam dwie osoby w charakterze stróżów. Pochodzą z miasteczka, więc chętnie wyjechały na kilka dni do rodzinnych domów. Zameldują się u was najpóźniej do jutra. Wszystko pod kontrolą.

– Ale nie moją...

Taka była prawda. I bez interwencji Borówy działały się tu rzeczy skrajnie odbiegające od moich wyobrażeń. Pięć osób, którym nagle przypomniało się, że pożądamy naszego towarzystwa? I to w tak dziwny sposób, unikając nas na miejscu jak ognia? To by oznaczało, że poza jedną na sto procent zidentyfikowaną, płaczą się jeszcze cztery! W tym Luiza...

Choć próby wydobywania z Borówy informacji na temat tożsamości kręcących się po okolicy jednostek spełzły na niczym, to jednak udało mi się przynajmniej wydębić wiadomość, że baby wśród nich były dwie. Zatem pozostawał cień szansy, że to nie Lulu kotłowała się z nami tamtej nocy w piwnicznej izbie.

Pobulgotałam pod nosem, co sędzę o całej tej kołomyi, lepiej się wcale od tego nie poczułam i wróciłam do domu poinformować Michała o rozmowie z Borową. Pobulgotawszy następnie w duecie, doszliśmy do wniosku, że stawianie oporu tylko sprawę pogorszy.

– Im szybciej wyjaśnią, tym lepiej – zawyrokował Michał. – Do diabła, ten człowiek mnie zadziwia! Czasem mam wrażenie, że to jakiś specjalny typ jasnowidza z tendencją do zaćmień w najbardziej oczywistych sprawach. Powszczepiał wszystkim świadkom mikrocipy, że umie tak dokładnie każdego zlokalizować? Ale rozeznanie faktu, że nie rąbnałam twojego byłego, to już wyższa szkoła jazdy!

– A nie rąbnałeś? – spytałam beznadziejnie.

Michał wściekle wyrzwał się pięścią w czoło. Pozostało nam spakować manatki, dyskretnie wykradając kasetkę, i po grzecznym odmeldowaniu u funkcjonariuszy przejmujących pieczę nad domem powrócić do Poznania.



Zgodnie z informacją na drzwiach kwaciarni jeszcze przez pięć dni oficjalnie byłam na urlopie. Poświęcenie tych pięciu dni na błąkanie się po komisariacie było ostatnią rzeczą, na jaką miałam chęć. Ledwie Michał wysadził mnie pod domem, wrzuciłam torbę do przedpokoju, wrzasnęłam przez balkon do pielącej kwiatki mamy, że kota odbiorę pod wieczór i wystartowałam na piechotę w kierunku, z którego wzywał mnie srogi głos przedstawiciela prawa. Półgodzinny spacer był mi potrzebny, by poukładać w głowie fakty, które podczas jazdy posegregowaliśmy na możliwe do ujawnienia i absolutnie się do

tego nienadające, choć miałam lekkie obawy, czy Borówa nie zdażył się już do tych drugich dobrać. Kłamać teoretycznie nie zamierzałam, zatajenie prawdy to już była inna bajka.

Byłam bardzo ciekawa, czy Borówa zdażył aresztować pozostałych uczestników wędrowki ludów, a jeżeli tak, to czy na komisariacie ujrzę jakąś znaną twarz. Nadal nie wiedziałam, kogo poza Lulu złapano na pielgrzymowaniu za plecami policji w kierunku innym niż tradycyjnie przeznaczone do pielgrzymowania obiekty sakralne. Pewnie dlatego wstrząsnął mną widok aż trzech osób, z którymi sama lub za pośrednictwem Olgierda zawarłam znajomość. Dwóch nawet się spodziewałam, gdyż osobiście umieściłam ich nazwiska na liście podejrzanych. Kandydaturę trzeciej w ataku wisielczego poczucia humoru rozważałam również, byłam jednak pewna, że był to scenariusz bliższy filmowi science fiction niż rzeczywistości. Na widok wychodzącego z komisariatu byłego teścia zrobiłam bardzo głupią minę.

– O, Majeczka! – Teść na mój widok wyraźnie się ucieszył. Katastrofy, jakimi obdarowało go ostatnio życie, najwyraźniej nie umniejszyły jego sympatii do mnie. Teraz również natychmiast się wyprostował i uśmiechnął, choć był to najsmutniejszy uśmiech, jaki miałam okazję oglądać na twarzy tego jowialnego, wysokiego człowieka o gęstej, wiecznie zwichrzonej czuprynie i obfitym zaroście. W niczym nie przypominał eleganckiego, wymuskanego syna, dla którego savoir vivre i perfekcyjnie dopracowany wizerunek stanowiły najcenniejsze z cech, otrzymanych w darze od mamusi. Chyba właśnie licząc na choćby wybrakowaną wersję entuzjazmu i spontaniczności właściwych panu Henrykowi, wyszłam za Olgierda, a potem przez cały krótki staż małżeński usiłowałam się do tych cech dokopać. Niestety, na próżno.

– Dzień dobry – przywitałam się, pozwalając panu Henrykowi pocałować się w rękę. – Widzę, że nawet tatę ciągną na komisariat. Mogliby dać choć chwilę wytchnienia rodzinie.

Pan Henryk potrząsnął smutno głową.



– Nie, nie, to ja sam. Chcemy jutro odebrać Olgierda i w sobotę zorganizować pogrzeb. Przyszedłem upewnić się, że nie ma ku temu przeszkód. A ponieważ nie ma, jadę do zakładu pogrzebowego. Najwyższy czas zająć się formalnościami.

– Przykro mi, że spotkaliśmy się w takich okolicznościach – wymamrotałam przybita. – I sam to tata załatwia, bez mamy?

Pan Henryk mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Maja, ty mi aż takiego kataklizmu życzysz? Wystarczy, że obie histeryzują w domu, ja za tło do tych scen publicznie nie zamierzam robić.

– Mama w duecie z Kamilą? – rzuciłam niechętnie.

– Dobrze, że w domu – stwierdził, wzdychając, pan Henryk. – Maja, nie żebym był uprzedzony, ale jak ta dziewczucha nie zna umiaru... We wszystko się wtrąci, ona trumnę wybierze, ona kwiaty załatwi, ona nekrolog napisze, niech tylko ktoś inny za to wszystko zapłaci! A przecież oni nawet nie byli zaręczeni! Dla mnie żadna rodzina, to już ty prędzej miałabyś prawo.

„Ale nie ochotę”, miałam na końcu języka, choć na widok osamotnienia w obliczu rodzinnej tragedii byłam pełna współczucia dla tego dobrego człowieka. Proponować mu pomocy na pełen etat nie chciałam, jednak pomóc choć odrobinę – jak najbardziej. Obiecałam załatwić kwiaty i wieńce za połowę ceny. Negocjacje finansowe zaczynałam od zerowych kosztów, jednak pan Henryk uparł się zapłacić.

– Ja ci pieniędzy chociaż połowę zwrócę – powiedział. – Tylko cię proszę, żebyś w sobotę przyszła. Ja wiem, małżeństwem już nie byliście, ale chcę mieć choć jednego sojusznika przeciwko mojej żonie i temu dziewczuszkowi, co ją opętało. Ja cię proszę, Majeczka, ty mnie z tym nie zostawiaj.

Tak gorącej prośbie nie potrafiłam odmówić, choć planowałam uczestniczyć w pogrzebie z tylnej ławki, tak niewidoczna, jak to tylko możliwe. Pożegnałam pana Henryka, obiecując swoją obecność w pierwszym szeregu i modląc się, by teściowa na tę okoliczność nie rozwalila całej uroczystości.

W melancholijnym nastroju wkroczyłam na komisariat, mijając się w drzwiach ze znanym pobieżnie z widzenia i znacznie lepiej z niezyczyliwych opowieści Olgierda Tomkiem Stankowskim, konkurentem do awansu na fotel dyrektora i dużo wyższej pensji. Nie wiedząc, kto zgłosił jego kandydaturę na potencjalnego zabójcę, Tomek burknął coś, co miało imitować „dzień dobry” i oddalił się czym prędzej.

Przysiadłam na krześle obok gabinetu Borówy, zza drzwi którego dochodził głos awanturujący się z zapalem o niesprawiedliwe podejrzenia. Po głosie, temperamencie i zasobie słownictwa rozpoznałam dość szybko niedoszłego współpracownika, którego mój mąż krótko przed awansem wykopał z firmy. Jakieś machloje się wtedy wykryły, o ile dobrze zapamiętałam sedno afery. Ich charakter pozostał wprawdzie dla mnie zagadką, jednak efekty uboczne w postaci wybitych szyb w samochodzie i graffiti na drzwiach gabinetu Olgierda miałam okazję podziwiać osobiście. Podobnie zresztą jak facjatę antypatycznego indywiduum, którą rozpoznałam natychmiast, gdy człekopodobna istota z litanią klątw na ustach wyprysła na korytarz. Zdażyłam uskoczyć w ostatniej chwili, zanim niosąca osobnika furia zmiotła mnie z posadzki.

Cóż, przynajmniej wiedziałam, że mogę wejść bez wyglupiania się z pukaniem.

– Cześć, Majka – powiedział i nagle westchnął Borówa, ocierając pot z czoła i usiłując rozmasować skronie. – Siadaj i daj mi chwilę. Ten gość mnie wykończył. Mogłaś wspomnieć, że to niebezpieczny wariat!

Posłusznie zajęłam miejsce, czyniąc to w sposób nawet całkiem kontrolowany. Świadomość, że ktoś może doprowadzić do wyczerpania niezniszczalnego Borówę, wyciszyła towarzyszące mi zazwyczaj w tym gabinecie drżenie kolan.

– Myślałam, że z całej tej ekipy najbardziej niebezpieczną wariatką jestem ja – bąknęłam.

Borówa westchnął sobie jeszcze kilkakrotnie, po czym

odzyskał swój zwykły urok.

– Bez przesady, trochę ci brakuje – oznajmił. – Do rzeczy. Z kim zabalowaliście tamtej nocy po przyjeździe?

Zbaraniałam.

– Nie rób takiego wytrzeszczu oczu, bo ci zostanie – pouczył mnie surowo Borówa. – Byłaś na polu, zakładam, że w celach spacerowych, Michał siedział w domu. Odwiedziły was wtedy dwie osoby, wchodząc przez drzwi do ogródka. Tylko jak dla mnie, impreza była dziwna, bo cicha i w całkowitych ciemnościach. Próba generalna przed Halloween? Nie za wcześnie?

Stan zbaranienia niebezpiecznie się pogłębił. Nie zważając na zmarszczki, trwałam w osłupieniu, trawiąc teorię Michała na temat nadprzyrodzonych zdolności Patryka. Skąd ten człowiek to wszystko wiedział? I o pielgrzymkach, i teraz to...

„I czytać w myślach, też, do cholery jasnej, potrafi”, jęknęłam po kilku sekundach, gdy Borówa spojrzał na mnie zniecierpliwiony.

– No co? Ty naprawdę myślałaś, że puszcze was na tę wycieczkę bez obstawy? Niestety moi podwładni widzieli tylko przybycie gości, wybycia nie zauważyli. Pytam po raz ostatni: co to była za impreza?

Przeraźliwa pewność, że przed tym człowiekiem żadna tajemnica się nie uchowa, pozbawiła mnie resztek przytomności umysłu i wydarła mi z gardła zupełnie nieplanowane zeznanie.

– To nie była impreza, tylko włamanie! – wrzasnęłam histerycznie.

A potem pozostało mi już tylko wypowiadać się z całej posiadanej wiedzy, spadków, kluczyków i ich związku ze zwłokami Olgierda.

No, prawie całej. Informacja o znaleziskach dokonanych w samochodzie Lulu nie chciała mi przejść przez gardło.

– Pięknie. Brawo ty – wycedził Borówa po wysłuchaniu mojej

spowiedzi. – Szczerze mówiąc, cały czas coś takiego podejrzewałem, ale to już przechodzi moje najśmielsze pojęcie.

– Brawo ja – jęknęłam zgnębiona. – Już mam się czuć aresztowana?

– Masz się czuć pilnowana, żeby ci żadna nowa głupota do głowy nie przyszła! Teraz stąd wyjdiesz, zadzwonisz do Michała, żeby poinformować go, że uściśliłaś wasze zeznania i ma się u mnie produkować bez zatajania faktów. Przynajmniej wiemy, że coraz mniej się nadaje na mordercę. I jeszcze jedno...

Opuściłam komisariat z silnym przekonaniem, że jeśli nawet nie zabije mnie Patryk, Michał z pewnością nadrobi to niedopatrzenie. Wiedzy na temat tożsamości osób towarzyszących nam cichaczem podczas urlopu nadal nie posiadałam. A polecenie, by udać się w sobotę na pogrzeb Olgierda i obserwować dyskretnie rozwój wydarzeń, sprawiło, że po telefonie do Michała zadzwoniłam do teścia, by potwierdzić swoje przybycie. Nie bardzo wprawdzie wiedziałam, jakie ciekawe wydarzenia miałabym zaobserwować, ale powoli miałam tego obłędu powyżej uszu i namiętnie marzyłam o rozwiązaniu sprawy. Przypuszczam, że gdyby Patryk zażądał oglądania uroczystości z lotu ptaka, by zdobyć niezbędne informacje, również bym na to przystała.

Zachowując się, jak zażądał Borówa, jak najbardziej diabli nadali naturalnie...



Naturalność najlepiej wychodziła mi w kontaktach z własnym kotem, który postanowił ułatwić mi życie i odebrać się od rodziców sam. Wróciwszy z komisariatu, zastałam Lokiego na

balkonie w donicy z goździkami. Przynależny do kota majdan mama zdążyła przynieść wcześniej. Błogosławiąc spotkanie ze znajomymi, na które rodzice wybyli po pracy, poprzysięgam sobie przynajmniej do jutra nie odbierać telefonów i nie dyskutować z nikim na temat urlopu. Kasetkę, którą postanowił uszczęśliwić mnie Michał, wrzuciłam z braku lepszego pomysłu do kosza na pranie, marząc o odnalezieniu cholernego kluczyka choćby po to, żeby się w tej kasetce sama zamknąć, zostawiając najdroższym bliskim i przyjaciołom karteczkę z komunikatem, że proszę uprzejmie chwilowo dać mi święty spokój.

Ale widoków ani na znalezienie zguby, ani nawet na kilka godzin świętego spokoju nie było. Byłam za bardzo zdenerwowana, żeby zakopać się w łóżku pod kocem i udawać, że mnie nie ma. Nie posiadałam również wanny, w której mogłabym się zanurzyć wśród pachnących bąbelków. Usiadłam z kotem na balkonie i zagapiłam się przed siebie.

Długo nie posiedziałam. Buczenie telefonu, który w całym swym geniuszu tylko wyciszyłam, zamiast zupełnie wyłączyć, doprowadzało mnie do furii i wreszcie zmusiło do podniesienia tyłka.

Głos osoby dzwoniącej z pewnością szalenie by mnie ucieszył, gdyby nie jej udział w panującym wokół sprawy pandemonium dziwnych wycieczek. Tylko polecenie Borówy, żeby wykrzesać z siebie maksimum naturalności zmotywowało mnie do odebrania telefonu i entuzjastycznego zaświergotania na powitanie.

– No, nareszcie, bo już się martwiłem – odetchnął Robert. – Telefonu nie odbierasz, nie wiem nawet, czy już wróciłaś z tego urlopu? Ale chyba nie, mówiłaś, że jedziecie na dłużej.

Akurat w tej kwestii mogłam ujawnić prawdę.

– Niestety zostaliśmy zmuszeni do wcześniejszego powrotu – powiedziałam z autentycznym żalem. – W sobotę mamy w rodzinie pogrzeb, obiecałam załatwić kwiaty, więc sam rozumiesz...

– Och, bardzo mi przykro. Ktoś bliski?

– Nie, dalsza rodzina. Ale wypada być. A jak tam śledztwo? – chrząknęłam, nie chcąc rozwijać tematu, by nie wygadać się co do tożsamości nieboszczyka. – Wiadomo coś nowego, wzywali cię jeszcze?

– Nie za bardzo. Maja, ja tylko uczestniczyłem w znalezieniu zwłok. Nawet faceta nie znałem.

Przełknęłam komentarz, który cisnął mi się na usta i czekałam na ciąg dalszy.

Ciąg dalszy nastąpił w dokładnie takiej wersji, jakiej się spodziewałam.

– To skoro już wróciłaś, może byśmy się spotkali? Może spacer? Na Cytadeli podobno jest teraz bardzo ładnie, znajomy był z rodziną w zeszłym tygodniu. Dasz się wyciągnąć któregoś dnia?

Jeszcze kilka dni temu zgodziłabym się z największą radością. W obecnej sytuacji nawet okruszki entuzjazmu były trudne do wyprodukowania.

– Może po sobocie – zaproponowałam wymijająco. – Na razie mam ten pogrzeb, rodzina się zjedzie, trzeba to ogarnąć. No i sam rozumiesz, nastrój też nie do końca na randki. Potem nie wiem, czy znów nie wyjedziemy. Przykro mi, że tak się porobiło.

– Cóż, mam nadzieję, że chwilowo – wymamrotał zrezygnowany Robert. – Wtedy przed urlopem też nie miałaś czasu. Ale w porządku. Daj proszę znać, jak coś się zmieni. Bo nie ukrywam, że trochę zaczynam tęsknić.

„No to mamy problem”, pomyślałam zgryźliwie. Sama pewnie już dawno tęskniłabym jak szalona, gdyby nie okoliczności, które wyszły na jaw. W tej sytuacji uznałam za słuszne nie ufać nikomu poza swoim kotem. Odrobina manii prześladowczej była w tym wypadku oznaką zdrowego rozsądku, a nie pogłębiającej się paranoi.

– Chwilowo – zapewniłam Roberta w miarę możliwości

stanowczym głosem. – Sam widzisz, że zrobił mi się w życiu bałagan, a ja do bałaganu nie lubię nikogo zapraszać. Mam na myśli tak życie, jak i mieszkanie. Będę naprawdę wdzięczna, jeśli dasz mi trochę czasu.

– Chyba nie mam wyjścia. – Usłyszałam ciężkie westchnienie.  
– Powiedz, jak tatuaż?

– Rewelacyjny! – wyznałam. – Ładnie się goi, prawie nie swędzi i jest najpiękniejszy na świecie!

– To przyślij chociaż zdjęcie...

Tyle mogłam obiecać. Rozłączyłam się i pstryknęłam fotkę swojej łydce. Poza Robertem wysłałam ją jeszcze do kilku osób, do których miałam się odezwać po wizycie w studiu i które skandalicznie zaniedbałam.

Loki w międzyczasie uznał za stosowne opuścić goździki. Zmiażdżone ciężarem rosnącej masy kociego cielska, wymagały natychmiastowej reanimacji. Pomimo tego odpuściłam sobie wrzaski. Teraz mogłam z czystym sumieniem darować sobie poważne tematy i choć przez chwilę ochłonać, ratując grożące zdechnięciem kwiatki.



Wbrew obietnicom złożonym panu Henrykowi, Borówie i własnemu honorowi w sobotni poranek moje myśli były obsesyjnie zaprzątnięte wymówkami, dzięki którym zdołałabym wypłatać się z koszarnej uroczystości. Pogrzeb miał się rozpocząć o jedenastej, więc czasu na obmyślanie metod dezercji miałam aż nadto. Co gorsza, nie było nikogo, kto dopilnowałby, żebym opanowała histerię lub nie spała

sprawy w inny, oryginalny sposób. Moja rodzina zadeklarowała pojawienie się na pogrzebie w charakterze straży tylnych ławek, a i to w okrojonym składzie. Michał miał bowiem w planach imprezę urodzinową przyszłej teściowej i było w pełni zrozumiałe, na której z uroczystości woli się pojawić.

– Idźcie z Alą na te urodziny – powiedziałam stanowczo, gdy zaproponował, że dotrze do teściów nieco spóźniony. – Nikt nie będzie miał ci za złe. Zwłaszcza że się nigdy z Olgierdem nie lubiliście.

Również Luiza nie była najlepszą kandydatką na towarzyszkę.

– Ja cię, Maja, bardzo, bardzo przepraszam – wymamrotała, dzwoniąc poprzedniego wieczoru. – Po prostu nie mogę z tobą pójść. Patryk ostatnio w domu szaleje, pod warunkiem rzecz jasna, że w ogóle w tym domu jest. Strasznie go dobija ta sprawa Olgierda. W sobotę nareszcie ma wolne, mam nadzieję, że uda mi się rozładować atmosferę i oderwać go od roboty.

Choć sama szalu Borówy nie zdażyłam jeszcze doświadczyć, wcale się nie dziwiłam, że śledztwo w sprawie morderstwa Olgierda w końcu doprowadziło go do ciężkiej cholery. Wątków dużo, żaden konkretny, świadkowie płaczą się w zeznaniach, a jeszcze się błąka po tym wszystkim jego prywatna narzeczona. Spanikowany ton Lulu był w tej sytuacji uzasadniony. Nie mówiąc o tym, że jeżeli przyłożyła rękę do śmierci Olgierda, to trudno wymagać, by się stawiała na pogrzebie własnej ofiary.

Tak zwane dowody rzeczowe, które wygrzebałam z nissana przyjaciółki, w zestawieniu z informacją, że pojechała za nami do miasteczka, męczyły mnie coraz bardziej. Mówiły, szeptały do ucha przed snem i przypominały o świadczących coraz bardziej na niekorzyść Lulu faktach, które to fakty, ku mojej rozpacz, przedstawiały się następująco: Lulu Olgierda jawnie nie cierpiała. Lulu miała w samochodzie rozsiane rzeczy przynależne do Olgierda. Lulu w czasie zbliżonym do momentu śmiertelnego potrącenia Olgierda przywalała w coś samochodem i rozwaliała światła oraz zderzak. Lulu była w miasteczku, nie przyznała się do wyjazdu nikomu i gdyby nie obstawa, którą



w ślad za nami wysłał dyskretnie Borówa, nikt o wycieczce by się nie dowiedział. Lulu była doskonale poinformowana o naszych postępach w sprawie spadku, wiedziała o nietuzinkowym sposobie przekazania nam majątku przez babcię i o nieszczęsnym kluczyku. Ergo Lulu rąbnęła Olgierda, żeby odebrać mu kluczyk i skorzystać z wiedzy o tajemniczym spadku, jaki mieliśmy z Michałem otrzymać. A żeby zamydlić mi oczy, postanowiła pchnąć mnie następnie w ramiona Stevena.

Jęknęłam i przetarłam oczy, zamroczona wizją koszmarnej teorii spiskowej, której główną bohaterką stała się moja najbliższa przyjaciółka. Jezusie, to nie może wyglądać aż tak źle... Może tylko pierwsza część moich wniosków się zgadza? To by nie było jakoś dużo lepiej, ale wołałam świadomość, że Lulu ograniczyła zbrodniczą działalność do mojego byłego małżonka i nadal mogę liczyć na jej lojalność.

Głupie przypuszczenia odciągnęły mnie wprawdzie od tematu pogrzebu, konkurencyjny wątek z Luizą w roli głównej dobił mnie jednak do reszty. Nie ufałam już Robertowi, podejrzewałam o najgorsze własną przyjaciółkę, a na dokładkę nabiłam sobie głowę przypuszczeniami, że życzliwość i zainteresowanie Stevena to tylko uknuty z Lulu wybieg. Ciekawe, komu jeszcze przestanę wierzyć i komu wtrynię rolę czarnego charakteru? Na szczęście kandydatura Michała odpadła. Co nie zmieniało faktu, że dookoła widziałam już samych zbrodniarzy i zaczynałam poważnie się zastanawiać, kiedy dojdę do wniosku, że mój własny kot planuje mnie zamordować i zawłaszczyć zawartość konta bankowego na sfinansowanie najdroższych chrupek. „Takie coś chyba jednak nazywa się paranoja”, stwierdziłam, latając nerwowo po domu i usiłując znaleźć sobie sensowne zajęcie.

Ze złością pomyślałam, że w ramach relaksu odpada mi nawet kombinowanie, co powinnam założyć. Przy całym uwielbieniu dla kolorów, jakie kultywowałam od najmłodszych lat, eleganckich, czarnych rzeczy miałam całego majątku trzy, może cztery sztuki. Wyboru pomiędzy czarnym golfem z koronkową aplikacją i spodniami z lejącego materiału a dopasowaną kiecą

z rękawem trzy czwarte i dekoltem w łódkę dokonała pogoda. Dla zabicia czasu pobawiłam się mocniejszym niż zwykle makijażem i wysoko upięłam włosy. Ot, taki drobny gest ku pamięci byłego męża, któremu podobały się takie fryzury.

Zgodnie z deklaracją rodzice nie pchali się do pierwszych ławek niewielkiej kaplicy na terenie cmentarza. Po krótkim przywitaniu z rodziną Olgierda czym prędzej ulotnili się na tyły, zostawiając mnie na pastwę losu byłej teściowej. Tylko tarcza ochronna w postaci pana Henryka zdołała uchronić mnie przed działaniem piorunujących spojrzeń, jakie rzucała ku mnie pani Grażyna. Szczęśliwie nad furją jej zboląłego serca panowała Kamila, stojąc twardo u boku rodziców ukochanego i w akompaniamencie pociągania nosem przyjmując kondolencje. Wsparta na jej ramieniu pani Grażyna całą sobą dawała do zrozumienia, kto tu ma prawo do wdowiej żałoby i tylko smutna rezygnacja na twarzy pana Henryka trzymała mnie tam, gdzie życzył sobie mnie widzieć.

Szczęśliwie, poza emanującą z pani Grażynki pogardą, nie miałam być dziś obiektem żadnych scen, których tak bardzo się obawiałam. Ostentacyjnie ocierając łzy i pochlipując sobie ramię w ramię, obie panie zdecydowały się nie wywoływać skandalu na pogrzebie. I choć po nabożeństwie trzeba było siłą niemal odciągać je od zamkniętej trumny, obyło się bez efektownych ataków hysterii i innych ekscesów. Gdy kondukt ruszył w kierunku miejsca ostatniego spoczynku Olgierda, przepuściliśmy słaniające się na nogach damy i udaliśmy się za nimi.

„Straszliwie głupio musi wyglądać ta ekipa najbliższej grobu”, doszłam do wniosku, przyglądając się twarzom znajomych, którzy licznym gronem stawili się pożegnać przyjaciela. W tej chwili spoglądali na delegację rodziny Olgierda, a na ich twarzach malowała się dziwna mieszanka smutku, współczucia, niedowierzania i niesmaku, jaki budziła wisząca na ramieniu pani Grażyny Kamila. Z jednej strony ojciec pod rękę z byłą synową, z drugiej matka z kochanką syna, szczone ze sobą niczym siostry syjamskie. Powaga i smutna rezygnacja kontra

ły i teatralnie tłumione szlochy, każde po innej stronie trumny, każde inaczej przeżywające ból i żalobę po stracie. I choć pełne ekspresji pociąganie nosem budziło we mnie normalny w takich okolicznościach odruch współczucia, nie mogłam stłumić złości na myśl, że zamiast produkować się z Kamila, pani Grażyna lepiej by zrobiła, gdyby skupiła choć odrobinę uwagi na mężu. Żegnał syna w cichym cierpieniu, o wiele trudniejszym do zniesienia niż niosące ulgę płacze. Nic dziwnego, że większość zaproszonych właśnie do niego kierowała kondolencje i słowa pociechy. Zastygła przy grobie bryła złożona z Kamili i pani Grażyny, szlochająca rozpaczliwie i przeżywająca swój i tylko swój własny prywatny ból, prowokowała raczej do szybkiej ucieczki.

„Do jasnej Anielki, wszystko rozumiem, ale nie wieczne fochy tej nadętej królowej”, zgrzytnęłam zębami, pomagając panu Henrykowi pokierować gości na miejsce stypy.

Upchnięte w samochodach towarzystwo zdażyło odjechać. Przy grobie stały jeszcze pojedyncze osoby, które przybyły jedynie na uroczystości na cmentarzu. Wychwyciłam wśród nich kilku kolegów Olgierda z pracy, znajomych ze studiów i ludzi zupełnie obcych, których nie potrafiłam zidentyfikować. Próbowali zamienić słowo z żywą rzeźbą tkwiącą przy świeżym grobie, jednak szybko rezygnowali. Czekając, aż rzeźba oprzytomnieje na tyle, by się ruszyć, gapiłam się od niechcienia na przesuwające się przed oczami twarze, gdy jedna z nich przykuła moją uwagę.

Był to szczupły mężczyzna, dość młody, w ciemnych okularach nasuniętych na oczy. Ubrany w czarne spodnie, koszulę i krawat, odbiegał strojem od większości panów, którzy pomimo upału zjawili się w garniturach. Wyróżniało go jednak jeszcze coś. W przeciwieństwie do całej reszty gości zdołał na chwilę odciągnąć Kamilę od niedoszłej teściowej. Odwróceniem tyłem, odeszli na bok i rozmawiali przytłumionymi głosami.

„Następny amant”, przemknęło mi przez myśl, gdy patrzyłam z niesmakiem na szepczącą parę. I choć wydawało się

nieprawdopodobne, by Kamila beczelnie łkała na grobie Olgierda, jednocześnie organizując sobie kolejną randkę, coraz bardziej skupiałam się na niej i jej towarzyszu w poszukiwaniu sygnałów pozwalających określić ich wzajemne relacje. Chyba dość bliskie, ale romansu nie mogłam się tu dopatrzeć. Chyba że udawali aż tak dobrze?

Pogapiłabym się jeszcze trochę, gdyby nie to, że para zakończyła konferencję. Kamila wróciła do pani Grażyny, a mężczyzna powolnym krokiem oddalił się w stronę głównej alejki, zmierzając ku wyjściu. Gdy się odwrócił, by jeszcze raz pomachać do Kamili, przez chwilę mignęła mi jego twarz.

I w tym momencie poczułam, jak całe perfekcyjne opanowanie, z jakim zamierzałam towarzyszyć dziś panu Henrykowi, biorą diabli.

Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale nie tego, że na pogrzebie byłego męża ujrzę w charakterze towarzysza Kamili Roberta.



Nie wiem, na ile Robert postanowił udawać idiotę, a na ile naprawdę nie rozpoznał mnie w nietypowym wydaniu, w każdym razie do znajomości postanowił się nie przyznawać. Przynajmniej na cmentarzu. Zastanawiałam się intensywnie, czy klapki spadłyby mu z oczu, gdyby wraz z pozostałymi żałobnikami pojawił się na stypie. Dzięki temu cztery spędzone przy stole w pobliskiej restauracji godziny minęły w miarę szybko, a mnie udało się je przemęczyć bez groźby udławienia się podanymi zakąskami. Na spazmujące Kamilę i panią Grażynę spłynęła opieka damskiej części rodziny, mnie

pozostało wspieranie solidnie już zmęczonego pana Henryka.

– Ja tobie, Maja, dziękuję z całego serca – szepnął, gdy goście zaczęli niemrawo podnosić się z miejsc. – Sama widziałas, jak to wygląda. Ja mojego syna nigdy nie uważałem za idiotę. Aż do tego rozwodu. A większych dowodów na skretynienie niż ta dziewczucha to już naprawdę nie ma.

– Nie mówmy źle o zmarłym – mruknęłam ugodowo, choć pod opinią byłego teścia na temat Kamili byłam gotowa podpisać się oburącz. – Niech tata spróbuje w domu odpocząć. Ona, mam nadzieję, nie jedzie z wami?

Pan Henryk na samą myśl prychnął nerwowo.

– No, jeszcze tego by brakowało! Grażyna nawet chciała, ale powiedziałem, że chcę już dzisiaj naprawdę mieć spokój. Ktoś tam ma po nią chyba przyjechać. Jakiś znajomy, a może z rodziny? Co mnie to obchodzi... A ty, Majeczka, jak wrócisz do domu?

– Na piechotę – wyznałam. – I niech tata nie próbuje mnie namawiać na podwózkę. Wzięłam nawet buty na zmianę, takie bez obcasów. Ja też muszę odpocząć, a spacer to dla mnie najlepszy relaks.

Przyzwyczajony do mojej niechęci do poruszania się inaczej niż na własnych nogach pan Henryk nie próbował oponować. Uściskawszy mnie serdecznie, otarł ukradkiem oczy.

– No dobrze. Cóż, Majeczka, jest jak jest. Ale będzie mi miło, jak zadzwonisz czasem. Pamiętaj, tam, gdzie ja mieszkam, jesteś zawsze mile widziana.

To był ten moment, kiedy nareszcie przydały się chusteczki. Wstyd się przyznać, jednak nie smutek po śmierci człowieka, który przez tyle czasu był mi bliski, ale współczucie dla jego ojca wycisnęły mi z oczu wąskie strumyczki łez. Nie pozostało mi nic innego, jak obiecać utrzymanie kontaktu i powoli, lecz zdecydowanie się wycofać.

Zdradzieckie łzy ciurkały wprawdzie po wyjściu z restauracji

dość niemrawo, jednak groźba zmiany wąskiego potoczku w rwącą rzekę wisiała nade mną przez cały czas. Zła na siebie, że nie mogłam z ryczeniem zaczekać do powrotu do domu, przystanąłam na chodniczku prowadzącym na parking i nerwowo grzebałam w torebce w poszukiwaniu chusteczek. Jeżeli chciałam uspokoić się podczas spaceru, nadszedł najwyższy czas na zmianę obuwia. Przysiadłam na pobliskiej ławeczce i ściągnęłam szpilki.

I jak tylko usiadłam, tak natychmiast ogarnęła mnie słabość i pożarła resztki sił, których nie zdążyły od rana strawić nerwy. Bezmyślnie poddałam się zmęczeniu i pozostałam na ławce, gapiąc się na odjeżdżających gości.

Wkrótce na parkingu pozostało tylko kilka aut. W jednym, zaparkowanym tuż obok samochodu rodziców Olgierda, ktoś czekał. Ktoś, kto na widok wychodzącej z panią Grażyną Kamili uchylił drzwiczki i wysiadł. Przez chwilę przyglądał się łzawemu pożegnaniu obu pań, nie zważając kompletnie, że ja dla odmiany przyglądałam się jemu.

A ja się przyglądałam i klęłam na czym świat stoi, gdyż osobą, która odebrała Kamilkę z uroczystości pogrzebowych, był Robert.

Być może nie dostrzegłby mnie, a ja oddaliłabym się, nie ściągając na siebie jego uwagi, gdyby nie upiorna pasażerka, na którą czekał. Czy z powodu sklerozy, czy jakiegoś innego, Kamila cofnęła się do restauracji. Zniecierpliwiony już lekko Robert westchnął i postanowił dla zabicia czasu przejść się po parkingu. I, szlag by trafił, nogi poniosły go w kierunku zajętej przeze mnie ławeczki.

Nadzieja na dyskretną ewakuację prysła, gdy dwa metry ode mnie Robert nagle zwolnił, zdarł z twarzy okulary przeciwsłoneczne i wlepił we mnie zdumione spojrzenie.

– Maja? Co ty tu robisz? – wykrztusił.

– Byłam na pogrzebie – warknęłam zła tak na brak szansy szybkiego ulotnienia się, jak i na głupio zdziwionego, choć

uradowanego moim widokiem Roberta. – I zdaje się, że na tym samym, co ty. Tylko że ty w innym towarzystwie.

– O rany, nie do końca. – Robert stropił się. – Ja podjechałem tylko dlatego, że moja siostra kiepsko się trzymała. Zadzwoiła, żebym ją odebrał. Tego gościa nie znałem, ale to był jej chłopak i zszedł w dość nieprzyjemnych okolicznościach... Matko, gdybym wiedział, że to ktoś z twojej rodziny...

– To co? – Warczenie przybrało na sile.

Robert patrzył na mnie coraz bardziej zaniepokojony rodzajem odgłosów, wydobywających mi się z krtani.

– To moglibyśmy się jakoś wspólnie spotkać... – powiedział w końcu.

Na tak absurdalną propozycję mogłam zareagować tylko w jeden sposób.

Kilka osób obejrzało się nerwowo, słysząc histeryczny, złowrogi śmiech, jakim się zaniosłam. Robert zbaraniał do reszty.

– Więc przyjmij do wiadomości, że twoja siostra, czyli, jak się domyślam, Kamila, jest ostatnią osobą, z którą chciałabym się spotkać! – syknęłam, gdy pierwsze spazmy histerycznej wesołości nieco zelżały. – Stanowczo za dużo namieszała mi w życiu prywatnym i zawodowym! O szczegóły bądź łaskaw nie pytać, bo mnie szlag trafia na samą myśl! Dobrze, że wyjaśniliśmy sobie rodzaj waszych wzajemnych relacji, bo jak was zobaczyłam na cmentarzu, trochę dziwnie się poczułam!

– O rany boskie – jęknął Robert, wpatrując się we mnie przerażonym wzrokiem. – Ktoś z twojej rodziny umawiał się z Kamilą?

– Jak widać, nie wyszło mu na dobre – powiedziałam, zgrzytając zębami. – Wybacz, ale bez względu na rozwój naszych relacji, nie zaproszę jej na herbatkę. No chyba że dosypię czegoś na przeczyszczenie. A teraz pozwól, że się oddalę. Wróg numer jeden na horyzoncie.

W tej właśnie chwili w drzwiach lokalu pojawiła się Kamila. Odszukawszy brata wzrokiem, znalazła go w moim towarzystwie i lekko się zakrztusiła. Dalszych efektów tej dziwnej czkawki nie miałam ochoty oglądać. Nie zważając na prośby Roberta, opuściłam parking, gniewnie parszcząc pod nosem.

No proszę, siostra! Przynajmniej się wyjaśniło, dlaczego widziałam ją w oknie, tkwiąc z męskimi butami pod pachą w mieszkaniu Roberta. Ale nadal nie mogłam pojąć osobliwego pecha, który nękał mnie w związku z facetami. Aktualny nie dość, że płacze się wśród kandydatów na zbira, to jeszcze brat babska, które rozbiło mi małżeństwo! Byłam pewna, że takie idiotyzmy to tylko w filmach!

Na ciąg dalszy prywatnych życiowych idiotyzmów sił już dzisiaj nie miałam. Spieszyłam się do domu, własnych smutków i do Lokiego, który, tego byłam pewna, był najbardziej lojalnym i kochanym facetem, jakiego spotkałam na swojej drodze.

Tymczasem inny facet stawał na głowie, żeby się do mnie dodzwonić. Pomna na moje ostatnie gapiostwo, wyłączyłam telefon.

Po drodze do domu zaliczyłam jeszcze jeden przystanek, żeby dokonać niezbędnych zakupów. Kiedy wreszcie otwierałam drzwi mieszkania, z wrzuconej byle jak do przedpokoju torby wysypały się dwa opakowania chipsów marchewkowych i znacznie większa ilość słodyczy dla diabetyków. Cudem udało mi się nie potrzaskać dwóch butelek piwa korzennego, którymi zamierzałam wznieść toast za wszystkie atrakcje, w jakie obfitowało moje życie przez ostatnie miesiące.

Patrząc z perspektywy czasu na własny stan ducha i umysłu tamtego dnia, wykazałam się wyjątkową siłą woli i bardzo metodycznie zaplanowałam zapijanie smutków oraz ponurych przemyśleń. W pierwszej kolejności, jak to w moim życiu zazwyczaj bywało, zajęłam się kocimi potrzebami i ukrytą w kuwecie niespodzianką. Następnie ogarnęłam mieszkanie i wzięłam prysznic. Pozornie beztroskie i pozbawione znaczenia czynności pozwoliły mi pogodzić się z myślą, że happy endu



raczej opijać nie będę, jest zatem nieistotne, czy wleję w siebie od razu całe piwo. Rozsądek, którego resztki jeszcze posiadałam, podpowiadał, że może dobrze by było zostawić coś na kolejny dzień, gdyż niezbadane są wyroki Roberta i Kamili. A już w szczególności Borówy, który pewnie zechce poznać relację z dzisiejszej uroczystości.

Parę minut po dziewiętnastej usiadłam wreszcie w fotelu z miską marchewkowych chipsów, butelką piwa i kotem na kolanach. Telefonu włączać nie zamierzałam, ale i tak na wszelki wypadek zostawiłam ustrojstwo w torebce, wciśniętej głęboko na dno szafy. Byłam zmęczona i nieszczęśliwa, a perspektywa szczęśliwego rozwoju wątku Roberta w moim życiu coraz bardziej umykała w siną dal. Przyznanie się do tego niemilego faktu w zupełności mi wystarczało i rozkładanie własnego nieszczęścia na czynniki pierwsze nie było mi do niczego potrzebne.

I właśnie w tym momencie, gdy wydawało się, że wystarczająco skutecznie odizolowałam się od źródła problemu, objawiło się ono w najmniej oczekiwanej postaci. Natrętny dzwonek do drzwi poderwał mnie z fotela.

Michał, rodzice, Luiza, ewentualnie Figa, poirytowana faktem, że nie może się dostać do mnie przez balkon? Improwizując naprędce bajeczkę o kiepskim nastroju po ponurej uroczystości, otwarałam drzwi.

Otwarałam i natychmiast spróbowałam zamknąć. Robert jednak wykazał się refleksem i wsunął nogę między drzwi, krzywiąc się boleśnie, bowiem na jego widok furia w mojej duszy eksplodowała z impetem, który przełożył się bezpośrednio na siłę włożoną w pchnięcie drzwiami.

– Przepraszam, naprawdę nie mam ochoty rozmawiać – wydusiłam z siebie. – Możesz tu sobie stać do końca świata.

– Nie będę stał do końca świata. Jak mnie nogi rozbolą, to usiądę – poinformował mnie Robert, którego żadna agresja nie była w stanie zniechęcić. – Bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego

nagle uznałaś, że jestem niegodny znajomości z tobą. Jak ty mi nie powiesz, to jest jeszcze kot. Mam nadzieję, że chociaż on nie ma mi niczego za złe.

„Awantura na korytarzu to kiepska opcja, zwłaszcza jeżeli naprzeciwko mieszkają rodzice”, stwierdziłam zrezygnowana, widząc, że zanosi się na dłuższą dyskusję. Robert nie wyglądał na takiego, co szybko się poddaje. Z ciężkim westchnieniem wpuściłam go do mieszkania.

Przez chwilę staliśmy w przedpokoju, mierząc się wzrokiem. Ja milczeniem demonstrowałam zwerbalizowaną wcześniej niechęć do dialogu. Robert z kolei wydawał się zaskoczony tak wrogim nastawieniem, a jego mina mówiła, że nie do końca wie, jakiej wersji przeprosin i za co właściwie zażądam. Bardzo możliwe, że stalibyśmy tak jeszcze ładnych kilka godzin, gdyby do akcji nie włączył się najbardziej trzeźwo myślący z obecnych.

Na widok zaspanej mordki Lokiego, który przydreptał sprawdzić, co się dzieje, Robert z radosnym okrzykiem runął na kolana.

Kot szybko pojął, że entuzjastyczna inwokacja skierowana jest do niego. Przeciągnął się wdzięcznie, drapiąc przy okazji dywan i przytruchtał do Roberta. Następnie z lubością zatopił pazury w spodniach gościa.

Z trudem stłumiłam jadowity chichot. Z nie mniejszym trudem Robert stłumił okrzyk bólu lub kilka niecenzuralnych słów i wziął kota na ręce.

– Cholernie czule mnie przywitaliście, więc może się dowiem, skąd ta zmiana frontu?

Obawy, że tym razem trafiłam na faceta, który nie da się tak po prostu wywalić za drzwi i że rozmowa jest nieunikniona, okazały się uzasadnione. Zraniona duma i nadszarpnięte zaufanie protestowały ze wszystkich sił przeciw podjęciu dialogu.

– Ja myślę, że jesteś w stanie zrozumieć, że wszystko, co dotyczy Kamili, budzi we mnie dość żywiołową niechęć –

burknęłam.

– Boże, ale ja nie mogę odpowiadać za to, co robi moja siostra!  
– Robert wytrzeszczył na mnie oczy. – Ja nawet nie wiedziałem, że miałyście ze sobą do czynienia!

– Niemniej obawiam się rodzinnych skłonności do krętactwa – prychnęłam. – Zwłaszcza po tym, co widziałam na urlopie...

Przepadło. W język ugryzłam się odrobinę za późno i zanim dotarło do mnie, że się wkopałam, Robert drgnął zaskoczony.

– O – mruknął po chwili. – A co ty takiego widziałaś?

– Ciebie – burknęłam. – Jak defilujesz przed domem mojej babci. Możesz mi wyjaśnić ten zbieg okoliczności? Jakim cudem trafiłeś tam za mną i dlaczego w wersji cichociemnej? I błagam, nie kręć, bo będziesz spalony na wieki wieków.

Po minie Roberta widziałam, że najchętniej by jednak pokręcił, po krótkim namyśle doszedł jednak do wniosku, że nie wyjdzie na tym korzystnie.

– No dobra – powiedział niechętnie. – Możemy usiąść?

– Na aż tak długą spowiedź się zanosi?

– Nie, ale zwyczajnie nie chcę wyjść na wariata. Nie bardzo mam pomysł, jak ci to wyjaśnić.

– Wprost.

– To chyba będzie naprawdę najłatwiej – wymamrotał Robert.  
– Tylko mnie nie zabij. Ani się nie obraż.

Na wszelki wypadek obraziłam się od razu.

– Po prostu... Po prostu się martwiłem – wydukał wreszcie Robert. – Maja, przepraszam, ale znam cię tak krótko i już tyle dziwnych rzeczy zdażyło ci się przytrafić... Ja nie wiem, ty masz chyba jakiś talent do kłopotów. I nawet chciałem zaproponować, że pojedę tam z tobą. Ale jechałaś z bratem. No i w ogóle byłaś taka jakaś... oschła. A że mam tam znajomych, nie miałem problemu, żeby się dowiedzieć, gdzie jest ta willa. Wasza babcia była dość znaną i lubianą osobą. Wiem, strasznie

to głupie, ale zgodziłabyś się, żebym jechał jawnie?

„Ktoś tu chyba zwariował”, tłukło mi się po głowie. Że to niby wszystko z troski, taki anioł stróż, dyskretnie nadzorujący? A może znowu przez swoją głupotę, względnie pecha, pcham się właśnie w tarapaty? Błagam, wszystkiego się mogłam spodziewać, ale to?

– I wiesz co, cholera, mam wrażenie, że dobrze zrobiłem, bo cała ta sprawa wygląda nieciekawie – kontynuował Robert. – Posłuchaj. Tej nocy, kiedy przyjechaliście, ktoś wlaźł wam do domu. Niby bez problemu, niby drzwi były otwarte, ale w oknach było ciemno.

Na wieść, że ktoś niepowołany płatał mi się po domu, powinnam chyba wydać z siebie pełen przerażenia okrzyk, zemdlec lub odstawić inną efektowną scenę, ponieważ jednak wywołany obecnością niepowołanych jednostek szok zdążyłam odpracować wcześniej, zgryźliwe pytanie było jedyną reakcją, do jakiej byłam zdolna.

– Niech zgadnę. I ty wlaźłeś też. Przez te otwarte drzwi.

– Skąd wiesz? Przecież was wtedy chyba nie było?

– Byliśmy – sprostowałam cierpko. – Szkoda, że nie ujawniłeś swojej troski, dużo stresu byś mi oszczędził. Wlaźłeś i co?

– Wlaźłem i na początku próbowałem cię zawołać, nie wiem, poszukać, ale wyglądało na to, że naprawdę nikogo nie ma. Piwnica była otwarta i dopiero tam się zrobił lekki tłok.

– Co się działo w piwnicy, to sama wiem. Też robiłam ten tłok.

– Matko, skąd miałem wiedzieć? Zakładałem, że schodząc do piwnicy, prawowici właściciele zapalają światło i nie poruszają się na paluszkach! Musiałem sprawdzić. Co, gdyby się okazało, że ten ktoś was skasował i zaciera ślady?

No dobra, to już zaczynało nabierać jakiegoś sensu. Przestałam niecierpliwie tupać nogą i czekałam na ciąg dalszy.

– Świetnie. I co dalej?

– A dalej to cholera wie. – Robert skrzywił się. – Zrobił się łomot, jakaś biegania, więc poleciałem za tym, kto wiał. Wyleźliśmy w jakiejś szopie, potknąłem się o narzędzia i już nie było szans, żeby go dorwać. Wróciłem pod dom, światła już były pozapalane, ty z bratem siedziałaś w kuchni.

– Było zapukać, też byśmy cię poczęstowali kawką. Idiota – syknęłam. – Wypłoszyłeś włamywacza, po czym stwierdziłeś, że wszystko gra i nie musisz się ujawniać ani nas ostrzec!

– A jak niby miałem to zrobić, żeby nie dostać od ciebie po łbie? – zirytował się Robert. – Przecież byś mnie zabiła za to prywatne śledztwo, pani ja-sama-dam-sobie-radę. Musiałem jakoś zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Cholernie niestandardowymi metodami...

– A ty to niby jesteś standardowa!

No fakt, nie byłam.

Wyjaśniło się przynajmniej jedno. Czyją stronę trzymał Robert i że podejrzenie go o udział w machlojach, morderstwach i usiłowaniach zawłaszczenia spadku było pomyłką. Wersja o dyskretnej opiece nad wzbraniającą się wszystkimi kończynami damą w opałach była tak absurdalna, że nie było siły, musiała być prawdziwa. Takich idiotyzmów zmyślić się nie dało. Wobec powyższego uznałam za stosowne rozmrozić schłodzone do temperatur ujemnych zaufanie i uczucia. Wyglądało na to, że zależało mu bardziej, niż mogłam się spodziewać. A na błędy i wypaczenia autorstwa własnej siostry wpływu nie miał. Cóż, z pokrewieństwa mogłam go tylko rozgrzeszyć.

– No dobra, dobra – mruknęłam udobruchana. – Należą ci się przeprosiny i drobne wyjaśnienia. I miejsce siedzące, jeśli reflektujesz.

Słyszac propozycję, by wreszcie pociągnąć temat w warunkach bardziej cywilizowanych, Robert wyraźnie odetchnął z ulgą. Razem z kotem umościł się na fotelu, upewniwszy się uprzednio, czy pozostawienie butów

w przedpokoju bez nadzoru jest dobrym pomysłem.

Buty przezornie zaniosiłam do łazienki, zabezpieczając je przed potencjalnym atakiem bioterroryzmu.

– Ja tak czy inaczej wolę twoją opiekę w wersji jawnej – zawołałam, krążąc między kuchnią a salonem z kawą i marchewkowymi chipsami, których nie zdołałam pochłonąć.

– Teraz to wiem – wymamrotał Robert, drapiąc za uchem Lokiego. Nie domagałam się, by porzucił fotel, żeby pomóc mi przy parzeniu kawy. Argument „kot na mnie leży” był wystarczającym usprawiedliwieniem. – Ale już mówiłem. Raz – twoje wieczne „ja sama”. Dwa – nie chciałem się pchać między ciebie i twojego brata. Swoją drogą, jesteście wizualnie bardzo podobni, ale jak się popatrzy na mimikę, zachowanie, to po prostu klony! Chyba nie byłby zadowolony, że wtrąca się ktoś obcy.

– No, już nie taki obcy – mruknęłam pojednawczo. – Powiedzmy, że komplikując sobie życie z mojego powodu, zdobyłeś punkty na plus. Jedno bym tylko chciała ustalić. Kogo gonileś w tej piwnicy?

Robert przez chwilę się zastanowił.

– Dziwna sprawa – powiedział wreszcie. – Ale mam wrażenie, że babę. I chyba był tam facet, ale nie on uciekał. Zakładam, że to Michał.

Nie potrzebowaliśmy długich ustaleń, by mimo braku oświetlenia i rozeznania w mrocznej przestrzeni piwnicznej doliczyć się tylu członków zamieszania, ilu naliczyliśmy sami z Michałem. Sztuk cztery, z czego trzy zidentyfikowane. Pozostało ustalić, kim było to tajemnicze babsko.

Michał rozgrzeszony, Robert rozgrzeszony... Nerwowo przełknęłam ślinę. Udział Lulu w dramacie rysował się coraz wyraźniej. Nadal upierałam się trzymać buzię na kłódkę i nie sypać przyjaciółki. Może te rzeczy w jej nissanie też mają jakieś uzasadnienie? Tak samo absurdalne i dzięki temu wiarygodne, jak prywatne śledztwo Roberta?

– Borówa o włamaniu do piwnicy już wie. Nie wiem, czy nie powinieneś się do niego wybrać, żeby potwierdzić moją wersję. – Zastanowiłam się chwilę, bawiąc się kubkiem ze stygnącą herbata. – Swoją drogą dziwię się, że jeszcze sam cię nie zaprosił. Podobno wysłał za nami obstawę. Myślę, że wie, że też zrobiłeś sobie urlop.

– Wszystko przede mną – westchnął Robert. – Może i racja, ale będzie afera, że nie zgłosiłem u niego tego urlopu.

– Będzie gorsza, jak się wyprzesz. Bo afery tak w ogóle on ci nie odpuści.

– Zwałę na ciebie – oświadczył stanowczo Robert. – Ten facet zna twoje podejście i twój talent do pakowania się w kłopoty.

– Zejdź wreszcie z tych moich talentów. – Nagle rozzłościłam się nie na żarty. – Albo spróbuj poświęcić chwilę na doszukanie się innych. Na przykład do oswojania zwierzątek. Albo kulinarnych.

– Wiesz, Maja, te do kłopotów akurat wybijają się na pierwszy plan. Ale bardzo chętnie poodkrywam pozostałe, nie wątpię, że jest ich całe mnóstwo.

Na lizusostwo zawsze byłam odporna. Tym razem również rzuciłam Robertowi miążdzące spojrzenie i wstałam z fotela, żeby donieść z kuchni produkty bardziej zdatne do jedzenia dla mężczyzny niż marchewkowe chipsy. Bardzo liczyłam, że skoro topór wojenny został zakopany, a wzajemna spowiedź odpracowana, nie istnieją już żadne przeciwwskazania do okazania sobie nieco cieplejszych uczuć.

„Nieco, Majusia, nieco”, nakazałam sobie stanowczo. Szaleńcze pędy w męskie ramiona rzadko kończą się dobrze, więc może należy choć trochę potrzymać uczucia na wodzy. Odpuścić sobie przeskok od wścieklej nienawiści do szaleńczej i nieskończonej miłości. Wrócić teraz do Roberta i zobaczyć, jak się wieczór rozwinie.

Skoncentrowana na wybujałych emocjach i sposobach na ich opanowanie, dostrzegałam elementy otaczającego mnie świata

wybiórczo. Ominęłam wprawdzie miski, które Loki rozwłóczył z upodobaniem między kuchnią a przedpokojem, jednak niewielki, twardy i okrągły przedmiot umknął mojej uwadze. Nie tyle go dostrzegłam, co wyczułam pod stopą. W przeciągu ułamków sekundy, które dzieliły mnie od upadku, zdażyłam spojrzeć w dół na kolorową, grzechoczącą piłeczkę, którą Loki najwyraźniej zdołał wygrzebać spod szafy. Przerażony krzyk Roberta towarzyszył potwornemu bólowi pleców, gdy z impetem rąbnęłam o krawędź szafki w przedpokoju.

– Majka, do cholery, Majka, nie ci nie jest? Matko boska, co to było?

Spanikowany głos pochylającego się nade mną Roberta powoli przedzierał się przez pulsujące dudnienie, wywołane bólem w okolicy nerek. Gdy wreszcie zaczęło do mnie docierać, co się dzieje, siedziałam na podłodze obok szafki, wpatrując się tępo w twarz Roberta, niezdolna wykrztusić ani słowa. Dopiero gdy dostrzegłam, że wyciąga z kieszeni telefon, zmobilizowałam się do niemrawego protestu.

– Zostaw, nic mi nie jest...

– Nie wyglądasz na taką, której nic nie jest – ze zdenerwowaniem stwierdził Robert. – Tak rąbnęłaś w ten stół, że możesz mieć kręgosłup uszkodzony!

Ból nadal blokował mi zdolność myślenia, jednak nie na tyle, by nie sprawdzić tych ponurych przypuszczeń. Powoli poruszyłam nogami.

– Chyba nie jest najgorzej – mruknęłam, choć plecy były innego zdania. – Pomóż mi wstać. I nie dzwoń po pogotowie, do cholery – zirytowałam się, bo podniesienie się do pozycji pionowej nawet przy pomocy Roberta było nie lada wyzwaniem. – Jak już tak bardzo chcesz po kogoś dzwonić, dzwoń po Kingę. Skoro stoję o własnych siłach, to chyba jeszcze nieumieram.

Robert powoli doholował mnie do kanapy, pomógł się położyć i chwycił znów za telefon. Podyktowałam mu numer do koleżanki.



– Będzie za pół godziny – zaraportował po skończeniu rozmowy. – Pokaż te plecy. Uderzyłaś się naprawdę mocno. Mam wątpliwości, czy weterynarz wystarczy do diagnozy.

– Wystarczy – powiedziałam stanowczo. – Jak chcesz pomóc, odłóż tę piłeczkę, zanim kolejna osoba zacznie na niej ćwiczyć cyrkowe akrobacje.

Robert posłusznie wrzucił piłkę do kociego legowiska.

Pół godziny, jakie upłynęły do przybycia Kingi, upewniły mnie ostatecznie co do dwóch rzeczy. Pierwszą był fakt, że tego wieczora na romantyczny nastrój nie ma co liczyć. Potępieńcze jęki, które wrywały mi się z gardła przy każdej próbie poruszenia, skutecznie uniemożliwiały szeptanie czułych wyznań. Z drugiej jednak strony wyznania okazały się niepotrzebne. Autentyczna troska i upór Roberta w trwaniu na posterunku aż do przybycia fachowej opieki weterynaryjnej potwierdziły, że zbyt pochopnie i niesprawiedliwie podejrzewałam go o najgorsze intencje.

– Poczekam, może będziesz jeszcze potrzebowała jakiejś pomocy – powiedział, likwidując resztki moich oporów co do rzucania się w męskie ramiona.

O ile mój stan na jakiegokolwiek rzucanie w najbliższej przyszłości pozwoli...

I rzeczywiście. Kinga w pierwszej kolejności wysłała Roberta do apteki po środki przeciwbólowe, przeciwobrzękowe i łagodzące, po czym przystąpiła do oględzin. Podciągnęła mi bluzkę na plecach i zagwizdała z podziwem.

– Co tam jest? – Informacja wydała mi się mało wyczerpująca.  
– Będę żyć?

– Żyć pewnie tak – mruknęła Kinga po dłuższej chwili. – Ale przez kilka kolejnych dni mało komfortowo. Nie wyobrażam sobie, jak będziesz leżeć.

– Ja sobie wyobrażam siebie tylko w pozycji stojącej – syknęłam. – Mówże, jak to wygląda!

– Jak by to powiedzieć... Masz na wysokości prawej nerki siniaka w kształcie Afryki. Nawet kolor się zgadza, do czerni dużo mu nie brakuje. No i lekka opuchlizna. Mało patriotycznie.

– Jeżeli to jest największy problem, nie zamierzam się przejmować. Trzeba coś tam prześwietlać, czy po prostu przez kilka dni nie oglądać pleców w lustrze?

Kinga przyjrzała się jeszcze raz siniakom i dla pewności ucisnęła w kilku miejscach. Wrzasnęłam przeraźliwie. Jeżeli miałam jakiegokolwiek wątpliwości, czy naprawdę mocno mnie boli, poz byłam się ich bezpowrotnie.

– Ruszasz się całkiem swobodnie – stwierdziła Kinga. – Jakieś mrowienie, brak czucia w rękach i nogach? Prześwietlić nie zaszkodzi, choć nie wygląda na nic poważnego.

– Nic mi nie mrowieje i zapewniam, że czucie mam aż za dobre – warknęłam. – Skoro nie wygląda, nie zawracajmy głowy lekarzom niepatriotycznym siniakiem. I ani słowa więcej! Jak jutro będzie znacznie gorzej, pojedę do lekarza! Dziś wystarczy mi weterynarz!

– No dobra, jak chcesz. – Kinga знаła mnie za dobrze, żeby się kłócić. – Ale dzwoni w razie potrzeby. Czy ten twój wybawca z tobą zostanie? Widzę, że on nie tylko z kotem pomaga, działa raczej kompleksowo – zachichotała.

Już chciałam wyjaśnić, że kompleksowe działanie na razie obejmuje tylko kota i dziwne sztuki w celu ochrony przed włamaniami do piwnic, jednak w tym momencie wrócił Robert.

– Okradłeś aptekę? – spytałam z niedowierzaniem, patrząc, jak wypakowuje cały medyczny asortyment.

Robert rzucił mi zatroskane spojrzenie i przystąpił do debaty z panią weterynarz na temat skuteczności zakupionych specyfików. Próbowałam protestować przeciwko nasmarowaniu trzema rodzajami mazideł o wykluczającym się nawzajem działaniu, szybko jednak umilkłam, ofuknięta za niewdzięczność, nieodpowiedzialność i nieumiejętność określania własnych granic. W ramach akcji naprawczej

oklejono mnie plastrami rozgrzewającymi i wysłano do łóżka, zgodnym wrzaskiem deklarując, że nieposłuszeństwo ściągnie na mą głowę okrutne konsekwencje. Kinga wrzeszczała, gdyż znała rozmiar uszkodzeń wywołanych przez akrobacje na kociej piłeczce. Robert z definicji trząsał się nad moim zdrowiem, choć widok moich pleców został mu oszczędzony. Loki wydzierał się raczej dla towarzystwa i szybko umilkł zatkany kocim przysmakiem o smaku dziczyzny. Kiedy wreszcie wszyscy wiedzący lepiej ode mnie oddalili się do domów, zgasiałam w sypialni światło i z ulgą naciągnęłam na głowę kołdrę. Połknięte tabletki przeciwbólowe zaczęły działać, spychając mnie łagodnie w otchłań błogiej nieświadomości.



Pobyty w otchłani błogiej nieświadomości usiłowano zakłócić mi tej nocy kilkakrotnie. Zmuszona przez Kingę i Roberta do włączenia komórki i pozostawienia jej w zasięgu ręki, miałam nadzieję, że na tym ich działalność się skończy, a włączony telefon każą mi mieć przy sobie na wypadek, gdybym wykombinowała coś głupiego i potrzebowała pomocy. Bardzo się pomyliłam. Szarpani wyrzutami sumienia, że pozostawili mnie samą jedną w ciemną noc w towarzystwie obitego kręgosłupa, zdążyli do rana zadzwonić przynajmniej pięć razy, denerwując mnie niewymownie, bo nie dość, że na jawie plecy bolały mnie jak cholera, to jeszcze wraz z dźwiękiem telefonu budził się śpiący ze mną kot, święcie przekonany, że nastąpiła pora śniadania. Tłumaczenie, że nie dzwoni budzik, tylko nadgorliwi przyjaciele, nie trafiało do Lokiego ani trochę. W rezultacie tuż przed trzecią przywlokłam do sypialni puszkę z suchą karmą i niemal przez sen dosypywałam po kilka chrupek do miski,

mamrocząc w słuchawkę jedną i tę samą informację:

– Żyję, śpię, odczepcie się wreszcie...

Żeby spojrzeć na wyświetlacz, kto znowu dzwoni i dlaczego ma problem ze zrozumieniem mojego komunikatu, przytomności i siły już mi brakowało. Gdy koło czwartej trzydzieści telefon rozdarł się po raz kolejny, bezmyślnie wymamrotałam powtarzane całą noc słowa i się rozłączyłam.

Telefon natychmiast zadzwonił jeszcze raz. „Do tej pory aż tak uparci nie byli”, zdziwiłam się i uniosłam niemrawo do oczu komórkę. Po czym natychmiast oprzytomniałam.

Czego mogła chcieć ode mnie Lulu o wpół do piątej nad ranem?

– Majka, błagam, przyjedź natychmiast! – Lulu zwerbalizowała swoje potrzeby głośno, dosadnie i zaskakująco nerwowo, co stwierdziłam, słysząc w słuchawce histeryczny ton.

– O Jezusie. Chwila. Co się stało?

– Masakra!

Komunikat o masakrach w wykonaniu Luizy brzmiał nieprawdopodobnie. Znając jej opanowanie, w przypadku autentycznej masakry dzwoniłaby najpierw po właściwe służby, a potem dopiero do mnie. I nie dzwoniła, tylko przyjechała. Coś tu było nie tak, ale mój zaspany i otumaniony lekami umysł z opóźnieniem przypomniał sobie, że Lulu w ostatnim czasie w ogóle wykazuje nietypową dla siebie nerwowość.

– Powiedz, o co chodzi – wymamrotałam. – Albo ty przyjedź. Ja miałam wczoraj mały wypadek i mam mocno obite plecy. Podróż komunikacją miejską odpada, na taxi nie mam forsy.

– O Chryste! – jęknęła Lulu. – Jeszcze jakiś wypadek! Ja już żadnych wypadków nie chcę, niczego, co kojarzy się z wypadkami!

Taką histerię Luiza objawiała wyłącznie w sprawach dotyczących wypadków związanych z samochodami. Matko przenajświętsza, co ona znowu z tym autem zrobiła?

Oprzytomniałam natychmiast.

– Lulu, spokojnie. Co z samochodem? Bo o samochód chodzi, prawda? Co zrobiłaś?

Zapowiedź spazmów w głosie Lulu mogła zwiastować tylko prawdziwą katastrofę.

– Ja nic! – wrzasnęła. – Tym razem nie ja!

– To kto, na miłość boską?

– Ten ktoś, kto się włamał! Majka, błagam, przyjeźdź! Zapłać ci za taksówkę! Boję się sama tam iść!

„Co za urodzaj na włamania”, jęknęłam w duchu. W normalnych okolicznościach zasugerowałabym przyjaciółce, że skoro ma do dyspozycji pod jednym dachem i w jednym łóżku funkcjonariusza policji, jemu powinna w pierwszej kolejności zgłosić problem. Jednak Borówa, jak poinformowała mnie Lulu, wybył wczoraj wezwany w pilnej służbowej sprawie i było bardzo prawdopodobne, że przed rozpoczynanym o ósmej dyżurem raczej nie znajdzie czasu, by wpaść choć na chwilę do domu. Luiza była zatem sama, okrutnie spanikowana, mnie zaś panika na okoliczność jej auta zaczynała intensywnie dławić. Nie było innego wyjścia. Należało jak najszybciej zwlec się z łóżka boleści i dostać się do nissana Lulu.

Zanim podjechała zamówiona taksówka, zdołałam w paralitycznych podrygach wygrzebać się z łóżka, w miarę możliwości ogarnąć i zwinąć z zasięgu łap Lokiego puszkę z suchą karmą. Wychodziłam z słusznego założenia, że jeśli ktoś między pierwszą a czwartą w nocy zdażył zjeść pięć śniadań, kilkugodzinny post i ścisła dieta nie powinny stanowić dla niego problemu. Sama o śniadanie postanowiłam domagać się u Lulu. Z nadzieją, że poranna hipoglikemia nie zwali mnie z nóg przed dotarciem na miejsce, w zaskakującym jak na poszkodowaną tempie wyprysłam z mieszkania.



Tyle dobrego, że informacja o moim kiepskim stanie zdołała dotrzeć do świadomości Luizy. Przynajmniej na tyle, że gdy poganiany przeze mnie taksówkarz z piskiem opon wyhamował przed blokiem Lulu, stała już na chodniku, otulona narzuconym na piżamę swetrem i z rozpaczą w oczach przytupywała, czekając na mój przyjazd. Widząc, że gramolę się z taksówki, rzuciła się ku mnie z głośnym jękiem.

– Majeczka, ja cię tak bardzo, bardzo przepraszam – zawołała, rzucając kierowcy zwitek pieniędzy. – Resztę niech pan weźmie, nie trzeba...

Choć Lulu na takie szczyty rozpaczki wspinała się rzadko, jeżeli już jej się to zdarzyło, emocjonalną trąbą powietrzną była w stanie zmieść z powierzchni ziemi wszystko w promieniu kilku kilometrów. Nawet ja nie miałam jeszcze okazji oglądać takiego ataku hysterii w wykonaniu przyjaciółki. Musiało być naprawdę niedobrze.

Tego samego zdania był taksówkarz, który wprawdzie napiwek przyjął bez dyskusji, jednak przyjrząwszy się moim paralitycznym podskokom i miotaniu spanikowanej Luizy, zgłosił chęć pomocy.

Lulu w pierwszym odruchu była gotowa przyjąć każdą pomoc, byle nie w wykonaniu policji. A przynajmniej tej policji, która mogła zaraportować o włamaniu Borówie. Sama już nie wiedziałam, czy bardziej boi się jego reakcji na kolejne kłopoty na tle samochodowym, czy na to, co w tym samochodzie może zostać ujawnione. Jasne było jedno. Właśnie ze względu na zawartość należało trzymać z dala wszystkie postronne osoby. Ze słodką jak lukier miną podziękowałam za dobre chęci i wyjaśniłam, że nie trzeba, bo właśnie zamierzałyśmy wezwać policję. Przerażenie taką perspektywą ogłuszyło Luizę na tyle, że

odzyskała zdolność do protestów dopiero po odjeździe uczynnego faceta.

– Zwariowałaś, żadnej policji! – wysyczała. – Patryk mnie zabije! Wiesz, jak on reaguje na moje kłopoty z samochodem!

– Opanuj się! – wrzasnęłam, bo aż takiej fiksacji nie spodziewałam się nawet po Lulu. – On reaguje na twoje kłopoty z kodeksem drogowym i bez troskę na drodze! Na to, z czym kłopoty stwarzasz sobie sama! Ty się do tego samochodu włamałaś? Stałaś przy nim na straży i zaważyłaś?

– Nie, ale na pewno pomyśli, że nie zamknęłam albo coś...

Spojrzałam na nią przerażona. Takiego skretynienia spodziewałabym się po każdym, również po sobie, ale Lulu?

– Luiza, oprzytomniej! Kogo jak kogo, ale ciebie w życiu nie posądziłabym o sklerozę w kwestii zamykania drzwi! Nieważne jakich! Więc histerię zostawmy sobie na później! Teraz powiedz mi wreszcie, co tu się stało i skąd wiesz, że ktoś w ogóle włamał się do twojego auta!

Kilka głębokich wdechów nie wystarczyło, by uspokoić roztrzęsioną Luizę, ale na solidny, wyciszający seans jogi nie było czasu. Ręce Lulu nadal się telepały, zebrała się jednak w sobie na tyle, żeby wydusić w miarę składne informacje.

– Tuż nad ranem zaczął wyc jakiś alarm – wymamrotała, wędrując nerwowo w tę i z powrotem po chodniku. – Wył i wył. Myślałam, że to toyota sąsiadów, to stary grat i alarm włącza się co chwilę. Wystarczy silniejszy wiatr. Zdziwiłam się tylko, że nikt nie wychodzi wyłączyć ustrojstwa. I wtedy dotarło do mnie, że nie wychodzi, bo nie ma kto. W zeszłym tygodniu pojechali na wakacje tą swoją toyotą.

– Jesteś pewna? Może wrócili przed czasem.

Lulu pokręciła głową.

– Niemożliwe. Dali mi klucze i prosili, żebym podlewała kwiatki. Stwierdzili, że mieszkanie pod opieką narzeczonej policjanta będzie bezpieczne.

– Całkiem sensownie...

Lulu przerwała gwałtownie spacer i wybuchła histerycznym śmiechem.

– To samochód narzeczonej policjanta tym bardziej powinien być bezpieczny! I dupa blada!

Fakt, wysnułam wnioski trochę pochopnie.

– Więc wiedziałam, że ich nie ma. Wyło jak wściekłe, wyszłam na balkon. I zobaczyłam, że to wyje moje! A obok miota się jakiś palant! Zaczęłam wrzeszczeć i wtedy uciekł... Chyba... Maja, wiem, że powinnam iść tam zobaczyć, ale tak strasznie, okropnie się bałam... Pójdiesz ze mną?

– A co ja niby jestem? Jogę ćwiczę, nie tajski boks – mruknęłam zdenerwowana. – Cicho, już cicho, pewnie, że z tobą pójdę, ale na wszelki wypadek zabrałabym jeszcze jakiegoś faceta... Rany boskie, jakim cudem sąsiedzi nie zareagowali? Ci inni niż od toyoty?

– Właśnie przez tę cholerną toyotę – sarknęła rozgoryczona Luiza. – Wszyscy się zdążyli przyzwyczaić, że jak coś wyje, to tylko to. A ja na balkonie wrzeszczałam chyba za krótko.

– Czyli nie wiemy, czy ten miotający nawiał skutecznie?

– No, nie do końca...

Przekląwszy Lulu po stokroć za zabawę w podchody o piątej nad ranem i to z kręgosłupem o ograniczonej chwilowo giętkości, skapitulowałam. Było już względnie jasno, a i na ulicy zaczęli niemrawo kręcić się ludzie.

– Weź chociaż jakąś broń, zakładam, że Patryk ma coś w domu schowane – syknęłam, gdy zebrał się na odwagę, wykukiwałyśmy nerwowo zza stojącego za niewielkim murkiem trzepaka.

Teren teoretycznie był czysty. W praktyce przebycie pięciuset metrów dzielących nas od parkingu, pełnych zakamarów, śmietników, krzaczków i innych potencjalnych kryjówek dla bandziora, okazało się niewykonalne. Naśladować niezdarnie



specjalistów z jednostek antyterrorystycznych, dopadłyśmy pierwszego lepszego auta na początku parkingu i tu nas zastopowało. Od samochodu Lulu dzieliło nas jeszcze przynajmniej piętnaście aut, a za każdym, pod każdym i w każdym mógł się czaić tajemniczy przestępca.

– To nie na moje nerwy – jęknęła Luiza, kuląc się za starym modelem fiesty w intrygującym, koniakowym kolorze metalic. – Ktoś powinien nas osłaniać, nie pojmuję, jakim cudem gliny pracują w parach i to im wystarcza.

Krótką debatą nad sposobami zapewnienia sobie podczas akcji choć minimum bezpieczeństwa ujawniła spore deficyty zarówno w wyposażeniu, jak i w zasobach ludzkich. Znacznie lepiej czułybyśmy się, dysponując rozpoznaniem sytuacji z powietrza, informowane na bieżąco przez walkie-talkie. Nie zaszkodziłyby kamizelki kuloodporne, a już na pewno karabin maszynowy, gdyby doszło do konfrontacji. W obliczu braków nie pomagała nam nawet myśl, że jesteśmy dwie na jednego faceta. Zamarłyśmy skulone za fiestą, nie zważając, czy się o nią opieramy, czy nie.

– Najwyżej zaczniesz wyc – szepnęła z rozpaczą Lulu. – Przyleci właściciel i może się zlituje...

Trudno przewidzieć, jak długo trwałybyśmy przyrośnięte do koniakowej fiesty, która jak na złość wcale wyc nie chciała. W przyływie rozpaczliwego natchnienia zaproponowałam zabicie szyby, jednak po wyartykułowaniu debilnego pomysłu na głos postanowiłam się przymknąć. Ostatecznie zastygłyśmy na kolanach, badając sytuację wokół auta Lulu zza opon fiesty i modląc się o cud albo przynajmniej oświecenie.

Takiego zaćmienia umysłów, jakiego padłyśmy ofiarą, żadne oświecenie nie było w stanie zlikwidować. Szczęśliwie dla nas, w jego zastępstwie pojawiło się wybawienie.

– Przepraszam bardzo, czy mogę w czymś pomóc? – Skonsternowany głos tuż nad naszymi głowami zabrzmiał jak trąby na sąd ostateczny.

– O matko przenajświętsza! – wrzasnęła Luiza, chwytając się za serce. W trakcie manewru straciła równowagę, wrzasnęła znowu i próbowała znaleźć stabilizację w mojej osobie. Niestety moja osoba była ostatnią, jaka mogłaby zapewnić stabilizację komukolwiek. Również sobie. Gwałtownie pociągnięta, straciłam równowagę jeszcze szybciej niż Lulu.

Kilka sekund później siedziałyśmy na glebie, z przerażeniem wpatrując się w pochylonego nad nami Stevena.

– Dziewczyny, co wy tu właściwie robicie? I dlaczego na czworaka? I dlaczego właśnie przy moim samochodzie?

– Co robimy? Z siebie idiotki – wymamrotałam. – A tak naprawdę próbujemy rozwiązać pewien problem.

– I nam nie wychodzi – uzupełniła Lulu. – Ale spokojnie. Twój samochód w nic absolutnie nie jest zamieszany...

Patrząc na minę Stevena, domyśliłam się, że nie do końca rozumie, co chcemy mu przekazać, jednak na wieść, że sprawa nie dotyczy jego auta, jakby trochę odetchnął. Przykucnął obok i zainteresował się naturą problemu.

Lulu rzuciła mi rozpaczliwe spojrzenie.

– Właściwie nie chciałyśmy nikogo w to wciągać... – wyszeptała. – Ale właściwie to nawet się zastanawiałyśmy, jak zorganizować odważnego faceta do pomocy... Ty jesteś odważny?

Po krótkim antrakcie, podczas którego Steven z coraz bardziej dziwną miną przyglądał się to mnie, to Lulu, padło łagodne zapewnienie:

– Kilku rzeczy pewnie się boję, ale generalnie jestem odważny... Do czego potrzebny wam jest odważny facet?

– Do wysłania na rekonesans... Bo my się boimy...

– Rozumiem... Tylko czego?

Wilka złego! W przerażonym milczeniu słuchałam tego idiotycznego dialogu. Jeszcze sekunda i Steven weźmie

wygłaszane przez nas debilne wyjaśnienia za objaw obłądu. Szansę na pomoc stracimy bezpowrotnie, nie mówiąc o tym, że będzie trzeba poszukać innego studia tatuażu. Matko, jak tu udowodnić, że wcale nie zwariowałyśmy i tylko bezradność wobec elementów przestępczych przyblokowała nam zdolność myślenia?

Lulu powoli otwarła usta.

– Faceta, który włamał się do jej samochodu! – wrzasnęłam, czując, że muszę uprzedzić następny idiotyzm, który lada chwila wygłosi moja przyjaciółka. – Nie wiemy, czy tam dalej jest i boimy się sprawdzić!

Krótką ulgą, że jednak nie będzie trzeba odwozić nas do czubków, przemknęła w oczach Stevena, poprzedzając niespokojne spojrzenie, jakim zza samochodu obrzucił okolicę.

– Trzeba tak było od razu – mruknął. – Które to auto? Przejdę się i sprawdzę, czy nikt się tam nie kręci. Siedźcie tu i czekajcie. Zaraz wracam.

Wskazałyśmy okradzionego nissana i z niepokojem wychyńczyłyśmy na czworaka zza maski fiesty.

Steven pozornie spokojnym, niedbałym krokiem zmierzał w kierunku wskazanego auta. Przeszedł obok niego raz, nieznacznie zwalniając, poszedł dalej w kierunku śmietnika, po czym poświęciwszy na potrzebę chwili trzymane w dłoni czasopismo, zawrócił.

– Jest genialny – stęknęła z podziwem Lulu. – Ty zobacz, co robi z tym telefonem dla zmyły! Nawet jeżeli ktoś się tam płacze, w ogóle się nie zorientuje!

Tymczasem Steven skończył symulować rozmowę telefoniczną i wrócił do swojej fiesty.

– Nikogo tam nie ma – pokręcił głową. – Chyba że się schował, ale tu nie ma za bardzo gdzie. Po ciemku może jeszcze, ale teraz wszystko na widoku i ludzie zaczynają się kręcić. Po drugiej stronie parkingu był tylko jeden gość, ale wyglądało, że

przeciera szybki w aucie i dość niemrawo zbiera się do odjazdu. Cholera, mogłem go spytać, czy kogoś widział.

– A samochód?

Steven rzucił Luizie współczujące spojrzenie.

– No przykro mi, szyba po stronie kierowcy i pasażera z przodu wywalona. Nie wiem, czy zdążył wyciągnąć radio, bo nie chciałem aż tak ostentacyjnie gapić się do środka. Miałaś tam coś takiego, co można by zwinąć?

„Całkiem niezłe wyposażenie”, cisnęła mi się na usta pełna goryczy odpowiedź. Wyglądało jednak na to, że nie utrata sprzętu najbardziej martwi Luizę.

– Przecież ten samochód dopiero wrócił z warsztatu – jęknęła.  
– Patryk mnie zabije!

Obsesja na punkcie morderstwa w wykonaniu Borówy zaczynała mnie irytować.

– Nie zabije, to już ustaliliśmy – burknęłam.

– To twój facet? – zainteresował się Steven ze współczuciem. – Nie martw się, policja wszystko mu wyjaśni, że nie twoja wina. To ty jesteś poszkodowana.

Na dźwięk straszliwego słowa na „p” zamarłyśmy przerażone.

– Policja? Że niby jaka policja? – wykrztusiła z siebie podejrzenie piskliwym głosikiem Lulu. – No przecież nie wzywałyśmy policji...

Uspokajające spojrzenie Stevena wprowadziło nas w stan bezgranicznej paniki.

– Nic się nie martw, ja wezwałem – powiedział. – No chyba to najlepsze, co możemy zrobić w tej sytuacji.

Słowa podziękowania żadnej z nas nie chciały przejść przez usta, stłumione okrzykami rozpacz, których pod żadnym pozorem nie wolno było nam z siebie wydać. Było jasne. Przepadłyśmy.

Osobliwej niechęci do stróżów prawa ani tym bardziej jej przyczyn zdradzić nie było nam wolno. Zwalając brak wdzięczności i nienaturalny szczękościsk na zdenerwowanie przykrą sytuacją, z każdą chwilą coraz słabiej panowałyśmy nad nerwami. Lulu widziała siebie uduszoną i wypatroszoną przez wściekłego Borówę. Mnie krew mroziła w żyłach wizja Luizy zesłanej do więzienia o najostrzejszym rygorze na dożywotnią odsiadkę za rąbnięcie Olgierda.

Nic dziwnego, że nogi ogłosiły strajk generalny i nie chciały trzymać nas w pionie, gdy Steven zasugerował przemieszczenie się w pobliże nissana Lulu, by policja na dzień dobry nie musiała poszukiwać nas, tylko od razu zajęła się złodziejem.

Dowlóklszy się na miejsce przestępstwa, Lulu natychmiast odzyskała siły i na widok roztrzaskanych szyb rzuciła się ku autu z okrzykiem rozpaczki. Tylko dobry refleks Stevena powstrzymał ją przed otwarciem drzwiczek i przeprowadzeniem natychmiastowego bilansu strat. Sam doświadczony przez działalność złodziei lusterek, przyhamował jej pęd.

– Zaczekaj, nie wsiadaj na razie. Wsiądziesz, zaczniesz dotykać różnych rzeczy i zamażesz ślady. Jak bardzo chcesz, zajrzyj przez okno, ale niczego nie dotykaj.

Obie miałyśmy duży problem, żeby powstrzymać się od dotykania i grzebania w uszkodzonym nissanie. Widok wjeżdżającego na osiedle radiowozu spotęgował niespokojny odruch. Zaczynałam być gotowa zrobić wszystko, byle tylko móc wleźć do auta przed policją i sprawdzić, czy znaleziony przed urlopem telefon nadal znajduje się na miejscu, a potem... No właśnie, a potem co? Wsadzić go w kieszeń i ukryć jedyny dowód w sprawie? Czy modlić się długo i żarliwie, żeby stało się cokolwiek, co wyjaśni obecność telefonu w nissanie i wskaże jednoznacznie na innego sprawcę? Tylko brak pomysłu, jaką decyzję podjąć, sprawił, że gdy policjanci wysiedli z auta i podeszli do nas, nadal trwałam w przerażonym napięciu, usiłując nie robić niczego głupiego.

Zakładając, że pomoc wezwał właściciel samochodu, policjanci

w pierwszej kolejności zwrócili się do Stevena. Dopiero wysłuchawszy informacji, że auto należy do osoby płci żeńskiej, zbyt spanikowanej, by zadzwonić samodzielnie, skupili się na wskazanej przez Stevena Luizie.

Lulu faktycznie robiła wrażenie totalnie ogłuszonej włamaniem, choć brak znajomych wśród przybyłych gliniarzy pozytywnie wpłynął na jej równowagę. Z nadzieją, że nikt tak od razu nie skojarzy jej z wiecznie łamiącą kodeks drogowy narzeczoną komisarza Borowiaka, lekko trzęsącym się głosem podała swoje personalia i wyjaśniła, w czym leży problem. Ponieważ na nogach trzymała się już całkiem pewnie, mogliśmy ze Stevenem odejść kilka kroków na bok i przysiąść na pobliskiej ławeczce. Bo choć stres również w moim przypadku zakończył negatywne oddziaływanie na kończyny dolne, silny ból pleców i okolicy bioder natychmiast ochoczo o sobie przypominał. Żałując, że adrenalina wykazuje tak krótkotrwałe działanie przeciwbólowe, z prawdziwą ulgą przycupnęłam na siedzisku.

Steven usiadł obok, z niepokojem zerkając to na mnie, to na składającą zeznania Luizę. Wtajemniczony w przyczynę mojego nienaturalnego sposobu poruszania się, okraszonego cichym postękiwaniem, zaproponował podwiezienie do domu.

O niczym nie marzyłam tak bardzo, jak o tym, by ktoś życzliwy odtransportował mnie do domu, po drodze odwalił za mnie zakupy i rozbroił minę, ulokowaną pewnie przez Lokiego w kuwecie. Skoro jednak już się tu dla Lulu przywlokłam, poczucie obowiązku i niepokój nie pozwalały mi zdezerterować. Podziękowałam Stevenowi, uzasadniając odmowę troską o stan nerwowy przyjaciółki.

Nasłuchawszy się utyskiwań na sadystyczne skłonności partnera Luizy, Steven moją troskę w pełni rozumiał, a nasze bezpieczeństwo w obliczu zagrożenia taką agresją nadal budziło jego głęboki niepokój.

– Maja, a ten jej facet? – zagadnął. – On naprawdę jest jakiś walnięty? Może warto wspomnieć o tym policji, jak już ich

mamy pod ręką? Nie można dopuścić, żeby zrobił jej krzywdę tylko dlatego, że ktoś postanowił rąbnąć z jej auta nawigację i radio.

Zrezygnowana machnęłam ręką. Głupio mi było zdradzać drogowe grzeszki Luizy, jednak zostawić Stevena w przekonaniu, że Lulu znajduje się pod wpływem psychopatycznego brutala, też nie chciałam. Kto wie, czy nie uznałby za stosowne w naszym imieniu wyjawić wstydliwego problemu, tak jak wcześniej postanowił sam wezwać policję. Nasz stan ducha i umysłu najwyraźniej dopingował go do niesienia pomocy, skoro spętane atakiem skretynienia tejże pomocy wymagałyśmy.

– Jej facet to najporządniejszy, najbardziej opanowany i totalnie w niej zakochany człowiek na świecie – wyznałam. – Tylko że bardzo oddany swojej pracy i cholernie konsekwentny w służbowych działaniach. Policjant. I tu jest problem, bo Lulu z kolei jest cholernie konsekwentna w łamaniu przepisów drogowych. To jest jedyny powód tarć między nimi. Tarć, nie agresji i przemocy domowej – podkreśliłam. – Ale Patryk nadal wierzy, że jest w stanie zreformować Luizę i odmawia jakiegokolwiek taryfy ulgowej. Kilka razy osobiście nakazał kolegom z drogówki wlepić jej mandat. A nawet jeżeli Lulu obrywa mandat od kogoś innego, Patryk i tak natychmiast jest o tym poinformowany. I wdraża pouczenia w domu. Więc ile razy Luiza coś narozrabia w dziedzinie samochodu, wpada w histerię. Zwłaszcza na tle tego nissana. Prezent od Patryka, więc sam rozumiesz. Dziwię się, że przy jej nastawieniu nie zemdląca dziś na samo hasło „policja”.

– Chyba zrozumiała, że tym razem narozrabiał ktoś inny – mruknął Steven, spoglądając w stronę Luizy, która z każdą sekundą coraz mniej chwiała na nogach i razem z gliniarzami oglądała samochód. – Chociaż gdybym miał policjanta w rodzinie, od razu bym do niego poleciał z tym włamaniem. Nawet pomimo tych wszystkich mandatów.

Wzruszyłam ramionami. Sama też bym poleciała. I pewnie

gorąco namawiałabym na to samo Luizę, gdyby nie dodatkowe okoliczności sprawy. Zaś przed wtajemniczeniem w aferę Stevena, broń mnie Boże i anieli święci! Tylko jak go utrzymać jak najdalej od tego syfu? Tak piekielnie uczynny facet nie poprzestanie na wezwaniu policji i będzie się interesował, co z tego wyszło.

Na szczęście piekielnie uczynny facet sam zaczął nerwowo zerkać na zegarek.

– Maja, przepraszam cię, ale powoli muszę lecieć. Naprawdę nie odwieźć cię do domu?

– Dzięki, ale nie. Zostanę z Luizą – powiedziałam stanowczo. – Bardzo ci dziękuję w swoim i jej imieniu, bo pewnie dalej byśmy siedziały za tą twoją fiestą jak takie sieroty.

– No, zdaje się, że wytarłyście mi przy okazji połowę kurzu. – Uśmiechnął się Steven. – Specjalnie wstałem wcześniej, żeby spokojnie podjechać na myjnię, ale wygląda, że część roboty zrobiłyście za mnie. No dobrze, Maja, w takim razie powodzenia. Zadzwońcie wieczorem, co się udało załatwić. Może się wreszcie na tę kawę umówimy?

– Czemu nie? Jak będę już w stanie sprawnie się poruszać...

Rozdarcie, jakie mignęło w oczach Stevena, mówiło, że gdyby nie trudne do przełożenia plany, chętnie wybrałby wariant wspólnej porannej kawy już dzisiaj. „Może i mnie przydałaby się ta kawa”, pomyślałam. Miło by było spędzić trochę czasu w towarzystwie osoby uczciwej i niezamieszanej w żadne kryminalne historie. I choć obiecując wieczorną rozmowę przez telefon, czułam się nie do końca w porządku wobec Roberta, to atmosfera tajemnic, podejrzliwości i huśtawki emocjonalnej, jaką mi zafundował swoją pracą śledczą, zdażyła już kilkakrotnie przyprawić mnie o nazbyt gwałtowny skok ciśnienia.

„A bierz diabli wszystko”, pomyślałam, patrząc za oddalającym się Stevenem, który przed pożegnaniem jeszcze zagadnął o gojenie tatuażu na mojej nodze. Jest tyle innych



spraw na świecie, nie wszystko kręci się wokół morderstw, złodziejstwa i całej reszty tego kryminału. A ja dla zachowania równowagi psychicznej straszliwie zapragnęłam zająć się takimi właśnie, pozbawionymi sensacyjnych aspektów sprawami. Tatuaze. Wolontariat w Namibii. Gepardy. Wymagające umycia samochodu. Kawa z kimś normalnym, kto chętnie na te wszystkie tematy podyskutuje, nie domagając się ode mnie skupienia na kwestiach, które doprowadzały mnie powoli do odruchów wymiotnych!

Na myśl o kimś normalnym zachichotałam histerycznie. I pomyśleć, że w całym tym obłędzie najbardziej normalną osobą wydaje mi się wytatuowany od góry do dołu facet. Jeszcze do niedawna wiałabym od takiego, gdzie pieprz rośnie, klasyfikując go jako pierwszej wody bandziora lub przynajmniej wariata. A tu proszę. Nagle jawi się taki jako życiowa ostoja, troskliwy przyjaciel, oaza spokoju. „Już nigdy w życiu nie pomyślę nic głupiego, zanim dokładnie nie poznam człowieka”, obiecałam sobie solennie i zaciskając zęby, wróciłam do kryminalnych urozmaiceń, sypiących mi się na łeb ze straszliwym urodzajem.

Czas był najwyższy, bo policjanci skończyli egzaminować Luizę i wyglądało na to, że zbierają się do odjazdu.

– I co? – zapytałam, dokuśtykawszy do nissana, obok którego Lulu wydawała z siebie smętne westchnienia.

– Chyba jednak zadzwonię do Patryka. – Pociągnęła nosem moja przyjaciółka. – To bez sensu. Spisali protokół, porobili jakieś zdjęcia i stwierdzili, że skoro zginęło tylko trochę sprzętu, to małe szanse, że coś się uda zrobić. Gdyby cały samochód zginął, to co innego. A tak mam sobie pokryć naprawę z AC i wio. Jeden z tego pożytek, że przynajmniej wiem, że samochód był dobrze zamknięty, alarmy włączone i za żadne zaniedbanie nie odpowiadam. Pech i tyle. Tym razem żaden z kumpli Patryka mi mandatu nie wlepi.

Na taką logikę uśmiechnęłam się pod nosem i pochwaliłam decyzję o telefonie do Borówy, choć na dobrą sprawę nie bardzo

wiedziałam, co to załatwi. Zanim Patryk dopadnie złodzieja, skradziony sprzęt cudownie się ulotni i wszelki ślad po nim zaginie. Zresztą wątpiłam, by zaprzątnięty aferą wokół morderstwa miał ludzi i możliwości, żeby wysłać w pogoń za drobnym złodziejem pół komisariatu. Jednak sama idea, by zdobyć się na szczerłość i zaufanie i nie kręcić tak, jak w przypadku kolizji z słupkiem, była godna pochwały. Zresztą, skoro Luiza podjęła decyzję o zawiadomieniu narzeczonego, chyba jednak nie była groźną przestępczynią, która zamordowała mojego byłego? Może przy okazji uda się wyjaśnić kwestię kluczy z tandetnym breloczkiem i telefonu?

Przygnębiona widokiem odłamków szyby, które sterczały z wybitych okien, Luiza chodziła dookoła auta, usiłując dodzwonić się do serwisu Nissana i najlepiej natychmiast uzyskać możliwość odstawienia samochodu do naprawy. Dopiero po dłuższej chwili dała się przekonać, że jest niedziela i sprawa może okazać się niewykonalna. Gdyby jednak nawet trafiło na inny dzień tygodnia, miałabym nadal poważne wątpliwości, czy odstawianie auta do serwisu w piżamie jest dobrym pomysłem.

– No to co mam zrobić? – Luiza zirytowała się. – Teraz to już kwestia czasu, kiedy mi rąbną całe auto! Szyby wybite, każdy jest w stanie dostać się do środka!

Tyle wiedziałam sama.

– Dlatego jak ty się pójdziesz ubrać, ja zaczekam na parkingu – powiedziałam stanowczo. – Możesz przy okazji przynieść jakąś kawę. A potem posiedzimy sobie i poczekamy, co wymyśli Patryk. Pogoda zapowiada się nieźle, w razie czego doskoczysz do domu po coś jadalnego. Przypominam ci, że nie jadłam śniadania i zaraz mnie trafi ciężka hipoglikemia.



Piknik na świeżym, choć lekko zatrutym spalinami, powietrzu pozwolił nam odzyskać równowagę. Siedząc na huśtawkach na placu zabaw, z którego miałyśmy idealny widok na nissana Luizy, jadłyśmy kanapki i popijałyśmy kawę, dzięki której dotąd nieprzytomny zdrowy rozsądek powoli zaczynał budzić się do życia.

– Blee – powiedziałam, krzywiąc się i przelitykając czarną ciecz, wobec której mój wydelikacowany dzięki karmelowej ince i rozpuszczalnej nesce żołądek buntował się coraz bardziej. – Tyle lat nie piłam sypanej kawy. Przez was znowu wpadnę w nałóg. Wszyscy dookoła żłopią sypaną kawę i ja w tym całym stresie też. Zaprawdę powiadam ci, to tylko kwestia czasu, kiedy dostanę wrzodów żołądka.

– Zaprawdę powiadam ci, pieprzysz głupoty – odmruknęła Lulu. – Palce se pokroiłam, żebyś miała zdrowe śniadanie. Bardzo proszę docenić poświęcenie.

– Ależ doceniam – zapewniłam, ładując do buzi piętrową kanapkę z dużą ilością ogórków, kukurydzy, rzodkiewki i sałaty.

– Żeby jeszcze Patryk docenił, że tym razem to nie ja narozrabiałam. – Lulu westchnęła na widok opla Borówy, który właśnie z piskiem opon wpadł na parking.

Delikatny skurcz w okolicy żołądka uświadomił mi, do jakiego stopnia pogrążyło mnie w stresie długotrwałe przebywanie w towarzystwie komisarza Borowiaka na gruncie innym niż prywatny. Jeżeli Borówa tak działał na świadków, wołałam się nie zastanawiać, jakimi komplikacjami trawiennymi może się skończyć pechowa przygoda naszego złodzieja z nissanem Lulu. Mina Patryka na widok samochodu nie wróżyła mu nic dobrego.

Ponieważ sama poszkodowana na widok narzeczonego powróciła do komunikowania się z otoczeniem przy pomocy pociągania nosem i cichego pochlipywania, przytłumionego

przez materiał koszuli Borówy, w którą wtuliła twarz, obowiązek złożenia wyjaśnień spadł na mnie. Spowiadając się przed Patrykiem wielokrotnie, byłam nastawiona na grzeczne wyrecytowanie całej posiadanej wiedzy. Pochlipywanie uwieszanej na narzeczonym Luizy co jakiś czas potwierdzało zgodność moich słów z rzeczywistością.

Borówa idiotą nie był i sam się zorientował, że do zaniedbań ze strony Luizy nie doszło. Komuś tak bardzo zależało na sprzecie z nissana, że zamiast zwać w chwili uruchomienia alarmu, zaryzykował złapanie na gorącym uczynku i zwinął to, co zwinąć się dało, zanim wrzaski Luizy zdołały obudzić sąsiadów.

– Czasu miał mało, a zdołał wymontować całkiem sporo – stwierdził kwaśno Patryk, zaglądając do auta. – Mam wrażenie, że to nie był przypadkowy idiota. To znaczy, hm... – zastanowił się. – Szybę wywalił jak ostatni kretyn, reszta nie wskazuje na nowicjusza. No dobra, jest szansa, że gdzieś go w systemie namierzemy. Przykro mi Lulu, przez jakiś czas będziesz motoryzacyjnie uziemiona.

– Uziemiona to sobie mogę być – chlipnęła Lulu, choć bez przekonania. – Tylko co z samochodem? Dziś serwis i wszystkie warsztaty pozamykane.

– O warsztatach i serwisach na razie zapomnij. Zabiorę auto na policyjny parking, tam mu się żadna krzywda nie stanie. A w wolnej chwili obejrzę sobie, czy nasz bohater nie zostawił śladów.

– Tamci, co tu byli, już spisali protokół – przypomniałam sobie. – I do bardziej energicznych działań się nie palili.

Borówa spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem.

– Bo to się nazywa niska szkodliwość czynu – mruknął niechętnie. – Mała wykrywalność, statystyki lecą na łeb, na szyję. W zestawieniu z morderstwem taka wybita szybka i ukradzione radio to jest pikuś i wiadomo, co będzie najpierw wzięte na warsztat. Nie mówiąc o tym, że ja tu teraz

uskuteczniam pewną formę nepotyzmu... Podajcie mi nazwiska tych od protokołu i zapomnijcie o sprawie. A już niech was ręka boska broni komuś wspomnieć, że ściągam odciski palców na okoliczność skradzionego radyjka.

Obiecałyśmy kamienne milczenie i odczekałyśmy, aż Patryk wygrzebał z samochodu jednorazowe rękawiczki.

– Lulu, zerknij, czy coś z samochodu będzie ci potrzebne. I nie dotykaj gołymi łapskami, bo mi zatrzesz ślady. Torba do jogi, płyty? Na miły Bóg, ile kosmetyków można wozić w podręcznym schowku? – wytrzeszczył oczy, gdy Luiza z posępną miną wygarniała niezbędne rzeczy. – Gdybym wiedział, kupiłbym ci przyczepkę na ten cały kosmetyczny kramik!

Sama również trwałam w miejscu, zżerana niepokojem, czy oprócz bagażnika i standardowych schowków Luiza sięgnie w jakieś nietypowe miejsce. Na przykład to, w którym znalazłam breloczek Olgierda albo pod fotele, by ukryć dowody obciążające ją w kwestii morderstwa mojego eks.

Luiza jednak zadowolila się zabraniami podręcznych kosmetyków i sportowej torby, a po krótkim wahaniu uznała za stosowne wziąć do przeprania szmatki, bez których nie potrafiła się obejść na myjni. Nie widząc żadnych rzucanych ukradkowo spojrzeń w podejrzone miejsca ani tym bardziej prób grzebania pod fotelami pod pozorem poszukiwania papierków po cukierkach, odetchnęłam z ulgą. Może naprawdę któregoś pięknego dnia, w okolicznościach, których wołałam nie roztrząsać, Olgierd siedział w tym samochodzie i posiadał klucze, co już mu się wcześniej dwa razy zdarzyło. Może znajdzie się jakaś sensacyjna spiskowa teoria, która wyjaśni, jakim cudem w nissanie zmaterializował się telefon identyczny z komórką Olgierda? A może po prostu obudzę się z tego koszmarne snu, w którym wszystko idzie na opak, a najprostsze sprawy komplikują się z maniackim uporem?

Modły o przywrócenie światu choć odrobiny normalności musiały jednak poczekać. Borówa, który z służby urwał się w sposób nie do końca zgodny z przepisami, coraz bardziej

spieszył się do pracy.

– Ty Lulu pojedziesz moim samochodem – zarządził. – Odstawimy nissana na parking i wrócimy do domu oplem. Po drodze odwieziemy Majkę. Zwijajcie ten wasz piknik. Chociaż wiesz co, Luiza, jedną kanapkę mi zostaw... Muszę przyznać, że trochę was podziwiam.

– Tylko trochę? – jęknęła z pretensją Lulu.

– Niby za co? – spytałam ostrożnie. Zawołowane komplementy w wykonaniu Borówy budziły we mnie nieufność.

I bardzo słusznie.

– Jesteście pierwszymi ofiarami przestępstwa, które na miejscu postanowiły zrobić sobie piknik. – Borówa westchnął. – Kawka, kanapki, pełen wypas. I ani śladu środków na problemy z trawieniem. Dla eksperymentu zabrałbym was do kostnicy. Ciekaw jestem, czy ta odporność żołądka ma jakieś ograniczenia.



Wycieczka szczęśliwie ograniczyła się do policyjnego parkingu. Potem Borówa już za bardzo się spieszył, żeby testować wrażliwość naszych żołądków. I całe szczęście, bo na wspomnienie charakterystycznej woni towarzyszącej znalezieniu Olgierda mój prywatny żołądek stracił entuzjazm, z jakim dopominał się o pyszne kanapki przygotowane przez Lulu. Bez żalu oddałam je Borówie, którego praca nauczyła jeść w nawet najbardziej ekstremalnych warunkach.

Pomijając fakt, że była niedziela i normalni ludzie o siódmej pewnie wylegiwali się w łózkach, miałam za sobą dosyć ciężką

noc zakończoną efektywnym porankiem. Bez wyrzutów sumienia zakopałam się w pościeli, nie siląc się nawet na włożenie piżamy. Wypełniwszy powinność wobec kota, wysłałam do Roberta i Kingi krótką informację, że nie życzę sobie budzenia przynajmniej do jedenastej.

Komunikat podobnej treści musiała telepatycznie odebrać również Lulu, która punktualnie dwie po jedenastej wystawiła mnie z łóżka telefonem.

– Błagam cię, nie mów, że znowu coś ukradli, bo zacznę się modlić, żeby ktoś ukradł cię – wymamrotałam nieprzytomna. Drzemki w ciągu dnia wprawdzie wpływały korzystnie na moją cerę i pomagały się zrelaksować, jednak wszystko to kosztem przytomności umysłu, która aż do wieczora wykazywała znaczne deficyty. – Co się znów ulotniło z pomocą przestępców?

– A właśnie dzwonię, bo się znalazło – poinformowała mnie Lulu. – I owszem, z pomocą przestępców. Szkoda, że dopiero teraz. Patryk dzwonił, pobieżnie już przejrzał moje auto.

Przytępiony po wywalonym do góry nogami rytmie dobowym umysł ruszył z kopyta. Nagle oprzytomniałam skuteczniej, niż miałyoby to miejsce, gdyby ktoś wylał mi na łeb wiadro zimnej wody. Co on tam znalazł, że Lulu taka zadowolona? Jeżeli ona zadowolona, to i ja chyba powinnam odetchnąć z ulgą?

– No to słuchaj. Znalazł się kwit z pralni, bez którego nie mogłam odzyskać swojego płaszcza i nie odzyskałabym go, gdyby nie interwencja Patryka. Znalazła się pomadka, która wyleciała mi z torebki, jak przywalałam w ten płótek. Znalazło się niestety strasznie dużo papierków po batonikach. W życiu bym nie przypuszczała, że tyle żrę. Chyba, że to ty? – spytała z nadzieją. – Błagam, powiedz, że żarłaś te Milky Waye razem ze mną?

Stanowczo zaprzeczyłam. Nigdy nie wypierałam się słabości do słodczy, ale przynajmniej ograniczałam się do tych w miarę możliwości zdrowych. No dobra, próbowałam się ograniczać...

– No widzisz, to przy okazji znalazła się moja motywacja do

zweryfikowania diety – mruknęła Luiza. – Ale wiesz co? Pamiętasz, jak w zeszłym miesiącu latałam z notesikiem i molestowałam wszystkich o numery telefonów, bo utopiłam w jeziorze komórkę? Ojciec mi wtedy pożyczył swoją starą. Używałam jej może dwa dni, potem kupiłam nową, a o tamtej zapomniałam. I wiesz, że się znalazła? Przez cały ten czas leżała w takiej wąskiej dziurze między fotelem a skrzynią biegów. Ty masz pojęcie? Jakim cudem ja ją tam wrąbałam?

Nie miałam pojęcia i nie chciałam wnikać. Osobiście byłam w tej chwili zainteresowana tylko jednym cudem: tym, który dawał cię nadziei, że to jednak nie Luiza zabiła Olgierda.

– I ona na pewno jest twojego ojca? – wolałam dopytać na wypadek, gdybym zamiast rzeczywistych słów zarejestrowała informację zmodyfikowaną przez pobożne życzenia.

Wyglądało na to, że pobożne życzenia miały tym razem moc sprawczą. Znaleziony telefon nie wyjaśniał wprawdzie wszystkich wątpliwości związanych z nissanem i udziałem Luizy w przestępczym procederze, jednak pchał mnie ku przekonaniu, że może utknęłam w środku imponującego tajfunu przypadków, kierujących podejrzenia na bliskie mi osoby. Być może, podobnie jak głupia sprawa telefonu, wyjaśnią się krok po kroku i w ramach happy endu nie pozostanie mi nic innego, jak wydać wielkie, huczne przyjęcie i przeprosić niewinne osoby dramatu. O ile jeszcze kiedykolwiek zechcą ze mną rozmawiać.

„A jeśli nie zechcą, zostaną mi koty”, westchnęłam melancholijnie, przyglądając się Lokiemu, który od kilku minut z uporem godnym lepszej sprawy wciskał się za komodę w salonie, usiłując wyciągnąć coś, co zostało tam w ferworze zabawy upchnięte i nie wykazywało chęci, by samoczynnie powrócić w kocie łapy. Walające się na dywanie szczątki wskazywały na zabawkę z serii papierowych, skradzionych ukradkiem i wyciągniętych z tak zwanych bardzo ważnych dokumentów. Nie miałam pojęcia, co konkretnie postanowił zniszczyć mój kot, jednak nabyte przez lata doświadczenie podpowiadało mi same ponure scenariusze. Każdy, kto znał



koty, wiedział, że wykazują upodobanie do kradzieży papierów. I że nie lubią się zadowalać byle czym. Mając do wyboru ulotkę z reklamą pizzerii i fragment umowy kupna mieszkania, zutylizują w pierwszej kolejności to drugie. Nie było przypadkiem, że Figę najbardziej interesowały drogie czasopisma z branży ogrodniczej, które namiętnie kupowała mama. Ani to, że zeznania podatkowe przed dostarczeniem do urzędu skarbowego przechodziły szczegółową kocią weryfikację. Ukryte w segregatorach, teczkach, zamkniętych na klucz szafach, rozmaite papiery koniec końców i tak trafiały na przemiał kocimi pazurami. Podobnie jak kawałek papieru, który Loki właśnie z upodobaniem przerabiał na makulaturę. Przynajmniej do chwili, gdy zdobycz zapodziała się pod komodą.

Nie zważając na opór ze strony kręgosłupa, uklęknęłam na podłodze, by zajrzeć pod komodę. Zobaczyłam niewiele oprócz sporej ilości kurzu, gdyż komoda do najłżejszych nie należała, a czasu na czołganie się ze szczotką i odkurzaczem już dawno nie udało mi się znaleźć. Przyznaję bez bicia, tu nawet nie tyle czas, co brak nawyku miał coś do powiedzenia. Przez trzy lata miałam do dyspozycji mężczyznę, który klnąc siarczyście porozstawiane na komodzie kwiaty, odsuwał ciężki mebel podczas sprzątania, odkurzał znajdującą się pod nim podłogę i czym prędzej zasuwiał, zanim przyszło mi do głowy kazać mu jeszcze coś wypastować. Dbalność o wyczyszczenie miejsc trudno dostępnych nasiliła się w okresie romansu z Kamilą, gdy Olgierdowi zależało na zachowaniu pozorów. Z chwilą uzyskania rozwodu straciłam pomocnika i chęć, by zaglądać w zakamarki pod komodą, by nie psuć sobie nastroju. Przynajmniej dopóki na horyzoncie nie pojawi się kandydat na partnera, skłonny kontynuować tradycję wymiatania kurzu męską ręką. Roberta znałam za krótko, by przetestować jego możliwości w tym zakresie. Choć zważywszy na jego troskę i opiekuńczość, nie wątpiłam, że i w tej dziedzinie mogłabym na niego liczyć.

Z ciężkim westchnieniem sięgnęłam do dyżurną latarkę, pomocną w szukaniu zagonionych w najdziwniejsze miejsca kocich zabawek i odsunęłam delikatnie Lokiego, który plątał się

obok. Bardzo ciekawe, co to za papier i jak bardzo zmasakrowane szczątki uda mi się odzyskać. Czy pozwolą na zidentyfikowanie dokumentu, to już była kwestia dyskusyjna.

Wciskać rękę w szczelinę między podłogą a spodem komody, wystarczająco dużą, by mogło wpaść pod mebel całkiem sporo rzeczy, jednak zbyt małą, by wsunąć głębiej dłoń, nie chciało mi się ani trochę. Do takich zadań lepiej nadawał się bambusowy pręt, wykorzystywany jako podpórka do kwiatów. Był pod ręką, wyciągnęłam go zatem z najbliższego storczyka, otrzepałam i sięgnęłam po zakopany pod komodą dokument.

Pogryzione i uwalane kurzem fragmenty pozbawionej brzegów kartki nie ujawniły żadnej ważnej treści. Bez żalu zmiełam starą kartę gwarancyjną mikrofalówki, którą po rozwodzie i tak zabrał Olgierd, i oddałam kotu, zadowolona, że tym razem obejdzie się bez wojny o skradziony kawałek papieru.

Tymczasem Loki obwąchał kartkę, szturchnął ją kilka razy łapą i bez zainteresowania porzucił w kącie. Zaskoczona przyglądałam się kotu, który powrócił do prób wyciągnięcia czegoś, co widocznie nadal leżało pod meblem. Nie uśmiechała mi się dalsza gimnastyka w pozycji horyzontalnej, jednak desperackie drapanie pazurów o drewno zmotywowało mnie do wysiłku. „Ani chybił mucha”, zawyrokowałam po kilku chwilach beznadziejnego gapienia się w ciemną szczelinę. Albo coś innego, co tam weszło i już zdażyło wyleźć, wykorzystując moment kociej nieuwagi. Poza zwisającą z krawędzi komody przy ścianie pajęczyną i małutkimi fragmentami zdewastowanej kartki, nie widziałam tu absolutnie nic.

I pewnie dlatego skupiłam uwagę na cienkiej, utkanej z kurzu firance, która raz przyuwazona, zaczęła mnie drażnić. Gdyby nie skuteczniana z powodu zguby Lokiego gimnastyka, w ogóle nie wiedziałabym o jej istnieniu. Teraz jednak, przypominając o setkach podobnych pajęczynkach, wymagających męskiej pomocy przy ich usuwaniu, rosła w moich oczach, podświetlona niczym gwiazda Broadwayu.

Zaciśnięte zęby wyprodukowały potężne zgrzytnięcie, od

którego poszła iskra, podpalając płomień feministycznej ambicji. O nie, drodzy panowie! Tę pajęczynkę usunę sama, nie prosząc o łaskę. Zedrę lakier z paneli, przetrączę sobie do reszty kręgosłup, upocę się i będę kłać, ale przepchnę tę kobyłę. Nawet jeżeli po wymieceniu cholernej pajęczynki będę musiała poprosić Roberta o zawiezenie do najbliższego szpitala. I odstawienie z powrotem opornego mebla.

O tak prostym rozwiązaniu, jak owinięcie końcówki bambusa szmatką, wsunięcie pod komodę i zebranie kurzu w feministycznym szale nie pomyślałam. Zagrzewana do boju spojrzeniem kota, wykonałam kilka zamachów ramionami, ignorując dziwne trzaski w okolicy barków.

Skoro już postanowiłam zdemolować sobie kawałek salonu, a przy okazji zdewastować i tak nadwyreżony kręgosłup, wypadało to zrobić z należąną pompą, przy zastosowaniu wszystkich dostępnych środków utrudniających najprostsze czynności.

Rozumowanie było prawidłowe. Należało zapewnić ochronę panelom, nie poobijać ścian oraz uniknąć dźwigania. Przesunąć ciężki mebel najłatwiej było metodą ślizgu, wspomaganego miękkim materiałem, izolującym przesuwaną kobyłę od powierzchni, na której stała. Rozsądny plan działania, okraszony jednak babską logiką i wykonaniem, zyskał nowy wymiar.

W charakterze materiału powinna wystąpić szmata odpowiedniej grubości i rozmiaru. Niczym takim niestety nie dysponowałam. Gąbki do mycia naczyń się nie nadawały, podobnie jak zmywaczki. Ścierka do podłogi zniknęła, zastąpiona przez mopą, a dywanik antypoślizgowy z łazienki odpadał z definicji. Ruszyłam do szafy, żeby zużytkować coś z dawno nienoszonych, przeznaczonych na odstrzał ciuchów. Obdarowana nimi przez członków dalszej rodziny, między innymi teściową, wpychałam je do szafy, gnębiona wyrzutami sumienia na myśl o wyrzuceniu nowych rzeczy. Coś z tego bogactwa mogłabym wykorzystać, jednak najpierw należało to

coś znaleźć.

Nieużywana odzież leżała w pawlaczu, poupychana w plastikowych walizkach, oryginalnie służących jako osłona na pościel. Żeby cokolwiek w nich znaleźć, trzeba było wszystkie powyciągać. Nigdy nie umiałam oszacować, co znajduje się w której, a przyczepienie karteczek nie przyszło mi do głowy.

I w tym właśnie momencie jeden jedyny raz wykazałam się odrobiną zdrowego rozsądku. Zamiast wywalać zawartość walizka po walizce, sięgnęłam po te, przez które prześwitywał różowy materiał. Za żadne skarby świata nie ubrałabym się w nic w kolorze gaciowego różu, jakim faszerowała moją szafę teściowa. Byłam w stanie przemóc niechęć do wielu kolorów, nawet bananowego odcienia żółci, który przy moim typie urody prezentował się bardzo korzystnie. I tylko róż, pudrowy, gaciowy, cukierkowy róż budził we mnie wstręt. Co innego, jeżeli przechodził w subtelny odcień wrzosu, gdyż wrzos kochałam namiętnie.

Nie było zatem żadnych przeciwwskazań, by w charakterze potrzebnej mi szmatki wystąpił sweterek w zniechęcającym kolorze. Obszerny, długi, przypominający cukierkowy kokon motylka rodem z kreskówki o Barbie, spożytkowałam tym chętniej, że zajmował w walizce sporo miejsca. Przyda się raz i odejdzie w niepamięć, a dzięki rozwodowi już i tak nie będę miała możliwości urażenia pani Grażynki dyskryminowaniem otrzymanych od niej prezentów. Teraz niech się odzieżowo pastwi nad Kamilką. Amen.

Ze swetrem w objęciach wróciłam do salonu. Walizki tymczasem zainteresowały kota, który ostatecznie porzucił niezidentyfikowany obiekt pod komodą. „I chwała Bogu”, pomyślałam, zapierając się plecami o brzeg mebla, by odrobinę go podnieść, a pod nóżki wsunąć sweter. Ta faza operacji przebiegła względnie sprawnie, głównie dlatego, że nigdzie w pobliżu nie płatał się koci ogon, na którym mogłam przez przypadek postawić ciężki mebel. Inna sprawa, że postawiłam go na własnym klapku, który nie przetrzymał próby

wyciągnięcia siłą. Zdeterminowana jak rzadko, postanowiłam dostrzegać jedynie pozytywne wyniki operacji. „Kolejna rzecz do wywalenia”, stwierdziłam, zerkając pobieżnie na dziurę w podszewie i skupiłam się na tym, jak odepchnąć komodę od ściany.

Najchętniej wlaźłabym w szczelinę między meblem a ścianą i przepchnęła oporną kobyłę nogami. Na przeszkodzie stał fakt, że pomimo wątpliwej obfitości kształtów, nie było mowy, żebym się tam wcisnęła. Przeszkadzało mi również, że sweter udało się wepchnąć jedynie pod dwie przednie nóżki, a tylne, niezabezpieczone, ochoczo dokonałyby zniszczenia na panelach. Nie było innego wyjścia, jak stanąć naprzeciw mebla, przechylić go ku sobie, unosząc tył razem z nóżkami i pociągnąć, by pojechał na przednich. Manewr był niebezpieczny i odruchowo usiłowałam złapać równowagę, wzmacniając uchwyt na jedynej rzeczy, której się trzymałam. Cud boski i odzyskana w niepojęty sposób równowaga ocaliły mnie przed lądowaniem na plecach z komodą w charakterze przykrycia. Niestety nie były w stanie pomóc drobnej doniczce, którą przeoczyłam, ściągając z komody pozostałe kwiaty. W chwili, gdy przechyliłam mebel, zjechała na serwetce i wylądowała pod moimi nogami.

Doniczka rąbnęła o ziemię i pękła, wysypując całą swoją zawartość tuż u moich stóp. Teraz już naprawdę nie miałam wyboru. Komoda musiała odjechać na tyle, by dało się uprzątnąć kwiatkowy bałagan.

Niedzielne popołudnie zapowiadało się coraz bardziej pracowicie.

Przyjęta metoda dała wreszcie pożądany efekt. Ciężka kobyła dała się przepchnąć na tyle daleko, by dać mi swobodny dostęp do cholernej pajęczynki i przy okazji kilku innych śmieci. No proszę. Taka na przykład ładowarka do telefonu. Zsunęła się pewnie z komody i zawisła w wąskiej szczelinie, zamiast spaść na podłogę. Dlatego nie dostrzegłam jej, czołgając się z latarką w poszukiwaniu skradzionej przez kota karty gwarancyjnej. Teraz leżała spowita górną częścią pajęczynki, która

zainspirowała mnie do stworzenia tego cudownego chaosu. Obok wały się igły z zeszłorocznej choinki, kolejne fragmenty gwarancji i coś jeszcze, na widok czego skamieniałam ze zmiotką w dłoni i wyjątkowo szpetnym przekleństwem na ustach.

Przekopałam całe mieszkanie.

Oskarżyłam świętej pamięci byłego małżonka o mściwość, skłonność do kłamstw i złodziejstwa.

Omali nie rozwaliłam zabytkowej kasetki po babci.

A mały, złoty kluczyk leżał sobie spokojnie, przykryty warstewką kurzu, niemożliwy do zlokalizowania bez odsunięcia komody.

Powoli wyciągnęłam rękę i podniosłam kluczyk, który po oczyszczeniu z pajęczyny i otrzepaniu choinkowych igiełek zaśnił dawnym blaskiem.

Wbrew podniosłej chwili fanfary nie zabrzmiały. Nie zalał mnie blask chwały. Nie miałam nawet szampana, by wznieść toast. Trwałam zatem jak posąg, zastanawiając się, jak znaleziony po tyłu bezowocnych wysiłkach kluczyk wpłynie na ciąg dalszy afery wokół spadku babci. Rozwiąże sprawę? Czy jeszcze bardziej wszystko zagmatwa? Piorun wie, póki co, ilekroć wydawało się, że jesteśmy z Michałem na dobrej drodze ku pomyślnemu załatwieniu sprawy, życie brutalnie weryfikowało nasze radosne samopoczucie.

Serie ponurych przewidywań wszystkich możliwych złośliwych kataklizmów, które od kilku minut analizowałam w zakłóconej własnym, płytkim oddechem ciszy, przerwał nagle potężny rumor. Coś huknęło, gruchnęło, a następnie wrzasnęło przerażonym kocim miaukiem. I choć nagle podrywanie się z pozycji klęczącej nie było po wczorajszej kontuzji wskazane, nagły dopływ adrenaliny dodał mi skrzydeł i bez pomocy napojów typu Red Bull. Stęknęłam, gdy bosa stopa trafiła na fragment rozbitej doniczki i wyprysłam do przedpokoju, z którego dobiegł piekielny hałas.

Upchnięte w pawlaczu walizki, zajmując swoje stałe miejsce, borniły dostępu do zakamarków, w których jeszcze żadnego z naszych kotów nie było. Loki błyskawicznie zorientował się, że teraz zostały wyjęte, a przystawiony stół stwarza dodatkowe możliwości. Uznawszy, że wybicie z blatu pozwoli mu dostać się do pozostającego dotąd poza zasięgiem łap obszaru, skoczył do góry. Odległość i wielkość otworu, w jaki należało się zmieścić, ocenił bez zarzutu, jednak z wysokości stołu nie dostrzegł ułożonych pod walizkami kartonów z obuwem. Ładując, zaczepił pazurami o tekturową pokrywkę i stracił równowagę.

Tyle na temat przebiegu wydarzeń mogłam się domyślić, patrząc na wyjącego kota, uczepionego prowadnicy, w której osadzono przesuwne drzwiczki pawlacza. Tylne łapy na próżno wierzgały w powietrzu, gdyż kilka tygodni solidnej wyżerki wpłynęło wydatnie na zwiększenie obwodu kociej talii.

Zdopingowana wizją twardego lądowania na stole, którego nie zamortyzuje najbardziej puchate futro, przelazłam przez rozwalone na podłodze walizki i wdrapałam się na blat, by ocalić nieszczęsne zwierzę przed upadkiem.

I właśnie wtedy nieszczęsne, choć ani trochę niepozabawione swej zwykłej przedsiębiorczości zwierzę, postanowiło ocalić się samo. Widząc gramolącą się podpórkę, puściło prowadnicę i zjechało tyłkiem po moich plecach, hamując pęd z pomocą pazurów. Następnie bezpiecznie wylądowało na stole i zeskoczyło na podłogę, nie poświęcając ani odrobiny uwagi moim wrzaskom na okoliczność gruntownie zaoranych pleców.

W tej chwili odechciało mi się wszystkiego. Odpuściłam sobie interwencję i poprzestałam na ponurym spojrzeniu, gdy otrząsnąwszy się z szoku po przygodzie, Loki powędrował w kierunku wygarniętego spod komody kurzu i gruntownie się w nim wytarzał.

Kluczyk przezornie zdażyłam zawiesić sobie na szyi, więc przynajmniej nie istniało niebezpieczeństwo, że zostanie przez kota skradziony i zawleczony w kolejne interesujące miejsce, które odkryję za ładnych parę lat.



Kultywowane w mojej rodzinie przekonanie, że łożenie w piżamie przed godziną dwudziestą drugą jest zarezerwowane dla obłożnie chorych, stanowiło jeden z głównych powodów moich nieporozumień z mamą i doprowadziło do sytuacji, w której przez pierwszy miesiąc po przeprowadzce do własnego lokum na przekór światu spędzałam w piżamowej wersji większość weekendów, o ile chęć lub konieczność wyjścia z domu nie zmusiły mnie do ubrania się w coś bardziej cywilizowanego. Po kilku tygodniach zdołałam odreagować wieloletni domowy reżim, jednak w sytuacjach wyjątkowo kryzysowych wstawanie się w piżamie na ukochany fotel z kubkiem herbaty i kotem na kolanach było najskuteczniejszą formą terapii. Teraz również, choć była dopiero siódma, zaraz po zakończeniu sprzątanego wzięłam szybki prysznic i zainstalowałam się z Lokim w fotelu. Głaszcząc jedną ręką kota, drugą bawiłam się zawieszonym na szyi kluczykiem, medytując nad dogodnym momentem na poinformowanie o znalezisku Michała. Najchętniej zadzwoniłabym do niego od razu, jednak znając obsesję brata, mogłam się spodziewać natychmiastowego wywleczenia z fotela, otwarcia kasetki i zmuszania do nieludzkich wysiłków umysłowych. W to, że w kasetce znajduje się łatwe, proste i nieskomplikowane rozwiązanie sprawy, przestałam już wierzyć. Cała ta heca na dzień dobry zapowiadała się na łatwą, prostą i nieskomplikowaną, i co? Nie, przykro mi. Kochałam mojego brata, kochałam również babcię, ale wysiłków na dziś miałam dosyć.

Pewnie dlatego dzwonek domofonu tuż przed dwudziestą



niemile mnie zdziwił. Słyszałam wprawdzie o różnych przypadkach telepatii między bliźniętami, owszem, sami z Michałem mieliśmy często wrażenie, że myślimy o tym samym, ale żeby do tego stopnia? Z Robertem i Kingą kontaktowałam się telefonicznie, prosząc, by wykazali się odrobiną zaufania i pozwolili mi odespać. Gdyby dowiedzieli się, jak to odsypianie wyglądało w praktyce, nie wyzebrałabym ani chwili świętego spokoju. Kto poza Michałem mógł mi zawracać głowę w niedzielny wieczór bez uprzedniej telefonicznej awizacji?

Niechętnie wygramoliłam się z fotela i już chciałam przez domofon udzielić informacji, że nie ma mnie w domu i nie życzę sobie żadnych ulotek, gdy w słuchawce rozległ się znajomy, choć brzmiący obco jak nigdy, męski głos. Przyzwyczajona do oschłego, ironicznego, pewnego siebie tonu Borówy, zamarłam, słysząc zdyszana i daleką od opanowania prośbę.

– Maja? Mogę wejść na chwilę? Musimy pogadać. Błagam.

Komisarz Patryk Borowiak błagający o cokolwiek innego niż cierpliwość do świadków mojego pokroju był ewenementem na skalę światową. Zapomniawszy, że w ramach odreagowania jestem odziana w piżamę w kocie łapki, otwarłam drzwi i czekałam, aż Borówa pojawi się w polu widzenia.

Trochę to trwało. Patryk najwyraźniej wędrówkę po klatce schodowej odbierał jako formę swoistej drogi przez mękę i gdy wreszcie pojawił się przed moimi drzwiami, przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Ciemne oczy ciskały gromy, tym razem jednak nie władczość i opanowanie wystąpiły w charakterze pocisków, a przedziwna, niezwykła w przypadku tego człowieka niepewność. Chwiejąc się na nogach, oparł się o futrynę drzwi, przerażając mnie jeszcze bardziej niż na komisariacie.

– Jezusie najśłodszy, co się porobiło? – spytałam, bo Borówa zastygł tuż przede mną niczym posąg i wyglądało, że nie ma siły się ruszyć.

– Kuźwa – wymamrotał Borówa, streszczając w jednym,

rozpaczliwym słowie wszystkie informacje na temat swojego samopoczucia. – Maja, musisz mi powiedzieć. Jesteście przyjaciółkami i wiem, że Luiza nic przed tobą nie zatai.

Teraz i mnie zaczęło być słabo. Co znowu ta Lulu wywineła?

Idiotycznych wyczynów autorstwa najlepszej przyjaciółki nie zamierzałam omawiać na klatce schodowej, gdyż nie do wszystkich sąsiadów mogłam mieć zaufanie. Diabli wiedzą, w jakiej wersji zostanie przedstawiona moim rodzicom wieczorna wizyta Borówy, gdy mieszkająca obok pani Jadwisia przemili ją w maglu swojej wyobraźni. Największy kłopot w przypadku pani Jadwisi stanowiła przedziwna odmiana głuchoty, która sprawiała, że słuch wścibskiej staruszki działał selektywnie, część informacji wychwytyjąc wyśmienicie, część opuszczając zupełnie. Następnie luki były uzupełniane zgodnie z działającą z ogromnym rozmachem wyobraźnią. Ponieważ jednak pani Jadwisia nienawidziła niedopowiedzeń, spieszyła przy najbliższej okazji skonfrontować swoją wiedzę z wiedzą sąsiadów. W efekcie opowiadane przez nią historie krążyły po klatce schodowej i choć mało kto w nie wierzył, łatwo było dać się zwieść przekonaniu, że w każdej plotce tkwi ziarno prawdy. Każdy prawdy doszukiwał się zatem na swój własny sposób, a niewinny, nic nieznaczący fakt urastał do rangi legendy. Bohaterowie tych legend rzadko byli przedstawiani w glorii i chwale, wszyscy zatem broniliśmy się rękoma i nogami, by na nich nie awansować.

Teraz również spanikowałam na myśl o ponurej historii, w której zabijam swojego kochanka, gdy zrozpaczony przybiegł wyjaśnić przyczyny krzywdy, jaką mu uczyniłam. Osuwający się po ścianie Borówa znakomicie by się do tej roli nadawał, dla pani Jadwisi źródło natchnienia wprost bezcenne! O nie, należało Patryka jak najszybciej wciągnąć do domu i modlić się, by starsza pani nie doznała nagłej potrzeby pożyczania cukru.

Na szczęście obezwładniony głupotami Luizy Borówa bez oporu pozwolił się wciągnąć do mieszkania i posadzić w fotelu. Odruchowo przyjął szklanekę wody, wypił duszkiem jej

zawartość i dopiero teraz spojrzał odrobinę przytomniej, choć nadal tak samo rozpaczliwie.

Zanim zdołał oprzytomnieć do reszty, policyjne nawyki wzięły górę. Wydusić zeznanie, nie poinformowawszy, o co tak właściwie chodzi.

– Patryk, ja ci wszystko bardzo chętnie powiem – przerwałam mu, gdy kolejny raz powtórzył żądanie, z którym się zjawił. – Tylko że ni cholery nie wiem, w jakiej sprawie. Lulu dużo idiotyzmów robi. O wszystkich, zdaje się, dowiadujesz się od tych z drogówki.

– Tylko że tym razem zajeżdża kryminałem – wymamrotał Borówa. – Matko boska, mam wsadzić własną narzeczoną?

Nerwowo przełknęłam ślinę. Musiało chodzić o coś naprawdę większego niż swobodna interpretacja kodeksu drogowego. Jezusie, czyżby Luiza przejechała komendanta? Tak na śmierć?

Druga szklanka wody orzeźwiła nieco Borówę. Przynajmniej na tyle, by anulować tryb przesłuchania i przełączyć się na normalną rozmowę.

– Mówiła ci, że wzięłem na warsztat to jej auto? – zapytał. – Szlag, trzeba było spisać protokół i umorzyć. Nie, uparłem się, bo to samochód mojej narzeczonej!

– I co znalazłeś? – spytałam, coraz bardziej niespokojna. Wątpiłam, by potężna ilość papierków po batonikach była w stanie tak wstrząsnąć Patrykiem. Nawet gdyby Lulu w przyływie rozpaczliwego głodu po prostu je rąbnęła.

– Maja, odpowiedz mi na jedno proste pytanie. – Patryk wbił we mnie ciężkie spojrzenie. – Czy któraś z was dłubała dziś przy tym wozie? Czy czegoś dotykałyście?

– Nie – powiedziałam stanowczo. – Gliny zakazały. Znaczy się, funkcjonariusze.

– A facet, który wezwał policję?

– Tym bardziej zakazał. I sam też nie dotykał. Jemu się też kiedyś włamali do samochodu i wiedział, jak się zachować. Żeby

śladów nie zacierać i tak dalej.

– Czyli nie ma możliwości, żeby ktoś z waszej trójki wyciągał odłamki szyby? Albo przypadkowo się o coś skaleczył?

W tym momencie zrobiło mi się niedobrze.

– Krew? – bąknęłam. – Znalazłeś krew?

– Żeby tylko – powiedział ponuro Patryk i wreszcie postanowił wyjawić cel osobliwej wizyty.

Znalezione na drzwiach i fotelu ślady krwi były bardzo świeże, co jasno wskazywało, że jeżeli o wybitą szybę nie skaleczyła się żadna z nas, zapewne zranił się złodziej.

– Mam wrażenie, że amator, który bardzo chciał wypaść profesjonalnie – westchnął Borówa. – Odcisków palców nie zostawił, obstawiam, że miał rękawiczki, ale tego, że się skaleczył, już baran nie zauważył. Miałem nadzieję, że może jednak te rękawiczki ściągnął, zostawił coś, nie wiem... Z rozpędu posprawdzałem całe wnętrze. No i znalazłem trochę więcej krwi. Nawet z odciskami palców.

– Czyli to, co chciałeś...

– Niezupełnie. Ta krew była zaschnięta, stara. I za daleko. Facet musiałby wsiąść do samochodu, żeby tak zababrać. Albo do połowy wcisnąć się przez wybitą szybę do środka. Tym bardziej chciałem sprawdzić, co to za ślady.

– I co? – Nieprzyjemne ściskanie w okolicy żołądka pojawiło się znienacka, wraz z przeczuciem, że zaraz dowiem się czegoś, czego bardzo nie chcę wiedzieć.

Mina Borówy mówiła, że on też by nie chciał i że zdobyta wiedza nieznośnie mu ciąży.

– No i krew zidentyfikowałem bardzo szybko – wymamrotał. – Zwłaszcza że kolega w laboratorium jest w trakcie rozwodu i przyjmie każde zlecenie, byle jak najdłużej siedzieć w robocie. Szybko mnie poinformował, że to krew denata, z którym miał do czynienia w ostatnim czasie. Domyślasz się może, o kogo chodzi?

Diabli wzięli nadzieje. Diabli wzięli przypadki, na które tak bardzo liczyłam w kwestii breloczka Olgierda, znalezionego w samochodzie Luizy. Diabli wzięli wreszcie mój zdrowy rozsądek i opanowanie. Zabrali to wszystko w cholere i wynieśli się z całym dobytkiem bez słowa, a mi pozostało tylko wybuchnąć histerycznym śmiechem.

Patryk w przygnębionym milczeniu przeczekał szaleńczy chichot, z jakim kulałam się po sofie, niemal całkowicie pozbawiona rozumu. Albo dokonane odkrycia spowodowały aż takie ośpienie, albo był przyzwyczajony do najdziwniejszych reakcji świadków i nic nie było w stanie nim wstrząsnąć. Dopiero gdy najsilniejsze spazmy minęły i mogłam w miarę swobodnie mówić, odezwał się cicho:

– Jak się domyślam, Luiza raczej nigdy nie wiozła Olgierda na izbę przyjęć z krwotokiem z nosa albo z przeciętego palca? Możemy zapomnieć, że jego krew w samochodzie to efekt kiepsko udzielanej pierwszej pomocy?

– Daj spokój, przecież oboje byśmy o tym wiedzieli –jęknęłam, bo mózg nagle odblokował zdolność przyswajania i przetwarzania informacji. Pozbawiona blokady w postaci histerycznego rechotu, musiałam przyjąć do wiadomości to, co chciał mi przekazać Patryk i w tym momencie totalnie przestało mi być do śmiechu. – Zresztą nie wyobrażam sobie, żeby Olgierd dobrowolnie wsiadł z Luizą do samochodu. Ani tym bardziej, żeby Luiza udzielała mu pomocy. Prędzej by dobiła.

– No właśnie.

Zapadła cisza, przerywana jedynie energicznym grzebaniem w kuwecie, do której udał się Loki. Siedzieliśmy, wpatrując się tępo w przestrzeń i próbując przetrwać straszliwy wniosek, jaki nasuwał się po tej całej dyskusji. Gdyby sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, była sceną z horroru, zmaterializowałyby się przed nami w postaci zawieszzonego w powietrzu, ociekającego posoką napisu:

„Luiza zabiła Olgierda.”

Wolałabym oglądać wszystkie krwawe napisy świata i wiedzieć, że to tylko film grozy, niż mieć w głowie świadomość, że mamy do czynienia z rzeczywistością. Bierz diabli motyw, które kierowały Luizą. Ja, jako była żona ofiary, i Patryk, jako policjant, mieliśmy obowiązek dążyć do wykrycia sprawcy. Tyle, że kiedy już go wykryliśmy, lojalność i bliskie relacje stanowczo zabraniały nam go wsypać.

– Nie mamy stuprocentowej pewności, prawda? – zaczęłam łamiącym się głosem. – Krew, no dobra. I nic więcej.

Patryk prychnął nerwowo. Teoretycznie to, co mówiłam, było prawdą. Jednak lata pracy w policji odarły go ze złudzeń.

– Na jaki ty cud liczysz, Maja? – spytał.

– Jezusie, nie wiem! – Zdenerwowałam się. – Jakikolwiek! Masz tylko dowód, że Olgierd tam był. Nawet nie, może stał obok samochodu i czegoś dotknął zakrwawioną łapą. Może się skaleczył, jak grzebał coś w tym samochodzie?

– I co tam niby grzebał? Może bombę podkładał?

– Jakoś bym się nie zdziwiła – mruknęłam. – Ale może się tylko pokłócili, poszarпали?

– Tak i poodgryzali nawzajem uszy – przerwał mi Borówa zmęczonym głosem. – Dobrze, Maja. Czyli Luiza nie spowiadała ci się w ostatnim czasie z popełnienia morderstwa? Nie kryjesz jej?

– Aż takich zdolności aktorskich nie mam. Niestety. Pewnie, że bym nie sypnęła, ale szybko byś się domyślił. Zresztą, ja bym jej nawet nie uwierzyła – zbuntowałam się. – Nawet gdyby mi pokazała narzędzie zbrodni. I teraz też nie wierzę. Wymyślę najbardziej idiotyczne wytłumaczenie, byle nie uwierzyć.

– To jak wymyślisz, to się podziel.

– Bardzo chętnie. Ty za to wymyśl, jak to udowodnić.

Moja determinacja ruszyła nieco Borówę.

– Poszukam w tych plamach w aucie odcisków – powiedział. –

Może faktycznie się okaże, że to ktoś obcy. No i porównam z odciskami Luizy...

Spojrzałam na niego przerażona.

– Chyba zwariowałaś! Tak po prostu weźmiesz od niej odciski palców, mówiąc, że podejrzewasz ją o morderstwo?

Patryk uśmiechnął się mimowolnie.

– Wiesz, ja mam jej odciski. Kiedyś wziąłem, na wszelki wypadek, żeby mieć z czym porównać, jak za dużo forsy zacznie mi znikać z portfela. Przez następny tydzień Lulu specjalnie wyciągała mi kasę, tak się wkurzyła.

– O, mój drogi! Ja bym ci cały portfel rąbnęła!

Moje poglądy na wykorzystanie daktyloskopii na potrzeby matrymonialne nareszcie pozwoliły nam odetchnąć. Do tej pory swobodny oddech był nie do przyjęcia, zupełnie jakbyśmy się bali, że powietrze zostało zatrute podejrzeniami wobec Lulu i wraz z nim do płuc i umysłów sączy się jad. Jeszcze bardziej nie chciałam przyjąć do wiadomości ciężaru odpowiedzialności, jaki na nas spoczywał. Mieliśmy trzy wyjścia, z których tylko jedno mogło nas uszczęśliwić. Mogliśmy udowodnić niewinność Luizy i znaleźć prawdziwego zabójcę Olgierda. Mogliśmy równie dobrze udowodnić, że nie ma siły, to Lulu trzasnęła mojego byłego męża. Trzecia opcja wynikała z drugiej. Mogliśmy swoją wiedzę zataić i zatrzeć dowody.

Wybór był oczywisty.

– Jadę do domu i sprawdzę te odciski. – Patryk podniósł się z fotela. – Nie będę z nią na razie rozmawiał. To zostawiam tobie. Wybadaj, co robiła tamtego dnia, podpytaj, czy wiozła go kiedyś gdzieś tam... Na tę izbę przyjęć na przykład. A, jeszcze jedno, Majka...

Borówa popatrzył na mnie swoim zwykłym badawczym wzrokiem i tym razem ja, rażona nagłą niemocą, oparłam się o futrynę.

– Czy Lulu do ciebie pojechała wtedy do miasteczka?

– Nie! Już ci mówiłam, nie miałam pojęcia, że w ogóle pojechała. Od ciebie się dowiedziałam. Dlaczego?

– Oj, Maja, Maja. – Borówa pokręcił głową. – Nie ukrywam, przez moment miałem taki pomysł, że może wy obie... No wiesz, to wasze wieczne knucie...

– Ty wredny szympanse! – wrzasnęłam oburzona. – Moją niewinność już chyba zdążyłeś sto razy ustalić! A jeśli kiedykolwiek wpadnę na pomysł popełniania morderstwa, to na tobie pierwszym wypróbuję swoje zbrodnicze zdolności!

– Na razie bym się wstrzymał na twoim miejscu. Morderstwo policjanta jest surowo traktowane. – Patryk westchnął. – Choć jeden powód, żeby mnie zabić, dostarczę ci już teraz.

Zmartwiałam. Co znowu?

– Przez tę awanturę z samochodem Luizy zapomniałem powiedzieć, że powinniście się zastanowić, co z tym domkiem babci, i zabezpieczyć cenne przedmioty.

– No ale przecież sam mówiłeś, że zorganizowałeś obstawę – jęknęłam przerażona wizją dantejskich scen, jakie musiały się rozgrywać przed babciną willą, skoro Borówa podsuwa mi takie sugestie. – Jakaś policja tam czuwa?

– Czuwa. I tylko dzięki temu czuwaniu nie mieliście kolejnych nieproszonych gości – powiedział poważnie Patryk. – Ktoś się tam kręci po nocach, nie na tyle dyskretnie, żeby nie zauważyć, ale nie można go też za żaden konkretny zwinąć.

Miałam trzymać buzię na kłódkę. A już na pewno nie podsuwać pomysłu, że osoba Olgierda łączy problem morderstwa z zawłościami spadkowymi. I być może, jak okazuje się w tej chwili, z Lulu, która w obu sprawach zaczyna się plątać ze zbyt dużą, jak na mój gust, częstotliwością...

Miałam. I wyszedł z tego guzik z pętelką, bo z ciężkim westchnieniem zaprosiłam Borówę na jeszcze jedną kawę i wreszcie rzetelnie wypowiadałam się z tego, co wiem, czego nie wiem, z plotek i domysłów, a także własnego, nieudolnego



procesu dedukcji. Konsekwentnie przemilczałam jedynie sprawę breloczka.

I, przyznam szczerze, odetchnęłam z ulgą, kiedy Patryk po wysłuchaniu całej historii posłał mi swoje spojrzenie służbowe najcięższego kalibru i zarządził krótko:

– Dzwon po Michała.



Ściągnąć mojego brata nie było trudno. Sensacyjna informacja o znalezieniu zguby sprawiła, że chętnie zaprosił się sam, w trybie natychmiastowym, dzięki czemu mogłam sobie podarować zastanawianie się, jak mu powiedzieć, że zaproszenie wyszło od siedzącego w moim salonie policjanta. Co nie zmieniało faktu, że wielkiego entuzjazmu się nie spodziewałam. To, że Michał wrzaśnie, trzaśnie pięścią w stół i wyrecytuje pod moim adresem wyjątkowo mało czułą litanie, miałam zagwarantowane. Normalnie pewnie bym się przejęła, że ma do mnie słuszne pretensje o złamanie wcześniejszych ustaleń. Nie chodziło tu bynajmniej o obawę, że ukochany brat bliźniak obrazi się na mnie na wieki. Sama na siebie bym się obraziła, bo niepisana, lecz święta zasada wzajemnej lojalności wykluczała wtajemniczanie w nasze niecne sprawy osób trzecich. Jeżeli komuś naprawdę było trzeba wypowiedać się z grzeszków, spowiadaliśmy się Onyksowi. I tylko my wiedzieliśmy, że jeżeli gdzieś tam za Tęczowym Mostem istnieje zwierzęca kraina wiecznej szczęśliwości, czarnemu wilczurowi babci Irenki ta wieczność może nie wystarczyć na opowiedzenie towarzyszom o wszystkich idiotyzmach, jakie popełniliśmy i jakimi później, gnębieni wyrzutami sumienia,

uszcześliwialiśmy wesołe psisko.

Tymczasem komisarz Patryk Borowiak Onyksem nie był i nie nadawał się na powiernika w delikatnych, osobistych sprawach. Tak przynajmniej wywnioskowałam ze szczękościsku widocznego na twarzy mojego brata, gdy wszedł do salonu i ujrzał Borówę z kubkiem kawy w jednej i złotym kluczykiem w drugiej dłoni.

– Dobra, Maja, otwieraj i sru! – Machnął ręką, gdy wyjaśniliśmy mu przyczyny zaproszenia na komisyjne otwarcie kasetki.

– Niewykluczone, że dzięki temu puzderku będzie spokój i z innymi sprawami, w które jesteście zamieszani – powiedział Borówa. – Dawaj.

Nadal nieprzekonany, za to całkowicie pokonany Michał postawił na stoliku hebanową, rzeźbioną kasetkę.

– A jak wybuchnie? – Uśmiechnął się niemrawo.

Wybuchnąć miało prawo, ale niekoniecznie to, co znajdowało się w środku. Raczej napęczniałe w nas napięcie, które sprawiło, że jak jeden mąż pochyliliśmy się nad niewielkim przedmiotem. Z ciężkim westchnieniem wsunęłam kluczyk do zamka, przekręciłam i ostrożnie uniosłam wieczko.

Trzy pary oczu wgapiły się w niewielką, złożoną karteczkę, leżącą na wyściełającym wewnątrz kasetki zielonkawym aksamicie.

– No i co to niby ma być? – przerwał wreszcie pełną konsternacji ciszę Michał.

Głupie pytanie wytrąciło mnie z dziwnego transu.

– A czegoś się spodziewał, skarbu piratów? – fuknęłam gniewnie. – Skarby tu się nie mieszczą. To ciąg dalszy zabawy w ciuciubabkę. Sprawdź, co to za kalambury tym razem.

Michał z wahaniem sięgnął po karteczkę, jakby się obawiał, że podniesienie cienkiego kawałka papieru może uruchomić licznik bomby.

– No dobra – mruknął i rozwinął papier.

Po czym zbladł, po chwili dla równowagi poczerwieniał i sam zmienił się w jedną wielką tykającą bombę. Tyle przynajmniej mówiła jego mina, wskazująca, że coś w moim bracie rośnie, pęcznieje i raczej jest już za późno, by wzywać na pomoc sapers.

I rzeczywiście. Michał jeszcze przez chwilę patrzył na trzymaną w ręku karteczkę, próbując bezskutecznie opanować dziwne drgawki w okolicy pleców.

Następnie wybuchł głośnym, szaleńczym śmiechem, płosząc mnie, Borówę i Lokiego, który z kolan Patryka przysłuchiwał się naszym knowaniom. Teraz poderwał się jak oparzony, zjeżył futro na grzbiecie i patrzył na mojego oszalałego braciszka podejrzliwym wzrokiem, gotów w każdej chwili zwać bądź użyć pazurów.

Działania pacyfikacyjne przeprowadziłam sama, waląc Michała w głowę poduszką.

– No, gadaj wreszcie – syknęłam i, nie czekając, aż mój brat odzyska zdolność komunikowania się w ludzkim języku, wyrwałam mu kartkę z ręki.

Po czym sama nerwowo zachichotałam.

Na kartce widniał jedynie numer telefonu i nazwisko.

– Leszek Kamiński. – Borówa pochylił się w moim kierunku i usiłował odczytać nazwisko do góry nogami. – Jakby nie dość ludzi mi się plątało w tej sprawie. Wiecie, kto to jest?

– Wiemy, kto to był – wyjaśnił Michał, którym jeszcze wstrząsały delikatne spazmy. – Bardzo, bardzo bliski przyjaciel babci.

– Niedoszły narzeczony – poprawiłam. – Startował do babci równocześnie z dziadkiem. Tyle że okazał się mniej skuteczny. Ale babcia go bardzo lubiła, więc nie chciała zerwać kontaktu. Po śmierci dziadka bardzo jej pomagał jako przyjaciel i prawnik. Nieoficjalny i od dawna emerytowany. Gościa, który robił

testament, też polecił właśnie on. Tyle że ja mam wrażenie... – zawiesiłam głos, usiłując doprecyzować dziwne przeczucie, któremu dotąd nie poświęcałam zbyt dużo uwagi. – Ja mam wrażenie, że on był tu tylko na pokaz... Że wszystkie zapisy i sposób przekazania informacji były raczej autorstwa pana Leszka. To on pokierował podziałem majątku...

– Oj, może jeszcze wymyślił tę zabawę w ciuciubabkę – prychnął Michał. – Maja, zastanów się, co gadasz.

– To niby po co nam jego numer telefonu? – spytałam zniecierpliwiona. – Po coś tu jest.

– Pewnie po to, żeby zadzwonić – przerwał nam rodzinne przekomarzanie Borówa. – O ile ten facet jest jeszcze, że tak powiem, na chodzie... Ale niekoniecznie w tej chwili! – zawołał, gdy Michał zniecierpliwionym gestem sięgnął po komórkę. – Jest jedenasta!

Wyspana po porannej drzemce nie odczuwałam późnej pory, a emocje kazały mi funkcjonować na najwyższych obrotach. Gdyby nie interwencja Patryka, przyklasnęłabym pomysłowi i razem z Michałem zawisła na telefonie teraz, zaraz i od razu, mając głęboko w poważaniu niestosowną porę.

Jednak z całej naszej trójki tylko ja jedna dysponowałam jeszcze kilkoma dniami świętego spokoju. Borówa miał w perspektywie nadprogramowe śledztwo w sprawie Luizy, a dyżur od rana jakoś nie chciał się z tego powodu ulotnić z harmonogramu. Michał teoretycznie był jeszcze na urlopie, ale co to za urlop, kiedy zapracowana narzeczona zwała człowiekowi na głowę większość formalności związanych ze ślubem. Zgodnie ze złożoną jej obietnicą Michał miał w poniedziałkowy poranek podreptać do USC, odebrać obrączki, rozesłać zaproszenia i odbębnić ustalenie menu. To ostatnie najbardziej przypadło mu do gustu, zwłaszcza że Alicja była niejadkiem i problemy natury spożywczej jej nie interesowały. Michał przeciwnie, cenił dobre jedzenie i był gotów tą akurat kwestią zająć się z przyjemnością. Miał też świadomość, że na samym jedzeniu Alicja nie pozwoli mu poprzestać, więc

niechętnie przyznał, że nocne debaty są mu dziś nie na rękę.

Koniec końców drzwi za uczestnikami tajnej narady zamknęłam przed dwunastą, choć sama dopiero po drugiej w nocy zdołałam położyć się do łóżka. Za bardzo kusił mnie numer telefonu, jaki zostawiła nam babcia w swym sekretnym miniaturowym Sezamie. Usiłując skupić myśli na czymś innym, automatycznie przeskoczyłam na temat roli, jaką w tragicznym zakończeniu żywota Olgierda mogła odegrać Lulu. Gdzieś między tym wszystkim plątał mi się Robert, bo nareszcie rzetelnie zmęczona nadmiarem sensacji, coraz bardziej pragnęłam zrobić z siebie małą, bezbronną kobietkę.

Robienie z siebie kobietki wyszło mi połowicznie. Wprawdzie zdołałam zwalczyć potrzebę wyrwania Roberta ze snu i ściągnięcia go pod byle jakim pozorem, jednak stres domagał się znalezienia ujścia.

I nie powiem, mycie okien w letnią, księżycową noc ma swój jedyny, niepowtarzalny urok. Zwłaszcza gdy rano człowiek odkrywa, że brak dostatecznego oświetlenia nie wpłynął negatywnie na jakość podjętych działań.

Co nie zmienia faktu, że przez umyte okna obserwacja świata staje się o niebo bardziej fascynująca, szczególnie dla kotów spędzających jedno ze swych dziewięciu żyć w mieszkaniu. Nic dziwnego, że gdy rano zwlokłam się z łóżka, na lśniących czystością szybach zostały już dokładnie odcisnięte ślady kocich łapek i nosa.



Nie zdążyłam zamordować Lokiego za ubabranie świeżo umytych okien, gdyż dzwonek do drzwi tuż przed ósmą

uratował koci tyłek przed niechybnym obdarciem ze skóry. Michał, który rozpoczął dzień skoro świt, postanowił zepchnąć sprawy weselne na dalszy plan i najpierw załatwić to, co go najbardziej interesowało.

– Przecież nie zataiłabym nic przed tobą – jęknęłam, dowlókłszy się do drzwi. – Czy możesz mi wytłumaczyć to cholerne parcie na spadek?

Michał wytłumaczenie miał niezłe. Wizja armii włamywaczy, która z maniackim uporem przypuszcza ataki na willę babci w poszukiwaniu tajemniczego bogactwa, podsycana rewelacjami, jakimi uszczęśliwił nas wczoraj Borówa, zdopingowała go bardziej niż dobre chęci w zakresie załatwiania kwestii ślubnych.

– Majusia, bądź uprzejma, nie marudź, zadzwoń, a potem zabiorę cię na degustację tortów. Będiesz mogła wybrać sobie sałatki i inne wegetariańskie bajery. – Uśmiechnął się przymilnie. – Tylko załatwmy to wreszcie, zanim ktoś w akcie desperacji postanowi wysadzić piwnicę w powietrze.

– Po tym horrorze, jaki tam przeżyłam, sama bym ją chętnie wysadziła – burknęłam. – Dobra, siedź cicho, dzwonię. Tak, włączę głośnik, siadaj na tyłku!

Efekt osiągnęłam tylko taki, że Michał wreszcie umilkł. Usiąść jednak nie chciał i nadal latał nerwowo, wsłuchując się w dźwięk sygnału. Dopiero gdy odezwał się głos pana Leszka, zamarł tuż przy fotelu, na którym siedziałam, wsłuchany zachłannie w treść rozmowy.

A z treści wynikało, że czeka nas kolejna wycieczka. Zaprzyjaźniony z babcią prawnik spodziewał się naszego telefonu i zgodził się na spotkanie w najbliższy weekend. Choć zgodnie z naszymi przypuszczeniami kilka lat temu odszedł na zasłużoną emeryturę, nie zamierzał nikomu przekazać spraw babci.

– Irenka prosiła, żebym dopilnował tego testamentu – oświadczył. – Zwłaszcza że jak się zorientowaliście, jest dość

nietypowy. Cieszę się zatem, że spełniliście warunek, jaki postawiła.

– W sensie, dorośliśmy? – upewnił się Michał, który nie wytrzymał i od początku brał aktywny udział w konferencji.

– Metrykalnie niewątpliwie. – Westchnęłam. – W kwestii dojrzałości emocjonalnej i życiowej miałabym wątpliwości...

– Jeżeli od czasu pogrzebu Irenki nie dokonało się znaczące uwstecznienie rozwojowe, myślę, że najwyższy czas się spotkać ponownie. – Dobroduszne rozbawienie w głosie pana Leszka sugerowało, że bez względu na poziom życiowych idiotyzmów, jakie mieliśmy z Michałem okazję popełnić, sprawy spadkowe omówi z nami bardzo chętnie.

– Spinaj się, bracie, z tym menu – mruknęłam po zakończeniu ciepłej i sympatycznej konwersacji z panem Leszkiem. – Ja załatwię od Borówy pozwolenie na wyjazd. I przeprowadzę wśród znajomych ankietę, kto jeszcze zamierza udać się w tym samym kierunku. Ostatnio się nie przyznali, mieliśmy z tego tytułu problemy, więc może czas zrobić zrzutę na paliwo i wynająć busa.

– Zrób jeszcze ankietę, kto będzie się przymierzał do desantu na willę w celach zawłaszczenia majątku – poradził mi Michał. – Oszczędzimy Patrykowi czasu i nerwów. Bo mam wrażenie, że jest ostatnio jakiś bardziej nerwowy.

Wzruszyłam ramionami. Nie zamierzałam wtajemniczać Michała w przyczyny zdenerwowania Borówy. Wiedziałam natomiast, że tak samo łatwo pojawi się u niego szalony entuzjazm na wieść o planowanej przez nas wycieczce. I choć pan Leszek nie mógł się tego domyślać, szybki termin zaproponowanej wizyty był błogosławieństwem dla znacznie większej ilości osób, niż sądził.

Konkretne widoki na rozwiązanie jednego problemu i majająca jeszcze w oddali, ale coraz wyraźniejsza wizja uporania się z resztą wykazywały działanie kojącego rany eliksiru szczęścia. Przypomniały mi też, że na spadkach

i morderstwach życie się nie kończy. Od cudzych problemów nie zamierzałam się odżegnywać, jednak nie wiedząc, kiedy i w co piorun strzeli, zweryfikowałam niechęć do zapraszania do swojego życia Roberta. Święta cierpliwość do moich pomysłów, wytrwałość pomimo narzuconego dystansu i determinacja w zakresie czuwania nade mną w wirze zagmatwanych wydarzeń ostatnich tygodni zasługiwały na przeniesienie znajomości na etap bardziej zaawansowany. Trzymanie go w niepewności, gdy już tak bardzo się zaangażował, byłoby z mojej strony nie w porządku.

Nie mówiąc o tym, że nauczona przykrymi doświadczeniami straciłam serce do kręcenia, niedomówień i wynikających z nich nieporozumień. Sytuacja, w której Robert w charakterze mojego anioła stróża melduje się w miasteczku, a zostaje pochwycony jako przestępca, byłaby nie do przyjęcia. Jeżeli i tym razem wpadłby na pomysł wyjazdu, wolałam, żeby obyło się bez tajemnic.

Z tych wszystkich powodów razem wziętych, zapytana przez Michała o przyczynę niechęci do udziału w degustacji weselnego menu udzieliłam krótkiej i jasnej odpowiedzi.

– Bo nie. Bo mam dzisiaj randkę.



Komunikat o randce wywołał zrozumiały szok, gdyż do tej pory Michał nie był wtajemniczony w moje sercowe zawirowania. I dopóki sprawa się nie skryształizowała, ograniczyłam wtajemniczenie do krótkiej informacji, że ktoś jest, jestem tym ktosiem zainteresowana z wzajemnością i uprzejmie proszę o możliwość wykrojenia z bardzo napiętego z powodu



problemów spadkowych, kryminalnych i wyjazdowych grafiku choć odrobiny czasu na ustabilizowanie zapowiadającego się obiecująco związku. Michał, któremu Alicja zaczęła ciosać kołki na głowie z niespodziewaną energią, moje potrzeby doskonale zrozumiał. Latanie między spadkową awanturą a organizacją ślubu i jego zaczynało męczyć. Wyrzuty sumienia z powodu pozostawienia Ali samej na ślubnym froncie działały niczym bat, popędzając mojego brata, by jak najszybciej zamknąć temat spadku, zanim zniecierpliwiona narzeczona w ramach zemsty zwali na niego problem przygotowań do uroczystości. Groźba ukryta w słowach: „Jeszcze trochę i sam to będziesz załatwiał!”, pojawiała się niepokojąco często, generując dodatkowe obowiązki. Jak na przykład nieszczęsne zaproszenia, do których wybrania, wypisania i wysłania Michał zabrał się w ramach pokuty za zawalenie spotkania w pałacyku w Iwnie, gdzie miało się odbyć wesele. Alicja odpracowała je sama, w czasie gdy my beztrosko (przynajmniej w jej przekonaniu) uganialiśmy się po piwnicach za włamywaczami i taplaliśmy w jeziorze. O żarciu rurek z kremem nie wspomnę.

Innymi słowy, życie prywatne i obecne w nim osoby coraz bardziej domagały się poświęcenia należytej im uwagi.

Wypisanie zaproszeń ozdobnym charakterem pisma nie było dla mnie problemem. Czując, że małżeńskie szczęście brata może zawisnąć na włosku, gdy Ala ujrzy nieforemne bazgroły, zadeklarowałam pomoc. Uszczęśliwiony Michał w rewanżu pobłogosławił moją randkę, zdejmując mi z głowy troski natury kulinarnej. Wydębione przez niego dania do degustacji zamiast do rodziców i zapracowanej narzeczonej trafiły do mnie na godzinę przed wizytą Roberta. Wymagały jedynie podgrzania i gwarantowały wykwintną kolację, dzięki czemu mój prywatny wkład w stworzenie romantycznego nastroju ograniczył się do przystrojenia stołu i włączenia piekarnika.

I całe szczęście, gdyż katastrofa, która nastąpiła chwilę po wyjściu Michała, dałaby mi czas wystarczający jedynie do zamówienia pizzy...

Nie poświęcając zagadnieniom kulinarnym zbyt dużo czasu, zabrałam się do uprzątnięcia ze stołu bałaganu, którym z własnej inicjatywy postanowiłam wzbogacić wypisywanie ślubnych zaproszeń. Samo uzupełnienie danych na kartkach i zaadresowanie kopert poszło mi szybko, a nadmiar czasu i inwencji twórczej zachęcił do upiększenia zaproszeń, które jak na kobiece, bardziej wyśrubowane standardy były zbyt sztampowe. Na szczęście wydzielona w pawlaczu wąska przegródka wypełniona była ozdobnymi wstążeczkami, papierem do pakowania i innymi cudёнkami w rozmaitych kolorach i wzorach. Mnie interesowało konkretnie pudełko z wstążeczkami, z których zamierzałam zrobić ozdobne kokardki i ożywić nimi zaproszenia. Perłowe, lekko opalizujące na delikatny błękit, były idealne. Zadowolona z pomysłu, przytargałam z kuchni stół i wlałam na niego, przerzucając wepchnięte uprzednio byle jak walizy i usiłując się dostać do upragnionego pudełka.

Pudełko udało mi się wygrzebać, walizy do pawlacza upchnęłam jeszcze bardziej niechlujnie niż poprzednio, rejestrując fakt, że podczas orgii sprzątanania dzień wcześniej wyrzuciłam część odłożonych tu ciuchów, zyskując miejsce, które teraz brakiem zagospodarowania zaczynało mnie irytować. Na coś to miejsce należało wykorzystać, a tym, co w mieszkaniu zajmowało najwięcej przestrzeni, były namiętnie czytane przeze mnie książki. Zwykle jakoś się mieściły, nie byłam jednak zadowolona z faktu, że ani w witrynce, ani w przeznaczony na księgozbiór szafce nie mogłam dokopać się do potrzebnej akurat pozycji bez opróżnienia wszystkich półek. Część, zwłaszcza tę rzadziej czytana, byłoby dobrze przenieść gdzieś, gdzie nie będą zawadzać... Stworzone miejsce w pawlaczu wydawało się wprost idealne. Krótka selekcja i upchnięcie pod walizami chwilowo niepotrzebnej literatury załatwiły problem. Któregoś dnia, rzecz jasna, zamierzałam poukładać je porządnie, jednak manipulowanie wysoko w pawlaczu nie budziło entuzjazmu ze strony kręgosłupa, który nadal mnie poboлеwał. To w wystarczającym stopniu

usprawiedliwiało lenistwo i postawę głoszącą, że co z oczu, to z serca. Pawlacz zamkniętego w nim bałaganu nie ujawniał, mnie nadmiar rzeczy nie walał się po mieszkaniu i problem można było uznać za rozwiązany.

Przynajmniej do chwili, gdy przystąpiłam do nakrycia stołu. Zdażyłam zmienić obrus, rozłożyć serwetki i nucąc pod nosem, niosłam do salonu zastawę. Doniosłam ją do przedpokoju, gdy tuż za plecami rozległo się delikatne, nieprzyjemne skrzypnięcie. Skrzypnięcia tego rodzaju zwykł wydawać właśnie pawlacz, który, jak poinformowali mnie poprzedni właściciele mieszkania, nie lubił nierównomiernego rozłożenia zawartości i miał obiekcje wobec jej nadmiaru. Ostrzeżenie było jasne: wpakowałam tam czegoś za dużo i trzeba to będzie skorygować znacznie szybciej, niż bym tego chciała. Gdyby nie wizyta Roberta, możliwe, że zabrałabym się do pracy natychmiast, jednak w tej chwili miałam w planach coś innego.

Urażony pawlacz zaskrzypiał trochę głośniej.

– Wytrzymasz do jutra – mruknęłam i ruszyłam do pokoju.

W chwili, gdy przekraczałam próg, pawlacz postanowił mi udowodnić, że jednak nie wytrzyma. Zaskrzypiał po raz ostatni, a kilka sekund później skrzypienie przerodziło się w przeraźliwy łomot, gdy dolna półka pękła pod nadmiernym ciężarem. Upchnięte beztrąsko książki, walizki i pudełka z butami runęły na podłogę.

Oślupiała wpatrywałam się w barykadę w przedpokoju. Katastrofa nastąpiła zbyt gwałtownie, bym zdołała wydać z siebie wrzask lub pisk. Byłby to zresztą zbędny wysiłek. Rumor, jakiego narobiły spadające rzeczy, załatwił sprawę stosownej akustyki. O tym, że u Majki Kostrzewskiej się znowu wali, być może pali, usłyszał cały blok. Tylko patrzeć, jak wpadną tu rodzice i załamią ręce nad moją głupotą. Aha, o wilku mowa...

Ale dzwonek do drzwi wcale nie zwiastował wilka. Przedarłszy się przez barykadę i odepchnąwszy nogą to, co się dało,

zdołałam uchylić drzwi na tyle, by wpuścić do mieszkania Roberta.

Robert z pytającym wyrazem twarzy przecisnął się przez wąskie przejście, wlaź w karton po zeszłorocznych kozakach i zamarł z butelką wina w jednej i bukietem róż w drugiej ręce.

– Co znowu? – wykrztusił z rozpaczą w głosie.

Z nie mniejszą rozpaczą szukałam w głowie sensownego wyjaśnienia, które pozwoli mi się wytłumaczyć, nie obnażając lenistwa, niedbalstwa i lekceważącego podejścia do udzielanych przez poprzednich lokatorów wskazówek. Przeżyty szok nadal uparcie trzymał przycisk „Stop” w części mózgu odpowiedzialnej za logiczne, błyskotliwe myślenie. Nie pozostało mi nic innego, jak wyznać prawdę w nieco okrojonej wersji.

– Katastrofa – westchnęłam, wznosząc oczy ku wybebeszonemu pawłaczowi. – Nic, tylko katastrofa...

– To widzę – wymamrotał Robert, na którym moje zdolności destrukcyjne robiły coraz większe wrażenie. – Maja, jak to jest, że ilekroć się widzimy, zawsze coś... No, jakby to...

– Pieprznie?

– No, coś w tym stylu...

– Fatum...

Dokładnie tak. Nic, tylko fatum. Bo jak inaczej wytłumaczyć dziwne zbiegi okoliczności, znajdowanie nieboszczyków, łażenie przez płoty, włamania, które dotyczyły mnie bardziej lub mniej bezpośrednio? Jak wyjaśnić to, że Robert miał naprawdę rację, twierdząc, że każdemu naszemu spotkaniu towarzyszy coś, co pieprznie z wielkim hukiem? Brak portfela w sklepie był jedynie nędzną namiastką kataklizmów, które przyciągałam niczym magnes, ale już powinien stanowić dla Roberta sygnał ostrzegawczy. No tak, tylko kto normalny potrafi przewidzieć, że zapomniany portfel to preludium i że tak naprawdę dopiero zacznie się dziać?

Romantyczny nastrój, który z takim zapalem usiłowałam

wypracować, diabli wzięli. Robert wręczył mi kwiatki i butelkę wina, przelazł przez barykadę i przez chwilę kontemplował efekty katastrofy.

– Przykro mi, bez nowej płyty nic z tym nie zrobię. Na kropelkę nie da rady skleić.

Ponieważ wieczór zaczął się efektownie, czym prędzej wyciągnęłam z piekarnika podgrzewaną kolację, nie chcąc ryzykować jej przypalenia. Od butelki z winem i otwieracza stanowczo postanowiłam trzymać się z daleka.

– No coś ty, przecież ty w ogóle nic nie musisz z tym robić – zaprotestowałam. – To ja będę musiała wezwać stolarza. W ogóle to najlepiej stąd chodź. Jesteś pewnie głodny, zmęczony, przyszedłeś prosto z pracy...

Argumenty brzmiały przekonująco, jednak Robert już zdążył sobie wyrobić opinię na temat moich zdolności destrukcyjnych. Ciekawe, Olgierdowi zajęło to przeszło pół roku. Zdaje się, że dopiero po ślubie odkrył, że miewam pecha. Całkiem możliwe, że tylko dzięki temu ten ślub się odbył. Rany boskie, tego mi tylko brakuje, żeby Robert zwał jak najdalej! Dostał większą dawkę uderzeniową na samym starcie!

Ale Robert nie zamierzał wiać, przynajmniej na razie. Po atrakcjach w zapuszczonym ogrodzie zawalone pawlacze nie stanowiły dla niego problemu. Przyjął natomiast słuszne założenie, że naprawa pawlacza w moim wykonaniu może przynieść nowe, nieoczekiwane rozrywki.

– Mam znajomego stolarza. – Westchnął, rozbierając barykadę w przedpokoju i układając jej elementy na szafce na buty. – Jutro zadzwonię. Zamierzasz jeszcze coś psuć czy powiedzieć mu tylko o pawlaczu?

No tak, zapomniałam, że nieważne, jak bardzo kochany, Robert bywa również złośliwy. Zapewne nie jakoś specjalnie, poczułam się jednak lekko urażona. Jakbym w ogóle zamierzała cokolwiek psuć, dezorganizować i posiadała zdolności telekinetyczne!

Jeżeli kogoś można było w tej chwili podejrzewać o zamiar psucia, to Lokiego. Choć od czasu zasikania butów Roberta nie miały miejsca żadne antykuwetkowe manifestacje, to pozostawione pudełka z butami mogły wyzwolić niepożądane instynkty. Na wszelki wypadek zamknęłam kartony w sypialni. Loki aktualnie udał się z wizytą do Myszy, z którą serdecznie się zaprzyjaźnił, nie musiałam zatem się martwić, co zrobię, kiedy na widok zamkniętych drzwi podniesie larum. Robertowi wręczyłam otwieracz do wina, z trudem wyperswadowując mu sprzątanie bałaganu.

Kładąc czoło na silnym ramieniu, które już tyle razy wyciągało mnie z kłopotów, a któremu przez tak długi czas się opierałam, poczułam nareszcie ulgę. Emocjonalna sinusoida ruszyła ku górze i wszystko wskazywało na to, że tam zakończy swoją wędrówkę. Chyba odczuł to również Robert, bo uniósł powoli dłoń i zaczął przeczesywać palcami moje włosy.

– Przystaniesz mi wreszcie uciekać? – zapytał, przytulając policzek do mojego czoła.

Podniosłam rękę, obejmując go w pasie.

– Tobie nieźle wychodzi gonienie mnie. Ale koniec. Dość już uciekałam, a i tak wyszło, że bez skutku. Niepotrzebne marnowanie energii.

– Czyli mogę liczyć, że resztę twojego urlopu spędzimy razem? Może ja też wezmę kilka dni wolnego...

Aż tyle, niestety, obiecać nie mogłam. Przynajmniej na razie. Wciąż było za dużo nierozwiązanych spraw, wymagających mojej obecności, przytomności umysłu i działania. Luiza. Olgierd. Babcia Irenka i pan Leszek. No i ślub Michała oraz Alicji, w który chyba będę zmuszona zaangażować się trochę bardziej, bo wykończony Michał może nie podołać oczekiwaniom narzeczonej. Jeszcze na chwilę musiałam swoje prywatne sprawy odsunąć na bok. Nie tak zupełnie, ale o beztroskim dryfowaniu na fali uczuć do Roberta na razie nie było mowy.

– Jeszcze będę musiała wyjechać z bratem. – Westchnęłam. – Raz, może dwa...

– Te sprawy ze spadkiem?

– Dokładnie. Ale już chyba finiszujemy. Tylko Robert... Jak wpadniesz na pomysł opieki nade mną, to bądź łaskaw się ujawnić. I może zapukaj, zanim znów zaczniesz zwiedzać nasze piwnice.

– Oj, Maja, Maja. Tylko pod warunkiem, że nie będziesz się znów upierać, że ty sama, bez pomocy i w ogóle feministki górą – roześmiał się Robert, ale natychmiast spoważniał. – A może pojedę z tobą? Nie wiem, czy zdołam usiedzieć w Poznaniu, zastanawiając się, co wykombinujesz.

No i masz, znowu. Co ja niby mam wykombinować? Zbiegi okoliczności kombinują za mnie aż za dobrze!

– Michał mnie dopilnuje – oświadczyłam urażona. – Zresztą już sobie wyjaśniliśmy, że nie jesteś żadnym zbirem, świrem, z Kamilą łączy cię pokrewieństwo, a nie romans, więc szafa gra. Będę grzecznie dzwonić i odbierać telefon. A komisarz Borowiak odpracuje obstawę policyjną. Ty zaplanuj wspólny urlop pod koniec lata.

– O, naprawdę mogę?

Już miałam na końcu języka wymijającą odpowiedź, bo nie było łatwo przewidzieć, jak sprawy się potoczą. Jedyne, czego byłam pewna, to jak potoczy się dzisiejszy wieczór.

– Myślę, że możesz – szepnęłam, pozwalając dłoni powędrować w kierunku szyi Roberta.



Wieczór przerodził się w noc i gdyby nie budzik, nastawiony przez Roberta na siódma, przeciągnąłby się jeszcze bardziej.

– Jasne, że zostanę na noc – wymruczał Robert kilka minut przed pierwszą, gdy wreszcie dotarło do nas, że sofa i koc nie są najbardziej komfortowym miejscem i jednak warto przenieść się do sypialni. – I nie zamierzam się nigdzie rano spieszyć. Ostatecznie i tak mam od ciebie bliżej do pracy.

Taki obrót spraw bardzo mi odpowiadał. Robertowi chyba również, bo następnego dnia pod wieczór wrócił do siebie do domu jedynie po świeże ciuchy i kosmetyczkę. Wbrew moim obawom, również Loki nie miał zbyt wiele przeciwko. Nie mogłabym powiedzieć, że zupełnie nic, gdyż buty i ubrania Roberta na wszelki wypadek chowaliśmy do szafy. Innych przejawów protestu wobec pakowania się obcego faceta na terytorium młodego, zdrowego kocura nie odnotowano. Być może Loki uznał, że z tą obcością też tak nie trzeba znowu przesadzać.

Prywatne śledztwo Borówy chwilowo nie przynosiło rezultatów, a i ja miałam niewiele okazji, by wyciągnąć z Luizy zeznania. Wysłana na szkolenia do Wrocławia Lulu była dostępna jedynie przez telefon, a i wtedy na wyciągnięcie z niej informacji innych niż dotyczące najnowszych trendów w pielęgnacji skóry nie było szans. Odreagowując stres po włamaniu do ukochanego nissana, Luiza przerzuciła się na równie ukochaną pracę. „Może i lepiej”, doszłam do wniosku z nadzieją, że po powrocie ze szkolenia Lulu wróci równowaga ducha, zaś okoliczności do wyciągania zwierzeń natury kryminalnej staną się bardziej sprzyjające.

Nie wspominając o tym, że i mnie chwilowy reset od wariactw spadkowo-sensacyjnych był potrzebny. Michał na kilka dni odpuścił medytacje nad babcynym testamentem, świadom, że bez pomocy pana Leszka sami już nic z kasetki ani karteczki nie wydusimy. Od czasu do czasu domagał się wprawdzie pomocy przy organizacji uroczystości ślubnej, której udzielałam



mu chętnie w godzinach popołudniowych, gdy Robert był w pracy. I choć ilość wolnego czasu spokojnie pozwoliłaby mi wykroić godzinę lub dwie na obiecaną kawę ze Stevenem, poza kilkoma rozmowami przez telefon i wizytą w studiu, trudno mi było zamienić wieczór w ramionach Roberta na spotkanie z sympatycznym tatuażystą. Wizyta w studiu miała charakter jedynie kontrolny, gdyż Steven chciał ocenić, czy mój gepard zdążył się wygoić i czy nie wymaga drobnych poprawek. Pomiedzy jednym a drugim klientem nie mógł poświęcić mi zbyt dużo czasu, a i mnie zależało, żeby nasze spotkanie nie zachęcało do prób zamiany przyjaźni w głębszą zażyłość. Moje myśli i plany na przyszłość całkowicie zdominował Robert. Wrześniowy urlop we dwoje w niewielkim, przytulnym pensjonacie gdzieś w górach przestał być złudą gotową rozwiązać się w każdej chwili. Więc choć miałam pomysły na kolejne tatuaże i nie wyobrażałam sobie, by pracował nad nimi ktoś inny, nieczne plany Lulu w zakresie swatania nie miały szans wypalić. Może gdyby znajomość z Robertem zakończyła się definitywnie tego dnia po pogrzebie Olgierda, umiałabym dostrzec w opiekuńczym, rozgadany Stevenie kogoś więcej niż tylko sympatycznego kolegę. Ale sprawy potoczyły się inaczej. Byłam szczęśliwa z kimś innym.



Czwartkowy wieczór przyniósł niemiły zgrzyt w sielankowym świecie, w jakim pławiłam się od poniedziałkowej nocy. Zamiast usiąść z kotem na kolanach i obejrzeć film w telewizji, Robert wodził za mną zatroskanym wzrokiem, gdy miotałam się po mieszkaniu, pakując się przed jutrzejszym wyjazdem. Wprawdzie Michałowi nie zależało szczególnie na czasie,

zwłaszcza że od rana czekała go przymiarka garnituru, sama jednak umówiłam się na dziewiątą na tajne posiedzenie z Borową i czułam, że w piątkowy poranek nie będę miała głowy do spraw tak przyziemnych jak pakowanie walizki.

Ale, jak widać, i czwartkowy wieczór niespecjalnie się do tego nadawał. Robert, który rozstawał się ze mną niechętnie, znając mój talent do komplikowania wszystkiego, czego się tylko tknę, tym bardziej martwił się konsekwencjami wycieczki do miasteczka.

– Nie porwą mnie. Nie zamordują. Nie utopię się w jeziorze i nie rozchoruję z przeżarcia rurkami z kremem – mamrotałam machinalnie, słuchając zatroskanego marudzenia ukochanego mężczyzny. – Innymi słowy, dam sobie radę.

– No nie wiem. – Moje słowa miały na Roberta mało uspokajający wpływ. Mogłabym się wręcz założyć, że było odwrotnie. – Coś wykombinujesz, coś ci się stanie, a potem będzie płacz i zgrzytanie zębów.

– Hej, tylko mi bez biblijnych proroctw! – zirytowałam się wreszcie. – Kiedyś i tak będę musiała to załatwić. To chyba lepiej, że teraz. Potem będę miała dla ciebie więcej czasu, ty będziesz mnie miał na oku i oboje przestaniemy się stresować. Więcej wiary w moje możliwości!

– Właśnie aż nadto wierzę w te twoje możliwości – mruknął Robert, ale morderczy błysk w moich oczach zamknął mu usta. Co nie zmieniało faktu, że spoglądał na mnie z taką samą troską i sprawiał, że sama zaczynałam się zastanawiać, co jeszcze może pójść nie tak.

„Wszystko”, zdecydowałam po chwili. Wszystko może pójść nie tak, jeżeli w najbliższym czasie nie uda mi się wybić mu z głowy tej nadopiekuńczości. Może naprawdę powinnam dać mu na czas wyjazdu kota? Kto jak kto, ale Loki potrafi być bardzo absorbujący...

Jednak Loki, nawiązawszy bliskie relacje z Myszą, rozstawał się z nią równie niechętnie, jak Robert ze mną. W praktyce

miałam albo dwa koty, albo ani jednego. Nawet w nocy Mysza coraz częściej meldowała się na balkonie, domagając się, żeby ją wpuścić. Separacja tej dwójki mogła zakończyć się istną kotastrofą, szczególnie dla butów Roberta.

Tej nocy zaczęłam mieć wątpliwości, czy od tej nadopiekuńczości po prostu się nie uduszę. Trzeba było bezwzględnie nakreślić granice, stanowczo, choć broń Boże przed robieniem awantur!

Nie podobało mi się, że w moim małym, prywatnym rajku zaczynają grasować węże wątpliwości i nieufności. Nie pozwalały zasnąć, prześlizgiwały się pośród myśli i płoszyły nadzieję na szczęście. Tuż przed drugą zdenerwowana podniosłam się z łóżka, kierując się słusznym założeniem, że skoro już i tak nie śpię i się wiercę, lepiej powiercić się w kuchni, zamiast budzić leżącego obok mężczyznę, który, jak znam życie, natychmiast zdenerwuje się moim kiepskim samopoczuciem, wylezie z łóżka za mną, a jutro do pracy dotrze kompletnie nieprzytomny. Najciszej, jak potrafiłam, wymknęłam się z sypialni i dostałam się do kuchni.

Światła nie zapalałam, gdyż Loki wyemigrował na noc do sąsiedniego mieszkania. Nie ryzykowałam wlezenia w ciemności na koci ogon, a nauczona doświadczeniem wieczorem odkładałam rozwleczone po całym mieszkaniu zabawki do kociego posłanka. Jeżeli o coś mogłabym się potknąć, to tylko o własne nogi, a przed taką ewentualnością nie chroniłoby mnie nawet pozapalanie świateł w całym mieszkaniu. Weszłam do kuchni i nie do końca przytomna wyciągnęłam szklanę, nalałam wody, po czym sięgnęłam do szuflady z lekami przeciwbólowymi.

Delikatny chrobot w pierwszej chwili skojarzył mi się z grzechotaniem przerzucanego w kuwecie żwirku, jednak jak na Lokiego był zbyt delikatny. Matko boska, czyżby w wyniku sąsiedzkich migracji zawitało u mnie inne zwierzę i nawet o tym nie wiem? Nie ma sprawy, wszystkie koty były mile widziane, wolałabym jednak znać liczbę kotów znajdujących się

w mieszkaniu w danym przedziale czasowym. Możliwe, że rodzice przewracają w tej chwili mieszkanie do góry nogami w poszukiwaniu stwora, który wizytuje toaletę za ścianą.

Obstawiając na chybił trafił, że w kuwecie zastanę Figę, podniosłam się w krzesła i ruszyłam w stronę łazienki.

W kuwecie nie było ani jednej sztuki kota.

Tymczasem chrobotanie rozległo się ponownie, a mnie zimny dreszcz przeleciał po plecach. Jak głupia szukałam źródła dźwięku w kuwecie, podczas gdy dźwięk dochodził z przedpokoju.

O tak, pomyliłam się przy lokalizacji straszliwie, czego najlepszym dowodem było ciche skrzypnięcie drzwi wejściowych.

„Na litość boską, tu przecież nie ma piwnicy z ukrytym skarbem”, jęknęłam w duchu, stojąc skamieniała w totalnych ciemnościach. Taka sama ciemność wypełniała mi umysł. Co się dzieje, co, do diabła, robić? Wrzeszczeć i obudzić Roberta? Wykluczone, może spłoszyłabym intruza, ale równie dobrze mogłam sprowokować go do ataku. Sama również nie wrywałam się do konfrontacji. Na razie, dopóki nic lepszego nie przyjdzie mi do głowy, chyba najlepiej siedzieć cicho i czekać, aż mnie olśni. Albo znajdę okazję, by przemknąć do sypialni i zasygnalizować Robertowi, że mamy gościa. To by było najlepsze wyjście.

Tylko dlaczego ta sypialnia jest tak cholernie daleko?

Nowe panele, szlag by je trafił, nie chciały skrzypieć, a nocny intruz nie był na tyle głupi, by włożyć do wyłożonego kafelkami przedpokoju w butach do stepowania. Poruszał się w ciemności cicho niczym kot, ale – o czym z rozpaczą pomyślałam – kota zdradziłoby stukanie pazurkami o podłogę. Bez względu na to, kto tu wlaźł, poruszał się chyba w samych skarpetkach, nie dając mi szans na lokalizację przy pomocy dźwięku.

Zatem nie ma siły. W łazience mogę przesiedzieć, owszem, ale pożytek z tego będzie niewielki. Gwarancji, że nieproszony gość

zostawi ją w spokoju, nie miałam żadnej. Odpuści, jeżeli zjawił się tu tylko w celach rabunkowych.

A jeżeli bardziej od mojego mienia interesuje go ja sama?

Na samą myśl o zainteresowaniu intruza zatelepałam się ze zgrozy. Samotna kobieta, mieszka jedynie z kotem... Oj, niedobrze to wygląda, bardzo niedobrze! Nie ma co czekać, trzeba Roberta budzić natychmiast!

Zdażyłam jeszcze pomyśleć, że całe szczęście, że chociaż Loki siedzi bezpiecznie za ścianą. Potem ostrożnie wychyliłam głowę z łazienki, wlepiając oczy w ciemność i usiłując dostrzec choćby cień szansy na przedostanie się do sypialni. Z Robertem u boku mogę potem zgrywać odważną, ale teraz...

Co teraz, nie było mi dane wymyślić, gdyż na wystawioną z łazienki głowę w tej samej chwili spadło uderzenie. Błyskawiczna wycieczka międzyplanetarna, jaką odbyłam pomiędzy ciosem a runięciem na podłogę, była ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, zanim świecące jasno gwiazdki zgasły i zapanowała ciemność.



Nie wiedziałam, jak długo leżałam w zamroczeniu na podłodze przy drzwiach łazienki, jednak odzyskiwana etapami świadomość nie wystarczała, by rozeznąć się w sytuacji. Po otwarciu powiek stwierdziłam, że nadal otacza mnie wszechobecny mrok, a identyfikacja zamazanej sylwetki klęczącej tuż obok była wykluczona dodatkowo z powodu paskudnego łzawienia wywołanego przez dudniący, tępy ból w okolicy ciemienia. Co się działo dookoła, mogłam tylko zgadywać. Pewne było jedno. Dostałam w łeb, a za co i od kogo,

nie umiałam sobie nawet wyobrazić.

Z głuchym jękiem uniosłam głowę i mrużąc załzawione oczy, wlepiłam wzrok w czarną plamę przede mną. „Może lepiej by było udawać nieboszczyka”, wymamrotał zdrowy rozsądek, nadal zbyt otępiały, by służyć dobrą radą na czas. W tej chwili wszystko we mnie działało z opóźnieniem, więc na to, żeby wrzaskiem obudzić Roberta i wykorzystać moment zaskoczenia, nie wpadłam.

Na to, żeby spróbować się bronić, bo być może za kilka sekund zostanie brutalnie pozbawiona żywota, również nie. Trwałam na podłodze, z uniesioną lekko głową, czekając jak cieleń na rzeź. Że należy zacząć się bać, jeszcze do mnie nie dotarło.

Prawdopodobnie to konkursowe ogłupienie ośmieliło włamywacza, który szybko doszedł do wniosku, że bardziej bezbronna już nie będę. Chyba że nieprzytomna. Pochylił się nade mną i po chwili dobiegł mnie stłumiony kominiarką głos:

– No i co? Możemy wreszcie pogadać?

Nie, zdecydowanie nie mogliśmy. Na dźwięk głosu zaniemówiłam tym bardziej, gdyż ujawniał szokującą informację o intruzie.

Rany boskie, to była baba!

I wcale nie zamierzała ukrywać, po co tu przyszła. Jednym, krótkim pytaniem wyjaśniła wszystko:

– No Kostrzewska, gdzie spadek babuni?

„A cholera go wie”, wrzasnęłabym najchętniej, bo nerwy zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa. Klótnia nie była najlepszym pomysłem, ale na myślenie w tej chwili nie było mnie stać. Zatrzęsa mną ślepa furia. Ta sama zołza, która pałętała się w babcinej piwnicy. Wściekłość zaślepiła mnie na tyle, że zapomniałam nawet, że tak naprawdę nic mi głupie babsko zabrać nie może, bo przecież sama jeszcze nic nie mam. Na samą zaś myśl, że mam do czynienia z dziewczuchą, przestałam się bać do reszty. Zmobilizowałam wszystkie siły i rzuciłam się w jej kierunku.

Tyle że w całym swoim geniuszu nie przewidziałam, że cios w ciemność może mieć negatywny wpływ zarówno na moją szybkość, refleks, jak i na zdolność oceny własnych możliwości. Rzut w kierunku baby wybitnie mi nie wyszedł. Szarpnęłam się ciężko ku przodowi, machnęłam na chybił trafił pięściami i runęłam, powalona nagłym zawrotem głowy.

Efekt osiągnęłam dokładnie przeciwny do zamierzonego. Unieszkodliwiłam sama siebie, pogarszając i tak kiepską sytuację.

– No, Kostrzewska – warknęła rozjuszona moim brakiem skłonności do współpracy napastniczka. – Miałam nadzieję, że

jakoś się dogadamy. No nic, dogadam się z twoim bratem. Tobie już dziękuję.

Może i byłam mało przytomna, jednak niepokojący błysk w dłoni zamaskowanej baby zinterpretowałam bezbłędnie. Z przeraźliwym kwikiem szarpnęłam się na prawo, w ostatniej chwili uchylając się przed ostrzem noża.

Krótkie, zdecydowane szarpnięcie wyrwało napastniczce nóż. Drugie obezwładniło i postawiło na nogi niczym szmacianą kukielkę.

– Majka, światło – zakomenderował zdyszany Robert. – A ty się nie szarp! Zaraz sobie pogadamy w bardziej komfortowych warunkach...

Oszołomiona podpełzłam do ściany z najbliższym włącznikiem. Przeraźliwie jasna fala światła zalała przedpokój, Roberta i babsko, które nagle opadło z sił i gdyby nie silny chwyt, osunęłoby się na podłogę.

– Jakoś tak średnio wygodnie na stojąco – mruknął Robert, upewniwszy się, że jestem cała. – Usiądziesz sobie. A potem nam powiesz, jak to się stało, że cię tu gościmy. Mamusia nie nauczyła, że to nieładnie wchodzić bez pukania?

– I to, zdaje się, dwa razy – wymamrotałam. – Dam głowę, że to ona się plątała w piwnicy.

– Też mam takie wrażenie – powiedział Robert, prowadząc babę do kuchni. Mało delikatnie posadził ją na krześle i przytrzymał za ramiona. – No, słucham.

W odpowiedzi usłyszeliśmy przyspieszony, płytki oddech.

– Z tobą była bardziej rozmowna – syknął zniecierpliwiony Robert. – Coś tam na temat spadku słyszałem. A skąd ty o tym wiedziałaś?

Oddech jeszcze nieznacznie przyspieszył, jednak po chęci do rozmowy nadal nie było śladu.

– Wezwijmy policję. – Zdenerwowałam się nagle jeszcze bardziej. – Niech Borówa wyciągnie z niej, co się da, on się do



tego lepiej nadaje!

Robert powoli skinął głową.

– Masz rację, zadzwoń. Ale zanim przyjadą, ja sobie sprawdzę jeszcze jedną rzecz.

„A sprawdzaj sobie, ja na ten cyrk już nie mam siły”, pomyślałam, truchtem biegnąc do sypialni po komórkę. 112? Bez sensu, szybciej będzie od razu do Borówy.

Zanim jednak zdążyłam wybrać numer, dobiegł mnie zaskoczony krzyk Roberta. Z nerwowym jękiem wsadziłam telefon do kieszeni szlafroka i pognałam do kuchni.

Zatrzymałam się w progu, gdyż siła rażenia zastanego widoku wyhamowała mnie gwałtownie.

Obok krzesła stał Robert z kominiarką, którą ściągnął z głowy baby i gapił się z niedowierzaniem na siedzącą przed nim postać.

Z takim samym niedowierzaniem, przemieszonym z niemałą rozpaczą, kobieta na krześle gapiła się na Roberta.

Ja zaś gapiłam się na oboje, usiłując stłumić skutki nerwowego szoku, jakiego doznałam na widok Kamili.

Robert ochłonął pierwszy.

– Kama, bardzo cię proszę, wyjaśnij mi, co tu się dzieje – wymamrotał, siadając na krześle naprzeciwko siostry. – I to szybko. Bo inaczej wyjaśnię sobie sam. I te wyjaśnienia będą dla ciebie cholernie niekorzystne.

Dla odmiany Kamila coraz gorzej panowała nad nerwami. Nie wiem, czy bardziej wytracił ją z równowagi fakt, że została złapana i zdemaskowana, czy też to, że w mojej sypialni zastała swojego brata. Podbródek drżał jej, gdy wzburzonym spojrzeniem mierzyła na zmianę to mnie, to Roberta. Coś się w niej zbierało, kotłowało, jakiś bardzo nieprzyjemny wrzód, wypełniony złością, nienawiścią i potrzebą zemsty. Z każdą sekundą pęczniał i było jasne, że lada moment pęknie, zalewając nas całą zebraną ropą chorych emocji.

– Lepiej ty mi coś wyjaśnij! – pisnęła w końcu, trzęsąc się. – Dlaczego ty tu z nią?! Dlaczego akurat z nią? Dlaczego trzymasz jej stronę?!

Kolejny atak na moją osobę, choć tylko werbalny, sprawił, że Robert się wściekł. Tak przynajmniej mogłam wnioskować po zaciśniętych nagle ustach i zmarszczonych, skupionych brwiach. Jednak jego złość, w przeciwieństwie do szarpiącego Kamila histerycznego szału, jeszcze bardziej potęgowały opanowanie i zimny spokój.

– To jeden Bóg raczy wiedzieć, dlaczego akurat z nią – wycodził. – A tu proszę! Moja własna siostra włamuje się jej dwukrotnie do domu, usiłuje okraść i zrobić kuku. Bo chyba w tym celu machałaś tym scyzorykiem. Jeszcze się dziwisz, czemu trzymam jej stronę?

Tego było dla Kamili za wiele. Zatelepała się na krześle w nerwowym ataku, zwiastującym perforację nabrzmiałego gniewem, a teraz jeszcze sprawionym przez brata zawodem wrzodu.

– I ty śmiesz na mnie zwać winę? – wrzasnęła. – Kto kogo okradł?! Ona mnie i swojego byłego męża! Oskubała do zera! Ja chciałam tylko te pieniądze odzyskać! Należą mi się, zwłaszcza teraz, po tym, co zrobiła Olgierdowi!

Szokujące informacje, podane w tak skoncentrowanej dawce, nieco zbiły Roberta z tropu.

– Nie, no zaraz – mruknął. – Czegoś tu nie rozumiem. Majka, czy ja dobrze słyszę? Ty miałaś z nią jakiegoś wspólnego faceta?

Wypierać się ani kręcić nie zamierzałam. Choć wolałabym wtajemniczać Roberta w detale swojego życiorysu bardziej subtelnie.

– Miałam. – Westchnęłam ciężko. – Tego gościa, na pogrzebie którego byliśmy.

– Przecież to był chłopak Kamili!

– No zgadza się, poniekąd... Tyle że wcześniej mnie z nią

zdradził, więc się rozwiedliśmy.

Na takie rewelacje Robert nie był gotowy.

– Ja pierdołę – powiedział dziwnie zduszonym głosem. – Ja pierdołę...

– Zaraz będzie jeszcze lepiej! – rzuciła Kamila, której głos dla odmiany nadal oscylował w okolicach świdrującego uszy pisku. – Oskubała go z całej kasy przy tym rozwodzie! A i tak było jej mało! Tak go nienawidziła, że go potem zabiła! Tak, braciszku! I jeszcze śmiała przyjść na pogrzeb! No powiedz, co ty byś na moim miejscu zrobił?!

Ale Robert nie zdołał zrobić nic poza wbiciem we mnie zszokowanego spojrzenia. Poczułam, że tym razem we mnie napęczniało i coraz bardziej domagało się ujścia zbyt wiele emocji. Zostałam napadnięta we własnym domu. Drugi raz. Przez babsko, które odbiło mi męża. Rościło sobie idiotyczne prawa do mojego spadku i moich pieniędzy w ramach jakiegoś wyimaginowanego odszkodowania za równie wyimaginowane krzywdy! A teraz jeszcze śmie mnie oskarżać o zabicie Olgierda i to przy Robercie!

– Niech mnie ktoś uszczypnie – wymamrotałam z niedowierzaniem. – Próbujesz mi wmówić, że to ja zabiłam Olgierda?

– No a kto inny? – prychnęła Kamila.

Atak dziwnego kaszlu, który zaczął mnie dławić kilka minut wcześniej, wyrwał się wreszcie na wolność, by niemal natychmiast przerodzić się w spazmy histerycznego chichotu. Wibrował w powietrzu przeraźliwymi nutami, coraz głośniejsze, wypełniając mieszkanie, zapewne klatkę schodową, a możliwe, że i całą resztę bloku. Ale miałam już gdzieś, ilu sąsiadów zbudzi i jako którzy przyłecą moi rodzice, żeby sprawdzić, co za cyrk się rozgrywa za ścianą. Marzyłam tylko o jednym. By w całym tym domu wariatów znalazła się choć jedna normalna osoba, zdolna zapanować nad szaleństwem, jakie właśnie poczyniło kolejny krok ku zdemolowaniu mi zdrowia

psychicznego, fizycznego i perspektyw na szybki powrót do równowagi.

W tej roli mógł wystąpić tylko jeden człowiek.

I bez względu na wszystko, co wydarzyło się potem, moja wdzięczność za przyjazd Borowy w tej akurat chwili nie miała granic.



– O, dzień dobry. Państwo, widzę, wspieracie się po przejściach – mruknął Borowa, gdy tuż przed ósmą zameldowaliśmy się z Robertem z jego gabinetu. – Bardzo chwalebne, zwłaszcza że wspólne przeżycia pozwalają stworzyć wyjątkowo silne więzi...

Ale jego mina mówiła, że nasze wspólne przybycie budzi w nim raczej głęboki niesmak. Pochwały jednoczenia się w bólu świadków po przeżytej nocnej traumie ni cholery nie mogłam się doszukać w ciemnych, posępnych oczach, ciskających podejrzliwe, ciężkie spojrzenia to na Roberta, to na mnie.

– Ja bym jednak wolał wywołać do odpowiedzi każdego z osobna. – Chrząknął wreszcie. – Wiecie, już w szkole uczą, że podpowiadanie sobie w zeznaniach nie popłaca. Ani na komisariacie, ani przy tablicy.

Na takie coś powinnam być przygotowana, jednak drgnęłam nerwowo, gdy Robert z rezygnacją podniósł się z krzesła.

– Kupię ci coś do picia i jakiegoś batonika – wymamrotał. – I sobie też. Niecodziennie wzywam policję w celu przymknięcia własnej siostry. Na korytarzu, zdaje się, jest jakiś automat...

Rozpaczliwym wzrokiem odprowadziłam Roberta do drzwi, po

czym skuliłam się na dźwięk ich zamykania.

Szybko jednak okazało się, że na nieme klepanie zdrowasiek w pełnym przerażenia milczeniu jest stanowczo za wcześnie. Gdy tylko za Robertem zamknęły się drzwi, Borówa przymknął oczy i ze zbolaną miną pomasaował sobie skronie.

– Rany boskie – wymamrotał wreszcie. – Majka, czy ty wiesz, co ona twierdzi? I czy wiesz może, co ja mam z tym twierdzeniem zrobić?

– Archimedes twierdził, że fizyka śmierdzi. – Obruszyłam się. – No błagam, nie mów, że jej wierzysz! Musiałabym się rozdziwić! Już to ustaliliśmy kilka razy!

– Wiem. I tylko dlatego siedzisz tu, a nie w areszcie – sapnął Patryk. – Dobra. Co wiemy?

– Że kochanka mojego byłego męża włamała się do domku mojej babci, potem do mojego, machała mi przed nosem nożem i wygrażała – wyrecytowałam posępnie. – Wszystko w ramach przedziwnie pojętej wendety. Lepiej ją przymknij na długo, bo są całkiem spore szanse, że zostanie moją szwagierką. Dość nerwowo zareagowała na tę wieść.

Borówa spiorunował mnie wzrokiem.

– Jasne, że przymknę, ale że dadzą jej dożywocie, to zapomnij. Choć uwierz mi, Majka, wszystko bym dał, żeby je dostała. Za zamordowanie konkubenta. Za jednym razem mielibyśmy z głowy te włamanie, zabójstwo Olgierda.... No i Lulu niewinna... – głos mu się załamał.

Na wzmiankę o przyjaciółce zrobiło mi się nieprzyjemnie. No tak. Skoro Kamila tak bardzo dyszała krwawą i finansową zemstą za uśmiercenie Olgierda, trudno podejrzewać, żeby był to tylko kamuflaż. Zwłaszcza że jej odciski palców nie pasowały do tych znalezionych w samochodzie Luizy.

– No właśnie, a jak tam Lulu? – bąknęłam, niepewna, czy warto drażnić lwa, jednak zapewnienie, że zabłysło choć nikłe światelko w tunelu, było mi bardzo potrzebne.

Światelko było naprawdę nikłe.

– Coś tam znalazłem – mruknął Borówa. – Niewyraźne odciski, ale wygląda, że facet, grzebał nie tylko przy sprzecie. Wiesz, ślady rękawiczek. Powiedz mi tylko, jak gnoja dorwać? Cholerny włamywacz widmo, nikt go nie widział, nie słyszał, a monitoring na tym parkingu zakładają od pięciu lat i jakoś tak nieskutecznie.

– Ależ bardzo chętnie spojrzę w szklaną kulę – prychnęłam. Co ja, wyrocznia jestem, że mnie policja pyta, jak przestępce złapać? – Chyba, że preferujesz tarota. Nie, Patryk, wybacz, trochę mnie przeceniasz. Chętnie ci opowiem, jak przesadzić paprotkę i pomóc przy rozplanowaniu rabatek w ogródku, ale bandziory to nie moja działka. No chyba że...

Nagle olśnienie zalało mnie jasnym światłem. No pewnie, słusznie Borówa mnie pytał! Kogo pytać, jak nie świadków? A przecież jeden świadek na policję jeszcze nie zdążył dotrzeć!

Mojego natchnionego oblicza Borówa początkowo nie zauważył, pogrążony w posepnych myślach.

– Nie mam ogródka – mruknął. – A Lulu ususzy nawet kaktusy, więc i paprotki nie uświadczysz...

– Spadaj z paprotkami, mam lepszy pomysł!

– No?

– Ja gościa nie widziałam na tym parkingu – zastrzegłam. – Znaczy się, bandziora. Ale wiem, kto go mógł widzieć. I mam pomysł, jak do niego dotrzeć. Więc jeśli dasz się namówić na małą wycieczkę, mamy szansę czegoś się dowiedzieć...



Determinacja Patryka, by dowieść niewinności Lulu, zakładała każdą wycieczkę, jaką bym zaproponowała. Pomimo najszczęśliwszych chęci musiał z tajemniczym spotkaniem poczekać do wieczora. Domknięcie formalności związanych z aresztowaniem Kamili i przesłuchanie Roberta zajęły mu jeszcze trochę czasu, który mnie był z kolei potrzebny na wykonanie kilku telefonów. Przede wszystkim musiałam przelożyć spotkanie z panem Leszkiem na nieco późniejszą porę. W skrócie nakreśliłam obraz problemów, jakie spotkały nas w związku z uzurpatorką praw do spadku i obiecałam szerszą relację w sobotę.

Pan Leszek wysłuchał z życzliwym zainteresowaniem opowieści o spadkowych perypetiach i głośno się roześmiał.

– Wybacz mi, Maju – powiedział wreszcie. – Nie miałem zamiaru żartować czy lekceważyć sytuacji. Bardzo mi przykro z powodu waszych problemów.

W to nie wątpiłam. Zważywszy na fakt, że z ekscesów Kamili wycięłam w swej relacji te najbardziej drastyczne, pewnie nie wyglądało to nawet w połowie tak dramatycznie.

– Chodziło mi tylko o to – ciągnął pan Leszek – że mam poważne obawy, czy ta pani byłaby usatysfakcjonowana spadkiem, jaki zapisała wam babcia. Chyba nie o taki zysk jej chodziło.

– A o jaki? – Zdębiałam. – Ona chciała pieniędzy...

– Otóż to! – zachichotał pan Leszek – Powiedzmy, że dobra materialne, zapisane wam przez Irenkę, mają nieco inny charakter... I wątpię, czy zdołałaby zrobić z nich użytek.

Na wszelki wypadek oszczędziłam Michałowi usłyszaną rewelację. Posłucha sobie jutro. Umówiłam się z bratem na wyjazd w sobotę o siódmej rano i wybrałam ostatni z interesujących mnie numerów.



– Naprawdę mają otwarte tyle czasu? – spytał z niedowierzaniem Robert, gdy poprosiłam go, by piątkowy wieczór i noc spędził wyjątkowo u siebie. I, jak to było do przewidzenia, nie uzyskałam błogosławieństwa na chwilową separację.

Z tego właśnie względu nie chciałam spowiadać się Robertowi, że moje spotkanie ze Stevenem ma bardziej prywatny charakter i że nie idę na nie sama. O milczenie w tej kwestii poprosił mnie sam Borówa, któremu bardzo zależało, by wieść o jego wizycie w studiu nie dotarła do narzeczonej.

Robert ze wspólnego wieczoru zrezygnował niechętnie.

– Dobra, zawiozę cię chociaż – mruknął. – Podjadę tak za piętnaście szóstą, zaraz po pracy.

„I bardzo dobrze, że nie później”, pomyślałam nerwowo. Zważywszy, że Patryk miał dotrzeć na spotkanie dopiero o wpół do siódmej, prawdopodobieństwo kolizji było znikome. Wszystkie te akcje-konspiracje zaczynały być koszmarnie męczące, a przy okazji zmuszały mnie do okłamywania Roberta. Boże, kiedyż wreszcie skończą się te kłamstwa, kręcenie i cała reszta?

Na razie należało zażegnać niezadowolenie, z jakim Robert patrzył na mnie od początku dyskusji na temat wyjazdu do miasteczka i wieczornej sesji w studiu tatuażu. Głupio mi było, że mam dla niego tak niewiele czasu i wcale się nie dziwiłam, że średnio go te ochłapy cieszą. No i historia z Kamilą... Nie ma co kryć, nasz związek miał trudne początki.

– Przeze mnie wzrosną ci rachunki za paliwo. – Uśmiechnęłam się smętnie. – O ile pamiętam, nie lubisz jeździć autem



w sezonie letnim.

– A mam wyjście? – Robert westchnął. – Zresztą bierz diabli rachunki. Martwi mnie jedynie ten niekorzystny rachunek czasowy.

– Chwilowo niekorzystny.

– A potem?

– Potem wreszcie pojedziemy na wakacje – obiecałam. – A jeszcze potem będę pilnowała, żeby nikt nie wciągnął mnie w żadną kryminalną awanturę.

– No dobra. – Robert w końcu ustąpił. – To ja umilę sobie weekend planowaniem tego naszego wyjazdu. Pomyśl, gdzie miałabyś ochotę pojechać. Rundka po biurach podróży będzie przyjemnym urozmaiceniem.

Jednak pomimo takiej deklaracji mój ukochany nie był w stanie opanować ponurego spojrzenia, gdy dziesięć po szóstej podjechaliśmy pod studio.

– Jesteś pewna, że nie pomyliłaś godzin? – zapytał niechętnie.  
– Do osiemnastej. Jest po.

– Wiem, ale to tak... Po znajomości – bąknęłam, natychmiast zapominając o wycieczce na Sycylię, którą próbowałam odciągnąć myśli Roberta od samotnego weekendu. – Koleżanka ma wejścia. Inaczej miałabym szansę dostać się tu za rok. To tylko kontrola, czy z tatuażem wszystko w porządku. I ewentualnie jakieś wykończenia.

– To może zaczekam? Albo cię odbiorę?

Powoli kończyły mi się pomysły na bajeczki. Naprawdę, wiele talentów dało mi życie, ale nie ten do łgania, niestety. Dotąd jego brak mi nie doskwierał, dopiero ostatnio zaczęłam doceniać płynące z niego korzyści.

– Naprawdę nie, dzięki – powiedziałam i z braku lepszego pomysłu desperacko uczepiłam się prawdy. Przynajmniej tego jej wycinka, który mógł się przydać. – Robert, wybaczone. Jestem po prostu cholernie zmęczona. Chcę to załatwić, wrócić

spacerem do domu i nabyć w drodze powrotnej potworną ilość czekoladek. A potem sobie nad nimi popłakać. I nie przejmować się, że mnie będziesz oglądał w rozmazanym makijażu. Taka babska forma terapii. Bardzo jej potrzebuję...

To wreszcie przekonało Roberta, że nawet kobiecie wypada czasem dać odrobinę czasu na tak intymne formy odreagowania stresu, jak utopienie czekoladek w słonym sosie z łez, nadzianie ich żalami i skonsumowanie, by układ pokarmowy się z nimi rozprawił.

– No w porządku – mruknął, przytulając mnie mocno. – Mogłaś tak od razu. Ale dzwoń, gdybyś zmieniła zdanie. Osobiście wolę batoniki, ale się poświęcę.

Uśmiechnęłam się na taką gotowość do poniesienia ofiary. Ostatecznie złość, że nie spędzimy razem weekendu, była zrozumiała. Wybranie między siostrą a ukochaną musiało być dla Roberta straszliwie trudne i byłam mu wdzięczna za podjętą decyzję. Rozumiałam, że nie chciał zameczkać się nielojalnością wobec Kamili, siedząc samotnie w mieszkaniu.

Stałam chwilę na parkingu, patrząc, jak odjeżdża. Potem z ciężkim sercem ruszyłam w kierunku studia.

Steven siedział na krześle przy otwartym oknie, przeglądając od niechcienia muzyczne czasopisma.

– Cześć! – Uśmiechnął się, gdy zobaczył, jak wchodzę do studia. – Ten twój znajomy policjant też przyjdzie?

– Ta – mruknęłam, bo przygnębienie po pożegnaniu z Robertem odebrało mi entuzjazm. Myśl, że właśnie wciągam Stevena w śledztwo w sprawie morderstwa, przybiła mnie jeszcze bardziej. – Za piętnaście minut. Wcześniej nie mógł się wyrwać. Wybacz, że zatrzymaliśmy cię po pracy.

– Drobiazg. – Steven wzruszył ramionami. – Do czego ci jestem potrzebny? Chcesz coś do picia?

Melisę. Dużą ilość wódki. A najlepiej czysty spirytus. Bardzo żałowałam, że dwa z tych trunków były w studiu zakazane,

a jeden niedostępny. Musiałam zadowolić się wodą mineralną.

– Pamiętasz to włamanie do samochodu Luizy? – spytałam, gdy usiedliśmy na kanapie. – Potrzebny nam ktoś, kto widział włamywacza.

Steven był ostatnią osobą, którą mogłabym podejrzewać o brak dobrych chęci. Ale tym razem to było za mało.

– No, przykro mi. – Pokręcił głową zakłopotany. – Mówiłem ci, że nie było tam nikogo podejrzanego. Przynajmniej ja nie widziałem.

– Wiem. Ale widziałeś kogoś, kto mógł widzieć. Ten facet, co niemrawo przecierał szybki. Może on coś wie. Pamiętasz, jak wyglądał? Albo auto?

W niebieskich oczach Stevena odbiło się zdumienie równie silne, jak w niedzielny poranek, gdy zastał nas z Lulu przytulone na czworaka do swojej fiesty.

– Pamiętam – powiedział powoli.

Nadzieja wstąpiła w me zbolące serce, ignorując dziwny ton i jeszcze dziwniejsze spojrzenie.

– Błagam cię, powiedz! Tylko ty go widziałeś, jesteś naszą ostatnią nadzieją!

Zdziwienie w oczach Stevena przybrało na sile.

– No jak to? – zapytał nieufnie. – Przecież chyba znasz tego faceta. To znaczy, tak myślę. Przecież cię tutaj przywiózł. I chyba obcego byś nie całowała?

O nie, nie, nie! Stanowczo protestuję! I nie wierzę! Nie wierzę, żeby Robert stanowił kolejny element sensacyjnej układanki, w której i tak w trosce o moje zdrowie i dobre samopoczucie płatał się o wiele za często! Jeszcze to! Był tam! Niemrawo szybki przecierał! Tylko ja się pytam, co robił na osiedlu Lulu i Borówy w niedzielę przed szóstą rano, skoro ani jego miejsce zamieszkania, ani wynajmowana przez Kamilę i Olgierda kawalerka, ani nawet dom brata nie znajdowały się w tej okolicy? No, dobra, może rodzice... Ale od rodziców o tej

godzinie? No bo od kogo innego? Gdyby w grę wchodziła jakaś podrywka, chyba już bym się zorientowała? Albo doniósłby mi Borówa, który z obserwacji Roberta i pozostałych podejrzanych uczynił sobie jedną z ulubionych rozrywek.

Spokojnie, spokojnie... Steven też człowiek, człowieka czasem wzrok zawodzi. Zwłaszcza niewyspanego człowieka, gdy patrzy na coś z dużej odległości.

– Jesteś tego pewien? – spytałam, próbując ukryć rozpacz w głosie.

Ale Steven miał do swojego wzroku duże zaufanie.

– Tak, jasne. Miał nawet tę samą koszulkę. Ciemne, rudawe włosy, sylwetka, auto... Wszystko się zgadza. Ale to chyba dobrze? Skoro go znasz, bez problemu dowiesz się, czy kogoś tam widział. Ja się tylko dziwię, że cię nie rozpoznał.

Albo udawał, że nie rozpoznał. Czy taka opcja jest w ogóle możliwa?

– Nie, czekaj, czekaj – gwałtownie powstrzymałam kolejne słowa, jakie mogły paść z ust Stevena i jeszcze brutalniej rozłożyć mnie na łopatki. – Rozpoznać nie mógł, skoro czołgałam się z Luizą pod twoim samochodem. Sama go też nie zauważyłam. Zresztą to typ człowieka, który od rana działa na autopilocie. Nie rozpoznałby mnie, nawet gdybym nadepnęła mu na nogę i skakała na masce auta. No chyba że miałabym przyklejony na czole transparent z nazwiskiem.

– No to bandziora raczej też nie zauważył... Ale nie moja sprawa – uciał Steven. – Za to ty masz problem z głowy. Łatwiej dobić się do swojego chłopaka niż obcego faceta znanego jedynie z mojej relacji.

Zignorowałam akcent, jaki położył na słowo „chłopak”. Jeszcze mi to potrzebne. Czyżby Lulu miała rację i Steven próbował wybadać sytuację? To już naprawdę byłby nadmiar w tej rozszalałej orgii komplikacji... Gdyby nie Robert, pewnie zaczęłabym się zastanawiać, czy sympatyczny tatuażysta mi się podoba. Pewnie w dodatku doszłabym do wniosku, że bardzo...

Może wpadłabym nawet na to, że specjalnie czekał, siedząc przy otwartym oknie, a obłoczek papierosowego dymu miał na celu zamaskowanie zainteresowania moją osobą, dopóki sama nie zacznę wysyłać pozytywnych sygnałów?

Chwilowo głowę i serce miałam jednak nabite Robertem i niespokojnymi myślami, krążącymi wokół perspektyw na przyszłość. Robert pomógł mi złapać kota i zminimalizował szok po znalezieniu niezidentyfikowanego jeszcze wtedy nieboszczyka w ogródku. Robert zadbał o mnie, gdy ćwiczyłam szalone akrobacje na kociej piłeczce. Załatwił stolarza, który naprawił cholerny pawlacz. Jak idiota bawił się w bodyguarda, gdy byłam z Michałem w miasteczku. Zasypiało się przy nim jak przy nikim innym. No i nie zawahał się wydać własnej siostry, gdy zaczęła zagrażać mojemu bezpieczeństwu... Trwał obok jak anioł, zawsze gotów podsunąć pomocne ramię i niezbędne kalorie w zdrowym wydaniu, gdy poziom cukru nieprzyjemnie sygnalizował, że moje ciało znów spaliło za dużo paliwa, zupełnie bez sensu marnując je na stres. Był zawsze i wszędzie.

Tylko że tego „zawsze i wszędzie” zaczynało się robić jakby w nadmiarze...

Do tych samych wniosków musiał dojść Borówa, wysłuchawszy informacji, które Steven cierpliwie powtórzył.

– Jak on to robi, chciałbym wiedzieć – mruknął z przekąsem.  
– Ten twój facet. Jest trup – jest Robert. Jest włamanie – jest Robert. Jest włamanie do auta Lulu – jest niezmiennie Robert! Nie mówiąc o tej akcji w twoim mieszkaniu wczoraj w nocy... Sklonował się czy jak?

Klonować się nie musiał. Dobra logistyka rozwiązała już niejedyn problem dotyczący rozciągania wzdłuż i wszerz czasoprzestrzeni. Pytanie, czyim była dziełem? Przypadku? Czy samego Roberta?

Tego już wiedzieć nie chciałam. Z trudem pohamowałam irracjonalną chęć zatkania uszu, gdy Steven z Borową wałkowali temat niedzielnego poranka. I tajemniczego płątania

się mojego ukochanego wokół obu prowadzonych przez Borówę śledztw. Nic dziwnego, że gdy Patryk dał wreszcie sygnał do odwrotu, potrzeba pożarcia gigantycznej ilości czekoladek zdominowała wszystkie inne instynkty.

Potrzebę dosłódzenia sobie wyjątkowo podłej ostatnio egzystencji dostrzegł dość szybko Steven, jednak słowa Borowy na temat „mojego faceta” przystopowały dobre chęci w zakresie poprawienia mi samopoczucia. Pomimo rzucanych w moim kierunku pełnych współczucia spojrzeń niebieskich oczu, które wbrew naturalnym właściwościom tego koloru nabrały wyjątkowo ciepłego odcienia, po raz pierwszy nie przypomniał mi o obiecanej kawie i nie sugerował kontaktu telefonicznego.

– Tatuaż wygląda naprawdę dobrze, ale jeszcze przez tydzień dbaj o niego tak, jakby był zupełnie świeży – powiedział jedynie, obejrzawszy na koniec spotkania moją łydkę. – Gdybyś miała ochotę na kolejny, daj znać. Nie musisz przychodzić z Lulu, żeby znalazł się jakiś fajny termin. Ciebie też zapraszam – zwrócił się do Patryka, który po odpracowaniu obowiązków służbowych z coraz większym zainteresowaniem rozglądał się po studiu.

– Tak myślałem, może byśmy z Lulu obrączki sobie wytatuowali – mruknął. – Takie z imion i daty ślubu na przykład... Ale wiecie, to tylko pomysł. Nie mówcie jej na razie.

Pomysł na niespodziankę przypadł nam do gustu i solennie obiecaliśmy milczeć przed Lulu, dopóki Borowa nie zdecyduje się na realizację planu.

„Czyli do chwili oczyszczenia Luizy z podejrzeń o morderstwo”, westchnęłam ponuro, wychodząc ze studia i zapewniając towarzyszących mi panów, że dalej niż do wyjścia nie trzeba mnie odprowadzać. Nie potrzebowałam świadków słodkiego szału, który zamierzałam zainaugurować wizytą w pobliskim markecie. Grzecznie podziękowałam za propozycję podwiezienia, żegnając Borówę i Stevena, którym krótkie spotkanie wystarczyło, by znaleźć sporo tematów wartych omówienia przy piwie. Pomimo początkowego szoku, jakiego Patryk doznał na

widok tatuażysty, sympatyczny sposób bycia Stevena i jego przekonał, że można być całym we wzorki i mieć zupełnie niezłe poukładane w głowie. Wyglądało na to, że nawet jeżeli pomysł z tatuowaniem obrączek nie wypali, Steven w naszym towarzystwie zacznie bywać również prywatnie.

X wtedy dopiero zaczęę mieć problem, bo coś mi podpowiadało, że takiego układu Robert może nie zdzierżyć...

„Czy ktoś tam na górze zastanawia się, że może ja już nie zechcę zdzierżyć więcej atrakcji”, pomyślałam beznadziejnie, targając do domu torbę wypchaną niczym po napadzie na cukiernię i drugą z zakupami ze sklepu zoologicznego.

Zamierzałam zażerać smuteczki samotnie, jednak ponure refleksje na temat intencji wyższych instancji, kierujących podobno naszym losem, pobudziły w mózgu produkcję empatii. Wyższe instancje pomimo licznych, rozpaczliwych inwokacji nie były uprzejme zadziałać na moją korzyść. Czynniki ludzkie, równie chimeryczne, podejmował działania, jednak od tych działań ziemia coraz bardziej umykała mi spod nóg.

„Już tylko koty mi zostały”, doszłam do wniosku, ignorując wielkość kwoty, jaką zapłaciłam za kocią ucztę. Choć tak się odwdzięczę za cierpliwość wobec notorycznego braku czasu, w wyniku którego Loki jutro znów miał zostać pod opieką rodziców. Niewiele więcej mogłam z tym na razie zrobić. Poza snuciem planów, ile z babcinego spadku odpalę kotu na najlepszą karmę. I może większy drapak. A już na pewno na porządną donicę z goździkami, w których Loki uwielbiał się wylegiwać.

Na razie jednak należało domknąć sprawę tegoż spadku, przeznaczonego niemal w całości na przehulanie na kotkowe potrzeby. Trzeba pojechać do miasteczka i zaczekać na objawienie sensu tajemniczych słów pana Leszka o dobrach materialnych innego rodzaju. Swoje mgliste przemyślenie na ten temat już miałam.

Co nie zmieniało faktu, że nie zająknęłam się o nich ani

słowem, gdy następnego dnia wyruszyliśmy z Michałem na spotkanie z panem Leszkiem. Nie chciałam, żeby mi brata szlag ciężki trafił już za kierownicą.

Nie mówiąc o tym, że byłam zbyt zajęta przeżywaniem bólu brzucha po nocnej orgii z czekoladkami w roli głównej. W ramach złośliwej pokuty żołądek stanowczo odmówił zaplanowanego womitowania i do końca podróży byłam skazana na gwałtowne skręty z trudem upchniętego w rozwleczonych portkach od dresu brzucha. Sklasyfikowana jako wysoce nieskuteczna i bogata w skutki uboczne czekoladowa terapia wymagała modyfikacji.

I dużej dozy samokontroli, gdy pan Leszek zaproponował rozmowę przy filiżance gorącej czekolady.



– Wybaczcie, kochani, tę samowolkę. – Uśmiechnął się siwy, wciąż przystojny mężczyzna, który powitał nas w drzwiach babcinej willi. – Irenka zostawiła mi klucze i uznałem, że chyba lepszego miejsca na naszą rozmowę nie znajdę. Rozgośćcie się i podejdźcie do saloniku. Pani Zosia upiekła nam ciasto, a ja zajmę się resztą.

Pomimo zmęczenia i paskudnej zgagi, której efekty próbowałam załagodzić żuciem miętowej gumy, niemal natychmiast rzuciłam się do kuchni. Choć pan Leszek, pomimo postępujących problemów zdrowotnych, fantastycznie radził sobie sam, nie wyobrażałam sobie, by poruszający się o lasce, chory na reumatyzm mężczyzna pełnił honory domu. Zaparzenie herbaty nie było dla mnie wielkim wysiłkiem. Do pokrojenia ciasta z kruszonką i malinami zaprzęłam Michała.



Sama wolałam trzymać się z dala od słodkiego pokuszenia, które wbrew dzikim protestom ze strony żołądka nęciło rozkoszną wonią.

– Dziękuję ci, Majeczko. – Pan Leszek przeczekał kuchenną krzątanicę, zatopiony w przeglądaniu kartek zapisanych odręcznym, pełnym zawijasów pismem babci. – Chyba możemy zaczynać. Choć powiem wam szczerze, trochę się dziwię, że spotykamy się dopiero teraz.

– Coś nam z tą dorosłością było nie po drodze – bąknął Michał. – Opuściliśmy ten temat w szkole dojrzewania...

– A może za dużo samokrytyki? – Pan Leszek przyglądał się nam z życzliwym zaciekawieniem. – Może nieco inaczej niż Irenka zdefiniowaliście dorosłość?

Spojrzeliliśmy na siebie z Michałem bez słowa. Tak. Ja w wyciągniętym dresie po orgii obżarstwa na okoliczność smutków, z którymi nie umiałam sobie poradzić. Michał, zaradny i obrotny, lecz wydłubujący z siebie oznaki jakichkolwiek ciepłych uczuć wobec najbliższych pincetą. Oboje z cudownym talentem do pchania łap między drzwi, ładowania się w kłopoty i posiłkowania przedziwnie pojętą logiką, gdy grunt pod nogami zaczynał się nam palić. Cud boski, że w ogóle dopatrzyliśmy się w sobie choć szczątkowej formy tej pioruńskiej, wymaganej przez babcię dojrzałości!

Wyglądało jednak na to, że pan Leszek dopatrzył się również. I to chyba w znacznie większym zakresie.

– Mam dla was cztery prezenty z okazji tej opóźnionej osiemnastki. – Pan Leszek mrugnął do nas. – I, jak stwierdziła wasza babcia, wymagające spełnienia pewnych warunków. Pieniądze w jej przekonaniu, jak wiecie, szczęścia nie dają...

– Dopóki nie podzieli się nimi z kimś innym – wyrecytowaliśmy ulubione powiedzenie babci. – My bardzo chętnie się podzielimy – zapewniłam. – Tylko pytanie, z kim i czym.

– Z przyszłą żoną – mruknął Michał. – Ona mi tego dzielenia

się nie odpuści.

– O tym za chwilę – powiedział pan Leszek. – Teraz czas na wyjaśnienie zagadki. Tak sobie myślę, że sami nie wpadniecie, o co chodziło babci, gdy wyznaczyła wam taką, a nie inną zabawę.

Święta racja. Poza rwaniem sobie włosów z głowy i pomstowaniem na zagadki na niewiele więcej wpadliśmy. Ale i tropy pozostawiono nam mylące i to w ilości bardzo oszczędnej. Milczeliśmy zatem oboje, nie bardzo wiedząc, co w naszych oczach odbija się silniej: głód wiedzy czy wstyd, że okazaliśmy się totalnymi patalaciami.

– Mieliście trochę nieprzyjemności. – Pan Leszek przyjrzał się nam ze współczuciem. – Maja ten rozwód, a i dla Michała ślub musi być stresujący...

– Poza tym morderstwa, kradzieże, włamania i duże komplikacje z ulokowaniem uczuć – wymamrotałam i tym razem rzetelnie opowiedziałam o wszystkich wybojach na drodze życia, na których przez ostatnie miesiące poobijaliśmy sobie tyłki.

– Przydałby się urlop – zakończyłam rozgoryczona.

– Też bym chętnie wyjechał – zawtórował Michał. – Przed ślubem. Tak po kawalersku. Jak już będę miał klepnięty awans w robocie. Podobno w poniedziałek, ale dopóki szef nie aneksuje umowy, nic nie jest pewne.

Pan Leszek bez słowa wyjął z teczki dwie duże koperty.

– Wasza babcia była bardzo mądrą kobietą. I dobrze was знаła. Wasze ambicje, niechęć do odpuszczania i wolę walki. I wrażliwość. Przewidziała, że w którymś momencie ten koktajl odbije się wam czkawką i że będziecie potrzebowali wytchnienia. Proszę bardzo. To powinno być dobrym remedium.

Z niepewnymi minami sięgnęliśmy po koperty i otwarliśmy je drżącymi dłońmi. Nie dość, że były prezentem od ukochanej babci, to jeszcze zaplanowanym z taką starannością.

– O rany, nie mogę – wydukał Michał, przeglądając zawartość koperty. – Jezu, naprawdę?

Pan Leszek z uśmiechem pokiwał głową, gdy gapiliśmy się z niedowierzaniem na rezerwację dwutygodniowego pobytu na Lazurowym Wybrzeżu.

– Irenka zaplanowała, mnie pozostawiła wykonanie i finanse. Wy macie jechać i dobrze się bawić. Inne egzotyczne wycieczki zaplanujecie już sobie sami. Ale miejsce, gdzie można się schować i nabrać sił, przyda się wam w każdym wieku. Dlatego do waszej wyłącznej dyspozycji pozostaje willa. Z zastrzeżeniem, że ten, kto wpadnie na pomysł sprzedaży, ma zrzec się praw. Chodzi o to, by dom pozostał w rodzinie.

Spojrzeliliśmy na siebie porozumiewawczo. O spieniężeniu ukochanej willi babci nie mogło nawet być mowy.

O pozbywaniu się, wyrzucaniu, upychaniu byle jak po kątach nie mogło być również mowy w przypadku pięciu grubych albumów rodzinnych, w których babcia zamknęła swoją młodość i czasy, gdy z dziadkiem kupili starą willę i wspólnymi siłami ją wyremontowali. Ponieważ babcia, kobieta naprawdę głęboko mądra, nie bała się pamiętać i o trudniejszych chwilach, znaleźliśmy fotografie z okresu, gdy dziadek, niszczone nowotworem, gasł dzień po dniu, zdjęcia z pogrzebu, a także te upamiętniające łagodny smutek i siłę, z jaką babcia walczyła o przetrwanie samotności. Na wielu zdjęciach pojawiał się Onyks, najczęściej razem z nami, gdyż jako wyjątkowo zgrana banda niechętnie się rozstawaliśmy.

No i my sami. W podartych portkach, wiecznie poobklejani plastrami, z wiatrem we włosach i aparatami ortodontycznymi w paszczach. Z czarnym cieniem, przyklejonym nieodłącznie gdzieś pod nogami, gotowym na każde szaleństwo, jakie legło się w naszych nieobliczalnych łepetynach.

– No cóż... Jak tak sobie porównam, to chyba zaczynam dostrzegać w sobie jakiś cień dorosłości... – chrząknął Michał podejrzenie zachrypniętym głosem.

– Zęby jakby bardziej proste – chlipnęłam. – No i nie pamiętałam, że byliśmy aż tak pryszczaci. Onyks wyglądał bardziej przyzwoicie. Choćby z tego względu nie sprzedam domu za żadne skarby świata. Albo przynajmniej ogródka. Niech kochany pies spoczywa sobie w pokoju.

– Czyli jesteśmy zgodni...

– W takim razie możecie dostać ostatni prezent – zdecydował pan Leszek.



– No i zobacz, Majka. W końcu sprawa rozwiązana. Ale nam babcia dała popalić z tym testamentem – mruknął Michał, gryząc równymi dzięki babcinej inwencji zębami rurkę z kremem. – A już się bałam, że jak tak dalej pójdzie, dorosłość objawi nam się w postaci siwych włosów.

– Nie u mnie – oburzyłam się. – Ja mam włosy po babci. Widziałeś na zdjęciach, dopiero przed pięćdziesiątką zaczęła siwieć.

Czerwcowy wieczór zaczynał nieśmiało odbijać się czerwoną łuną zachodzącego słońca w gładkiej tafli jeziora. Wymoczeni w jeziorze, siedzieliśmy na pomoście, pluskając bosymi nogami w wodzie. Temperatura nie do końca sprzyjała pływaniu, jednak po kąpielowym celibacie na okoliczność tatuażu wolałam leczyć katar niż znów gapić się, jak mój brat szaleje w jeziorze.

– To kiedy to Lazurowe Wybrzeże? – spytałam, pociągając nosem. Mokry ręcznik nie był dobrą izolacją przed chłodem zapadającej nocy.

– No, ja się żenię w październiku – mruknął Michał. – Awans

mi klepną za tydzień. Tak mi dopomóż Bóg. Mam dwa miesiące z lekkim okładem. Chociaż pojechałbym wcześniej, bo kto wie, czy nas w końcu Borówa nie wyśle na wakacje do mamra za zabójstwo Olgierda. Wiadomo w końcu, kto go kropnął? Bo im dłużej nie wiadomo, tym bardziej prawdopodobne, że pójda siedzieć niewinni. Na przykład my.

Bezmyślnie machałam zwisającymi z pomostu nogami. Straszliwie doskwierał mi brak szczerzej rozmowy na gnębiące mnie tematy z Michałem. Z kim innym, jak nie z nim i z Onyksem? Aż głupio było pomyśleć, że przez chwilę straciłam zaufanie do brata.

– Mamy podejrzaną – wykrztusiłam wreszcie i wtajemniczyłam brata w zawile tropy wskazujące na Luizę.

– Idiotyizm – zawyrokował Michał z niesmakiem. – Luiza bez przerwy wrzeszczała, że by go najchętniej zabiła i dała ci szansę na poznanie lepszego faceta. Sama by tak na siebie ściągała uwagę? Zresztą Lulu chyba ma alibi, siedziałyście i piłyście.

– Ta. Dopóki wino się nie skończyło – mruknęłam ponuro. – Potem Lulu wyszła do sklepu. Więc dziurawe to alibi. Nikomu się to nie podoba, Borówa powoli przeistacza się w psa gończego, byle znaleźć coś, co ją uniewinni.

– I co?

– I znajduje kolejne dowody, że jednak...

– No, to w tej sytuacji przestaje mnie nawet cieszyć fakt, że to nie mój tyłek usiądzie na ławie oskarżonych. – Michał pokiwał smętnie głową. – Kiepski moment na te lazury... No nie, trza poczekać, aż się wyjaśni.

„Po wyjaśnieniu to ja mogę zamiast na Lazurowe Wybrzeże pojechać do Tworek”, pomyślałam niechętnie. Toż to diabli wiedzą, co się jeszcze wyleje po drodze.

Nie mówiąc o urlopie, który miałam spędzić na Sycylii z Robertem. Znalazł kilka ciekawych ofert i już zdażył zdać mi telefonicznie relację z wycieczki po biurach podróży. Słuchałam

go trzy po trzy, mając w pamięci perspektywę rychłej rozmowy na temat odległych od miejsca zamieszkania osiedli, na których Robert pojawiał się w niedzielne, upiornie wczesne poranki. Przewrażliwiona po ekscesach miłosnych w wykonaniu byłego męża powoli zaczynałam popadać w lekką paranoję.

Powrót do domu zaplanowaliśmy na niedzielę. Dręczeni telefonami bliskich i wizją poniedziałku, definitywnie kończącego wzięty na potrzeby śledztwa i spraw spadkowych urlop, mogliśmy pozwolić sobie na korzystanie ze swobody w ograniczonym zakresie.

„Przynajmniej tyle dobrego”, pomyślałam, wywlekając z szopy na podwórku swój stary rower i dziękując Bogu, że jakoś straszliwie nie urosłam. Nadal byłam w stanie w miarę swobodnie pedałowac, od czasu do czasu obijając kolanami o kierownicę. Po kilku rundkach na skrytym przed wścibskimi spojrzzeniami podwórku zdecydowałam się na przejażdżkę ulicami miasteczka. Michał podjechał rano do pana Leszka skosić w ogródku trawę. Lada moment powinien wrócić, jednak nie byliśmy już uwiązani jednymi kompletem kluczy. Każde z nas otrzymało własny, przygotowany przez babcię, z breloczkami w naszych ulubionych kolorach. Zostawiłam bratu na lustrze w przedpokoju krótką informację, gdzie zamierzam się udać i prośbę, bym w razie przecenienia własnych kolarskich kompetencji miała szansę wezwać go na pomoc. Niby jazdy na rowerze się nie zapomina, te piętnaście lat przerwy mogło jednak zrobić swoje...

Nieco chwiejnie wyjechałam poza bramę i w ostatniej chwili wyhamowałam przed maską auta, które skręcało na naszą posesję.

– Błagam, siostra, co to za kamikadze – boski wiatr? – Michał wytrzeszczył na mnie oczy zza kierownicy. – Gdzie ty chcesz dojechać na tym złomiksie?

– Nad jezioro. – Dumnie uniosłam głowę. – Chyba że się po drodze utopię. Albo rower mi się pod tyłkiem rozleci.

– O – zdziwił się Michał. – Myślałem, że na cmentarz.

– Przecież dopiero co byliśmy.

– Ja tam nie wiem. – Michał wzruszył ramionami. – Myślałem, że się tam umówiłaś z Luizą.

Pomysł był idiotyczny. Jakim cudem miałabym umawiać się z Luizą w miasteczku, w czasie kiedy ona była we Wrocławiu na szkoleniu? I to w dodatku umawiać się na cmentarzu?

– Co ty bredzisz? – spytałam nieufnie.

– Nie bredzę. Nissan Luizy stoi pod cmentarzem. Widziałem go kilka minut temu.

– A Lulu?

– Lulu nie widziałem. Nie wiem, gdzie poszła.

– A skąd w ogóle wiesz, że to jej auto? – Nagle zniecierpliwiłam się. – Jeden taki nissan po świecie jeździ?

– Zakładam, że z tą rejestracją jeden – obruszył się Michał. – A już z pluszowym misiem panda w środku to w ogóle. Co ty myślisz, że gadałbym ci o nissanie Lulu, gdybym nie był pewien?

Jezusie, co ta Lulu znowu wyprawiała?

– No to jednak jadę na cmentarz – wymamrotałam. – W tej sytuacji rower musi wytrzymać. I moje nerwy. Odbieraj w razie czego!

– Nie zabij się – mruknął mój brat, przepuścił mnie na podjeździe i wjechał na podwórko.

Ja tymczasem biłam rekordy własne i światowe, byle znaleźć się na parkingu przed cmentarzem, nim auto Luizy ulotni się z pola widzenia.

Gdy zdyszana wyhamowałam przed bramą cmentarza, auto nadal stało na jednym z bliżej położonych miejsc postojowych. Podjechałam bliżej, jednak nie potrzebowałam długich oględzin. Nie miałam wątpliwości, do kogo należy samochód.

I co teraz? Gdzie tę Luizę poniosło? Rozejrzałam się nerwowo dookoła, przestępując główną bramę. Dalej nie odważyłam się wejść. Szeroka alejka szybko zaczynała rozwidlać się na ścieżki prowadzące do poszczególnych sektorów. Idąc nią choćby kawałek dalej, ryzykowałam, że Lulu przemknie niezauważona za moimi plecami. Albo wróci na parking przez jedną z bocznych bram. Wcale nie było też powiedziane, że w ogóle poszła na cmentarz, może tylko tu zaparkowała. Jedyne sposoby, by nie przegapić odjazdu przyjaciółki, to poczekać na nią tutaj. Najlepiej przy samochodzie. Wprawdzie kilkadziesiąt metrów dalej stały dwie ławeczki, jednak każda odległość stwarzała ryzyko, że nie zdążę dopaść Luizy na czas. Cholera wie, czy na mój widok nie zechce zwać? Lepiej trochę postać, klnąc ból nieprzyzwyczajonego do siodełka dupska, niż bezskutecznie gonić nissana Luizy tym rowerkiem.

Oparłam się o rower i uruchomiłam pokłady cierpliwości, czując niejasno, że ich zapas jest na wyczerpaniu. Nie miałam pojęcia, ile przyjdzie mi tak sterczeć, a obity tyłek coraz bardziej dawał się we znaki. Gdybyż tylko tyłek! Posiniaczone przez bliski kontakt z kierownicą kolana też nie były zachwycone moimi ekscesami. Dodatkowo rozpraszał mnie telefon, który darł się jak opętany, zmuszając mnie do włączenia cichego trybu. Jasny piorun, że też Robert nie miał kiedy zadzwonić! Nie dość, że nadal nie miałam sprecyzowanego zdania w kwestii wycieczki na Sycylię, to jeszcze mógł mi popsuć zabawę w detektywa! „Oddzwonię później”, zdecydowałam, wciskając wyciszony telefon do kieszeni.

Decyzja była słuszna, gdyż na horyzoncie pojawiła się Lulu. Dostrzegłam z daleka, jak szła powolnym krokiem główną aleją cmentarza. Ze spuszczoną głową, powłócząc nogami, dopiero przy bramie zorientowała się, że obok jej nissana zaparkował ktoś jeszcze.

– Majka! – wykrztusiła, gwałtownie hamując na mój widok. – Co ty tu robisz?

„Coś bardziej legalnego niż ty”, przemknęło mi przez myśl, gdy



zielonkawa bladość przegnała brzoskwiniową opaleniznę z twarzy Luizy.

– Robię z siebie idiotkę – westchnęłam, wskazując na rower. – Sprawdziłam, czy jestem w stanie na tym wehikule dojechać na grób do babci. Ale dojechałam tylko tu. Przyhamował mnie twój samochód. Ten, którym pojechałaś na szkolenie do Wrocławia. I którym miałaś wracać dopiero dziś wieczorem, bo kuzynka zaprosiła cię na obiad. Co było na deser?

– O rany – jęknęła Lulu. – Maja, przepraszam, muszę usiąść. Wsiądziemy do samochodu? Pogadamy?

– A powiesz mi prawdę, samą prawdę i tylko prawdę? – spytałam nieufnie, przyglądając się przyjaciółce. Luiza wyglądała jak siedem nieszczęść. Bladość uwidoczniła cienie pod oczami, które już od jakiegoś czasu pogłębiały się niebezpiecznie, jednak dopiero dziś uderzył mnie widok zmęczenia, maskowanego przez Lulu radosnym sposobem bycia. Czyżbym pochłonięta własnymi problemami przegapiła coś, co dręczyło moją przyjaciółkę? Przecież nawet ignorancja powinna mieć jakieś granice...

Wsiadłam z Luizą do auta, czekając na wyjaśnienia.

Lulu westchnęła ciężko, upiła łyk wody mineralnej z wożonej zawsze przy sobie butelki i zagapiła się przed siebie.

– Niedobrze jest – bąknęła w końcu. – A ja nie wiem, co mam dalej zrobić.

Tyle mogłam się domyślić. Czekałam w milczeniu na ciąg dalszy, coraz bardziej zaintrygowana, a jednocześnie coraz mniej pewna, czy ten ciąg dalszy jest mi do szczęścia potrzebny. Diabli wiedzą, do jakich sekretów drzwi otworzy mi spowiedź podejrzaney o morderstwo przyjaciółki?

– Mam problemy – wyznała Luiza i z trudem stłumiłam irracjonalną chęć wrzaśnięcia, że wcale nie chcę o tych kłopotach słyszeć. Nie żeby włączyła mi się blokada empatii. Po prostu nie chciałam usłyszeć niczego, co by należało później powtórzyć policji. W gabinecie Borówy na przykład...

Ale Lulu zdecydowała się już na wyznania.

– Chodzi o Patryka – powiedziała. – Coś się popsuło ostatnio. A od tego włamania jest tylko gorzej. Owszem, załatwił mi błyskawiczną naprawę szyby i pomógł z odszkodowaniem, ale zachowuje się jakoś dziwnie. Jakby mi nie ufał i cały czas obserwował. Mam wrażenie, że kilka razy sprawdzał mi telefon. Tylko że znasz Patryka. Nie wyduszę z niego ani słowa.

– A nie kręcisz przypadkiem? – spytałam pozornie obojętnym głosem. – Tak jak teraz? Miałaś być we Wrocławiu i co? Zastaje cię na cmentarzu w miasteczku. Mogłaś powiedzieć, spotkałybyśmy się. Masz tu kogoś na cmentarzu? To taka tajemnica? Sama czuję się oszukana.

– Masz rację – przyznała Luiza niechętnie. – Nałgałam. Ale bałam się, że jak powiem tobie, dotrze do Patryka. A Patryk nie może wiedzieć, że tu przyjeżdżam.

Sprawa musiała być trudna, bo Lulu przez dłuższą chwilę nerwowo bawiła się kluczykami.

– Pamiętasz Pawła? – zagała wreszcie.

Pamiętałam. Paweł pracował z Borową, był niewiele młodszym od niego, ambitnym policjantem, jednym z lepszych trenerów policyjnych psów. Sam również miał psiego partnera. I ogromną słabość do wiecznie roześmianej, zbzikowanej Luizy.

Pech chciał, że Luiza do niego również.

Patryk, już wtedy w Lulu zakochany, nie potrafił ścierpieć rywala, który z podrywem nie krył się zupełnie. Z natury powściągliwy, świdrujący ludzi swym przenikliwym, czarnym spojrzeniem, szybko tracił szanse na rzecz uśmiechniętego, rozgadanego Pawła. Był jednak odpowiedzialny, kupował Lulu róże i robił, co tylko zdołał, by wykrzesać z siebie choć odrobinę romantyzmu. Luizie jego wysiłki imponowały, czuła się z nim bezpieczna i adorowana, choć wołała spędzać czas z Pawłem, który spontaniczny i zbliżony do niej charakterem, lubił te same rozrywki, pił to samo piwo i nie bał się próbować nowych rzeczy, choćby oznaczały zrobienie z siebie kompletnego

kretyna. Tkwiąc między młotem a kowadłem, Luiza piła piwo i bawiła się z Pawłem, przyjmowała róże i zaproszenia do kina od Patryka i coraz bardziej wahała się, z którym ma szansę być naprawdę szczęśliwa.

A ja, sfrustrowana własnym, trzeszczącym w szwach związkiem małżeńskim, byłam nastawiona na „nie” do wszystkich facetów, wszystkich romansów, róż, wspólnych wypadów na piwo oraz obietnic życia długo i szczęśliwie. Jedyną dobrą radą, jaką byłam skłonna dać Luizie, było kopnąć w tyłek jednego i drugiego, zanim ten wybrany zacznie przejawiać skłonności do unieszczęśliwiania swojej kobiety. Moim zdaniem Lulu nie powinna wiązać się z żadnym, bez względu na prezentowane cnoty serca i umysłu. Bo nie. I koniec.

„Cholera, czyżbym była aż taką egoistką”, pomyślałam przygnębiona. Zawiodłam na całej linii i zagapiona we własne dąsy wolałam uniknąć rozmów o ewentualnym szczęściu bądź nieszczęściu Luizy. Pewnie w przeciwnym razie poczułabym się jeszcze bardziej rozżalona i nieszczęśliwa.

I wtedy zastąpił mnie w roli doradcy Los.

Właściwie rady nie udzielił Luizie żadnej. Po prostu wybrał za nią pewnej parnej, lipcowej nocy, gdy Paweł zginął, wielokrotnie postrzelony przez szaleńca, który postanowił w pojedynkę obrabować jubilera i brutalnie usunąć z drogi policjantów wezwanych na miejsce przez przypadkowego świadka.

Luiza pożegnała Pawła jak przyjaciela, za którym długo się tęskni i po którym już na zawsze pozostaje puste, ciemne miejsce, spychane głębiej i głębiej w podświadomość. Ale nie było w niej rozpaczy opuszczonej kochanki. Przyszła na pogrzeb wsparta na ramieniu Patryka. I chyba już wtedy pewna, że to jest jej miejsce.

Nie pamiętałam, że Pawła pochowano właśnie w miasteczku. Zdażyłam zapomnieć też, że tu często za życia przyjeżdżał z Luizą. Gdy nastąpiła era Borówy, kibicowałam szczerze temu związkowi, zadowolona, że Lulu nie cierpi po stracie. Żadne

z nich nie odwiedzało grobu Pawła, nie wspominali go również w rozmowach. Przez długi czas Patryk opiekował się psem, jednak po jego śmierci tak Paweł, jak i tragiczna lipcowa noc odeszli z psim druhem raz na zawsze.

Tak mi się przynajmniej wydawało. Aż do dziś.

– Sama rozumiesz, nie mogłam Patrykowi powiedzieć, że przyjeżdżam do Pawła – tłumaczyła Luiza. – Tobie zresztą też.

– Niby dlaczego? – oburzyłam się, zapominając natychmiast o wcześniejszym samobiczowaniu.

– No, błagam. – Lulu przewróciła oczami. – Zaczęłabyś mi truć, że życie toczy się dalej, że to był tylko kolega i powinnam się cieszyć, że jest przy mnie ktoś, kto naprawdę mnie kocha. Ja wiem, że to wszystko prawda. Ale Paweł był moim przyjacielem. No powiedz, gdyby mnie zabrakło, dałabyś się pocieszyć takimi tekstami?

Jasne, że nie. Podobnie jak nie dałabym się odwieść od odwiedzin na grobie dawnej przyjaciółki. I pewnie też trzymałabym je w tajemnicy, wiedząc, że mój obecny partner mógłby być, delikatnie rzecz ujmując, niezbyt szczęśliwy na tę okoliczność. Co by nie mówić, Patryk o Pawła był wściekle zazdrosny. Już widzę, z jakim entuzjazmem zgodziłby się na wycieczki Lulu na cmentarz w miasteczku.

– Proszę – zakończyła Luiza stanowczo. – Zanim palniesz mi kazanie, pomyśl, co ty byś sama zrobiła. A potem poradź mi, co z Patrykiem, bo atmosfera robi się nieznośna. Tylko czekam, aż zamontuje mi pluskwę w biustonoszu.

– Patryk wie, że kręcisz i diabli wiedzą, co podejrzewa – zaczęłam ostrożnie. – Przypuszczam, że coś znacznie większego kalibru niż wizyty na cmentarzu u Pawła. Luiza, nie lepiej po prostu mu powiedzieć? Powścieka się, ale nie będzie węszył gacha. Ja bym powiedziała.

Problem w tym, że Lulu jednak nie bardzo. Patrzyła na mnie z powątpiewaniem, skubiąc breloczek kluczyków.

– Pomyśle – bąknęła w końcu. – I chyba powoli będę się zbierać, obiecałam, że wrócę z Wrocławia przed siedemnastą. Chociaż tu nie chcę nawalić... Podrzucić cię gdzieś?

Podrzucić się zamierzałam sama swoim starym rowerem. Zamieszanie, jakie niechcący wywołała Luiza, wymagało rundki dookoła jeziora i przemyślenia sprawy. Ze skromnym udziałem Michała dowiedziałam się wreszcie, jaki cel przyświecał jej regularnym wycieczkom do miasteczka. Daj Boże równie proste i prozaiczne wy tłumaczenie całej reszty nieprzyjemności, jakie nabierały się wokół Lulu. Nie zależało mi już nawet na poznaniu tożsamości mordercy Olgierda. Chciałam tylko wiedzieć, że taki się znalazł i z naszą Lulu nie ma nic wspólnego. Swoją drogą, Borówa musi być naprawdę w bardzo niedobrym stanie ducha i umysłu, skoro jako wytrawny śledczy nie zdołał ukryć zainteresowania komórką narzeczonej. Byle nerwy nie puściły mu do tego stopnia, że zacznie popełniać błędy i lekceważyć naprawdę istotne ślady.

Moje prywatne nerwy, targane przez stres już od pół roku, jeżeli wliczyć zdradę Olgierda i rozwód, puściły już dawno. I choć sama nie byłam narażona na popełnianie błędów takiej wagi jak potencjalne pomyłki Borówy, trudno zaliczyć do inteligentnych posunięć wycieczkę dookoła jeziora na rowerze, w którym wszystko trzeszczy, zgrzyta i grozi katastrofą.

Szczyście w nieszczęściu, katastrofa nastąpiła w pobliżu łagodnego zjazdu na plażę, zupełnie pustą z racji narastającego zachmurzenia. Widząc, że zbliżam się do zakrętu, zza którego w każdej chwili mógł wyłonić się inny rower lub spacerowicze, nieco zbyt ostro nacisnęłam hamulec. Brutalnie potraktowany, odmówił współpracy, a ponieważ zza krzaczków przy zakręcie wyprysnął ze sporą prędkością dzieciak na deskorolce, nie pozostało mi nic innego, jak podjąć próbę uniknięcia kolizji. Modlitwę błagalną o łagodne obicie tyłka wymamrotałam, pędząc na złamanie karku w kierunku stada kaczek, które na mój widok z wrzaskiem poderwały się do lotu. Droga ku jezioru stanęła otworem, a ponieważ hamulce zastrajkowały na amen, wylądowałam w wodzie, razem z felernym rowerkiem i gradem

przekleństw, wyplutych wraz z fontanną wody.

Michał naprawdę próbował być taktowny i chichotał, gdy stałam do niego tyłem. Od głupich komentarzy zdołał się powstrzymać. Pewnie dlatego, że na sugestię, bym w najbliższym czasie powstrzymała się od jazdy na felernym sprzęcie, oberwał w łeb siodełkiem, które odpadło, gdy targaliśmy cholerny rower do samochodu.



Kwiaciarnia, do której klucze pozostawiłam mamie wraz z prośbą, by zadbała o kwiaty doniczkowe, przetrwała mój dwutygodniowy urlop. Mama, z zawodu architekt, z zamiłowania florystyka, nie pozwoliła kwiatkom paść, a i gromadzące się warstewki kurzu były bez szans w starciu z jej perfekcjonizmem. Z takim samym perfekcjonizmem zadbała o Lokiego, który królował w dwóch mieszkaniach, przełaził między nimi dziurą w ścianie balkonowej, a z kuwet korzystał tam, gdzie ludzie częściej sprząтали. W poniedziałkowy wieczór odnotowałam zupełnie sprawne funkcjonowanie świata, który kręcił się nadal we właściwym kierunku i miał w głębokim poważaniu rewolucje dokonujące się w moim życiu.

Zgodnie z tym, co ustaliłam z Michałem, nie zamierzaliśmy póki co wtajemniczać w szczegóły babcinego testamentu nikogo, oprócz rodziców i Borówy, któremu na wszelki wypadek wolałam mówić wszystko, z cichą nadzieją, że w moich wynurzeniach dopatrzy się istotnych dla Luizy szczegółów. Swaim drugim połówkom powiedzieliśmy o starych, pamiątkowych albumach i pewnej kwocie pieniędzy do wykorzystania w ramach prezentu na mocno spóźnioną

osiemnastkę. O tym, że babcia miała co do tej kwoty bardzo konkretne plany, na razie zgodnie milczeliśmy. Michał nie był przekonany, co powie Alicja na wieść o dwutygodniowym wyjeździe na Lazurowe Wybrzeże i pozostawieniu jej samej ze ślubnym zamieszaniem. Ja za to byłam święcie przekonana, że Robertowi nie spodoba się odsunięcie w bliżej nieokreślonej przyszłości naszej pierwszej wspólnej wycieczki.

Szczególnie, że Robert po weekendowej separacji uznał, że moja obecność jest mu do szczęścia potrzebna bardziej, niż się spodziewał. Już w niedzielę wieczorem gotów był przyjechać z rzeczami, słusznie podejrzewając, że na migrację do jego mieszkania namówić się nie dam. Bo, po pierwsze, mam kota. Po drugie, muszę się rozpakować. Po trzecie, lepiej czułam się na swoim terytorium, a ten drobny komfort był mi w tej chwili potrzebny jak powietrze. Tych „bo” naliczyłam jeszcze trochę, streszczając je w jednym, ulubionym przeze mnie i niezbyt kochanym przez Roberta „bo nie”.

Tym razem jednak „nie, bo nie” obejmowało również wizytę Roberta u mnie. I miało konkretne podstawy. Wiedziałam, że rozmowy na temat jego obecności na parkingu pod blokiem Luizy nie będę w stanie sobie podarować. Podobnie jak Robert nie odpuści Sycylii. Dla dobra naszego kiełkującego związku nie było wskazane poruszanie spraw tak drażliwych późnym wieczorem, gdy zmęczona miotalam się po mieszkaniu, usiłując rozpakować torbę, przygotować umownie zdrowy posiłek i poświęcić uwagę Lokiemu, który zdecydował się wykorzystać migrującą często pańczę i wydebić hurtową ilość miziania. Pewnie można by mi zarzucić pójście na łatwiznę, wolałam jednak utknać w fotelu z bezkonfliktowym kotem niż w ramionach Roberta, który pomimo czułych uścisków nie szczędziłby mi wyrzutów, że znów jest w mojej piramidzie priorytetów gdzieś na szarym końcu.

Wy tłumaczyłam Robertowi, że dziś wieczorem będzie u mnie na kolacji spragniona wieści rodzina i przed dwudziestą trzecią mam nikłe szanse na zmianę atmosfery na bardziej sprzyjającą intymności.

– Ale wiesz co? Jutro wracam do pracy. Ósma jednaście na naszej ścieżce? Powoli zaczyna mi tego brakować – zażartowałam, słysząc w słuchawce ciężkie westchnienie.

– Och, mnie już brakuje ciebie pod każdą postacią i nie będę wybrzydzać co do lokalizacji. – Robert westchnął, zrezygnowany.

– Jutro też masz zaplanowane jakieś okolicznościowe kolacje?

– Jutro to już tylko z tobą...



Z całego tego kryminalno-urlopowego galimatiasu mój organizm wychwycił dwie rzeczy. Że dzieje się coś straszliwie męczącego, co wymaga odpowiedniej ilości odpoczynku. I że na okoliczność urlopu można sobie pozwolić na więcej snu niż normalnie. Obie te sprawy przyjął do wiadomości i przystosował się bez marudzenia. Zaprotestował za to, gdy pewna liczba godzin snu została mu z racji powrotu do pracy odjęta.

Nawet jeżeli nie do roboty, musiałam zwlec się z łóżka na obiecane Robertowi spotkanie o ósmej jednaście. Ponieważ tym razem noc litościwie oszczędziła mi włamań, rozpaczliwych telefonów i innych wątpliwych atrakcji, głowa nareszcie skupiła się na tym, na czym powinna. Na stęsknionym mężczyźnie i fakcie, że i we mnie bujnym kwieciem zakwitła tęsknota. Punktualnie o ósmej siedem zamknęłam drzwi i ruszyłam w kierunku umówionego miejsca. Cztery minuty później wpadłam w ramiona stęsknionego Roberta.

– Majeczka, koniec z wyjazdami albo zabierasz mnie ze sobą – wymruczał Robert, kompletnie nieprzejęty znaczącymi spojrzeniami moich przechodzących w podejrzenie zwolnionym tempie sąsiadów. – Zwariuję, jak znów mnie zostawisz na tyle



czasu. Albo przynajmniej zanudzę się na śmierć.

– Robert, na litość boską, to były tylko trzy dni – roześmiałam się, widząc głód bliskości w jego oczach. – A teraz będzie kilka godzin. Potem przyjedziesz do mnie na kolację, na wieczór i cały ciąg dalszy. Koło dwudziestej powinnam być w domu. I może nawet zdążę zrobić się na bóstwo.

– Nie widzę potrzeby – mruknął Robert. – Dlaczego tak późno? Pracę kończysz o szóstej. Zdażę wrócić do domu, wziąć rzeczy i przyjechać po ciebie.

– Dzięki, ale jeszcze muszę zrobić zakupy – powiedziałam stanowczo, nie dodając, że tych zakupów będę szukała na komisariacie. – Nic nie mam do jedzenia, a kotu żwirek wychodzi.

– Tym bardziej, jak ty chcesz na piechotę to wszystko targać? Pojedziemy na te zakupy razem.

– Wiesz co, inaczej – musiałam szybko wymyślić mu zajęcie. – Ty załatw żwirek i kilka puszek dla Lokiego. Masz rację, to ciężkie, byłoby mi niewygodnie tłuc się autobusem. A resztę ja załatwię. Będzie szybciej – powiedziałam z naciskiem, bo Robert już się szykował do ogłoszenia protestu.

Argument „szybciej” na szczęście go przekonał.

– W porządku – mruknął, całując mnie na pożegnanie. – Weź, proszę. Woda mineralna i sałatka. Znajac twoje „szybciej”, nie zabrałaś sobie nic do jedzenia.

Splonilałam się wdzięcznie, przyjmując siatkę z uszykowanym dla mnie śniadaniem do pracy. Pewnie, że nie wzięłam. Dobrze było wiedzieć, że jest ktoś, kto pomyśli za mnie o tak prozaicznych drobiazgach. „Tak kochanego faceta jak Robert ze świecą szukać”, pomyślałam wzruszona i obiecałam sobie powściągnąć podejrzliwość. I nawet nie czepiać się tego poranka na parkingu u Luizy. Po prostu raz kiedyś cieszyć się człowiekiem, który sam z siebie gotów jest zadbać o mnie i czerpie z tego autentyczną radość. Taką, jaką i ja powinnam wreszcie do siebie dopuścić.

Z mocnym postanowieniem, by skupić się na pozytywnych aspektach rzeczywistości, umówiłam się z Robertem na dwudziestą i pognałam do kwiaciarni.



Długo zastanawiałam się później, dlaczego prawie wszystkie dobre postanowienia prędzej czy później biorą w łeb i zostaje z nich gorzkie rozczarowanie. Moje szlag trafił jeszcze tego samego wieczora, niweczając miłe plany i odrobinę optymizmu, która towarzyszyła mi aż do osiemnastej trzydzieści dwie. Czyli do chwili wejścia do komisariatu.

W drzwiach zderzyłam się z parą gliniarzy, którzy wyprowadzali skutego kajdankami osobnika. Odskokczyłam czym prędzej, obrzucając faceta bezmyślnym spojrzeniem. Pewnie poszłabym prosto do gabinetu Borówy, gdyby nie okrzyk, jaki wyrwał się delikwentowi w kajdankach.

– Majka?! Co tu się dzieje, do cholery?

Nagle oprzytomniała gapiłam się z przerażeniem na skutego Stevena, który usiłował zatrzymać prowadzących go policjantów. Próbował podejść do mnie, jednak dwóch postawnych chłopów bardzo mu w tym przeszkadzało.

– Rany boskie, chwileczkę! – jęknęłam, biegnąc za nimi. – Panowie, co tu się wyprawia? Co chcecie od tego człowieka?

– Polecenie komisarza Borowiaka – usłyszałam w odpowiedzi i zamarłam. – Pani wybaczy, osobom postronnym kontakt z podejrzanym jest zabroniony.

– Że niby ja osoba postronna?! – oburzyłam się. – Ja tu jestem najmniej postronna! I natychmiast chcę się dowiedzieć, za co

aresztujecie tego faceta! Jak nie od was, to od pomysłodawcy tego wariactwa!

Moje wrzaski nie robiły na funkcjonariuszach wrażenia. Od nich nie miałam szans wyciągnąć ani słowa. Podobnie zresztą jak od Stevena, do którego nie chcieli mnie dopuścić. Sam Steven również nie wyglądał na takiego, który cokolwiek mi wyjaśni. Równie zdezorientowany rzucił mi tylko bezradne spojrzenie.

Nie bardzo miałam pomysł, jak to wszystko odkręcić, ale gapić się beczynn timer nie zamierzałam.

– Dowiem się, o co tu chodzi! I natychmiast dam ci znać! – krzyknęłam za wyprowadzanym przez gliniarzy Stevenem i rzuciłam się do gabinetu Borówy.

– Czyś ty do reszty oszalał?! – wykrzyknęłam, z trudem hamując tuż przed biurkiem Patryka. Gdyby nie masywny mebel, komisarz Borowiak zostałby śmiertelnie staranowany we własnym gabinecie przez rozszalałego świadka. – Ten facet jest niewinny! Jedyne, co popełnił, to tatuaż na mojej nodze!

Na Borówie moje wrzaski nie zrobiły wrażenia.

– No, przykro mi bardzo, Maja. – Westchnął. – Siadaj, zaraz ci wyjaśnię...

– Ta! Jeszcze herbatkę mi zaproponuj! W tyłek se możesz wsadzić tę swoją kurtuazję! Gadaj, o co tu chodzi!

Babska furia nie była w stanie wystraszyć policjanta z wieloletnim doświadczeniem, jednak Borówa wiedział już, że nie należy z nią walczyć. Wściekła baba bywa nieobliczalna, a jeżeli dodatkowo nazywa się Maja Kostrzewska, rezultaty histerycznej złości mogą przypominać efekty tajfunu. Takie ataki należało przeczekać. Najlepiej próbując łagodnie wytłumaczyć sytuację.

– Nic na to nie poradzę. – Oparł się łokciami o biurko. – Ja wszystko wiem, lubisz gościa, dobry tatuażysta i chętny do pomocy kolega... Ale najprawdopodobniej to on włamał się do

auta Luizy.

– Oszalałeś!

– I zabił Olgierda – dokończył Borówa z niepokojącym błyskiem w oku. – A przynajmniej wszystko na to wskazuje. Był jedyną osobą, o jakiej wspomniał twój chłopak, gdy rozmawialiśmy na temat włamania do nissana.

W rozpaczliwym przebłysku pojęłam, co się stało. Robert. Robert był na parkingu. Zapytany o podejrzane jednostki, bez wahania wskazał wytatuowanego faceta, płaczącego się między samochodami i udającego czytanie gazety.

Tylko że, na miłość boską, to właśnie ten facet wezwał policję i usiłował pomóc nam w znalezieniu zbira! Gdyby był winny, po co by to robił? Dla zmyły? Nie, nie ma opcji, ja w to nie wierzę! Bo nie!

Przez kolejną godzinę tłumaczyłam Borówie, że w wyniku straszliwego nieporozumienia aresztował niewinnego, nieskalanego działalnością przestępczą człowieka. Oparta o biurko wisiałam nad głową siedzącego w fotelu Patyka i przytaczałam wszystkie możliwe luki w rozumowaniu, jakie popełnił. Na próżno.

– No, ale sam mówiłeś, że morderca najczęściej jest powiązany z ofiarą – sapnęłam w końcu, spocona od produkowania argumentów, próśb i gróźb. – Musi mieć motyw! Przecież Olgierd i Steven się nie znali! Tak sobie by go przejechał, dla przyjemności? Bo miał zły dzień?

– Tego jeszcze nie wiem, ale się dowiem.

– Guzik z pętelką się dowiesz!

Borówa mógł dużo znieść, jednak wiedząca lepiej baba w tej kategorii się nie mieściła. Jeszcze mniej podobał mu się fakt, że baba znalazła solidne dziury w jego toku myślenia i jest na dobrej drodze do podkopania podstaw śledztwa. Śledztwa, które chciał już zamknąć, wsadzając do mamra kogokolwiek, kto pozwoliłby mu wyeliminować z grona podejrzanych narzeczoną.

Przypuszczam, że gdyby w grę nie wchodziła Lulu, sam szybko doszedłby do wniosku, że Steven jest ostatnią osobą na tym świecie zdolną do popełnienia morderstwa. No chyba że wyszłoby mu całkowicie przypadkowo. Niestety, tym razem chodziło o Luizę, a gdy chodziło o Luizę, Patryk zaczynał działać gorączkowo, pod silną presją emocji i popełniał idiotyczne błędy. Problem polegał na tym, że błędy te były pozornie działaniami tak logicznymi i uzasadnionymi, że nikt z przełożonych ani podwładnych komisarza Borowiaka nie dostrzegał w nich niczego dziwnego.

A sam Borówa, znany z rzetelności i nieomyślności, chętnie się do tych cech przyznawał i nie zamierzał doszukiwać się w swoim postępowaniu braku logiki.

– Dobra, Maja – sarknął, gdy efektowna histeria zaczęła działać mu na nerwy. – Rozumiem twoje pobudki, sympatię do człowieka, ale ślady mówią same za siebie. Bardzo mi przykro.

– Guzik prawda, nie chrzań – burknęłam zrozpaczona. – Tobie by było przykro, gdybyś musiał zapuszkować Luizę.

– O, a tobie nie?

– Jasne, że mnie też. Ale nie jeden Steven i nie jedna Lulu chodzą po tym świecie. Kandydatów na mordercę są nieprzebrane rzesze! Gdybyś tylko lepiej poszukał...

Uparte spojrzenie Borówy mówiło wyraźnie, że nie poszuka. Bo cholernie się boi znaleźć coś, czego bardzo by znaleźć nie chciał. Sprawa była przesądzona.

– Nie wiem, co znalazłeś na tego faceta – prychnęłam w końcu. – Ale ja złego słowa na jego temat nie zeznam. W sądzie będę go bronić do upadłego.

Patryk podniósł na mnie zmęczone oczy. Desperacka walka o uniewinnienie Lulu była nie do końca fair i chyba sam czuł, że poszedł złym tropem. Ale na końcu ślepej uliczki, w jaką zabrnął, znalazł się kandydat na mordercę. To mu wystarczyło.

– Maja – wymruczał w końcu pojednawczo. – Naprawdę nie

zależy ci na znalezieniu mordercy męża? No dobra, byłego, ale zawsze męża...

– Zależy – warknęłam. – Tego prawdziwego.

Ostatni, desperacki atak na sumienie Borówy, podkreślony trzaśnięciem, od którego drzwi omal nie wyleciały z zawiasów, nie był w stanie wiele zmienić. Byłam to jednak winna Stevenowi. To i próbę wytargania go z bagna, w które wdepnął jedynie przez swoją uczynność.

„I w taki sposób najbardziej rzetelny glina zaczyna zawalać robotę”, pomyślałam gorzko, przywołując w pamięci upór, z jakim Borówa brnął w wygodną dla siebie wersję. Pewnie gdyby aresztowano obcego mi człowieka, moja własna praworządność nie protestowałaby z takim entuzjazmem. Odetchnęłam z ulgą, że to nie Lulu jest winna i że znalazł się inny kozioł ofiarny.

No tak, ale nie ja byłam stróżem prawa. Ja na taką niesprawiedliwość mogłam sobie pozwolić.

Ponure rozważania na temat niedoróbek w charakterze komisarza Borowiaka i ich konsekwencji dla niewinnych ludzi przerwała Luiza, która wpadła na komisariat i biegła w kierunku gabinetu narzeczonego.

– O, Majka! – zawołała, wyrywając mnie z zamyślenia. – Byłaś u Patryka?

– Byłam, do czorta z nim! Wiesz, co on wymyślił? Słyszałaś, z kogo zrobił mordercę?

– Nie wiem, ale coś mi mówi, że nie będę zadowolona. – Lulu przyglądała mi się badawczo. – Masz chwilę? Przyjechałam podrzucić Patrykowi kanapki. Za sekundę wracam do ciebie.

Czasu za wiele nie miałam, za godzinę miał się u mnie pojawić Robert, a ja w ciągu tej godziny powinnam zrobić jeszcze zakupy, przygotować kolację i wskoczyć pod prysznic w celu spłukania z siebie niemiłych przeżyć tego popołudnia. Jednak Luiza w gabinecie Borówy naprawdę nie zamierzała długo

siedzieć.

– Podrzucę cię – zaproponowała. – Chodź do samochodu, bo mnie ciekawość zżera. O tego podejrzanego. I twojego faceta też. Może go przyuważę gdzieś na parkingu pod blokiem...

Jak to było do przewidzenia, wieść o aresztowaniu Stevena wywołała u Luizy gwałtowny sprzeciw.

– On zwariował! – wykrzyknęła z oburzeniem, ruszając z piskiem opon z parkingu przed komisariatem. – Muszę z nim w domu pogadać!

– I że niby to coś da? – spytałam niechętnie, przytrzymując się drzwiczek, gdy Lulu wzięła zakręt z impetem, od którego samochodem zarzuciło.

– Pewnie więcej niż to, co ty mogłaś z niego wydusić. Poszłam za twoją radą i wszystko mu powiedziałam. O tych wyjazdach na cmentarz do Pawła. Nie był szczęśliwy, ale w ramach wdzięczności za szczerą jest kochany jak nigdy. Szanse na nakłonienie go do współpracy są.

– To się postaraj, inaczej ja zacznę mordować. Zostaniesz wdową, zanim powiesz „tak”.

Kilkuminutową drogę do pobliskiego marketu, a później dojazd na moje osiedle, po raz pierwszy przetrwałam nie piszcząc, nie zasłaniając oczu i nie modląc się w duchu o bezwypadkowe dotarcie do domu. Obie byłyśmy zbyt zaabsorbowane próbami wykombinowania sposobu na uniewinnienie Stevena, by się tym interesować. W moim przypadku było to zbawienne, gdyż wzburzona Luiza z jeszcze większą swobodą interpretowała przepisy i znaki. O tym, że skutki tego wzburzenia mogły mieć finał w szpitalu lub w najlepszym przypadku za kratkami, przypominałam sobie w chwili, gdy Lulu wysadziła mnie na parkingu i stresować się już właściwie nie było czym. No, może tym jedynie, czy sama do swojego mieszkania dotrze bezpiecznie. Ale to zamierzałam ustalić później, wykonując kontrolny telefon po kąpieli. Do przyjazdu Roberta pozostało mi naprawdę niewiele czasu.

„No trudno, kolację przygotowujemy wspólnie”, pomyślałam, miotając się po domu w samym ręczniku i upychając nabyte produkty do lodówki. Ser żółty jest, ser pleśniowy jest... Tofu, zwane przez mojego brata „tfu tfu”, nabyłam również, bez wielkich nadziei, że Robert zechce go chociaż spróbować. „Tfu tfu” jadałam w rodzinie ja jedna i byłam z tego zadowolona, gdyż brak konkurencji oszczędził mi niemiłych niespodzianek w postaci resztek pozostałego przysmaku walających się w opakowaniu, które można było spokojnie wyrzucić. Robert, jak zdołałam zaobserwować, był wszystkożerny, istniała więc szansa, że doceni produkty nabyte specjalnie dla niego. A już na pewno salami, które kilkakrotnie przywiózł sobie sam, gdy miał u mnie nocować.

– Cześć, przepraszam, jest bałagan, ja jestem w proszku, a w ogóle to jest jakaś jedna wielka masakra – wymamrotałam, wpuszczając Roberta do mieszkania.

– Oj, Majeczko. Już się przyzwyczailem, że tobie zazwyczaj zdarzają się jakieś masakry. – Robert westchnął, wchodząc do środka. – Kto kogo znów zabił i co się popsulo?

– Zabić to dopiero ja zabiję. Ciebie – poinformowałam go zrezygnowana. – Wybacz, nie dajesz mi innej możliwości.

Takiej wersji Robert się nie spodziewał. Zastygł, zdejmując buty i zapatrzył się na mnie zdumionym wzrokiem.

– Tak? – zapytał niepewnie. – Myślałem, że jednak zakwalifikowałaś mnie do tych dobrych... Tych, którzy na końcu każdego kryminału żyją długo i szczęśliwie. Takie chyba mieliśmy plany.

– Plany planami, a życie swoim torem – wyjaśniłam smętnie. – Chcę cię spytać o pewne sprawy, które dość mocno mnie zmartwiły...

– Po takim wstępie, to i ja się martwię...

Machnęłam ręką zrezygnowana. Dawno nie czułam się tak nieszczęśliwa. Jest ze mną facet idealny, a przynajmniej mocno do ideału zbliżony, zakochany, gotów spełniać każde moje



życzenie, naprawiać pawlacze i wszystkie inne rzeczy, które wymyśle sobie zepsuć, i co? Ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę, to spaskudzić ten wieczór przykrą rozmową na temat aresztowania Stevena, do którego Robert walnie się przyczynił. Ale trzeba. No dobra, za moment. Najpierw zjedźmy kolację i otwórzmy wino. Powszechnie wiadomo, że smaczny posiłek podlany niewielką ilością alkoholu łagodzi stresy...

– Pomóż mi z kolacją, dobrze? – poprosiłam. – Wysuszę włosy i zaraz przyjdę.

Po kolacji rozsiedliśmy się na sofie.

– No dawaj, Majeczka. – Robert zachęcająco wznosił kieliszek z winem. – Za tę sprawę, za którą chcesz mnie zamordować. Żeby jednak nie miała krwawego finału.

Wino samym zapachem maciło mi w skołowanej głowie. Z mocnym postanowieniem, by do czasu wyjaśnienia kwestii Stevena poprzestać na delikatnym sączeniu trunku, wzięłam głęboki oddech. Gdyby równoległe z powietrzem do mojego organizmu dostała się choć znikoma ilość promili, sama osobiście zamotałabym wszystko jeszcze bardziej, niezdolna do rzeczowych wyjaśnień i delikatnego, lecz stanowczego zażądania powodów, dla których Robert upchnął w areszcie niewinnego człowieka.

Robert nie wydawał się zaskoczony.

– Tak, wiem – mruknął w końcu. – Wasz kolega. No i jak go przymkną, będziecie musiały szukać nowego tatuażysty. Rozumiem. Ale zostałem wezwany w charakterze świadka. Zapytano mnie o podejrzane osoby, kręcące się po parkingu w dzień włamania do samochodu twojej przyjaciółki. Tak się składa, że to w ogóle była jedyna osoba, jaką tam widziałem. Nie licząc staruszki, która wyszła na spacer z psem. Nie możesz mieć pretensji, że powiedziałem Borowiakowi to, o co mnie pytał. Nie będę składał fałszywych zeznań. I skąd mogłem wtedy wiedzieć, że to wasz znajomy? Maja, szczerze mówiąc, nawet się nad tym nie zastanawiałem. Miałem wtedy ważniejszy kłopot na

głowie.

„Tak się nie da”, pomyślałam smętnie i wysłałam w diabły swoje dobre postanowienia. Pociągnęłam solidny łyk wina, z nadzieją, że dzięki delikatnej formie znieczulenia łatwiej przełknę rozsądne argumenty Roberta. Miał rację. Nie było cienia szansy, żeby o cokolwiek się przyczepić. Nie mogłam mu nawet zarzucić, że wsadził niewinnego za kratki, bo skąd miał wiedzieć, że pomaga w typowaniu podejrzanego. Pytali, kto się kręcił. Proszę bardzo. A że wyszło fatalnie, to już czysty przypadek.

– Ja tylko jestem ciekawa, jakim cudem ty go tam widziałeś – zagaiłam. – Co robiłeś na tamtym parkingu bladym światem?

– Ojciec w nocy zadzwonił, że mama źle się poczuła – powiedział Robert. – Przez tę sprawę z Kamila. Miała zawał. Byliśmy w szpitalu i dopiero o czwartej rano wróciliśmy do domu.

No, Kostrzewska, a ty sobie kochanki wymyślałaś!

– Przykro mi – bąknęłam. – Ale już wszystko w porządku?

– Nie jest najgorzej. Zawał nie był rozległy. Ale swoje przeszła.

Nie dziwiłam się. Córka w mamrze za próbę zabójstwa, włamania i kradzieże... Dopiero teraz dotarło do mnie, że sprawa Olgierda zatoczyła bardzo szerokie kręgi. I że przez długi czas wszystkim nam będzie się odbijać czkawką. Na przykład mnie. Rodzice Roberta, których w ogóle do tej pory nie brałam pod uwagę, z pewnością nie przywitają mnie z otwartymi ramionami, choć byłam w tej sprawie najmniej winną osobą... Ale która matka przyzna, że jej dziecko to psychopatka o wybujałej potrzebie zemsty? Byłam temu tak samo winna jak Robert temu, że Steven wylądował w areszcie...

Tym bardziej nie widziałam powodów, żeby jeszcze jedną niewinną osobę wikłać w cały ten cyrk.

– Sam widzisz, jakie są konsekwencje dla osób pośrednio uwikłanych w tę sprawę – upierałam się. – Proszę cię, uwierz

mi, że siedzi niewłaściwa osoba. Pomóż mi ją uniewinnić. Przypomnij sobie, może był tam ktoś jeszcze. Może widziałeś coś więcej. Może...

– Maja, przepraszam – wybuchnął nagle Robert. – Akurat po odwiezieniu matki z zawałem w środku nocy do szpitala byłem najlepszym obserwatorem, kto i po co płacze się po jakimś parkingu! Nic więcej sobie nie przypomnę, bo byłem wykończony, zdenerwowany i miałem w dupie wszystko poza tym, żeby mama przeżyła. A ty mi zwracasz głowę o wytatuowanego faceta! Co ci na nim tak zależy?

Boże święty, miał rację... Miał prawo się wściec, bo cisnę go od pół godziny o sprawę, która wobec jego własnych problemów dla niego była nic nieznaczącą pierdołą... Ale Stevena też tak zostawić nie mogłam. Młot i kowadło, ciekawe, w którym momencie zostaną zmiażdżona...

– Nie chodzi o to, że mi zależy – jęknęłam z rozpaczą. – Po prostu za dużo ludzi już ucierpiało w tej aferze! Nie dokładajmy kolejnych! Proszę, powiedz chociaż Borowiakowi, że tam był, ale nie robił nic podejrzanego! Chciał nam pomóc!

Robert wbił we mnie ponure, pełne złości spojrzenie.

– Przykro mi. Nie. Nie będę kłamał. Dla kogo? Dla wytatuowanego faceta, na którym podejrzenie mocno zależy mojej kobiecie? Gdybyś nie pamiętała, nie zawahałem się wydać policji własnej siostry, bo stanowiła dla ciebie zagrożenie. Pomyśl o tym, kiedy znów zaczniesz mnie męczyć o ułaskawienie dla tego gościa.

To był cios, na który czekałam. Zmiażdżył wszystkie moje racje, po prostu zmiotł je bezlitosną siłą. Sama siebie ośmieszyłam, zapominając, jak trudny musiał być dla Roberta wybór pomiędzy mną a Kamilą. Gdyby pozwolił jej wtedy uciec, nie wiozłby do szpitala matki z zawałem serca. To wszystko dla mnie. Byłam okropnie niewdzięczna.

Tylko jak miałam zostawić Stevena w kłopotach?

Nie mogłam!

– Majka, ja jednak pojedę do domu – rzucił przez zaciśnięte zęby Robert, wstając z sofy. – Miałem nadzieję, że z tobą odpocznę, a tu... Po tym wszystkim, jak się dla ciebie staram, robisz mi wyrzuty, że nie nałgałem policji na temat jakiegoś tam faceta ze studia tatuażu. Nie zamierzam ciągnąć tematu.

Przerażona patrzyłam, jak zbiera swoje rzeczy. Ratunku, przecież chciałam tylko wyjaśnić, że Steven jest niewinny!

– Robert, zaczekaj – wykrztusiłam wreszcie. – Spokojnie, wszystko rozumiem. Odpuszczam temat. Tylko proszę, nie jedź teraz do domu. Piłeś. Jeszcze tego brakuje, żebyś się zabił, prowadząc po alkoholu!

– Piłem niewiele, a do domu mam blisko – burknął i wyszedł do przedpokoju. – Pójdę na piechotę, a auto zabiorę jutro po pracy. Nie martw się.

O nie, jeśli teraz wyjdzie, diabli wiedzą, czy kiedykolwiek wróci! Poza koniecznością odebrania samochodu. Absolutnie się nie zgadzam! Boże, jak mogłam nie zauważyć, że tak bardzo mi na nim zależy? Jak mogłam tak bezmyślnie to spaścić?

Podbiegłam do drzwi i oparłam się o nie.

– Robert, spokojnie... – wyjąkałam. – W porządku, jesteś zdenerwowany i masz rację. Jeśli potrzebujesz, idź na krótki spacer, zapal, a potem, proszę cię, wróć. Porozmawiamy. Albo po prostu zapomnimy o sprawie. Ale nie zostawiaj mnie teraz. Błagam. Bo zwariuję.

Przez krótką chwilę miałam nadzieję, że zrezygnuje. Stał przede mną z torbą na ramieniu, jakby się zawahał. Ale jedno spojrzenie w chmurne, zagniewane oczy wystarczyło, żeby dostrzec, jaką decyzję podejmie.

– Maju, przepuść mnie. W tej chwili nie ma opcji, żebym został. Cały czas mam wrażenie, że tylko mi zależy na tym związku. Ty masz milion ważniejszych spraw. Obawiam się, że spacer i papieros nie załatwią problemu. Będiesz czegoś potrzebowała, będą problemy z kotem, dzwoń. Ale jeżeli nie, daj mi przez kilka dni ochłonać. I pomyśl, czego ty sama chcesz.

Albo raczej kogo.

„Jak to kogo?“, chciałam wrzasnąć rozżalona niesprawiedliwym posądzeniem, jakobym chciała kogokolwiek innego, jednak pełne urazy i wyrzutu spojrzenie Roberta sprawiło, że głos uwiązł mi w gardle. Nim zorientowałam się, co robię, odsunęłam się od drzwi i stałam bez ruchu, czekając, aż wyjdzie. Nie pocałował mnie nawet na pożegnanie, tak bardzo był zły. Machinalnie przekręciłam klucz w zamku i oparłam się o futrynę, słuchając szybkich, cichnących kroków na schodach.

No to miałam faceta...



Idąc rano do pracy, zmierzyłam pełnym urazy spojrzeniem auto Roberta, które nadal stało na parkingu przed moim blokiem. Było jeszcze wcześnie, więc istniało prawdopodobieństwo, że zniknie za kilka minut. Nie miałam zamiaru tego sprawdzać. Specjalnie wyszłam z domu pół godziny wcześniej, żeby oszczędzić sobie spotkania po nieudanym wieczorze.

Przyczyny irytacji Roberta rozumiałam doskonale i nie zamierzałam mieć o nie pretensji. Sama sobie wydałam się głupią idiotką, obraz Majeczki egoistki narzucił mi się tak wyraźnie, jak podczas rozmowy z Luizą obok cmentarza w miasteczku. Własne problemy działały u mnie jak najdoskonalsze klapki na oczy, a ile w tym samym czasie przeżywali bliscy mi ludzie, nie potrafiłam dostrzec. Ale chciałam uderzyć się w pierś i naprawdę szczerze przeprosić. Wy tłumaczyć się i znaleźć kompromis. Doprawdy, nic by się nie stało, gdyby Robert obleciał blok dookoła, spalił jednego lub dwa papierosy i wrócił na górę. Ale nie. Męskie ego nie dawało

się łatwo przeprosić. Tak mieli wszyscy faceci, z jakimi kiedykolwiek przyszło mi funkcjonować. Mój ojciec. Michał. Borówa. Nie mówiąc o tych, z którymi próbowałam się związać. No i teraz Robert. Tylko co ja biedna miałam dalej z tym fantem zrobić?

„Dać święty spokój”, podpowiadał stanowczo rozum. Odsunąć dzwoniący, wychodzić przez kilka dni wcześniej do pracy i zająć się czymś, co pozwoli przeczekać męskiego focha. Za trzy, cztery dni Robertowi przejdzie i sam zadzwoni. Może nawet dotrze do niego, że wściekł się wprawdzie całkiem słusznie, ale nieco z tym świętym gniewem przesadził. A ja tego jego focha przetrzymam, a potem pozwolę się przeprosić i przyjmę bukiet kwiatów z konkurencyjnej kwiaciarni...

Plan był prosty, nieskomplikowany, tylko realizacja szła bardzo opornie. Na szczęście pochłonięta problemami natury prywatnej nie przemyślałam jeszcze zatrudnienia kogoś do pomocy. Teraz, dwojąc się i trojąc przy sprzedaży, przyjmowaniu zamówień, układaniu bukietów i ogarnianiu tematów kasowych, wolałam krótkie chwile przerwy poświęcić na przegryzienie czegoś jadalnego i łyk ulubionej kawy.

Kilka minut przed zamknięciem do kwiaciarni wpadła przejęta Luiza. Obsługiwałam akurat wyjątkowo niezdecydowaną panią, dla której wybór pomiędzy białym storczykiem a bukietem herbacianych róż był kwestią życia i śmierci. Storczyk czy róża, pytanie, które powoli urastało do rangi sławetnego „być albo nie być”, zdawało się nie posiadać dobrej odpowiedzi, a sugestie moje i coraz bardziej zniecierpliwionego małżonka zażywej pani tylko pogłębiały dylemat.

Nic dziwnego, że nadejście Luizy powitałam przedziwnym bulgotem, w jaki przerodził się stłumiony z trudem okrzyk ulgi.

Lulu zależało na czasie. Chciała podzielić się ważną informacją, a medytująca nad kwiatami kobieta przeszkadzała jej niewymownie. Czym prędzej ustawiła się za nią w kolejce, udając kolejną klientkę, wiercąc się i pokaszując znacząco.

Pani od róż i storczyka pochrząkiwanie Lulu było doskonale obojętne, podobnie jak fakt, że osiemnasta minęła kilka ładnych minut temu i wypadałoby się pospieszyć. Szczęśliwie jej mąż nie był aż tak na bakier z upływem czasu.

– Chodźże – wysyczał desperacko. – Cóż za różnica? Krysia ucieszy się z każdego zielska! Zobacz, pani chce jeszcze coś kupić... – Uśmiechnął się przeproszająco do Luizy, która coraz bardziej demonstracyjnie kręciła się za jego małżonką. – Bardzo przepraszam, jeszcze tylko chwila...

– Nie szkodzi, autobus odjeżdża mi dopiero za dziesięć minut. – Luiza zakasłała całkiem autentycznie, zdenerwowana, choć nie na okoliczność autobusu. – Mam nadzieję, że zdążę dobiec na przystanek.

Niezdecydowane babsko miało w głębokim poważaniu wszystkie autobusy świata i spóźniających się na nie z jej powodu pasażerów. Nadal medytowało zawzięcie, doprowadzając do furii męża, Luizę i mnie.

Wreszcie, ku naszej rozpaczy, zwróciło wzrok ku doniczce z azalią w kolorze biskupim...

– Nie! – dało się słyszeć zdesperowany wrzask udręczonego małżonka. – Te są okropne! Idziemy na urodziny, tak? Na urodziny chodzi się z bukietem! Krysia wstawi do wody i z głowy, sama zawsze mówiła, że do kwiatów w doniczkach nie ma ręki! To drugie tam, zdaje się, trzeba podlewać, przesadzać i diabli wiedzą, co jeszcze! I pewnie jest dużo droższe!

– O trzydzieści złotych – zgodziłam się słabo. – I tak, ma pan rację. Trzeba podlewać... Inaczej zdechnie. Nie za szybko, ale w końcu zdechnie.

To był argument koronny.

– No widzisz? Kupić na zmarnowanie w doniczce? Za siedemdziesiąt złotych? Wykluczone, zlituj się nad biednym kwiatkiem!

– Ależ, Tymoteuszu...

– To. – Zdesperowany mąż wyrwał z wazonu herbaciany bukiet. – Już płacę. A to białe niech pani na litość boską wyniesie gdzieś na zaplecze, niech to zniknie jej z pola widzenia – wyrzeźił szeptem, podając mi kartę.

Czym prędzej chwyciłam białego storczyka i upchnęłam za ladą. W ułamku sekundy pan zatwierdził płatność, odebrał ode mnie potwierdzenie i paragon, po czym ujął zdębiałą małżonkę pod ramię.

– Załatwione – powiedział i odsapnął z ulgą, ciągnąc połówicę ku wyjściu.

Jednym sprawnym susem dopadłam drzwi i przekręciłam klucz. Dobiegające z zewnątrz protesty oburzonej damy mogły oznaczać, że zechce wrócić w celu zażądania reklamacji i samodzielnego podjęcia decyzji. Na takie ryzyko nie byłam gotowa.

– Zastawić drzwi krzesłem? – zaproponowała Lulu, patrząc z rozbawieniem, jak ocieram pot z czoła po starciu.

Rzuciłam jej zniesmaczone spojrzenie. Dziwnym trafem tacy klienci zdarzali się tylko w sytuacjach, gdy bardzo się spieszyłam. Przychodzili kilka minut przed zamknięciem i zmuszali do poruszenia najgłębszych pokładów cierpliwości. Gdyby nie interwencja zniecierpliwionego małżonka, kto wie, czy pani nie zostałaby zadźgana wspierającym gałązki storczyka bambusowym kijkiem. W mojej wyobraźni na pewno.

– Miałaś mi powiedzieć coś strasznie ważnego – przypomniałam cierpko. – Czy tak po prostu przyszłaś dopilnować, żebym wyszła punktualnie?

– Przydusiłam Patryka – oznajmiła Lulu. – Żeby trochę porządniej przesłuchał Stevena.

– Nareszcie mówisz z sensem! I co z tego przyduszania wyszło?

– Patryk dostał wścieklizny...

Tego akurat mogłam się spodziewać. Tak ładnie poukładał sobie wersję wydarzeń i dwie szalone baby robią wszystko, żeby



mu ją zepsuć. Na moje jęczenie był odporny, ale ciąg dalszy marudzenia czekał go w domu. Znajac Borówę, nie było ważne, jak bardzo się wścieknie. Zgoda na prośby Luizy była kwestią czasu. Tak jak teraz. Co nie zmieniało faktu, że wściekłość będzie musiała znaleźć jakieś ujście. Wolałam sobie nie wyobrażać, jak mogło wyglądać to porządniejsze przesłuchanie Stevena.

– I wyobraź sobie, że Steven ma alibi na tamtą noc – ciągnęła Luiza. – Milion osób widziało go na zlocie tatuażystów w Krakowie. Wyjechał z Poznania w czwartek po południu i wrócił dopiero w niedzielę wieczorem. W hotelu potwierdzili jego obecność, organizatorzy imprezy zresztą też. Nie miał szans rąbnąć Olgierda!

Ani włamać się do samochodu Luizy, co potwierdziła starsza pani z pieskiem, która feralnej niedzieli we wczesnych godzinach porannych promenowała chodniczkiem dookoła osiedla. Wprawdzie nie miała w zwyczaju tak wcześnie wychodzić z pupilem, jednak tamtej nocy kłopoty zdrowotne wyrwały ją ze snu kilka minut przed czwartą. Zażyta pigułka przeciwko migrenie nie przyniosła ulgi, nie pozostało więc nic innego, jak skorzystać z drugiego, niezawodnego sposobu. Sposobem tym było dotlenienie, przynoszące poprawę samopoczucia i staruszki, i jej pupila. Tak więc od czwartej mniej więcej trzydzieści oboje spacerowali przed blokiem i widzieli, jak na dźwięk wyjącego przeraźliwie alarmu mieszkający po sąsiedzku Steven wychyla się przez okno. Być na dole, włamywać się i jednocześnie przyglądać się całej akcji z okna było niemożliwością, którą musiał przyjąć do wiadomości nawet Borówa. Przyjął, powściekał się i zwolnił Stevena do domu. Po czym długo i soczyście kłął zrujnowaną koncepcję, która tak bardzo pasowała do jego potrzeb i rozwiązywała wszystkie problemy.

Na wieść, że Steven wrócił do domu i poza dyskomfortem odsiedzenia w areszcie czterdziestu ośmiu godzin wyszedł ze sprawy bez szwanku, z ulgą opadłam na stołek. Wypuszczając go, Borówa rozwiązał mi dwa problemy za jednym zamachem.

Nie musiałam się dłużej martwić, jak pomóc aresztowanemu niewinnie koledze. Ani klócić się o zasadność aresztowania Stevena z Robertem. Źródło konfliktu zostało zażegnane.

Natychmiast zapomniałam, jak bardzo jestem obrażona za wczorajszą ewakuację Roberta i że miałam dać mu kilka dni na ochłonięcie. Sam przecież powiedział, że jeżeli będę czegoś potrzebowała, mam dzwonić. No to właśnie potrzebowałam. Powiedzieć mu, że przyczyna naszego konfliktu przestała istnieć, więc nie ma potrzeby dłużej się dąsać i jest mile widziany dziś na kolacji. Ręce świerzbiały mnie okrutnie, żeby natychmiast wyciągnąć z torebki komórkę. Luiza spoglądała niespokojnie, gdy trzęsącymi się ze zdenerwowania dłońmi wybierałam numer Roberta. Przycisnęłam komórkę do ucha i zamarłam, czekając na połączenie.

Tyle, że czekać sobie mogłam do upojenia. Robert postanowił konsekwentnie odciąć się na kilka dni. „Ale dlaczego?”, jęknęłam w duchu rozżalona. Przecież sam powiedział, że w ważnych albo kocich sprawach mogę legalnie zawracać mu głowę. Ponownie wybrałam numer i zagryzłam wargi ze złości, gdyż nadal nikt nie odbierał. Gdzie ten facet jest i co, u licha, robi?

– Napisz SMS-a – poradziła Lulu, która obserwowała ze współczuciem moją gimnastykę z telefonem.

Pomysł nie był głupi, ale wymagał czekania na odpowiedź. Cierpliwe czekanie zaś nie było moją mocną stroną.

– Mam lepszy pomysł – mruknęłam i wrzuciłam komórkę do torebki. – Spieszysz się bardzo? Mogłabyś mnie podrzucić?

– Jak nie będziesz truła o przepisach...

Tym razem nie przepisy drogowe były moim największym zmartwieniem. Bez wahania zamknęłam kwaciarnię i wsiadłam z Luizą do jej nissana.

– Kierunek to osiedle za wieżami, please – rzuciłam. – Blok jakoś przy drugim wjeździe. Pokażę ci, gdzie skręcić.

– A votre service, madame! – Lulu uśmiechnęła się i odpaliła silnik.

Pod blok, w którym mieszkał Robert, podjechałyśmy kilka minut przed dziewiętnastą. Rozglądałam się niecierpliwie po parkingu, szukając wzrokiem znajomego seata. Pomimo licznych jeszcze wolnych miejsc parkingowych, nie dostrzegłam nigdzie auta Roberta. Niemożliwe, żeby zaparkował gdzieś daleko. Chyba że postanowił odebrać auto z mojego osiedla dopiero po pracy.

– Chyba go nie ma – powiedziałam rozczarowana, gdy podjechałyśmy niemal pod samo wejście.

– Nie zadzwonisz?

Wysiadłam z nissana i podeszłam do domofonu. Tylko po to, żeby potwierdzić to, czego i tak byłam już pewna. Robert jeszcze nie wrócił do domu.

– Nie ma go. – Wzruszyłam ramionami, wracając do Luizy. – No dobra, do domu mam blisko. Jedź już do siebie. Dzięki.

– No chyba zwariowałaś, przecież cię tu nie zostawię. – Luiza z politowaniem pokręciła głową. – Wsiadaj. Ale pojedziemy nieco okrężną drogą.

Okrężna droga prowadziła przez „Hortensję”. Przystanek w ulubionej kawiarni nieznacznie poprawił mi humor. Wypłakawszy się ze wszystkich sercowych rozterek i uzupełniwszy niedobór wylanej we łzach wody mrożoną czekoladą, nareszcie poczułam, że świat powraca do normalności. Pierwsza poważna kłótnia z facetem w świeżym, obiecującym związku nie była sygnałem zbyt optymistycznym, jednak po kryminalnych awanturach i kołomyi ze spadkiem babci kłopoty miłosne zdawały się być dziecinną igraszką. „Zwariowałam”, doszłam do wniosku, zamawiając drugą mrożoną czekoladę i pochlipując. Powinnam szaleć i odchodzić od zmysłów, niepewna, czy pierwsza kłótnia nie zyska statusu ostatecznej. A jednak do szaleństwa z rozpaczy było mi daleko. Pewnie dlatego, że tak naprawdę nie wierzyłam, by ktoś tak

zakochany jak Robert był zdolny zakończyć związek z powodu jednej sprzeczki.

W rezultacie wyszłam z „Hortensji” z rozmazanym makijażem, ale i z optymizmem. Kilka dni separacji, o jakie prosił Robert, postanowiłam za radą Luizy wykorzystać na odzyskanie sił i zrobienie się na bóstwo. Żadnych telefonów ani odwiedzin. Dopóki Robert sam się nie odezwie, leżę i pachnę bogactwem dobroczynnych olejków. Pięknieję. I zapominam, że z powodu faceta można doprowadzić do ruiny cerę bezsensownym płakaniem w poduszkę.

Taki plan bardzo mi odpowiadał, więc postanowiłam od razu zabrać się za realizację. Drobną przeszkodę stanowił fakt, że nie posiadałam w domu stosownych olejków. Ale i na to Luiza znalazła radę.

– Podjedziemy do mnie. Uszykuje ci zestaw na trzy wieczory domowego relaksu, a w piątek po pracy chcę cię widzieć w salonie.

Tuż przed dziewiątą znalazłyśmy się przed blokiem, w którym mieszkali Luiza i Patryk, a także, jak się okazało, Steven. Być może również rodzice Roberta. „Swoją drogą, świat naprawdę jest mały”, pomyślałam, wracając przez parking do nissana Lulu. Sama Luiza cofnęła się do mieszkania, uznawszy, że gdy wróci, nie będzie jej się już chciało wynieść śmieci. Teraz pomknęła w kierunku śmietnika.

Czekając na Luizę, przyglądałam się bezmyślnie przejeżdżającym samochodom. „Ciekawe, czy trafię na Stevena”, przemknęło mi przez myśl. Wprawdzie to nie ja byłam przyczyną jego kłopotów, jednak czułam potrzebę przeproszenia go za Borówę i Roberta. Chciałam zwyczajnie zapytać, jak się czuje. I wreszcie umówić się na tę obiecaną kawę, o której tyle razy zdażyłam zapomnieć...

Ale fiesty Stevena w oryginalnym, koniakowym kolorze nigdzie nie było widać. Pokontemplowałam jeszcze przez chwilę parking, do momentu, gdy obok pojawiła się wreszcie Luiza.

– No ileż można wynosić śmieci? – fuknęłam. – Piętnaście minut tu sterczę jak idiotka!

– Przepraszam – mruknęła skruszona Lulu. – Po prostu pojawił się na horyzoncie ktoś, kto od kilku lat cholernie podnosi mi ciśnienie. Przystojny facet, nie powiem, ale poza tym tylko utłuc. Dupek.

Zainteresowałam się tak dosadnie opisanym osobnikiem, bo poza Olgierdem rzadko kto budził w Luizie mordercze odruchy. Chyba że był z drogówki i chciał wlepić jej mandat. Czyżby i ten jakiś tam był kolegą Borówy po fachu?

– Który to?

– A, tamten. W tej ibizie, zaparkował pod wejściem. Nie gap się tak, zobaczy cię, jak będzie wysiadał!

A niech sobie zobaczy, w nosie miałam, co o moim nachalnym gapieniu się pomyśli obcy facet. Ze względu na Lulu odwróciłam się jednak we wskazanym kierunku w miarę dyskretnie, symulując badanie topografii osiedla.

Po czym dyskrecję diabli wzięli. Na widok wysiadającego faceta skamieniałam z głupią miną.

Wysiadający ze swojego seata Robert nie powinien być już dla mnie zaskoczeniem. Wiedziałam, że przyjeżdża odwiedzić rodziców, teraz zapewne częściej z powodu kłopotów zdrowotnych matki. Pewnie dlatego nie zastałam go w domu dziś po południu. Jednak wygłoszona i poparta stosowną mimiką opinia Luizy to była dla mnie kompletna nowość. Że co? Że niby palant i dupek? Czy my mówimy o tym samym facecie?

– A niby dlaczego taki dupek? – bąknęłam. – Przystojny, no owszem. Ale bycia dupkiem nie ma wypisanego na obliczu. Wasz sąsiad czy coś?

Przyznawać się do znajomości na razie nie zamierzałam. Gdybym to uczyniła, Luiza, zamiast spokojnie wyjaśnić powody antypatii, wyrecytowałby mi całą litanię wad rodu męskiego, nie dbając o to, czy w tym jednym osobniku dało się je wszystkie

upchnąć. Wolałam dowiedzieć się czegoś bliższego prawdy.

– Sąsiad nie, uchowaj Panie, od takich sąsiadów – wzdrygnęła się Lulu i zrobiło mi się nieprzyjemnie. – Jego rodzice mieszkają na parterze. Niby nie ma się do czego przyczepić, ale chociaż nas zna, nigdy się nie przywita, nosa zadziera i w ogóle... Patryk twierdzi, że przesadzam, ale chyba się nigdy na gościa nie napatoczył. Dziś rano też tu był i ściał się na parkingu ze Stevenem. Wiesz, Steven chciał wsiąść do auta, a ten do niego podleciał z pretensjami. Nie miałam już czasu czekać, ale jak wyjeżdżałam z parkingu, to jeszcze się awanturowali. To znaczy awanturowali! – prychnęła. – Ten się awanturował, znasz przecież Stevena! To jest ostatnia osoba na świecie, która by się awanturowała!

Teraz było mi już naprawdę nieprzyjemnie. Ładnych rzeczy się dowiaduję... Czyli wygląda na to, że Robertem kierowała nie tylko święta praworządność, gdy wystawił Stevena Borowie. O co tutaj chodziło? Czy znali się wcześniej? Czy konflikt zaczął się od wzajemnego podania swoich personaliów komisarzowi Borowiakowi podczas przesłuchań?

Tymczasem Luizie Robert musiał porządnie nadepnąć na odcisk, gdyż cały czas mamrotała gniewne inwektywy pod jego adresem. Tym bardziej odłożyłam przyznanie się do znajomości, aż sprawa się wyjaśni.

– Dupek to dupek, nie wyeliminujesz ze świata wszystkich dupków. – Westchnęłam. – To co? Dasz radę odwieźć mnie do domu? Robi się późno, więc jakby co, mogę wezwać taksówkę.

Ale Luiza nie chciała nawet o tym słyszeć.

– Wsiadaj – rzuciła, odrywając się wreszcie od tematu Roberta.  
– Uszykowałam ci kilka fajnych zestawów. Zaczynasz dziś od gruntownego oczyszczania peelingiem z algami.



Peeling z algami o kojącym działaniu dla rozpalonej od emocji skóry spełnił swoje zadanie, a delikatny efekt chłodzenia zredukował wypieki na policzkach. Cóż z tego, gdy głowę miałam nadal nabita nieprzyjemnymi rewelacjami na temat Roberta. Pragnienie skontaktowania się z nim jeszcze dziś przyblakło. Z tego, co mówiła Luiza, wynikało, że Robert już wiedział o wyjściu Stevena z aresztu. I wcale nie był zadowolony. Nie potrafiłam tylko zrozumieć dlaczego. Zazdrość? Nie, przecież chyba nie wierzył, że sama będąc zdradzana przez byłego męża, będę kombinowała na boku?

Tylko że rozmowa z Robertem na ten temat odpadała w przedbiegach. Znowu się wścieknę i uzna moje zainteresowanie Stevenem za podejrzanę. To może odwrotnie? Spróbować wyciągnąć coś od drugiej strony? Luiza miała rację, Steven był ostatnią osobą na świecie skłoną do wdawania się w awantury. Jeżeli z tych dwóch facetów któryś będzie skłonny wyjaśnić mi na chłodno, o co im chodzi, to właśnie Steven. Rozmowy z Robertem nie warto ryzykować. Szczególnie, że i tak nie miał chwilowo ochoty ze mną gadać. Nadal nie oddzwonił ani nie wysłał SMS-a z pytaniem, po co chciałam się z nim skontaktować. Było to wbrew deklaracji, że w przypadku problemów mogę śmiało prosić o pomoc. Właściwie mogłabym się obrazić o tak rażący brak konsekwencji, gdyby nie fakt, że i Robert miał w tej chwili swoje problemy. Jego obecność na osiedlu Luizy sugerowała, że być może zdrowie mamy nadal szwankuje. Moje było w całkiem niezłym stanie. Chyba logiczne, o kogo miał prawo bardziej się martwić.

Machnęłam ręką, bo i niewiele więcej mogłam zrobić, nie narażając się na opinię nachalnej baby. Nałożyłam na twarz maseczkę, a jako że jej konsystencja pozwalała mi jeszcze chwilę w miarę normalnie mówić, wybrałam numer telefonu Stevena.



Tak jak można było przewidzieć, po wyjaśnieniu sytuacji i wypuszczeniu z aresztu Steven nie zamierzał obarczać odpowiedzialnością za doznane nieprzyjemności Luizy ani mnie. Ucieszył się z mojego telefonu i troski o samopoczucie. Sam był daleki od przeżywania pobytu w areszcie. Myśl o wzięciu kilku dni wolnych, by dość do siebie po solidnym stresie, nawet nie zaświtała mu w głowie. Na kawę zgodził się bardzo chętnie, jednak dopiero po godzinach pracy.

– Mam tylko nadzieję, że mnie potem nie zadźgasz nożem ani żadne inne takie. – Westchnął. – Kiedy ostatnim razem poszedłem z Borowiakiem na piwo, kilkanaście godzin później wylądowałem w pierdlu... Nie rób mi, proszę, podobnych numerów.

– Niech mnie ręka boska broni. – Zatrzęślam się na samą myśl. – Mam zamiary pokojowe! Naprawdę jest mi bardzo przykro, że z mojego powodu spotkały cię nieprzyjemności. Proponuję fajkę pokoju. No, taką symboliczną, bo palić naprawdę nie będę nawet z tobą.

– Dlaczego?

– Bo nie! Bo prowadzę zdrowy tryb życia! No, usiłuję... Chociaż zważywszy, ile czekolady już zdażyłam pożreć przez te kryminały...

Steven nie zamierzał sprowadzać mnie na złą drogę. Chętnie zgodził się spotkać następnego dnia chwilę po pracy. Szczerze wątpiłam, by Robertowi tak szybko przeszły dąsy i zakładałam, że jeszcze jutrzejszy wieczór będę mogła zaplanować według własnego uznania. „Swoją drogą, co za koszmarną huśtawkę



emocjonalną funduje mi ten facet”, złościłam się na myśl o Robercie. Niby taki zakochany, taki wspaniały, opiekuńczy i gotów lecieć na każde skinienie, niby tak bardzo przygnębiony myślą, że to ja zbyt mało angażuję się w naszą znajomość... Taki mężczyzna był dla mnie szalenie pociągający. W przeciwieństwie do antypatycznego dupka, którego obraz wyłaniał się z relacji Luizy i żywej niechęci Roberta do Stevena. Wzajemne antagonizmy byłam w stanie zrozumieć, ale żeby klócić się na środku osiedla i na wyrost rzucać oskarżenia zdolne doprowadzić do aresztowania nielubianego, lecz niewinnego człowieka? Oj, to już było nieładnie...

Ponieważ cisza ze strony Roberta trwała niezakłócona nawet drobnym SMS-em, nadal wychodziłam do pracy kilka minut wcześniej, by uniknąć niezręcznego spotkania. Bo cóż miałabym zrobić? Rzucanie się na szyję raczej odpadało. Dziś zresztą planowałam zamknąć kwaciarnię punktualnie i wcześniejsze pojawienie się w pracy dawało mi szansę na ogarnięcie od rana faktur i zamówień, które w swojej niechęci do papierkowo-rozliczeniowej roboty zawsze zostawiałam na koniec dnia. Usiłowałam trenować charakter, odpracowując je bardzo porządnie, szło mi jak po grudzie i w ten sposób nadgodziny mnożyły się jak króliki. Dziś miałam szansę zapanować nad nimi przed otwarciem, jednak znając siebie, byłam pewna, że długo we wcześniejszym wstawaniu i dobrej organizacji poranka nie wytrwam. Trzeba było naprawdę zabrać się za szukanie kogoś sensownego do pracy. Albo zmusić się do przeorganizowania własnego podejścia do życia metodą głębokiej hipnozy i gruntownego prania mózgu. Choć i na to, jak podejrzewałam, moje lenistwo mogłoby okazać się odporne.

Póki co udało mi się je chociaż odrobinę stłamsić i punkt osiemnasta byłam gotowa do wyjścia. Pół godziny później stanęłam przed studiem tatuażu, w którym umówiliśmy się ze Stevenem.

Steven trząskał nadgodziny dla przyjemności i wcale nie wyglądał na przygnębianego, krzając się w zamkniętym już dla klientów studiu. Wpuścił mnie natychmiast, gdy

zastukałam w okno.

– Cześć, Majka. – Uśmiechnął się. – Jeszcze sekunda i możemy iść. Zabrałem się za sterylizację sprzętu i muszę dokończyć.

W przeciwieństwie do Stevena, nadal przeżywałam ściągnięte na niego przez Roberta kłopoty i zwyczajnie było mi głupio. Przysiadłam na czarnej sofie przy recepcji i skubiąc pasek torebki, czekałam, aż Steven skończy się krzątać w gabinecie.

Wyrzuty sumienia były przydatne, bo stanowiły doskonały moment do zagajenia na temat Roberta.

– Tak się domyślałem, kto mnie wrobił – mruknął Steven niechętnie, gdy płacząc się w formie, lecz nie treści zeznań, wyjawiałam, skąd w głowie Borówy urodziła się myśl, by właśnie naszego tatuażystę wytypować na głównego podejrzanego. – Tylko nie sądziłem, że taka fajna dziewczyna może się zainteresować takim dupkiem. Ale dobra, może po prostu ja mam z nim problem, a wobec ciebie jest zupełnie w porządku. Komu jak komu, tobie życzę jak najlepiej.

Przygryzłam wargi. Sama również myślałam o Stevenie wyłącznie w życzliwy sposób. Tym bardziej nie podobało mi się podejście Roberta do całej sytuacji. I tym bardziej czułam potrzebę wybadania, na jakim tle wybuchł konflikt i do jakich zniszczeń jeszcze może doprowadzić wzajemna niechęć. O wypaleniu fajki pokoju przez tych dwóch raczej nie mogło być mowy, choć nie widziałam żadnych formalnych przeciwwskazań.

I doskonale wiedziałam, kto będzie agresorem, gdy dojdzie do kolejnej konfrontacji. Ale to już był temat na rozmowę przy delikatnie rozluźniającym napoju. Niekoniecznie przy piwie, którego nie lubiłam, ale zakrapiana czymś mocniejszym kawka wydawała się idealna. Upewniwszy się, że Steven nastawił się na przyprawioną alkoholem wersję wieczoru i zostawił samochód na parkingu przed blokiem, zaproponowałam „Hortensję”.

Wyszliśmy ze studia. Przez chwilę czekałam, aż Steven opuści antywłamaniowe rolety w oknach i zamknie drzwi. Nie była to chwila dobrze spożytkowana. Wystarczyła, by przypomnieć sobie, że Olgierd, większość jego poprzedników, a teraz zapewne i Robert, jak to faceci, krzywo patrzyli na takie damsko-męskie wyjścia. Każdy mój kolega stawał się nagle wrogiem numer jeden. Rzadko przyjaźniłam się z facetami i nie miałam okazji uodpornić się na pretensje i przeforsować prawa do wychodzenia z kim chcę. Pewnie dlatego wyrzuty sumienia podgryzały mnie w pięty, zmuszając do nerwowego przytupywania.

Wieczór był ciepły, a do zachodu słońca pozostało jeszcze sporo czasu, więc choć „Hortensję” od studia dzieliło pół godziny spaceru, zrezygnowaliśmy z taksówki. Steven, podobnie jak ja, lubił spacerować i nie miał nic przeciwko poruszaniu się na piechotę.

– Właśnie dlatego uważam, że byłoby głupotą kupować nowe auto – powiedział, gdy ruszyliśmy w parkingu. – I tak więcej chodzę, niż jeżdżę. Nienawidzę korków. Nienawidzę szukać miejsca do zaparkowania. Dziesięcioletnie auto bez klimatyzacji i wszystkich tych elektronicznych bajerów w zupełności mi wystarcza.

– Ja właśnie odkryłam na nowo przyjemność jazdy rowerem – wyznałam i opowiedziałam o swojej wycieczce w miasteczku na rozklekotanym rowerze wywleczonym z babcinej szopy. Dobrze mi się rozmawiało ze Stevenem i postanowiłam nie zatajać nawet dramatycznego finału rowerowych ekscesów.

– Nie mam wyboru, muszę kupić nowy rower. Ale wiesz, taki trochę lepszy. Kolejne lądowanie w jeziorze mi się nie uśmiecha.

Choć Steven nie zamierzał kryć rozbawienia, ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie czuję zażenowania, pomimo zrobienia z siebie koncertowej idiotki. Do tej pory wolałabym milczeć po wieki wieków niż przyznać się facetowi do głupot, jakie zdarzyło mi się wyprawiać. Nawet jeżeli ten facet był tylko kolegą.

No właśnie, tylko kolegą. Bardzo życzliwym, sympatycznym i śmiejącym się w tej chwili z mojej przygody, a nie ze mnie. Coraz bardziej było mi żal, że Robert nie będzie zachwycony naszą przyjaźnią i pewnie będę musiała się sporo nagimnastykować, żeby utrzymać kontakt ze Stevenem, nie narażając się na wieczne pretensje.

– Mój kuzyn pracuje w sklepie rowerowym – powiedział Steven. – Dam ci numer telefonu i uprzedzę, że ma wybrać coś naprawdę fajnego. Jak będziesz chciała, możemy podjechać tam razem. To znaczy wiesz. O ile nie będziesz wołała z kimś innym. Nie chcę się pchać pomiędzy was.

Bardzo to było taktowne, grzeczne i pewnie dlatego jeszcze mocniej odczułam szarpnięcie żalu, że prawdopodobnie przyjdzie mi wybierać pomiędzy uczuciem do Roberta i sympatią, jaką miałam do Stevena. Rękami i nogami zapierałam się na samą myśl o zerwaniu kontaktu. Zwłaszcza, że jeżeli nawet Stevenowi naprawdę zależało na czymś więcej niż przyjaźń, pogodził się z moim wyborem. Podziwiałam go za to, bo sama szczerze wątpiłam, bym była zdolna cieszyć się towarzystwem obiektu uczuć, wiedząc, że nie mogę liczyć na nic innego niż sympatię. Wolałabym uciąć taką znajomość. Steven był inny. Nastawił się, że jest na straconej pozycji i nie próbował przekonywać mnie do zerwania z Robertem. Nie był natrętny i nie usiłował mnie desperacko podrywać. Po prostu przez trzy godziny w ogródku „Hortensji” dobrze się bawił w moim towarzystwie, opowiadał dowcipne anegdotki o pracy i swoich tatuażach i zachłannie słuchał tego, co sama miałam do powiedzenia. Przykre tematy zbywał krótkimi, celnymi ripostami, więc niewiele udało mi się wyciągnąć na temat jego konfliktu z Robertem. Poza faktem, że się nie lubią i że w sumie jest to dziwne, bo ich znajomość ogranicza się do sporadycznych kontaktów, gdy Robert odwiedza rodziców, nie dowiedziałam się wiele.

Poza tym, że Steven ma ogromne poczucie humoru i choć do niechęci do Roberta przyznaje się otwarcie, to tylko dlatego, że wkurzają go nieprzyjemne zaczepki. Sam z siebie najchętniej by

temat odpuścił, bo nie widzi potrzeby toczenia bojów o pierdołę, która stała u zarania wzajemnej niechęci. Bo naprawdę była to pierdoła. Na tyle nieistotna, że zdążył zapomnieć, czego dotyczyła.

– Tak mi się wydaje, że poszło o samochód. Że niby przytarłem lakier, czy coś tam. Fizycznie niemożliwe, bo auto stało cały dzień na parkingu, a ten twój facet przyjechał pod wieczór. Nie dał sobie wytłumaczyć i nawet policję ściągnął. I dobrze, bo udowodnili, że nie moja wina. Ale wiesz, kwas został.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Jak to? I nawet nie przeprosił?

– Wiesz, ciężko mówić o przeprosinach, skoro do dziś nie chce odpuścić.

Nie wierzyłam własnym uszom. Nie spodziewałam się sympatycznych informacji, ale wieść o takiej zawziętości Roberta trzepnęła mnie niczym obuchem. Czego ja jeszcze się dowiem? I czy w ogóle dostanę szansę, żeby to skonfrontować? Przy założeniu, że w charakterze Roberta leżał aż taki upór, kto wie, ile czasu potrwa jego foch i czy nie przeciągnie się na, mniej więcej, wieczność?

Ku własnemu zdziwieniu stwierdziłam jednak, że perspektywa wiecznego focha w wykonaniu Roberta tylko na chwilę posuła mi humor. W towarzystwie Stevena łatwo było się śmiać i tymczasowo wymazać z pamięci fakt istnienia mniej radosnych stron świata. Gdzieś w głowie popiskiwał nieśmiało alarm, że być może wali mi się nowy związek i czekają mnie z tego tytułu kolejne nieprzyjemności. Atmosfera „Hortensji”, niezawodnie kojąca bóle i niepokoje, kawa po irlandzku i roześmiana twarz Stevena przeczyły istnieniu spraw nie do załatwienia, spraw przykrych i przyziemnych, spraw, które zapewne mnie w końcu dopadną. Ale póki co mogły sobie do upojenia zgrzytać zębami, pozostawione na chłodzie czerwcowego wieczora.

Ale przecież i my tkwiliśmy na werandzie, tak samo owiani chłodnym, choć delikatnym wiatrem, który w promieniach

słońca był całkiem przyjemny. Teraz, długo po zachodzie, zapewne stałby się dokuczliwy. A jednak pomimo widoku siedzących przy sąsiednich stolikach ludzi, narzucających na ramiona swetry i kurtki, nie czułam chłodnych muśnięć. Zapachowa świeczka na naszym stoliku nabrała mocy izolowania od zimna, a śmiech rozgrzewał lepiej niż najcieplejszy sweter. A może to oczy błyszczące Stevena chroniły mnie przed chłodem zapadającej nocy.

Zaciekawiona zabawnymi historyjkami, które opowiadał mój towarzysz, pochyliłam się ku niemu, chłonąc każde słowo wypowiedane cichym, przerywanym śmiechem głosem. I Steven nachylił się w moim kierunku, opierając się lekko o stół. Już dawno przestaliśmy zamawiać napoje, za bardzo skupieni na sobie, by zwracać uwagę na pustą filiżankę i szklanekę po piwie. Właściwie równie dobrze moglibyśmy przesiedzieć cały wieczór przy wodzie mineralnej i śmialibyśmy się tak samo serdecznie, zadowoleni ze spędzanego wspólnie wieczoru, który miał tylko jedną wadę. Mijał o wiele zbyt szybko.

– Maja, chyba odprowadzę cię do domu – powiedział z żalem Steven, gdy kelnerka tuż przed północą położyła na stoliku rachunek, sygnalizując, że zbliża się godzina zamknięcia „Hortensji”. – Ja płacę.

„Ależ bardzo proszę”, zakrzyknęła po raz pierwszy od lat zupełnie nieskrępowanie moja sfeminizowana dusza. Dziś byłam gotowa schować głęboko w kieszeń feminizm i niezależność, bo najzwyczajniej w świecie bardzo chciałam przeciągnąć miły wieczór. Zakończę go oczywiście przed wejściem na klatkę schodową, bardzo przyzwoicie i taktownie, jak to z kolegą. Tylko kolegą. Bo oficjalnie przecież nadal spotykam się z Robertem. Bardzo obrażonym na mnie Robertem, ale to stan przejściowy. Zero podrywania i zezwalania na podrywanie, jeżeli nie zakończy się poprzedniej relacji. Ja niczego nie zakończyłam. I pewnie tylko dlatego tak rozpaczliwie czepiałam się argumentu, że Steven to jedynie kolega.

A czepianie stawało się z każdym krokiem ku domowi coraz

bardziej rozpaczliwe. Tuż pod blokiem dotarło do mnie, że pomimo kurczy, jakich od tego czepiania dostała moja święta zasada, uchwyt rozluźnia się nieubłaganie. Nie znaczyło to wcale, że miałam ochotę wysłać Roberta razem z jego fochem do wszystkich diabłów i zaprosić Stevena na górę. Równie dobrze mogłabym skoczyć do mieszkania, przygotować coś do picia, a potem rozsiaść się ze Stevenem choćby i na krawężniku, byle zatrzymać promieniujące z niego ciepło jeszcze na chwilę. A potem na kolejną... A potem niech będzie i do świtu! Albo do momentu, gdy zbyt ścierną nam tyłki i złapiemy wilka.

Steven również nie wyglądał na przejętego perspektywą tkwienia na parkingu i marznięcia, gdyż chwilę po wyjściu z „Hortensji” oddał mi swoją kurtkę. Takie drobiazgi nie liczyły się, bo wciąż czekało tyle spraw, o których bardzo chcieliśmy pogadać.

Tak więc pożegnanie szło nam wyjątkowo opornie.

– Jest zimno i zbliża się druga – mruknął wreszcie Steven, gdy pomimo jego kurtki zaczęłam rozcierać ramiona. – Powiniennem się wreszcie pożegnać. I pewnie bym tak zrobił, tylko że na drugi taki wieczór nie pozwolisz się wyciągnąć. A ja nie będę się napraszał. Wiem, masz faceta i swoje zasady. Nie chcę narobić ci kłopotów.

No i miły nastrój szlag trafił! Wspomnienie o fakcie, że umówiłam się z nim tylko dlatego, żeby przeprosić i dowiedzieć się czegoś na temat Roberta, przypominało lądowanie tyłka na twardym podłożu z bolesnym plaśnięciem. Miał rację. Pewnie dziś rano wstanę z mocnym przekonaniem, że nasza przyjaźń miałaby działanie jedynie destrukcyjne, niepotrzebnie dawałaby Stevenowi nadzieję, a mnie przeszkadzała w skupieniu się na Robercie. Bardzo, bardzo głupi pomysł. Zwłaszcza, że tego wieczoru Steven kilkakrotnie dał mi do zrozumienia, że gdyby nie Robert, próbowałby awansować na kogoś więcej niż przyjaciel. Delikatnie i taktownie, ale tylko ślepy by tego nie dostrzegł.

– Dzięki, że rozumiesz. – Wcale nie paliłam się, by

poinformować Stevena, że powinniśmy ograniczyć nasze kontakty do tatuażowego minimum. – Wiesz co, po prostu nie kontaktujmy się na razie. Dopóki nie dojdiesz do wniosku, że dobra ze mnie kumpela, ale niewiele więcej. Ja do tego czasu mogę pomyśleć nad nowym tatuażem. Co pewnie trochę potrwa. Tak będzie najlepiej...

– Nie wiem, czy najlepiej, ale jedyne, co mogę zrobić, to uszanować twoją decyzję – wymamrotał Steven. Stał obok mnie z markotną miną i usiłował zebrać się do odejścia. – Czyli co? Relacje czysto oficjalne?

– Chyba tak...

– Szlag by to trafił. – Steven uśmiechnął się smętnie. – Ale wiedziałem od początku, że tak to się potoczy. Tylko wiesz. Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń o każdej porze. Z tym rowerem czy tak po prostu... Zawsze odbiorę od ciebie telefon.

– Dziękuję, będę pamiętać. Choć postaram się nie zawracać ci głowy. – Z trudem przełknęłam ostatnie słowa i skłęłam łzy, których produkcja uruchomiła się kilka sekund temu, powodując niebezpieczne wahanie. Zamiast rzucić jakieś „Cześć” albo „Powodzenia” i pędem wrócić do domu, stałam tu jak idiotka, rozklejając się pod wpływem smutnego, spokojnego spojrzenia Stevena.

Steven musiał dostrzec, co się dzieje, ale zdecydował się uszanować mój wybór. Wiedział, że choć żadne z nas nie ma ochoty się ruszyć, najwyższy czas uciąć sprawę i nie przeciągać przykrew chwili.

– Wracaj do domu. – Uśmiechnął się, kładąc mi ręce na ramionach. – I jeśli wybierzesz jego, nie przejmuj się, jakoś będę musiał z tym żyć. Po prostu wybierz dla siebie najlepiej. Zasługujesz, żeby w twoim życiu było jak najlepiej.

Zanim zdążyłam się zorientować, przycisnął mnie do siebie i na kilka sekund zamknął w ramionach.

– Masz być szczęśliwa, słyszysz? – szepnął. – Wybierz tak, żebyś była szczęśliwa...



Nadmiar łez, zgromadzonych pod powiekami, spłynął mi po policzkach. Boże, nigdy nie byłam mniej pewna, jak wybrać, by być szczęśliwą. Przecież już byłam przekonana, że to z Robertem poukładałam sobie przyszłość, że trzeba po prostu pozwolić mu wejść mocniej w moje życie, tak, jak tego chciał. Zależało mi na nim, nie mogłam wyprzeć się tych uczuć.

Ale tak samo trudno było wyprzeć się nici porozumienia, jaka od pierwszej chwili połączyła mnie ze Stevenem.

I być może te kilka sekund w jego ramionach przeciągnęłoby się w nieskończoność, przewracając do góry nogami moje plany, gdyby nie krótkie, silne szarpnięcie za ramię, które wyrwało mnie z objęć Stevena.

Oszołomieni patrzyliśmy z niedowierzaniem na wściekłego Roberta, który pojawił się nie wiadomo skąd i teraz stał między nami, ściskając mnie mocno za rękę.

– No, pięknie – warknął. – Teraz rozumiem, dlaczego nie odbierałaś telefonu przez cały wieczór i dlaczego nie było cię w domu. Miałaś ważniejsze zajęcia.

– Jak to, nie odbierałam? – wymamrotałam słabo. – To ty nie odbierałeś ode mnie telefonu. Nawet nie odpisywałeś na SMS-y.

– Musiałem zająć się rodzicami – syknął Robert. – A jak już znalazłem chwilę, żeby oddzwonić, słuchałem sobie informacji, że abonent jest czasowo niedostępny. Albo po prostu dostępny dla kogoś innego, co? Więc przyjechałem. I siedzę sobie przed twoim blokiem mniej więcej od dziewiętnastej. Jest druga. Zakładam, że dobrze się przez te kilka godzin bawiłaś.

Rany boskie, ale się narobiło! W pierwszej chwili nie do końca rozumiałam, o co chodzi z tym niedostępny abonentem. Faktycznie, siedząc ze Stevenem w „Hortensji” wyłączyłam komórkę, przekonana, że skoro Robert nie odbiera ode mnie telefonu, to i sam nie zadzwoni. A na przerywanie sympatycznego wieczoru zawracaniem głowy w wykonaniu Borówy lub innych ludzi naprawdę nie miałam ochoty. Nie chciałam tłumaczyć się Luizie, która od razu zwęszyłaby

wzajemne przyciąganie między mną a tatuażystą. Miałam też prawo odpocząć od podpowiadania Michałowi, jak najlepiej zabrać się za załatwianie kolejnych spraw związanych ze ślubem. Wprawdzie udobruchana jego zaangażowaniem Alicja odpuściła już nieco strajk, domagała się jednak odpracowania zaległości z okresu, gdy sama odwaliała całą robotę, zaś Michał, zmęczony po ostatnich atrakcjach rodzinnych i awanturach z ukochaną, nagle utracił swe talenty organizacyjne i energię. Z każdą głupotą dzwonił do mnie i istniało spore prawdopodobieństwo, że i wieczór w „Hortensji” zechce mi zakłócić. Innymi słowy, wszystko się zgadzało. Wyłączyłam ten cholerny telefon. No i co?

– Przepraszam cię bardzo, zdolności z zakresu jasnowidzenia to nie u mnie – burknęłam, wyszarpując rękę z silnego uścisku. Straszliwie nie lubiłam, gdy ktoś próbował coś wymóc na mnie siłą. Co więcej, po raz pierwszy miałam okazję poobserwować, jak to działa w przypadku Roberta. I niestety, przekonałam się, że działa dokładnie tak, jak mówili Luiza i Steven. – Skąd mogłam wiedzieć, że akurat dzisiaj ci przejdzie?

– Więc uznałaś, że warto zastąpić moje towarzystwo innym? – spytał z przekąsem Robert. – I to jeszcze nim! Przecież tego faceta wypuścili przez pomyłkę! Chcesz na moje miejsce kryminalistę?

Steven, który do tej pory spokojnie znosił awanturującego się Roberta, gotów jednak interweniować w sytuacji, gdyby furia mojego zazdrosnego faceta zaczęła przybierać groźne rozmiary, uznał, że czas najwyższy się wtrącić.

– Odwal się od dziewczyny, z łaski swojej – powiedział cichym, lecz stanowczym tonem. – Chciała wyjaśnić te moje kryminalne, jak twierdzisz, skłonności. Po koleżeńsku i tylko po koleżeńsku poszliśmy na piwo.

– No jasne, a potem tylko po koleżeńsku ją obściskiwaleś! – prychnął Robert. – Zejdź mi z oczu, człowieku, i to najlepiej natychmiast! I raz na zawsze wbij sobie do łba, że nie życzę sobie oglądać cię w pobliżu Majki! Która, jak mam nadzieję,

teraz wróci ze mną do domu i wszystko sobie wytłumaczymy!  
Bez twojego wpięprzania się!

Ale Steven nie zamierzał nikomu schodzić z oczu, a już na pewno zostawiać mnie samej z wściekłym Robertem.

– Inaczej to widzę. Maja wróci do domu sama. A my załatwimy, co mamy do załatwienia. Nie pozwolę, żebyś odkuwał się na niej, bo masz jakiś problem ze mną. Idź, Maja, na górę.

Najchętniej posłuchałabym dobrej rady i związała jak najdalej, ale wizja krwawego mordobicia, w każdej z możliwych wersji zakończona bardzo niepomyślnie, trzymała mnie w miejscu. Tylko idiotka uwierzyłaby, że ci dwaj sobie teraz spokojnie przysiądą na chodniczku i wyjaśnią, o co im tak naprawdę chodzi! Zwłaszcza Robert, z którego furia ziała z siłą, której nigdy bym się po nim nie spodziewała. Ale i Steven, choć pozornie spokojny i opanowany, nie wyglądał na takiego, który wbrew sobie będzie hamował pięści. Obaj z sympatycznych, troskliwych i zauroczonych moją osobą facetów zmienili się we wściekłych samców, którzy lada moment rzucą się do walki na ziemi zrytej albo udeptanej, na miecze, pięści albo topory, a wszystko to dla wybujałego męskiego ego, nakazującego walczyć o swoje terytorium i to, co aktualnie się na tym terytorium znajdowało. Czyli o mnie. Absolutnie nie wolno było do tego dopuścić! Który którego zabije, nie miałam pewności, ale kolejnych nieboszczyków od rana nie miałam zamiaru oglądać!

– Spokój! – wrzasnęłam z rozpaczą. – Nigdzie nie idę! A wy nic nie będziecie sobie wyjaśniać! Jak będzie trzeba, będę tu z wami sterczeć przez całą noc, zmarznę, pochoruję się i może wtedy oprzytomniejecie! Albo umrę na jakieś zapalenie płuc czy cholera wie co...

Groźba śmiertelnej wersji kataru wyhamowała bojowe zapędy obu panów.

– Właśnie dlatego proszę, żebyś wróciła do domu – mruknął

Steven z uporem.

– A wy się w tym czasie pozabijacie!

Szczękościsk Roberta wystarczył mi za potwierdzenie.

– Nie, Steven – powiedziałam stanowczo. – Wracaj, proszę, do domu. A ja i Robert też mamy coś do wyjaśnienia. To wszystkim wyjdzie na dobre. Przynajmniej nie będę musiała żadnego z was identyfikować w kostnicy.

Mój pomysł mocno się Stevenowi nie spodobał, zwłaszcza że Robert takie postawienie sprawy zinterpretował na swoją korzyść. Przysunął się bliżej do mnie i objął mnie ramieniem w talii. Nie protestowałam.

W tej sytuacji Steven nie miał już nic do gadania.

– No dobrze – ustąpił niechętnie. – Ale proszę cię, żebyś rano zadzwoniła. No wiesz. Żebym miał pewność, że wszystko jest w porządku.

– A co ma być nie w porządku? – syknął zniecierpliwiony Robert. – Wszystko będzie w jak najlepszym porządku, a już na pewno, jak znikniesz nam z pola widzenia. I zapomnij o telefonach od Majki. Tak coś słyszałem, że przeżyjesz, jeżeli ona wybierze kogoś innego. Powodzenia.

– On ma rację – wyszeptałam, walcząc z drzeniem głosu na widok posmutniałych nagle oczu Stevena. Bez względu na to, co wcześniej mówił, aż do tej chwili żył nadzieją, że wybiorę inaczej. – Tak, jak mówiliśmy. Chyba tak będzie najlepiej...

– W takim razie mogę tylko życzyć ci szczęścia. – Steven wzruszył ramionami, bezskutecznie próbując nonszalanckim gestem ukryć rozczarowanie. – Trzymaj się, Maju. Do zobaczenia. Może, kiedyś tam...

Nie było łatwo patrzeć, jak odchodzi powolnym krokiem, lekko zgarbiony, z dłońmi w kieszeniach. Miałam ochotę zawołać, żeby zaczekał, że przecież wciąż mam na sobie jego kurtkę, ale obejmujące mnie ramię Roberta nie pozwalało się ruszyć. Po raz pierwszy wcale nie miałam ochoty się do tego ramienia

przytulić. Bez oporów przyznałam się sama przed sobą, że decyzję o swoim wyborze wygłosiłam bardziej, by uchronić Stevena przed awanturą, niż naprawdę uciąć naszą znajomość.

Tym bardziej doprowadzało mnie do furii ramię Roberta.

– Zadowolony? – prychnęłam zła za aferę, jaką rozpętał. I za to, czego się dowiedziałam tym razem sama, doświadczając tego na własnej skórze. Że walcząc o swoje, potrafi być bezwzględny i bezlitosny. I że nie umie wybaczać żadnych przewinień, nieważne, czy prawdziwych, czy wymaginowanych. Bez względu na właściwą zakochaniu ślepotę klapki spadły mi oczu z ogromnym hukiem. A to, co zobaczyłam, bardzo mi się nie podobało. Jeszcze nie byłam pewna, co powinnam z tym fantem zrobić. Ale przynajmniej przestałam mieć wątpliwości, co zrobić teraz.

– Zgłupiałeś chyba, co to miało być? – fuknęłam, strącając z talii ramię Roberta, który z zadowoloną miną patrzył w kierunku zakrętu, za którym zniknął Steven. – Najpierw się na mnie obraziłeś, a teraz wielkie pretensje, że spotkałam się z kolegą, zamiast czekać w domu, aż tobie fochy przejdą! To już nie wolno mi mieć żadnych znajomych płci męskiej?

Robert patrzył na mnie oszołomiony wybuchem złości. Widocznie uznał, że sprawa jest załatwiona i pokornie jak cielę wróć z nim do mieszkania.

– Ale Maja, czy ty wiesz, jak to wyglądało? – wykrztusił. – Najpierw ileś tam telefonów od ciebie, SMS-y, a kiedy przyjeżdżam pod twój blok, czekam przez kilka godzin tylko po to, żeby pooglądać, jak ten dupek cię obściskuje! Właściwie powinienem być wściekły na was oboje!

– O, rozumiem, że niby nie jesteś – burknęłam. – No to cię informuję, że nie mam w zwyczaju nikogo zdradzać, nie doszło do niczego niestosownego, poza tym, że celowo go wkopałeś! Bo nie uwierzę, że nie ubarwiłeś swoich zeznań na niekorzyść Stevena! Zwyczajnie chciałeś go wrobić!

– Maja, już ci tłumaczyłem...

– Guzik z pętelką mi tłumaczyłeś! Że nawet siostrę umiałeś dla mnie poświęcić! Jest jedna różnica! Twoja siostra naprawdę machała mi nożem przed nosem i to w moim własnym mieszkaniu! A Steven plątał się po parkingu wcale nie o tej godzinie, kiedy doszło do włamania!

– Dobrze, Majeczko, już dobrze! – Robert zrozumiał, że dysponuję większą wiedzą na temat jego zeznań, niż by sobie życzył. – Pójdziemy teraz do ciebie i spokojnie sobie wszystko wytłumaczymy. Nie róbmy awantury przed blokiem...

– Jakoś podczas awantur ze Stevenem nie przeszkadzało ci to wcale!

– Oj, Majka, proszę, pogadajmy w domu!

– O nie! – syknęłam oburzona. – W domu to ja sobie wypiję herbatę z melisy i spróbuję ochłonać! Teraz to ja potrzebuje kilku dni na przemyślenia!

I zanim osłupiały Robert zdążył zareagować, odwróciłam się na pięcie i pomknęłam w kierunku wejścia, trzaskając mu drzwiami od domofonu przed nosem.

Telefon profilaktycznie pozostawiłam wyłączony. Na szczęście prysznic zdołał przyciszyć natrętny dzwonek domofonu, który jeszcze przez jakiś czas przebijał się przez szum wody. Gdy wreszcie ucichł, wlałam do łóżka z wyrwanym ze snu Lokim i kubkiem melisy. „Chwała Bogu, że jutro sobota”, pomyślałam i naciągnęłam kołdrę na głowę.



Sobota, nie sobota, nie było mi dane się wyspać. Choć specjalnie nie nastawiałam budzika, żeby bez wyrzutów

sumienia przespać tyle godzin, ile potrzebował mój coraz bardziej zmęczony organizm, tuż przed czwartą okazało się, że wewnętrznego budzika, ustawianego przez stres na absurdalnie wczesne godziny, nie da się tak po prostu wyłączyć. Dusiałam się w pokoju, w którym przed zaśnięciem zamknęłam dokładnie okna, a teraz brakowało mi świeżego powietrza. Męczyło mnie poczucie, że podjęłam bardzo złą decyzję co do wyboru faceta i będę musiała ją zweryfikować, odcinając się od Roberta, którego agresywny sposób bycia zaczynał mnie przerażać. Dobijała mnie mało subtelna woń z kuwety, gdyż rzuciłam się wczoraj do łóżka, pomijając etap zabawy w piaskownicę.

Nade wszystko zaś dręczyła mnie przykra pewność, że choć poprosiłam Stevena o zaakceptowanie decyzji o ucięciu wszelkich kontaktów na dłuższy czas, Robert się od niego nie odczepi. Nie miałam pojęcia, jaką formę przybierze chęć odegrania się za wczorajszy wieczór, ale to nie na mnie skupią się konsekwencje.

I pewnie dlatego po godzinnym przewracaniu się w pościeli postanowiłam włączyć telefon i wbrew wczorajszym postanowieniom zadzwonić do Stevena. Diabli wiedzą, czy Robert pozwolił mu dotrzeć do domu. Równie dobrze mógł go dogonić i sprowokować do rozwiązania konfliktu siłowo. Trudno, nieważne, co wczoraj sobie postanowiłam, należało sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Jeśli tak, po prostu się rozłączę, nie ciągnąc zbyt długo rozmowy. To nie powinno być trudne, zważywszy, że wyrwany ze snu Steven nie będzie zbyt skory do dłuższej konwersacji.

Usiadłam na łóżku i po krótkim wahaniu wybrałam numer tatuażysty. Jeden sygnał, drugi, trzeci... Nic. „Tak mocno śpi po wczorajszych piwach”, zirytowałam się. Przecież wypił ledwo dwa, duże co prawda, ale podczas spaceru na moje osiedle zdażył pięć razy wytrzeźwieć. Chyba że w domu nieco poprawił... Równie dobrze mógł, tak jak ja, po prostu wyciszyć komórkę, by trochę ochłonać.

„Albo zwyczajnie nie dotarł do domu”, zdenerwowałam się nie

na żarty. Jeszcze dwa razy wybrałam numer, za każdym razem z takim samym skutkiem. Nie, tego nie można było tak zostawić. Jeżeli istniał naprawdę dobry powód do złamania własnych zasad i postanowień, to był właśnie ten moment. Wyprysłam z łóżka, wzięłam szybki prysznic i zrobiłam się na człowieka, w międzyczasie zamawiając taksówkę i usiłując nie staranować Lokiego, który zaspany kręcił mi się pod nogami. Gdy wreszcie unieruchomiłam go przy misce z łososiem, zdołałam opanować szalejącą w głowie panikę. Wziąć jakąś forszę na taksówkę, z taksówki wysłać SMS-a do Stevena, że może się mnie spodziewać w ciągu kilku minut i proszę o podanie dokładnego adresu. Wyjaśnienia, dlaczego nagle moje poglądy obróciły się o sto osiemdziesiąt stopni, mogły poczekać na później.

Taksówkarz wysadził mnie na parkingu pod blokiem Luizy, bo nie miałam lepszego pomysłu, jaki adres podać. Zwłaszcza że nie miałam odpowiedzi od Stevena. „Trudno, będę tu siedzieć i dzwonić do skutku”, pomyślałam zdesperowana. A w ostateczności wyciągnę ten adres od Lulu. Mieszkają po sąsiedzku ładnych kilka lat, powinna wiedzieć, jak trafić do właściwych drzwi. A co zełgać jako przyczynę porannej, sobotniej wizyty, zastanowię się później.

Na szczęście nie musiałam kombinować, co powiedzieć Luizie, gdyż wreszcie za którymś podejściem Steven odebrał telefon. Wbrew moim przewidywaniom jego głos nie przypominał głosu człowieka z nagłą wyrwanego ze snu. Domyśliłam się, że też miał ciężką noc i w tym momencie przestałam mieć problem, co sobie pomyśli, gdy poinformuję go, że wbrew wszystkim deklaracjom zamierzam wprosić się na poranną kawkę.

– Maja, to ty? – usłyszałam w słuchawce niespokojny głos. – Co się dzieje?

– To ja się pytam, co się dzieje? – wrzasnęłam, bo histeria wymieszana z ulgą, że jednak odebrał, stanowiły dość wybuchową mieszankę. – Wydzwaniam do ciebie od świtu!

– Rany, przepraszam... Zostawiłem telefon w kuchni, nie



słyszałem, żeby dzwonił. Coś się stało? Ten idiota robił ci problemy, tak? Niepotrzebnie cię posłuchałem, powinienem był zostać.

– Żadnych problemów mi nie robił. Wróciłam do domu sama, trzasnęłam mu drzwiami przed nosem, bo mnie, ujmując rzecz delikatnie, wpienił – sarknęłam, zła na samo wspomnienie zachowania Roberta. – I dzwonię, bo się wystraszyłam, że zechce wyładować frustrację na tobie. Ale chyba wszystko jest w porządku. W takim razie nie zwracam ci więcej głowy. Wracam do domu.

– Jak to do domu? – padło w słuchawce pełne konsternacji pytanie. – To gdzie ty jesteś?

– Nie czytałeś SMS-a? Nie odbierałeś, więc przyjechałam. Nie znałam adresu i siedzę na ławce obok parkingu. Ale skoro już wszystko wiem, wrócę do siebie. Nie powinnam dłużej zwracać ci głowy. Cześć!

– Majka, nie! – usłyszałam jeszcze, zanim zdążyłam się rozłączyć.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła piąta trzydzieści. Nie chciało mi się dzwonić po taksówkę. „Podobno solidna dawka ruchu od rana na czczo pomaga podkreślić przemianę materii”, pomyślałam beznadziejnie i otuliwszy się mocniej kurtką Stevena, którą narzuciłam, wybiegając z domu, powlokłam się przed siebie.

Nie uszłam daleko, gdy dobiegł mnie znajomy, mocno zdyszany głos:

– Majka! Majka, zaczekaj!

– Na co? – Uśmiechnęłam się melancholijnie na widok Stevena w samych portkach od dresu, wypadającego w szaleńczym pędzie z klatki schodowej. – Cholera, a taką miałam nadzieję, że po tej rozmowie zdołam wrócić do swoich wczorajszych postanowień...

– Chrzanić postanowienia, są do bani – wydyszał Steven,

hamując gwałtownie tuż obok mnie. – Maja, wszystko, przepraszam cię bardzo, pierdołę. Po tym, co właśnie mi powiedziałaś, za nic nie dam się przekonać, że życie z tym palantem jest dla ciebie. Nie wróciłaś z nim wczoraj do domu, tak? Więc rozumiem, że sama masz wątpliwości. A jeżeli ty masz wątpliwości, to chyba znaczy, że ja... No wiesz... Że może mam jakieś szanse.

Patrzył na mnie, czekając na odpowiedź, choć była ona tak oczywista, że nie wymagała wypowiedzenia na głos. Zwłaszcza że mój głos uwiązł w gardle, niezdolny do wyartykułowania sensownej myśli. Najpierw ta sensowna myśl musiałaby się w ogóle pojawić. Tymczasem w głowie miałam jeden wielki chaos i żadnego pomysłu, jak go uporządkować. Tak, byłam wściekła na Roberta, ale czy naprawdę byłam również gotowa zdegradować go do przelotnej, niewiele znaczącej znajomości, która okazała się pomyłką? A Steven? Luiza i on sam wielokrotnie dali mi już do zrozumienia, że istnieje pomiędzy nami subtelny magnetyzm, tak delikatny, że dla mnie samej łatwy do wyparcia i zepchnięcia poza obszar rejestrowanych uczuć. Przynajmniej do wczoraj... Albo i nie, do pioruna! Przecież gdyby to subtelne przyciąganie zostało upchnięte w najgłębszych zakamarach duszy i umysłu, nie czułabym się aż tak idiotycznie za każdym razem, gdy rozmawiałam ze Stevenem. Nie miałabym obaw i nie gryzłabym się poczuciem nielojalności wobec Roberta! Więc jednak coś musiało między nami być! Tylko czy było na tyle silne, by tak po prostu przekreślić Roberta?

O ile Robert nie przekreślił się sam...

– Maja, no co? – Błękitne oczy Stevena patrzyły na mnie wyczekująco. – Mogę o ciebie powalczyć?

Przymknęłam oczy, czując, jak dłonie Stevena ujmują moją twarz i przyciągają powoli. Przywiany z przepaści nieświadomości magnetyzm ujawnił się z całą mocą, gdy nasze wargi wreszcie się spotkały.

I już wiedziałam, że nie będę w stanie odpowiedzieć „Nie”...

Gwałtowny huk tuż za plecami sprawił, że odskoczyliśmy od siebie przerażeni. Dobiegł z odległej części parkingu, do której nie zdążyłam dotrzeć, podejmując przerwany przez Stevena spacer do domu. Odruchowo zwróciliśmy oszołomione spojrzenia w tamtą stronę.

– O Jezuu, nie... – Z mojego gardła wydobył się przeciągły jęk, równoczesny z brutalną wiązką przekleństw Stevena.

Po czym oboje runęliśmy przed siebie.

Szaleńczy pęd, podjęty w pierwszym impulsie, Steven wyhamował już po kilkudziesięciu metrach. Pewnie biegłabym dalej, gdyby nie przytrzymał mnie za rękę.

– Majka, niech cię ręka boska broni! – krzyknął. – Dzwon na policję! Po Borowiaka!

Przerażona sytuacją na parkingu, byłam gotowa zrobić wszystko, co tylko by mi polecił. Wyszarpnęłam z kieszeni komórkę i wybrałam numer Borówy, jedną ręką kurczowo trzymając Stevena pod ramię. To nie była chwila, żeby pozwolić mu zgrywać bohatera!

Ale tyle Steven wiedział sam. Mamrocząc przekleństwa, pohamował złość na tyle, by wyciągnąć telefon i nagrać z bezpiecznej odległości pandemonium, jakie rozgrywało się na naszych oczach.

Czarnego seata ibizę, który z piskiem opon podjeżdżał do fiesty Stevena, wałąc z impetem w maskę forda. Siła uderzeń miotała fiestę na wszystkie strony, niszcząc przy okazji stojące obok samochody. Ale kierowca seata miał to gdzieś. Z ponurą, zaciętą furią demolował forda tak długo, aż z jego auta odpadł przedni zderzak. Dopiero w tym momencie z rykiem silnika wystartował z parkingu.

– Cholera! – warknął Steven i dopiero teraz rzucił się w kierunku zdemolowanej przez Roberta fiesty.



Niewielka klitka, w której spotkałam się z wyprowadzonym z aresztu Robertem, nie sprzyjała spokojnej, osobistej rozmowie. Ale wcale mi to przeszkadzało. Nie zamierzałam spędzić tu ani minuty dłużej, niż było potrzebne, by uzyskać wyjaśnienia.

– Czy ja mogę się dowiedzieć, co ci odpierniczyło? – zapytałam rozgoryczona, siadając naprzeciwko Roberta.

Robert spoglądał na mnie spode łba. Niezbyt przytomne spojrzenie sugerowało, że wczorajszej demolki dokonał na niebyle jakim gazie. „Skoro jeszcze nie zdążył wytrzeźwieć, jakim cudem w ogóle wsiadł za kierownicę”, zastanawiałam się. I jakim cudem nie rozwalił przy okazji wszystkich innych samochodów po drodze? We fiestę Stevena celował dość precyzyjnie...

– Jak to co? – burknął w końcu Robert. – Jak mogłaś? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem? A ty z tym palantem... Po prostu nie wierzę...

– A co ty takiego dla mnie zrobiłeś? – Zdenerwowałam się nagle bardzo mocno. – Nic, co mogłoby przebić te ekscesy ze Stevenem! Dla mnie kochany, cud, miód, malina, ale dla reszty świata cholerny terminator!

Urażony Robert poderwał się z krzesła, jednak stojący za jego plecami w niewielkiej odległości policjant natychmiast go usadził, mocnym chwytem przytrzymując za ramiona. Robert syknął wściekły, strząsnął ręce gliniarza i nachylił się do mnie.

– A źle ci ze mną było? Tak źle, że po mężu musiałaś szukać kogoś innego? Ilu jeszcze facetów powinienem usunąć z drogi, żebyś zrozumiała, kto jest dla ciebie najlepszy?

Usunąć z drogi? O rany boskie, co on mówi!?

– Co ty chrzanisz? – wymamrotałam zduszonym głosem. –  
Więc to ty? Ty rąbnałeś Olgierda? Bo był moim mężem?

Robert roześmiał się ponuro.

– No właśnie, nie wiedziałem, że był. Sądziłem, że jest.  
Gdybym wiedział o waszym rozwodzie, pewnie by żył...

– I ty go zabiłeś?! Żeby mieć otwartą drogę do mnie?! –  
wycodziłam, zrywając się w krzesła. – O matko! I może jeszcze  
Kamile na mnie napuściłeś?! Nie zbliżaj się do mnie! –  
wrzasnęłam, bo Robert spróbował wstać. Na szczęście  
podwładny Borówy miał dobry refleks. – Nie, błagam, niech go  
pan zabierze, nie wytrzymam ani sekundy dłużej z tym  
mordercą!

– Maja! Ale z Kamilą to zupełnie inaczej!

Guzik z pętelką mnie obchodziło, jak naprawdę było z Kamilą.  
Wybiegłam, nie zważając na krzyki wołającego za mną  
histerycznie Roberta.



Szczerze mówiąc, niewiele mnie interesowało, co miał mi do  
powiedzenia zabójca mojego byłego męża i sprawca jeszcze  
kilku innych przestępstw, za które mogło wylądować za  
kratkami kilka niewinnych osób. Jednak Robert w przyпіływie  
optymizmu uznał, że być może szczere wyznanie win zdoła mnie  
wzruszyć i skłonić do dania mu jeszcze jednej szansy. Choć,  
prawdę mówiąc, nie wiem, kiedy miałyby to nastąpić. Nie  
zapowiadało się, byśmy szybko mieli okazję się spotkać  
w miejscu innym niż sala sądowa. Mnie do ponownych  
odwiedzin nie zmusiłby nikt.

I pewnie dlatego kilka dni po spotkaniu z Robertem w areszcie Borówa przekazał mi grubą kopertę z upchniętą w środku epistołą.

– Proszę cię, przeczytaj. – Chrząknął, gdy w pierwszym odruchu odmówiłam przyjęcia listu. – A potem mi powiedz, co tam jest. Facet spowiadać się nikomu poza tobą nie chce. Liczę, że z tego listu czegoś się wreszcie dowiem.

Obciążona poleceniem ze strony policjanta nie miałam wyjścia. Pozostawiając Borówę pod opieką gościnnego jak zwykle Lokiego, usiadłam na balkonie i otwierałam kopertę.

Jeżeli wierzyć rozpaczliwym wyznaniom, jakimi skruszony Robert próbował mnie przebłagać, historia miłości, której ofiarą padł Olgierd, sięgała niezbyt dobrego okresu w moim życiu. Wtedy właśnie, dzięki mojej fatalnej pomyłce i zatrudnieniu Kamili, Robert spotkał mnie po raz pierwszy. Kilkakrotnie przyjeżdżał po siostrę i czekał na nią po pracy na parkingu, obserwując właścicielkę kwiaciarni. Dość szybko uznał mnie za interesującą, więc zadbał o dokładne przepytanie siostry. Dowiedział się, że szanse ma małe, gdyż jeszcze wtedy byłam mężatką, a Kamili i Olgierdowi romansowanie nie zdążyło zaświtać w głowach. Kamila uprzedziła go, że jako jednostka upiornie praworzadna i lojalna, w żadne miłostki na boku nie dam się wciągnąć. Powziął zatem jedyną słuszną decyzję. Postanowił kropnąć konkurencję.

A potem sprawy zaczęły się komplikować. W czasie, który poświęcił na zaplanowanie i zorganizowanie akcji wyeliminowania Olgierda, Kamila nawiązała bliskie relacje z upatrzoną ofiarą. Robertowi nic o tym nie wspomniała, gdyż wcale nie była pewna, jak rodzina zareaguje na wieść o żonatym kochanku. Tak więc szok, jaki Robert przeżył w mojej kuchni na wieść, że rąbnął rozwiedzionego ze mną, a związanego z jego własną siostrą faceta, był zupełnie autentyczny.

Pozostała część listu nie była dla mnie niespodzianką. Tyle wiedziałam już sama. Że chora miłość kazała mu jeździć za mną do miasteczka i śledzić pod pozorem opacznie pojętej opieki.

Wiedział, że ktoś chce mi narobić kłopotów i bardzo chciał mnie chronić, ale to było jedyne, co świadczyło na jego korzyść. Nawet fakt, że zdecydował się poświęcić siostrę, przestał być dowodem na niezwykłą lojalność i praworządność. Kierowała nim jedynie toksyczna, obsesyjna miłość. To, co wyglądało na szalenie trudny wybór między dobrem rodziny a bezpieczeństwem ukochanej, pchnęło go również do fałszywych zeznań na niekorzyść Stevena i... Luizy.

– Nie pojmuję – wybełkotałam, spoglądając na Borówę, który cierpliwie czekał, aż skończę lekturę. – Luizę? To on próbował zrobić Luizę? Jak?

– Lulu się przyznała – mruknął Patryk z przekąsem, tarmosząc za uchem Lokiego. – Do bliskiego spotkania z płotem u siostry... I że po cichutku oddała samochód do autoryzowanego serwisu, żebym się nie zorientował.

Inna sprawa, że salon Nissana okazał się rodzinną firmą ojca Kamili i Roberta, który od lat zatrudniał obu swoich synów. Gdy auto Luizy stało w serwisie, Robert miał do niego swobodny dostęp i skwapliwie z tego skorzystał. Wgnieciony przód i tak był do wyklepania i lakierowania, a że do pamiątki po spotkaniu Luizy z płotkiem Robert dorzucił rozjechanie Olgierda, no cóż... Samochód umył, a w warsztacie nikt się nie zastanawiał, o co i dlaczego aż tak solidnie przywaliła klientka. Baba za kierownicą, zabrzmiał zapewne werdykt blacharza i na tym dociekania zakończono.

– Teraz rozumiem, skąd wzięła się krew Olgierda w nissanie Lulu – mruknęłam. – Zwłoki upchnął na tej upiornej posesji, a rzeczy, które Olgierd miał wtedy przy sobie, po prostu porzucił i powyrzucił w różnych miejscach. Kluczy nie zauważył, bo wpadły między fotel a skrzynię biegów... – ugryzłam się w język odrobinę za późno. Borówa na sąsiednim leżaku zdążył dostać lekkiego szczękościsku.

– Taaa? Klucze? A cóż to za klucze były, pani Kostrzewska?

– Yyy... – zająknęłam się. – Bo ja znalazłam w aucie Luizy

klucze Olgierda z pracy... Z takim idiotycznym breloczkiem w kształcie czerwonego audi... Ale podpisane nie były, nie miałam gwarancji, że to nie kogoś z was! – wrzasnęłam, bo szczękościsk Patryka niebezpiecznie się pogłębił. – Ja szukałam tylko swoich rzeczy, które wyleciały mi z torebki, kiedy Lulu zahamowała na światłach! Patryk, no przestań! Co miałam zrobić? Przecież od razu by było na Luizę! Zwłaszcza że potem ta krew...

– Dobra, już się nie tłumacz. – Na wieść, że zataiłam fakty, by chronić przyjaciółkę i jego narzeczoną, Borówa jakby się rozpogodził. Sam dobrze pamiętał, jakie sztuki wyczyniał, byle znaleźć innego podejrzanego pomimo bardzo mocnych dowodów wskazujących na Lulu.

– Jedno trzeba temu twojemu facetowi oddać. – Westchnął. – Przemyślał to wszystko naprawdę perfekcyjnie. Gdyby nie ten tatuażysta, już bralibyście ślub w Vegas.

– Wypraszam sobie! – sarknęłam oburzona. – Żaden mój facet! Oficjalnie nie byliśmy parą! I bardzo proszę bez insynuacji, że jakkolwiek tatuażysta miał tu coś do powiedzenia!

– Dobra, już dobra. – Borówa uspokajająco poklepał mnie po ramieniu. – Powiedz mi lepiej, bo ja nigdy nie wiem. To jest tatuażysta czy tatuator?

– A diabli to wiedzą – mruknęłam udobruchana. – Zapytam przy najbliższej okazji. Może Luiza wie, ona jest bardziej zorientowana.

Szczerze mówiąc, to nie potrzebowałam aż tak bardzo pretekstu, by spotkać się ze Stevenem, który potraktował pocałunek pod blokiem jako przyzwolenie na próbę podbicia mojego serca. I, muszę przyznać, szło mu całkiem nieźle... Tym bardziej wypadało doprecyzować kwestię poprawnej nazwy wykonywanego przez niego zawodu. Jakoś przecież będzie trzeba przedstawiać go rodzinie...

– Artysta wykonujący tatuaże – usłyszałam odpowiedź i zdębiałam.



– Acha... – bąknęłam. – Że niby tak to się oficjalnie nazywa? A bardziej w skrócie?

Steven westchnął ciężko i wzruszył ramionami.

– Bóg jeden wie. Kiedyś próbowałem podpytać kolegów, ale wszyscy w popłochu wypierali się bycia tatuażystami i tatuatorami. No wiesz, artysta brzmi dumnie.

– I nie nasuwa wątpliwości natury językowej... I naprawdę nie wiesz, jak to powinno się mówić?

– W ostateczności mogę zawsze powiedzieć, że jestem tattooist  
– mruknął Steven. – Jako Brytyjczyk mam prawo czuć się zagubiony w tych waszych zawilosciach językowych.

Machnęłam ręką i przestałam drażnić temat, z nadzieją, że ukochani bliscy usłyszą na początku „artysta” i odczepią się od reszty. Choć ilość wzorków na ciele Stevena przyprawi moją szacowną rodzinę o zawrót głowy i kilka głupawych komentarzy za moimi plecami. Pozostaje jeszcze kwestia, czy kolorowy gość nie będzie wykraczał poza standardy ślubne przyjęte przez Alicję... Sama byłem bardzo ciekawa, jak ze swoją potarganą fryzurą i tatuażami będzie prezentował się w garniturze. Bo oczywiście, o innej osobie towarzyszącej nie mogło być mowy.

Na razie przede mną ostatni urlop z Michałem. Ostatni, zanim w końcu zaczniemy się zachowywać jak normalni, dorośli ludzie. Bardzo wątpiłam, by groziło mi to w równym stopniu jak mojemu bratu, bo trudno będzie wieść takie zupełnie normalne życie z wytatuowanym, szalonym artystą u boku. Przynajmniej pozornie szalonym. W praktyce bowiem Steven niewiele ustępuje zdrowym rozsądkiem i uporządkowaniem narzeczonej Michała. Największym wariactwem, jakie on i Alicja zdecydowali się popełnić, było związanie się z takimi wariatami jak ja i Michał. Przetrwają albo sami zwariują.

Loki w pełni zaakceptował Stevena i nie poddał go testowi osikanych butów, choć przyznaję, że któregoś dnia zapomniałam schować je przed kotem w łazience. Zresztą może to w ogóle nie był test? Może Loki po kocie mu usiłował dać mi

do zrozumienia, że nie uważa Roberta za najlepszego kandydata na partnera dla mnie? Jeżeli nawet, na szczęście nie próbuje się wymądrzać, że wiedział lepiej. W przeciwieństwie do Luizy, która na każdym kroku wypomina mi, że gdybym od razu dała szansę Stevenowi, mielibyśmy z głowy sporo nieprzyjemności.

Sam Steven szczęśliwie nie jest specjalistą od wypominania. Nie czepia się nawet, że to z bratem wyjeżdżam na Lazurowe Wybrzeże, a nie z nim. Właściwie ułatwił mi nawet podjęcie decyzji o terminie wyjazdu, przedstawiając mi swoją przyrodnią siostrę, która po pięciu latach w Anglii przyjechała do Polski i szukała pracy jako florystyka. Po kiepskich doświadczeniach z Kamilą doszłam do wniosku, że to całkiem niezły układ. Choć młoda i niedoświadczona w kwestiach organizacyjnych i finansowych dotyczących prowadzenia kwiaciarni, Diana okazał się zdolną, sympatyczną dziewczyną, idealną do zatrudnienia na miejsce Kamili. Na razie pod moją nieobecność w kwiaciarni dopilnuje jej moja mama. Potem, mam nadzieję, współpraca będzie nam się układała na tyle dobrze, by Diana została na stałe. W jej przypadku przynajmniej nie zachodzi niebezpieczeństwo, że odbije mi faceta.

Choć z drugiej strony mam wątpliwości, czy Steven dałby się komukolwiek odbić. Na potwierdzenie pokazał mi wczoraj nowy tatuaż z moim imieniem. Pomysł dość oklepany, jak stwierdziła Luiza, ale i obrączki są oklepane, burknęłam, gdy zadzwoniła pochwalić się, że ustalili wreszcie z Patrykiem datę ślubu. Pokłóciliśmy się przez chwilę, jednak nie na tyle, by nie zdecydować się na wspólne świętowanie szczęśliwego zakończenia z naszymi mężczyznami.

I tylko Steven po aresztowaniu ma nadal wątpliwości, czy picie piwa z Borową wyjdzie mu na dobre.

## Podziękowania

Pragnę z całego serca podziękować wielu wspaniałym ludziom, którzy towarzyszą Majce oraz Michałowi w ich podróży do świata wspomnień i wszystkich perypetiach, w jakie przy okazji się wpakowali :)

Zespołowi Wydawnictwa Czwarta Strona za profesjonalizm, życzliwość oraz zaangażowanie. Cieszę się, że to właśnie Wy czuwacie nad moim pisaniem.

Mojej redaktor prowadzącej – Ado, jesteś najlepsza!

Moim patronkom medialnym, dzięki którym wieść o nowych książkach Radomskiej krąży w coraz szerszym czytelnicy gronie.

Alkowi Rogozińskiemu, którego książki są dla mnie najlepszym (obok biegania) sposobem na relaks.

Rodzinie za Waszą miłość i inspirację (Wojtek :) ). Bardzo Was kocham!

Attonkowi i pozostałym kotkowym za mruczące wsparcie podczas pracy. I za to, że nie rozszarpali mnie pazurami za przytoczenie w książce rozmaitych, czasem wstydlivych sytuacji z kociej egzystencji :)

Ani, Agnieszce i Monice – dziewczyny, każdy dzień jest lepszy, gdy jesteście obok. Ostatni rok dowiódł tego jak żaden inny.

Anecie i Ani z Week OuT Fit&Fun, Ance D. oraz MarTusi za inspirację do szaleństw, nie tylko fitnessowych.

Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy ciepłymi słowami i pozytywnymi komentarzami motywują mnie każdego dnia do pracy. Dziękuję, że otwarliście serca dla moich bohaterów. I dla mnie :)

Osobne podziękowania kieruję do wszystkich, którzy wraz ze mną i Mają dzielą niezapomniane przeżycie, jakim jest przygarnięcie bezdomnego kota. A potem horror wizyt weterynaryjnych (kociarze wiedzą, o czym mowa, weterynarze też...), podarte firanki, żwirkową piaskownicę w łazience... Ale przecież i tak wszyscy wiemy, że było warto!

# Wrajeczka



## Chodź, opowiem ci grajeczkę!

Pokierujcie odważną Księżniczką, wiernym Księciem i przerażającym Smokiem w ich przygodach w Magicznej Krainie, którą sami układacie!







Trzeci tom bestsellerowego cyklu *Miłość i inne szalenstwa* to przezabawna opowieść o tym, że uciekając przed problemami, można czasem wpaść z deszczu pod rynnę. I że miłość przychodzi wtedy, kiedy nikt się jej nie spodziewał!

Po zawodzie miłosnym i aferze na ślubie siostry Patrycja postanawia odciąć się od rodziny i wytykających ją palcami sąsiadów. Słoneczna Przyszań, dokąd jeździła kiedyś jako animatorka obozów artystycznych, to idealne rozwiązanie. Niestety, na miejscu Patrycja dowiaduje się, że dyrektorem ośrodka jest jej były chłopak.

Okazuje się też, że na identyczny pomysł wpadła jej siostra! Patrycja nie zamierza jednak rezygnować ze swoich planów. Jak na kobietę o ognistym temperamencie przystało, postanawia stawić czoła przeciwnościom. Czy jej się to uda? Gdy ożywa w niej uczucie do dawnego partnera, on okazuje zainteresowanie innej... Z tego mogą być tylko kłopoty!





Teatr w Lipówce?  
Tego jeszcze nie grali!

Gdy Zojka zabiera się do pisanego artykułu o amatorskiej grupie teatralnej, to musi oznaczać kłopoty. Już podczas castingu dochodzi do awantury, a wkrótce potem aktorka obsadzona w głównej roli ulega wypadkowi. Komu zależało na tym, żeby wykluczyć ją z przedstawienia? Zojka postanawia to sprawdzić i zastąpić ją na scenie.

Tymczasem aspirant Chochołek bardziej niż śledztwem jest zainteresowany własnym życiem osobistym. By wejść na wyższy poziom związku, musi zostać przedstawiony mamie swojej wybranki. Przyszła teściowa najwyraźniej chce się przekonać, czy policjant sprawdzi się w roli męża. Tylko jak Chochołek ma się jej przypodobać, gdy zachowuje się jak słoń w składzie porcelany?

Czy ta komedia może nie skończyć się dramatem?



## Spis treści

[Strona przedtytułowa](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

\* \* \*  
— —

[Podziękowania](#)

[Polecamy również](#)